

I – Powstanie Zoican

„Różnica pomiędzy sztuką kupiecką, a wojenną jest postrzegana wyłącznie przez tych, którzy o żadnej z nich nie mają pojęcia”

– Heironymo Sondar, Dom Sondar, fragment mowy inauguracyjnej

Klaksony zaczęły wyc przeraźliwie, chociaż do końca zmiany brakowało jeszcze godziny. Mieszkańcy metropolii przerwali niemal równocześnie swoje codzienne zajęcia. Miliony oczu spojrzwały na cyferblaty zegarków w poszukiwaniu źródła nieoczekiwanego dźwięku, umilkły konwersacje. Rubaszne żarty ustąpiły miejsca niepokojącemu milczeniu, małe dzieci zaczęły płakać. Żołnierze strzegący Muru wysyłali drogą radiową prośby o wyjaśnienie przyczyn alarmu do centrali w kompleksie Main Spine. Nadzorcy linii produkcyjnych i brygadziści zaczęli zaganiać robotników do pracy, ale oni sami również czuli niepokój. To musiał być jakiś test. Albo pomyłka. Jeszcze chwila i alarm umilknie.

Klaksony nie ucichły.

Po minucie dołączyły do nich syreny przeciwlotnicze w centralnym dystrykcie. Sygnał ten został powielony automatycznie przez fabryczne radiowęzły na niższych poziomach metropolii, a także w dokach i habitatach na zewnątrz miasta. Nawet wielkie ceremonialne trąby na kopule bazyliki Eklezjarchii zaczęły wibrować przeciągłym wyciem.

Vervunhive krzychało poprzez każdy głośnik.

Wszędzie zaczęły migotać światła ostrzegawcze. Osłony przeciwburzowe automatycznie zsunęły się po przewodnicach zasłaniając okna. Publiczne ekrany informacyjne w całym mieście zgasły na chwilę przestając wyświetlać informacje o pogodzie, temperaturze, kursach akcji giełdowych i lokalnych wydarzeniach. Kiedy rozbłysły ponownie, pojawił się na nich napis Proszę czekać, migający w regularnych odstępach czasu.

* * *

W rozpalonych żarem halach huty Vervun Jeden - wchodzącej w skład dystryktu przetwórczego na zachód od Hałdy - szynowe wózki wyładowane rudą żelaza zaczęły hamować z piskiem kół, kiedy system bezpieczeństwa automatycznie zatrzymał linię transferową. Pracujący na górnym poziomie hali dyrektor Agun Soric wstał zza zasłanego dokumentami biurka i podszedł do przeszklonej ściany swego gabinetu. Spojrzał z niedowierzaniem na stojące w bezruchu taśmociągi, po czym chwycił swoją kurtkę i wybiegł na metalowy pomost. Powitał go zaskoczony wzrok tysięcy pracujących poniżej robotników. Vor, zastępca dyrektora, nadbiegł pomostem, łomot jego ciężkich butów nił pośród kakofonii syren i klaksonów.

- Co to, szefie ? – wydyszał stając przy Soricu i zdejmując swój respirator z otwartych szeroko ust.

- Piętnaście tysięcy kubików straconej produkcji – potrząsnął gniewnie głową Soric – Ot, co. I strata dalej rośnie !

- Z jakiej przyczyny ? Awaria alarmu ?

- W całym mieście jednocześnie ? Ruszże głową. Awaria ?!

- Więc co ?

Soric umilkł próbując się skupić. W jego umyśle powoli krystalizowało się wyjaśnienie, którego rozum nie chciał zaakceptować.

- Modłę się do Imperatora, żeby to nie było to...

- Co, szefie ?
- Zoica... Zoica znowu zaczęła.
- Co ?

Soric spojrział z irytacją na swego zastępcę. Podrapał łysą czaszkę noszoną na ręce złotą bransoletą.

- Nie czytasz wiadomości ?
- Tylko pogodę i wyniki sportowe – wzruszył ramionami Vor.
- Więc jesteś idiotą – oświadczył Soric. A także zbyt młody, by pamiętać, dodał w myślach. Gak, on sam był zbyt młody, ale jego dziadek często opowiadał o Wojnie Kupieckiej. Kiedy to było... jakieś dziewięćdziesiąt lat temu ? Chyba nie ponownie ? Ale elementy układanki z ostatnich kilku miesięcy coraz bardziej do siebie pasowały. Zoica wstrzymująca kontakty towarzyskie, Zoica zrywająca współpracę handlową, Zoica zamykająca bramy i uzbrajająca północne mury metropolii.

Syreny przeciwlotnicze nie odzywały się od czasów Wojny Kupieckiej, Soric doskonale o tym wiedział.

- Miejmy nadzieję, że to ty masz rację, Vor – powiedział dyrektor – Miejmy nadzieję, że to cholerna awaria systemu alarmowego.

W Commercii, handlowej dzielnicy na północ od Main Spine, w cieniu Pylonu Tarczy, kupiec Amchanduste Worlin próbował uspokajać swoich klientów, ale nie potrafił przekrzyczeć alarmowych syren. Ludzie opuszczali sklep popędzając asystentów i tragarzy, wykrzykując niezrozumiałe pytania do komunikatorów. Żaden z nich nie pomyślał o pozostawieniu kontaktu czy zamówienia, nie mówiąc już o pieniądzach. Worlin chwycił rękami za głowę i zaklął. Jego jedwabne ubranie stało się nagle ciężkie i gorące.

Wezwał swoich ochroniarzy. Pojawili się natychmiast: Menx i Troot, mężczyźni o byczych karkach noszący ciasne kombinezony z naszywkami Gildii Worlin na piersiach. Welwetowe płaszcze odrzucili z prawych ramion odsłaniając przytroczone do bioder kabury.

- Sprawdźcie serwery Gildii i Administratum ! – warknął kupiec – Wróćcie tu, by powiedzieć mi, co się dzieje albo nie wracajcie wcale !

Potwierdzili przyjęcie rozkazu i odbiegli, przepychając się pomiędzy uciekającymi ze sklepu klientami. Worlin przeszedł do swojego prywatnego gabinetu za salą aukcyjną, przeklinając w myślach syreny. Kłopoty w zrealizowaniu transakcji były najgorszą rzeczą, jaka mogła go teraz spotkać. Poświęcił miesiące pracy i duże sumy z kont bankowych Gildii Worlin na utrwalanie kupieckich powiązań z Wysokim Domem Yetch i czterema mniej wpływowymi rodzinami. Wszystkie te wysiłki miały pójść na marne, gdyby nie doszło do wymiany handlowej. Cały pakt handlowy przestałby istnieć. Jego przełożeni wpadliby na wieść o tym w furię. Może nawet pozbawiliby go licencji kupieckiej i stanowiska w Gildii.

Worlin był wstrząśnięty. Podeszedł do kryształowej karafki ustawionej na mosiężnym stoliku chcąc pociągnąć porządny łyk dziesięcioletniej joiliqi dla uspokojenia nerwów. Zmienił jednak zamiar. Stał przy swoim biurku i wsunął noszoną na szyi kartę w elektroniczny zamek szuflady. Kiedy otworzyła się, wyjął ze środka niewielki igłowy pistolet.

Sprawdził czy broń jest naładowana i gotowa do użytku, potem zrobił sobie drinka. Usiadł na swoim fotelu sącząc napój i patrząc na trzymany w drugiej ręce złoty medalion z insygniami Gildii Worlin, symbol jego statusu i pozycji społecznej. Pistolet położył na kolanach. Czekał.

Na zewnątrz wciąż wyły syreny.

* * *

Na stacji kolejki magnetycznej C4/a wybuchła panika. Robotnicy i urzędnicy niższego stopnia planujący zakupy po pierwszej zmianie zaczęli pchać się pośpiesznie do metalowych wagoników. Pociągi kursujące pomiędzy Main Spine i habitatami zewnętrznymi były pełne pasażerów, w niektórych z powodu tłoku nie domykały się drzwi.

Tłum stojący na peronie podskakiwał za każdym razem, gdy syreny powtarzały swój jęk. Frustracja rosła w ludziach na widok kolejnych zapchanych wagoników, przejeżdżających przez stację bez zatrzymywania się. Pod naporem ciał popękały metalowe barierki chroniące przed upadkiem na tory.

Livy Kolea zaczynała tracić panowanie nad nerwami. Napór ludzkich ciał poniósł ją w kierunku kolumn podpierających kopułę atrium stacji. Dłonie zaciskała kurczowo na uchwycie dziecięcego wózka i Yoncy był bezpieczny, ale straciła z oczu Dalina.

- Mój syn ! Czy ktoś widział mojego syna ?! – wypytywała potrącających ją ludzi – Ma dopiero dziesięć lat ! Dobry chłopiec ! Ma jasne włosy, jak jego ojciec !

Chwyliła przechodzącego kupca za rękaw. Rękaw uszyty z drogiego barwionego jedwabiu.

- Mój syn – zaczęła mówić. Ochroniarz kupca, mężczyzna w pancerzu osobistym koloru rdzy, odepchnął ją natychmiast. Odsunął płaszcz z ramienia kładąc ostrzegawczym gestem dłoń na kaburze pistoletu.

- Zabierz ręce, suko – jego wzmocniony przez wiszący przy ustach mikrofon głos brzmiał beznamyślnie.

- Mój syn – powtórzyła Livy próbując wydostać się z ludzkiej rzeki płynącej przez stację. Yoncy śmiał się w wózku, nieświadomy rozgrywających się wokół wydarzeń. Kobieta pochyliła się przed składanym daszkiem wózka szepcząc ciche matczyne słowa.

Była przerażona. Ludzie potrącali ją nieustannie, szarpali wózek, z całej siły musiała chronić go przed przewróceniem. Dlatego to musiało się jej wydarzyć właśnie dzisiaj ? Dlaczego właśnie tego jedynego dnia w miesiącu, kiedy jeździła na niższe poziomy Commercii po zakupy ? Gol potrzebował pary nowych rękawic, jego dłonie były tak obtarte do krwi po każdej zmianie w kopalni.

Tylko tyle potrzebowała. A teraz ten chaos ! I nawet nie kupiła tych przeklętych rękawic. Livy poczuła gorące łzy na swoich policzkach.

- Dalin ! – krzyknęła.

- Tutaj jestem, mamó – rozległ się ledwie słyszalny pośród ryku syren głos. Livy chwyciła swego dziesięcioletniego syna z furią, jakiej nigdy by u siebie nie podejrzewała.

- Znalazłam go przy zachodnim wyjściu – odezwał się inny głos. Livy spojrzała w górę nie wypuszczając syna z uścisku. Dziewczyna mogła mieć góra szesnaście lat, uznała. Dziwka z zewnętrznych habitatów, nosząca bransolety i kolczyki miejskiego gangu.

- Wszystko z nim w porządku.

Livy obejrzała szybko dziecko szukając wzrokiem śladów jakichkolwiek obrażeń.

- Tak, tak... Jest w porządku. Wszystko jest w porządku, prawda, Dalin ? Mama jest z tobą.

- Dziękuję – Livy spojrzała na dziewczynę – Dziękuję za...

- Nie ma za co.

Dziewczyna budziła w Livy wstręt. Te bransolety, tatuaże. Kolczyk w nosie. Znaki gangu.

- Tak. Jestem twoją dłużniczką. Teraz muszę iść. Podaj mi rękę, Dalin.

Nieznamoma zastawiła jej drogę, kiedy ukrywając strach próbowała obrócić w miejscu wózek.

- Dokąd chcesz iść ? – zapytała.

- Nie próbuj mnie zatrzymywać ! Mam w torbie nóż !

Dziewczyna cofnęła się z nieznacznym uśmiechem.

- Jestem pewna, że masz. Tylko pytałam. Perony są pełne, a schody wyjściowe trudno pokonać kobiecie z dziećmi i wózkiem.

- Och.

- Może pomogę ci przejechać wózkiem przez ten tłok ?

I zabrać moje dziecko... Zabrać mojego Yoncego do tych śmieci, które tak jak ty mieszkają w slumsach po drugiej stronie rzeki !

- Nie ! Dziękuję ci, ale... nie ! – syknęła Livy i odepchnęła dziewczynę wózkiem. Ciągnąc za sobą Dalina znikła pośród spanikowanego tłumu.

- Chciałam tylko pomóc – wymruczała Tona Criid.

* * *

Powierzchnia rzeki była ciemna i brudna, pełna ścieków spływających do Hassu z odpływów przemysłowej kanalizacji. Folik właśnie rzucił cumy swej płaskodennej barki Magnificat na północnym brzegu i zaczynał ośmiominutowy rejs w kierunku miejskiego portu. Stary diesel charczał i strzelał. Patrząc uważnie za burty Folik manewrował pomiędzy dryfującymi w wodzie odpadkami i śmieciami. Szare rzeczne ptaki kołowały nad stateczkiem. Na prawej burcie kamienne filary Wiaduktu Hass, wysokie na dwieście metrów, rzucały na powierzchnię wody długie chłodne cienie.

Te przekłete syreny ! Co się stało ?

Mincer stał na dziobie, wypatrując unoszących się w wodzie przeszkód. Machnął ostrzegawczo ręką i Folik zawrócił na sterburtę, omijając kłębowisko śmieci.

Folik spostrzegł tłum na nabrzeżu. Wielki tłum. Uśmiechnął się do siebie.

- Zrobimy na nich niezły interes – zawołał Mincer odwijając z bębna linę cumowniczą.

- Też tak myślę – wymruczał Folik – I mam nadzieję, że zdążymy te pieniądze wydać...

* * *

Merity Chass właśnie przymierzała wieczorową suknię w przebieralni domu mody, kiedy odezwały się pierwsze alarmowe klaksony. Zastygła w bezruchu patrząc na swą pobladałą twarz w ściennym lustrze. Klaksony były odległe, ledwie słyszalne w środku metropolii, wkrótce jednak dołączyły do nich lokalne syreny. Panny do towarzystwa wbiegły do westybulu pomagając arystokratce ubrać jej własne szaty.

- Podobno Zoica wszczęła wojnę ! – krzyknęła panna Francer.

- Jak za starych czasów, czasów Wojny Kupieckiej ! – dodała panna Wholt.

- Pobierałam nauki u najlepszych wykładowców metropolii, znam historię Wojny Kupieckiej. To był najkrwawszy i najkosztowniejszy konflikt w dziejach naszego miasta. Dlaczego tak drżycie ?

Panny wymieniły między sobą spojrzenia i cofnęły się kilka kroków.

- Żołnierze ! – jęknęła panna Wholt.

- Brutalni i głodni, przyjdą tutaj ! – wtrąciła panna Francer.

- Zamilczcie, obie ! – rozkazała Merity narzucając na ramiona muślinowy płaszcz. Założyła spinkę i sięgnęła po kartę kredytową leżącą na kredensie z różowego drewna. Chociaż karta była przede wszystkim narzędziem dającym dziewczynie nieograniczony dostęp do kont bankowych Domu Chass, wykonano ją w formie bogato zdobionego wachlarza z bucującym ledwie słyszalnie układem nawiewczym.

Panny do towarzystwa rozglądały się płochliwie wokół.

- Gdzie jest właściciel sklepu ?

- Ukrył się w następnym pokoju, pod swym biurkiem – odpowiedziała panna Francer.

- Mówiłam mu, żeby sprowadził dla nas transport, ale odmówił wyjścia – dodała panna Wholt.

- Zatem salon ten nie będzie już zaszczytany obecnością członków Wysokiego Domu Chass. Same sobie znajdziemy środek transportu – oświadczyła Merity i z podniesioną dumnie głową ruszyła po grubym puszystym dywanie w kierunku wyjścia ze sklepu. Ciężkie draperie odsunęły się automatycznie przed arystokratką, kiedy wychodziła na pachnącą eterycznymi olejkami Promenadę.

* * *

Gol Kolea odłożył swój oskard na ziemię i wyłączył przymocowaną do kasku lampę. Jego podrapane ręce ociekały krwią. Powietrze było gęste od węglowego pyłu, przywodzącego na myśl sadzę. Gol pociągnął tyk elektrolitu i zaczął butelkę z powrotem o kołnierz kombinezону.

- Co to za dźwięk? – zapytał Truga Vereasa.

- Brzmi jak alarm, gdzieś na górze – wzruszył ramionami Trug. Górnicy z Kopalni Głębinowej Nr 17 pracowali daleko pod powierzchnią dystryktu wydobywczego: zespół Gola znajdował się sześćset metrów pod ziemią.

Inna grupa górników przeszła obok, patrząc z niepokojem na skalny sufit i rozmawiając ze sobą półgłosem.

- Jakies ćwiczenia?

- Na pewno – odparł Trug. Odskoczyli pod ścianę tunelu, kiedy tuż obok przejechał sznur wagoników wiozących urobek z przodka. Opodał zaczął miarowo terkotać świder.

- W porządku – Gol podniósł swoje narzędzie, ale nadal stał w miejscu – Martwię się o Livy.

- Nic jej nie będzie. Uwierz mi. A my mamy normę do wyrobienia.

Gol chwycił oskard i wrócił do pracy. Miał skrytą nadzieję, że uderzenia narzędzia zagłuszą odległy jęk syren.

* * *

Kapitan Ban Daur przystanął, by zapiąć dwa rzędy guzików munduru i poprawić pas. Starał się zachować spokój. Jako oficer garnizonu powinien być informowany o planowanych ćwiczeniach albo przynajmniej nieformalnie ostrzeżony przed próbnym alarmem. Te syreny wieściły realne niebezpieczeństwo, czuł to przez skórę.

Założył skórzane rękawiczki i spiczasty hełm, po czym wyszedł z kwatery. Korytarze fortu Hass West pełne były rozgorączkowanych ludzi. Wszyscy mieli na sobie niebieskie mundury i spiczaste hełmy Vervun Primary, garnizonu metropolii. Na blankach Muru i w jego fortach stacjonowało pięćset tysięcy żołnierzy, dalsze siedemdziesiąt tysięcy rezerwistów i członków brygady pancernej znajdowało się w metropolii. Miejski garnizon miał chlubną historię i wykazał się w trakcie Wojny Kupieckiej, od czasu której stał się oficjalną formacją wojskową Vervunhive. Kiedy nadeszły rozkazy poboru do Imperialnej Gwardii, Vervunhive wystawiło rekrutów spośród swej czterdziestobilionowej populacji. Żołnierze Vervun Primary nigdy nie stanęli w obliczu groźby transferu na linię frontu. Służba w metropolitalnym garnizonie była ścieżką do społecznej kariery, ale chociaż poprzednicy obecnych żołnierzy walczyli dzielnie w imię miasta, żaden z obecnie zajmujących pozycje na Murze ludzi nie przeszedł bitewnego chrztu.

Daur wyrzucił z siebie kilka ostrych komend mających opanować zamieszanie w korytarzu. Był młodym oficerem, zaledwie dwudziestotrzyletnim, ale był wysoki i postawny, pochodził z dobrej rodziny i cieszył się sympatią swoich podwładnych. Widząc jego opanowanie żołnierze uspokoiли się nieco, on sam jednak nie potrafił pozbyć się niepokoju.

- Alarm dla stanowisk bojowych – oświadczył – Ty tam ! Gdzie twój karabin ?!
- Wybiegłem, kiedy usłyszałem... – żołnierz pokręcił zmieszany głową – Zapomniałem go...
sir...

- Wracaj po niego, głupcze ! Trzy dni służby karnej, kiedy już będzie po wszystkim !
Żołnierz odbiegł pośpiesznie.

- Teraz słuchać ! – wrzasnął Daur – Udowodnijcie, że jesteście dobrze wyszkoleni. Każdy z was wie, gdzie jest jego miejsce i jakie ma obowiązki, więc do roboty. W imię boskiego Imperatora i naszej ukochanej metropolii !

Popędził krętymi schodami na Mur, w biegu wyciągając z kabury automatyczny pistolet, by sprawdzić magazynek. W połowie drogi do windy natrafił na kaprała Bendace, trzymającego w dłoni elektroniczny notes i drapiącego się po wątlym wąsiku.

- Kazałem ci to zgolić – warknął Daur sięgając po notes.
- Myślałem, że jest... pociągający – odparł Bendace. Daur zignorował go czytając w marszu rozkazy. Przy elewatorze windy stał inny kaprał, rozdający wsiadającym do kabiny żołnierzom automatyczne karabinki.

- Zatem ? – zapytał Bendace, kiedy winda ruszyła w górę, ku rampie Muru.
- Słyszałeś dotychczasowe plotki ? O Zoice szykującej się do kolejnej Wojny Kupieckiej ?
- Rozkazy to potwierdzają ?

Daur rzucił notes w wyciągnięte ręce kaprała.
- Nie. Nic nie mówią. To tylko polecenie zajęcia stanowisk sygnowane przez sztab. Wszystkie pododdziały mają obsadzić Mur zgodnie z procedurą gamma sigma. Podnieść platformy broni ciężkiej na blankach i w fortach.

- Tak kazali ?
- Nie, sam to sobie wymyśliłem. Oczywiście, że kazali. Wysunąć platformy, ale ich nie uzbrajać, dopóki nie przyjdą stosowne rozkazy ze Domu Dowódczego.
- To brzydko, prawda ?
- Zdefiniuj pojęcie „brzydko”.
- Ja... – zawahał się Bendace.
- Brzydka to jest twoja nieogolona gęba. Nie mam pojęcia, o co tutaj chodzi.

Wyskoczyli z kabiny windy na dach fortu. Ludzie z obsady artyleryjskiej właśnie wyciągali z silosów trzy działa przeciwlotnicze, hydrauliczne podnośniki zgrzytały donośnie pchając w górę platformy strzeleckie. Przy windzie zaopatrzeniowej stały już pierwsze wózki z amunicją. Żołnierze zajmowali pozycje na blankach, krzyki i komendy rozbrzmiewały wszędzie wokół.

Daur wszedł na szeroki parapet i rozejrzał się wokół. Za jego plecami w mroczne, zasnutę fabrycznymi wyziewami niebo wznosił się olbrzymi kształt kompleksu Main Spine, przypominający granitową górę połyskującą milionami świateł. Po prawej stronie błyszczała migotliwie powierzchnia rzeki Hass, obramowana ciemnymi bryłami doków i zewnętrznych habitatów czerniejących na drugim brzegu. Przecinający fort Mur zakręcał po lewej łagodnym łukiem biegnąc w kierunku odległych kominów hutniczych i gigantycznej hałdy żużlu piętrzącej się dwadzieścia pięć kilometrów dalej. Na południu kapitan widział robotnicze habitaty, wielkie koła obracające się na szczytach szybów kopalnianych i wiadukty kolejki magnetycznej. Poza przedmieściami metropolii rozciągała się sawanna, monotonne morze zieleni sięgające po horyzont. Widoczność nie była najlepsza, ograniczał ją smog. Daur podszedł do ustawionej na trójnogu lornety, spojrzął w okular, obrócił pokręta. Nic. Bładozielona pustka.

Zeskoczył z parapetu i rozejrzał się po rampach. Jedno z przeciwlotniczych dział wyjechało tylko do połowy i klnący wściekle żołnierze uwijali się przy nim próbując odblokować podnośniki. Wszyscy inni byli już na swoich stanowiskach.

Kapitan sięgnął po słuchawkę modułu łączności trzymanego przez jednego z żołnierzy.

- Daur do wszystkich sekcji Hass West. Zgłosić gotowość lub jej brak.

Młodszy rangą oficerowie meldowali się w określonej protokołem kolejności. Daur poczuł dumę. Jego podwładni wykonali założenia procedury gamma sigma w niecałe dwanaście minut. Fort i zachodnie blanki Muru błyszczały lufami gotowych do strzału broni.

Rozejrzał się ponownie. Oporna platforma przeciwlotnicza wjechała wreszcie na swoje miejsce. Jej załoga uczciła swój sukces głośnymi gwizdami, po czym podpięła do działa wózek amunicyjny. Daur zmienił kanał w komunikatorze.

- Daur, Hass West, do Domu Dowódczego. Zajęliśmy stanowiska. Oczekujemy dalszych rozkazów.

* * *

Na szerokiej Alei Marszałków, tuż za Bramą Heironymo Sondara, powietrze drgało w rytm huku trzystu czołgowych silników. Ciężkie Leman Russy w niebieskich barwach Vervun Primary stały w rzędach na całej długości ulicy lub manewrowały ostrożnie pomiędzy budynkami mieszkalnymi południowej dzielnicy.

Generał Vegolain, dowódca 1 Brygady Pancерnej, zeskoczył z wieżyczki swojego czołgu, zdjął skórzany hełmofon i ruszył na spotkanie nadjeżdżającego komisarza. Zasalutował, stukając obcasami butów.

- Komisarzu Kowle !

- Generale – oddał salut Kowle. Wysiadł przed chwilą ze swojej czarnej limuzyny, która odjeżdżała właśnie eskortowana przez motocyklistów. Towarzyszyli mu dwaj inni komisarze: Langana i kadet Fosker.

Kowle był wysokim, szczupłym mężczyzną sprawiającym wrażenie urodzonego do noszenia czapki i munduru komisarza. Jego skóra była ziemista i naprężona, świdrujące oczy budziły niepokój. W przeciwieństwie do Langany i Foskera, Kowle pochodził spoza planety. Był liniowym komisarzem Imperialnej Gwardii, skierowanym do garnizonu Vervunhive w ramach administracyjnych przetasowań. Nie lubił tego stanowiska. Jego obiecująca kariera w Piątym Regimencie IG Fadayhinu została przerwana

kilka lat temu, po czym wbrew woli samego oficera przeniesiono go do poniżającej służby w tej zabawkowej armii. Teraz nareszcie dojrzał szansę zdobycia chwały zdolnej ponownie uprawić w ruch jego karierę.

Langana i Fosker byli mieszkańcami metropolii pochodzącymi z arystokratycznych rodzin. Ich uniformy różniły się od munduru Kowle'a. W miejscu naszywek z dwugłowym imperialnym orłem nosili emblemat kilofa, symbol VPHC – Vervun Primary Hive Commissariat – formacji porządkowej lokalnego garnizonu. Pogłoski mówiły, że VPHC tworzyło sekretną organizację policyjną działającą poza jurysdykcją Administratum, dbającą w pierwszym rzędzie o interesy Domów rządzących.

- Otrzymaliśmy rozkazy, komisarzu ?

Kowle zmarszczył nos i pokiwał głową. Podał Vegolainowi elektroniczny notes.

- Mamy wyruszyć w sile pełnej brygady na sawannę. Nie otrzymałem jeszcze uzasadnienia tego manewru.

- Przypuszczam, że to Zoicanie, komisarzu. Chcą napaść na nas ponownie i

- Jest pan zorientowany w kwestiach polityki zewnętrznej Zoicy ? – wycedził Kowle.

- Nie, komi

- Uważa pan, że plotki i hipotezy są narzędziem sprawowania kontroli ?

- Nie, ja

- Dopóki nie otrzymamy informacji, że to Zoica, nikogo nie podejrzewamy. Czy to jasne ?

- Komisarzu. Czy... czy będzie nam pan towarzyszył ?

Kowle nie odpowiedział. Przeszedł obok Vegolaina i wspiął się na burtę Leman Russa generała.

Trzy minuty później Brama Sondara otworzyła się z przeraźliwym jękiem hydraulicznych kompresorów i pancerna kolumna ruszyła na południe jadąc trójkami w kierunku sawanny.

* * *

- Kto ogłosił ten alarm ? – pytanie padło z trzech ust jednocześnie, głuche, mechaniczne, pozbawione emocji.

Marszałek Gnide, naczelny dowódca garnizonu Vervunhive, zastanawiał się przez chwilę. Nie wiedział, której twarzy odpowiedzieć.

- Kto ? – powtórzyły głosy.

Gnide stał w jasno oświetlonej cieplej sali audiencyjnej Domu Sondar, wysoko na szczycie Main Spine. Żałował, że przed wejściem nie zdjął swojego długiego niebieskiego płaszcza. Oficerska czapka była ciężka i drapała go krańcem daszka w czoło.

- Było to konieczne, Czcigodny.

Trzej serwitorki, podwieszeni do prowadnic krzyżujących się na suficie komnaty, krążyli wokół marszałka. Jeden z nich był wysokim wątłym chłopcem o chorobliwie bladej skórze. Towarzyszyła mu zmysłowa dziewczyna, naga i pokryta złotymi runami. Trzeci serwitorki posiadał postać pulchnego cherubina z zabawkową harfą w dłoniach, o małych skrzydełkach wyrastających z pleców. Wszyscy poruszali się chwiejnie na swych kablach, patrząc w dal pozbawionymi wyrazu oczami. Serwomechanizmy zabuczały i dziewczyna podjechała do marszałka ciągnąc bose stopy po gładkiej podłodze.

- Jesteś moim lojalnym marszałkiem ? – zapytała tym samym beznamiętnym, monotonnym głosem, który nie należał do niej. Gnide zignorował istotę i popatrzył ponad jej ramieniem w stronę ornamentowanego żelaznego zbiornika, stojącego w odległym rogu sali audiencyjnej. Metalowe ściany zbiornika były ciemne, pokryte cienką warstwą rdzy i patyny. Pojedyncze okrągłe okienko wyglądało niczym oko chorego na kataraktę cyklopa.

- Wiesz, że jestem, Czcigodny.

- Skąd zatem ta niesubordynacja ? – zapytał młodzieniec potrząsając zatrofizowanymi rękami i krążąc wokół marszałka.

- To nie jest niesubordynacja, tylko powinność wobec obowiązków, Czcigodny. I nie będę rozmawiał z tymi żywymi manekinami. Proszę o osobistą audiencję u Salvadore Sondara, pana Domu Sondar.

Cherubin podskakiwał tuż przed Gnide. Podskórne stymulatory mięśni wykrzywiły mu twarz w uśmiechu, który nie znajdował żadnego odzwierciedlenia w martwych szklistych oczach.

- One są mną, a ja jestem nimi ! Będziesz się do mnie zwracał przez nie !

Gnide odepchnął cherubina na bok i zadrzał z wstrętem na wspomnienie dotyku bladej skóry ciała. Podszedł do żelaznego zbiornika i pochylił się nad szklanym okienkiem.

- Zoica ruszyła przeciwko nam, Czcigodny ! Rozpoczęła się nowa Wojna Kupiecka !

Orbitalne zdjęcia potwierdzają wszystkie nasze podejrzenia.

- Nie istnieje taka nazwa jak Zoica – odezwała się stojąca za plecami marszałka dziewczyna – Użyj prawidłowej nazwy !

- Metropolia przemysłowa Ferrozoica – westchnął Gnide.

- Nareszcie odrobina szacunku – powiedział cherubin – Nasi dawni wrogowie, a teraz najcenniejsi partnerzy handlowi. Są naszymi braćmi, wiernymi współpracownikami. Nie podniesiemy na nich broni.

- Z całym szacunkiem, sir ! – syknął Gnide – Zoica zawsze była naszym wrogiem, naszym rywalem. W tym stuleciu omal nas nie zniszczyła całkowicie.

- To wydarzyło się przed objęciem władzy przez Dom Sondar. Vervunhive jest najpotężniejszym spośród miast, teraz i na zawsze – oświadczył młodzieniec, na jego ustach pojawiły się ślady śliny.

- Wszyscy obywatele Vervunhive wiedzą, że Dom Sondar poprowadził nas ku dominacji. Jednakże Legislatura zdecydowała o przygotowaniu się do potencjalnej wojny. Stąd ten alarm.

- Bez mojego pozwolenia ? – wyszczała dziewczyna.

- Zgodnie z protokołem wysłaliśmy wiadomość. Nie otrzymaliśmy odpowiedzi. Mandat 347gf, ustanowiony przez twego poprzednika Heironymo, daje nam stosowne upoważnienie.

- Chcesz posłużyć się starymi prawami, by mnie obalić ?! – zapytał cherub próbując zbliżyć się do Gnide i spojrzeć marszałkowi w twarz swymi martwymi oczami.

- To nie uzurpacja, Czciogodny. Vervunhive znajduje się w niebezpieczeństwie. Spójrz ! – Gnide zrobił krok do przodu i przycisnął wyświetlacz elektronicznego notesu do szyby okienka.

- Zobacz, co przekazało nam rozpoznanie satelitarne. Miesiące milczenia ze strony Zoicy, dowody przygotowań do wojny ! Plotki, pogłoski – dlaczego nie powiemy sobie wprost, że to prawda ?! Dlaczego te dane dotarły do nas tak późno ? Nie wiedziałeś ? Ty, wszystkowiedzący, wszystkowiedzący Czciogodny ? A może po prostu nie chciałeś nam powiedzieć ?

Marionetki zaczęły miotać się i posykiwać, napierać na marszałka. Odepchnął je zdecydowanym ruchem.

- Jestem w ciągłym kontakcie z moim odpowiednikiem w metropolii przemysłowej Ferrozoica. Staliśmy się przyjaciółmi. Jego wysokość Clatch z Domu Clatch jest mym drogim współpracownikiem. Nie zawiedzie mnie. Odbudowa umocnień wokół Ferrozoicy związana była z imperialną Krucją. Marszałek wojny Slaydo wszedł ze swymi armiami do naszego sektora, plugawy wróg stawiał mu opór. To była zwykła ostrożność.

- Slaydo nie żyje, Czciogodny. Od pięciu lat leży martwy na Balhaucie. Macaroth jest teraz dowodzącym Krucją. Armie Gwardii przeszły przez Światy Sabbata oczyszczając je z pomiotu Chaosu. Modlimy się dziennie w podzięce za to, że nasz ukochany Verghast nie ucierpiał w tej wojnie.

- Slaydo nie żyje ? – zapytały jednocześnie trzy głosy.

- Tak, Czciogodny. A teraz z całym szacunkiem proszę o rozpoczęcie próbnego uruchomienia Tarczy. Jeśli Zoica planuje nas najechać, musimy być gotowi.

- Nie ! Obrażasz mnie ! Tarcza nie zostanie uruchomiona bez mojego pozwolenia ! Zoica nie stanowi dla nas zagrożenia ! Clatch jest naszym przyjacielem ! Slaydo żyje !

Trzy głosy złąły się w jeden, dygoczący od z trudem tłumionej furii i wściekłości.

- Nigdy nie potraktowałbyś Heironymo z takim lekceważeniem i brakiem respektu !

- Twój brat nie chował się w kriogenicznej komorze ani nie rozmawiał przez martwe marionetki... Czciogodny.

- Zabraniam !

Gnide wyjął z kieszeni elektroniczną kartę.

- Legislatura oczekiwała takiej odpowiedzi. Posiadam upoważnienie szlacheckich Domów Vervunhive do odebrania ci posiadanej władzy, w myśl Aktu Detronizacji, 45 artykuł kodeksu konstytucyjnego. Legislatura nie podważa twego zaangażowania w sprawowanie kontroli nad metropolią, ale domaga się podjęcia radykalnych działań – Gnide odepchnął ponownie serwitów i podszedł do metalowej konsoli wbudowanej w jedną ze ścian. Przyłożył palec do trzymanej w ręce karty i jej powierzchnia zapaliła się blaskiem miniaturowych diod. Marszałek wsunął kartę w czytnik na konsoli i przekręcił.

Na przezroczystej tablicy konsoli pojawiły się pulsujące jaskrawo znaki runiczne i ciągi symboli.

- Nie ! – wrzasnęły zgodnie trzy głosy – To niesubordynacja ! Ja jestem Vervunhive ! Ja jestem Vervunhive !

- Zostałeś zdetronizowany dla dobra metropolii – odparł Gnide. Naciskał kolejne klawisze uruchamiając potężne generatory mocy ukryte pod miastem. Zaczął wprowadzać sekwencję odpowiedzialną za włączenie głównego pylonu Tarczy.

Cherub skoczył na niego. Marszałek zamachnął się i odrzucił serwitora, jego grube kończyny zaplątały się w zwisające z przewodnic kable i przewody. Gnide wstukał ostatnią sekwencję i sięgnął po dźwignię aktywującą pole siłowe Tarczy.

Jęknął zniechęcony i cofnął się krok do tyłu próbując sięgnąć rękami za plecy. Dziewczyna odsunęła się szybko unosząc trzymany w dłoni długi nóż. Jego ostrze pokryte było krwią.

Gnide próbował dotknąć głębokiej rany. Nogi ugięły się pod nim i upadł. Dziewczyna zbliżyła się ponownie i przeciągnęła nożem po gardle marszałka. Mężczyzna znieruchomiał z twarzą przyciśniętą do podłogi, a dywan szybko nasiąkał jego krwią.

- Ja jestem Vervunhive – oświadczyła dziewczyna. Cherub i młodzieniec powtórzyli jej słowa, głucho i beznamiętnie.

Wewnątrz metalowego zbiornika, skąpany w wodach płodowych i dryfujący swobodnie, podłączony do systemów podtrzymywania życia, Salvator Sondar, władca Vervunhive... marzył.

* * *

Trawy sawanny płonęły. Na całej długości wzniesienia czołgi Vervun Primary stawały w ogniu rozrzucając wokół kawałki metalu. Powietrze było gęste od gryzącego dymu.

Komisarz Kowle ześlizgnął się po burcie czołgu umykając płomieniom, które pochłonęły krzyczącego przeraźliwie generała Vegolaina i jego załogę. Płaszcz oficera palił się. Odpiął go i odrzucił. Wrogie pociski świstały w czarnym od dymu powietrzu. Vervuński czołg sto metrów dalej eksplodował siejąc metalowymi szrapnelami we wszystkich kierunkach. Jeden z nich trafił komisarza w brzuch, przewrócił go na ziemię.

Kowle stanął chwiejnie na nogach. Czołgiści gramolili się z płonących maszyn, kombinezony niektórych paliły się, inni próbowali je gasić. Jeszcze inni uciekali. Kowle ruszył wzdłuż szeregu zniszczonych pojazdów wciągając do płuc ciężki zapach spalonej trawy. Wyjął z kabury pistolet.

- Gdzie twoja odwaga ? – zapytał spanikowanego działonowego, po czym strzelił mu w głowę.

- Gdzie wasza siła ? – wykrzyczał do dwóch uciekających grzbietem wzgórze ładowniczych i zastrzelił ich obu.

Wycelował w czoło krzyczącego z bólu, ciężko poparzonego dowódcę czołgu i wypalił mu wiązką lasera mózg.

- Gdzie twoja powinność wobec rozkazów ?

Odrzucił się w miejscu i wymierzył lufę w grupkę żołnierzy biegnących w jego kierunku od innego płonącego czołgu.

- Cóż to ? – zapytał – Co chcecie zrobić ? To jest wojna. Macie zamiar uciekać ?

Nie odpowiedzieli. Przestrzelił jednemu z nich głowę, aby pozostali wiedzieli, że nie żartuje.

- Zawracajcie ! Stawcie czoła wrogowi !

Zdjęci grozą popędzili w kierunku pozycji wroga. Wybuch czołgowego pocisku rozerwał ich na strzępy sekundę później.

Rakietowa salwa spadła z nieba niczym deszcz meteorytów niszcząc kolejne dwadzieścia vervuńskich Leman Russów. Eksplozje były ogłuszające, ich podmuch rzucił Kowle'a płasko na brzuch.

Kiedy podnosił się z ziemi, usłyszał metaliczny szczęk. W dole wzniesienia spostrzegł czołgi i samobieżne haubice w barwach ochry, toczące się w jego kierunku.

Tysiąc albo i więcej.

* * *

Tuż przed zapadnięciem zmierzchu, pół godziny po tym, jak umilkły klaksony, z nieba spadły pierwsze pociski, wystrzelone przez dalekosiężną artylerię ukrytą za linią horyzontu.

Dwa runęły na zewnętrzne habitaty mieszkalne, obracając w płonące gruzowisko mieszkania robotników.

Sześć kolejnych wbiło się w Mur.

W forcie Hass West kapitan Daur krzyczał na swoich ludzi każąc podnosić lufy dział. Cel... dajcie mi namiary na cel... modlił się przez zaciśnięte zęby.

Okopana na sawannie zoicańska artyleria znalazła prawidłowe koordynaty ostrzału i pociski zaczęły spadać na samą metropolię. Gigantyczna salwa trafiła w terminal kolejowy przy Bramie Veyveyr przeistaczając go w ogniste piekło. Kolejne pociski rozerwały się w koszarach garnizonu unicestwiając blisko tysiąc czekających na rozkazy żołnierzy.

Salwa ciężkiej artylerii przestębnowała północne habitaty wzdłuż linii nadbrzeża. Betonowe bryły i szczątki metalowych instalacji posypały się do wody, deszcz płonących odłamków spadł na pokład przeladowanej barki Folika. Mężczyzna zakręcił wściekle kołem sterowym wołając Mincera. Kolejny pocisk wyrzucił w powietrze słup wody przemaczając krzyczących coś niezrozumiale pasażerów. Barka tańczyła szaleńczo na spienionej powierzchni wody.

Dwa pociski spadły do rzeki za rufą Magnificent, a ich eksplozje zatopiły momentalnie płynącą w stronę drugiego brzegu barkę Inscrutable. Plamy wybuchów.

ropy paliły się na powierzchni pełnej szczątków wody.

Folik skręcił w kierunku środka rzeki. Mincer wołał coś do niego, ale jego głos przepadł pośród grzmotu wybuchów.

* * *

Długa seria przeorała dystrykt wydobywczy przewracając masywne wieże kopalniane.

Głęboko pod ziemią Gol Kolea próbował uwolnić Truga Vereasa spod lawiny skalnych odłamków, które spadały głównym szybem Kopalni nr 17. Wszędzie wokół słychać było krzyki rannych i umierających górników.

Trug nie żył, kamienie zmiążdżyły mu czaszkę.

Gol zerwał się na nogi z dłońmi wysmarowanymi krwią przyjaciela. W szybie zajęczały przeciągle zrywane kable i klatka windy runęła na dno korytarza ciągnąc za sobą metalowe dźwigary.

- Livy ! – wrzasnął patrząc w czerń pionowego tunelu – Livy !

* * *

Vor zginął sekundę po tym, jak pierwszy pocisk przebił dach huty Vervun Jeden. Agun Soric upadł płasko na podłogę, a wtedy jeden z latających w powietrzu kawałków rudy pozbawił go na zawsze lewego oka.

Krew ciekła z licznych zadrapań na twarzy dyrektora. Kiedy podniósł się na nogi, eksplodował główny generator elektryczny. Ułamany fragment metalowej obudowy przeleciał przez halę z niesamowitą szybkością, ściął głowę wrzeszczącego robotnika i wbił się w udo Sorica. Dyrektor krzyczał z bólu, ale jego głos przepadł wśród ponownego śpiewu alarmowych syren.

* * *

Livy Kolea zobaczyła jak przeszklony dach stacji rozpada się na kawałki i skoczyła do przodu, by zasłonić swym ciałem dzieci.

Ostre jak brzytwa odłamki szkła pocięły ją na strzępy, ją i sześćdziesiąt innych oczekujących na pociąg osób. Fala rozgrzanego powietrza zabiła chwilę później rannych. Dalin stał za jednym z filarów podpierających dach i jakimś cudem nie został nawet draśnięty. Przebiegł po zasypanej szkłem podłodze wołając matkę.

Kiedy znalazł jej ciało, zmarł w bezruchu, zbyt zszokowany, by wydać z siebie choć słowo.

Tona Criid objęła go i przytuliła mocno.

- Już dobrze, dzieciaku, już dobrze – spojrzała do wnętrza przewróconego wózka i zobaczyła zdrową uśmiechniętą twarz niemowlęcia. Biorąc dziecko na ręce pociągnęła chłopca w kierunku wyjścia.

Byli jakieś dwadzieścia metrów od południowych drzwi, kiedy następne pociski zrównały z ziemią stację kolejki C4/a.

* * *

Menx i Troot prowadzili kupca Worlina poprzez chaos panujący na ulicach Commercii. Ciąg marketów po lewej stronie stał w ogniu i gęsty dym wypełniał deptaki. Najbliższą stacją obsługującą połączenia do Main Spine była C4/a, ale już z daleka widać było wielki słup dymu wzbijający się w niebo gdzieś w jej pobliżu. Menx zmienił kierunek marszu i poprzez opuszczony dom handlowy Gildii Fayk poprowadził mocodawcę w kierunku stacji C7/d.

Worlin wył z wściekłości przez całą drogę do terminalu kolejki. Ochroniarze sądzili, że przyczyną tego zachowania jest strach o życie, Worlin jednak szalał z zupełnie innego powodu. Gildia Worlin nie miała żadnych udziałów w przemyśle zbrojeniowym, farmaceutycznym ani żywnościowym. Rozpoczęła się wojna, która nie dawała Gildii żadnych źródeł zysku.

Weszli na stację zastając puste perony. Na rampach leżały jakieś porzucone bagaże, podarte gazety i papierowe torby. Tablica informująca o odjazdach nie działała.

- Chcę wrócić do Main Spine, natychmiast ! – wycodził przez zaciśnięte zęby Worlin – Chcę być w domu rodziny !

Troot spojrzał w głąb tunelu kolejki i wskoczył z powrotem na peron.

- Widzę światła, sir. Nadjeżdża pociąg.

Niewielki skład pasażerski wpadł na stację i zahamował automatycznie. Obydwa wagoniki były wypchane po brzegi mieszkańcami średnich i dolnych poziomów metropolii.

- Wpuśćcie mnie ! – wrzasnął Worlin szarpiąc za najbliższą klamkę drzwi. Przestraszone milczące twarze zwróciły się w jego kierunku.

Gdzieś na terenie Commercii rozerwały się kolejne pociski. Worlin wyszarpnął spod płaszcza igłowy pistolet i zaczął strzelać przez szklane drzwi do środka wagonika. Pasażerowie, uwięzieni w przedziale niczym szczury w klatce, umierali krzycząc przeraźliwie.

Po chwili zaskoczenia ochroniarze dołączyli do Worlina zabijając ponad aaa

dwadzieścia osób strzałami ze swoich automatycznych pistoletów. Reszta pasażerów opuściła pociąg umykając w panice. Odrzucając na boki ciała ochroniarze wciągnęli kupca do wagonika w chwili, gdy elektroniczny czujnik odliczył czas postoju i skład ponownie ruszył w drogę. Postukując metalicznie wagoniki zaczęły piąć się w kierunku Main Spine.

- Domie Sondar, ocal nas od złego – syczał Worlin siedząc na foteliku i poprawiając swoje ubranie. Menx i Troot stali przy nim ze zmarszczonymi, pełnymi niepokoju twarzami.

Worlin spojrzął za okno wagonika, ale zdawał się nie zauważać słupów dymu ani kul ognia wykwitających pośród ciasnej zabudowy metropolii daleko w dole – podobnie jak nie zauważał kałuż krwi wokół swoich stóp.

* * *

Grad ciężkich pocisków i rakiet dalekiego zasięgu uderzył w południowe ściany Main Spine. Pomimo grubej skorupy z adamantium i ceramitu niektóre głowice zdołały przebić pancerz luksusowego kompleksu. Wielki sklep ze szkłem na Środkowej Promenadzie otrzymał bezpośrednie trafienie i wyleciał w powietrze rozsiewając na wszystkie strony kawałki kryształów i ceramitu. Pięćdziesięciu dostojnych klientów oraz członków ich służby zostało poszatkowanych lub spłonęło żywcem.

Kilka metrów od sklepu, osłonięta przed falą uderzeniową dzięki metalowym filarom Promenady, Merity Chass ciągnęła za sobą dwie zapłakane panny do towarzystwa.

- To się nie wydarzyło – powtarzała sobie nieustannie – To się wcale nie wydarzyło.

* * *

Ogniste rozbłyski zaczęły punktować Mur w okolicach fortu Hass West. Stanowisko artylerii przeciwlotniczej, które z takim trudem wyciągnięto z silosu zostało zniszczone, a eksplozja zasobników amunicyjnych urwała kawał parapetu.

Kapitan Daur przesuwiał lufy swych dział szukając celu, sawanna była jednak pusta. Nękała ich dalekosiężna artyleria wroga, pozostająca poza zasięgiem uzbrojenia fortu.

Ale oni nawet nie mieli autoryzacji do otwarcia ognia !

- Kapitan Daur do marszałka Gnide ! Proszę o pozwolenie na załadowanie dział ! Dajcie nam rozkazy ! Marszałku, błagam !

* * *

W głębokiej ciszy wypełniającej salę audiencyjną Domu Sondar bezwolne marionetki ciągnęły po podłodze ciało marszałka Gnide. Zdesperowany głos Daura i setek innych oficerów stacjonujących na Murze wylewał się potokiem z zawieszzonego przy ustach marszałka komunikatora.

* * *

Trzy pociski trafiły fort Hass West jeden po drugim. Pierwszy wysadził w powietrze magazyn amunicji dla baterii przeciwlotniczych. Drugi unicestwił kaprała Bendace i szesnastu towarzyszących mu żołnierzy. Trzeci pośród lawiny kompozytu, pyłu i ognia zarwał wielki fragment blanków. Kapitan Daur poczuł, że spada w dół. Nie doczekał się od Domu Dowódczego pozwolenia na uzbrojenie swoich baterii.

* * *

Ukryty w żelaznym zbiorniku Salvador Sondar, władca Vervunhive, unosił się w wodzie i marzył. Czuł ogromną satysfakcję z władzy, jaką miał nad tym głupcem Gnide. Do jego rozkojarzonego umysłu zaczęły docierać sygnały przypominające ból, nadchodzące różnymi kanałami informacyjnymi. Poruszył się w ciepłych wodach płodowych i zaczął przeglądać pasma komunikacyjne Legislatury i gildii. Metropolia... została zaatakowana.

Powtórzył procedurę weryfikacyjną, by zyskać pewność, iż się nie myli, nadal jednak nie potrafił zaakceptować otrzymanych danych. Vervunhive było atakowane. To nie mogło się wydarzyć.

Potrzebował czasu do namysłu.

Ospale uruchomił generatory Tarczy.

II – Fala koloru ochry

„Jeden człowiek czy też jeden milion, nieprzyjaciel Imperium musi być traktowany z jednakową uwagą i zostać ukarany z pełną surowością”

– komisarz Pius Kowle, fragment publicznego wystąpienia

Zmierzch zapadł szybko pierwszego dnia wojny. Ciemniejące z każdą minutą niebo było zasnute dymem wznoszącym się z metropolii i jej zewnętrznych dzielnic. Daleko na południu nad sawanną dostrzec można było wielkie popielate chmury, ale przysłaniały je kłęby smolistego dymu unoszące się nad dystryktem górniczym. Inne kłęby dymu, połączone z rozbłyskami eksplodujących raz po raz zbiorników ropy, snuły się nad rzeką Hass znacząc miejsca, gdzie artyleryjskie pociski spadły na doki i północne magazyny portowe.

Bombardowanie trwało pomimo włączonej Tarczy. Gigantyczna kopuła pola siłowego rozciągnęła się ponad głównym pylonem i szybko dotarła do stacji przekaźnikowych na Murze. Tysiące pocisków i rakiet wybuchowało w każdej minucie na jej powierzchni wywołując zawirowania energii i wprawiając powłokę w drgania, przez co przypominała ona zieloną żelatynę. Dla obserwatorów stojących pod Tarczą szmaragdowe niebo iskrzyło się tysiącami jaskrawych rozbłysków.

Ludzie zajmujący pozycje na południowych blankach Muru, w większości żołnierze Vervun Primary, użyli lornet i magnokularów do skontrolowania otoczenia i poprzez zasłonę dymu unoszącą się nad podmiejskimi dzielnicami dostrzegli na horyzoncie ścianę ognia o szerokości prawie siedemnastu kilometrów. Dym wzbijający się ponad płonąca sawannę – szaro popielaty, choć miejscami kruczoczarny – rozciągał się na południowym niebie. Jaskrawe krótkie rozbłyski światła świadczyły o zacieklej bitwie pancernej toczonej tuż poza zasięgiem wzroku obserwatorów. Od dwóch godzin nie otrzymano żadnej wiadomości radiowej od generała Vegolaina.

Chociaż Tarcza osłoniła metropolię, habitaty robotnicze, zakłady przemysłowe i dystrykt górniczy nadal znajdowały się pod ostrzałem. Pozbawione ochrony, były sukcesywnie obracane w perzynę przez ciężkie działa, moździerzce obłężnicze i baterie raketowe. Kiedy słoneczne światło znikło, południowe peryferia miasta były już morzem ruin, płonącym w tysiącach miejsc i ciągle niszczonego. Ludzie stojący na Murze mogli gołym okiem obserwować, jak fale uderzeniowe kolejnych wybuchów podsycają pożary.

Populacja zewnętrznych dzielnic liczyła dziewięć milionów osób. Dalsze sześć milionów robotników mieszkało w metropolii, ale dziennie dojeżdżało do pracy w kopalniach i hutach na zewnątrz Muru. Ludzie ci nie mieli możliwości ucieczki. Niektórzy próbowali chować się w podziemiach fabryk, silosach i magazynach, po czym umierali tam pogrzebani pod

gruzami. Pociski penetrujące rozsadziły część podziemnych schronów, inne zawaliły się pod wpływem drgań.

W południowych habitatach znajdowało się kilka głębokich, specjalnie wzmocnionych schronów przeciwlotniczych, przeznaczonych dla lokalnych urzędników i dozoru technicznego. Bunkry te wybudowano dziewięćdziesiąt lat wcześniej, podczas Wojny Kupieckiej, i tylko kilka spełniało jeszcze normy bezpieczeństwa. Jedna grupa wyższych rangą dostojników spędziła dwie godziny na próbach uaktywnienia kodowego zamka blokującego wejście do schronu i została uśmiercona wybuchem pocisku przed otwarciem wrót. Inna grupa, kilka bloków na północ, musiała stawić czoła tłumowi oszalałym ze strachu robotników próbujących znaleźć jakieś schronienie. Towarzyszący dygnitarzom oficer VHPC otworzył ogień ze swojego pistoletu, by odpędzić cywilów, podczas gdy pewien inżynier posiadający koneksje w gildiach otwierał wejście do schronu. W ten sposób dwudziestu trzech uprzywilejowanych obywateli miasta, posiadających poziom autoryzacji trzy lub mniejszy, zamknęło się w schronie przeznaczonym dla dwustu osób. Wszyscy udusili się przed nadejściem świtu. Wymienniki powietrza, pozbawione okresowych napraw i konserwacji, odmówiły posłuszeństwa w momencie uruchomienia.

W nocy miliony uciekinierów zaczęły napływać do miasta poprzez Bramę Sondara, drogę wiodącą przez Hass West oraz przemysłowe linie transportowe. Niektórzy próbowali nawet skorzystać z tunelu kolejowego przy Bramie Veyveyr, ten jednak stał się rozszalałym ognistym piekłem od pierwszych chwil bombardowania, a brama została zablokowana. Jeszcze inni maszerowali w długich kolumnach, objuczeni dobytkiem i rannymi, po zboczach gigantycznej hałdy lub kierowali się do pracującego nadal terminala kolejowego przy Bramie Croe.

Fort Hass West wciąż płonął, a z jego blanków sypały się kawałki gruzu. Sam Mur i Brama Hass wytrzymały ostrzał i długie sznury uchodźców wchodziły do miasta pod nadzorem gorączkowo naprawiających umocnienia żołnierzy Vervun Primary. Przez wzgląd na prace remontowe przepływ przez bramę był niewielki i kolumna uciekinierów sięgająca już dwóch kilometrów nadal rosła, bezbronna w obliczu nieustannego bombardowania. Tysiące cywilów zginęły od odłamków, zanim niektórzy z nich – osiem lub dziewięć tysięcy – ruszyły na północny zachód, w kierunku rzeki.

Odcinek Muru ciągnący się na północ od fortu Hass West, zwany Murem Portowym, wcinał się w rzekę niemal do połowy nurtu i nie było tam możliwości przejścia dla pieszych. Niektórych uchodźców pochłonęły zdradzieckie trzęsawiska, inni próbowali pokonać Hass wpływ i tonęli setkami. Większość brodziła w grząskim cuchnącym błocie pod Murem Portowym błagając o pomoc żołnierzy znajdujących się dwieście metrów nad nimi i całkowicie bezradnych. Prawie dwa tysiące uciekinierów pozostawało w tym miejscu przez pierwsze dni wojny, zbyt przerażonych, by podjąć się drogi powrotnej do Bramy Hass. Wyczerpanie, głód, obrażenia i rozpacz zabiły ich wszystkich w przeciągu czterech dni.

Brama Sondara była otwarta i tłum robotników wlewał się za Mur szeroką rzeką ciał. Żołnierze Vervun Primary próbowali zaprowadzić porządek nad przepływem ludzi i przydzielaniem im schronienia, ale trwało to bardzo powolnie i kolumna uchodźców sięgająca trzech kilometrów długości stała bezradnie przed wejściem do miasta, otoczona płonącymi habitatami. Niektórzy cywile, przekonani o nieuniknionej śmierci przed dotarciem pod zbawczą kopułę Tarczy, zawrócili i setkami uciekali na sawannę. Żadnego z nich już nigdy nie ujrzano.

Na Alei Marszałków, zaraz za Bramą Heironymo Sondara, żołnierze miejskiego garnizonu rozlokowywali przybyłych do metropolii uciekinierów. Czterdzieści procent uchodźców wymagało natychmiastowej pomocy medycznej.

Dowodzący tą operacją kapitan Letro Cargin po zaledwie godzinie znalazł się na krawędzi załamania nerwowego. Najpierw próbował umieścić uciekinierów na szerokiej alei, jednakże szybko zabrakło tam miejsca. Niektóre rodziny wspinały się na piedestały posągów zdobiących aleję, by móc choć na chwilę odpocząć. Tu i ówdzie rozlegały się donośne grupowe śpiewy: słychać było pieśni grup roboczych i imperialne psalmy. Setki głosów splatające się z grzmiotem bombardowania i trzaskiem pola siłowego wyprowadzały żołnierzy z równowagi.

Kompleks koszarowy Vervun Primary na północ od Alei Marszałków wciąż się palił, ale służby porządkowe już opanowywały sytuację. Cargin nękał przez radio Dom Dowódczy do chwili, w której otrzymał specjalne pozwolenie na otwarcie dla uchodźców pustej fabryki chemicznej Domu Anko po zachodniej części Alei i zakładów gildii na wschodzie. Te kompleksy równie błyskawicznie zapełniły się cywilami, co Aleja. Gildie sporządziły szczegółowe instrukcje definiujące obszary fabryk udostępnione uchodźcom i te, do których wchodzić nie było wolno. Ludzie Cargina musieli siłą powstrzymać uciekinierów przed złamaniem zakazów. Oddawano strzały ponad głowami tłumu, ale w porównaniu z szalejącym na zewnątrz miasta bombardowaniem broń żołnierzy nie robiła większego wrażenia i strażnicy gildii byli systematycznie wypierani ze swoich posterunków. Wielu żołnierzy otwarcie sprzeciwiało się pacyfikacji cywilów. W jednym drastycznym przypadku rozwścieczony młody oficer zaczął strzelać do tłumu zabijając dwóch robotników. On i sześciu żołnierzy z jego drużyny zostało rozerwanych na strzępy przez hordę ubrudzonych sadzą mężczyzn.

Cargin ponawiał bezustannie wezwania o żywność i wsparcie. O ósmej rano nadeszły nowe rozkazy z Domu Dowódczego i Legislatury, upoważniające kapitana do lokowania uciekinierów w dzielnicach mieszkalnych na południe od Pylonu Tarczy i w Commercii. Strumień uchodźców napływający przez Bramy Sondara, Hass oraz w nieco mniejszym stopniu Croe zapchał już niemal całkowicie południowe dzielnice metropolii. Niektórzy członkowie Legislatury obradujący na sesji nadzwyczajnej w Main Spine argumentowali, iż udzielenie pomocy populacji zamieszkującej zewnętrzne dzielnice jest moralnym obowiązkiem Vervunhive. Inni bali się, że zatłoczone arterie komunikacyjne uniemożliwią przemieszczanie jednostek wojskowych. Sześć Wysokich Domów zadeklarowało natychmiastową pomoc i rozpoczęło wysyłkę żywności i leków na Aleję Marszałków oraz płyty portu kosmicznego, gdzie koczowali uchodźcy przechodzący przez Bramę Hass.

Intencje były dobre, ale nie wystarczające. Cargin zaczął się zastanawiać, czy wyższe kręgi władzy miasta rzeczywiście dostrzegły skalę problemu. Imperialne motta, cytaty z psalmów i inne propagandowe slogany pojawiające się na miejskich tablicach informacyjnych wcale nie łagodziły wszechobecnej paniki. Cargin musiał sobie poradzić z tysiącami zdesperowanych i wściekłych ludzi, wielu głuchych od huku bombardowania, wielu odartych do naga falami uderzeniowymi wybuchów. Setki uchodźców stanowiło kroplę w morzu ludzkich ciał.

konały na noszach lub na bruku. Poza zamknięciem bramy nie istniało żadne inne wyjście mogące spowolnić napływ cywilów do miasta. Trzy tysiące żołnierzy kapitana stanowiło kroplę w morzu ludzkich ciał.

Krótki komunikat radiowy kazał Carginowi udać się na północny kraniec Alei Marszałków. Znalazł tam polowy szpital urządzony przez metropolitalnych lekarzy. Setki rannych ludzi leżały na kamiennych płytkach, krążyli między nimi medycy i sanitariusze w karmazynowych fartuchach i maskach na twarzach.

- Pan jest Cargin ?

Kapitan spojrzął za siebie. Szczupła postać w lekarskim fartuchu zdjęła maskę odsłaniając ładną twarz w kształcie serca. Oczy kobiety były zatroskane i złe.

- Tak... doktorze ?
- Chirurg Ana Curth, szpital miejski 67/mv. Dowodzę tutaj. Próbuje ustawić jeszcze jedną salę operacyjną, ale napływ rannych jest zbyt duży.
- Robię wszystko, co w mej mocy, pani chirurg – odparł zmęczonym głosem. Mijały go ciągniki siodłowe i ciężarówki pędzące z włączonymi lampami w kierunku kompleksów medycznych w głębi metropolii. Tam kierowano rannych wymagających natychmiastowych operacji chirurgicznych.
- Domyślam się – odparła opryskliwie Curth. Powietrze przesycone było ostrym zapachem krwi i spalonego mięsa, wypełniały je krzyki bólu i agonii – Szpitale miejskie są już pełne ofiar pochodzących z samego Vervunhive. Mieszkańcy miasta bardzo ucierpieli na samym początku bombardowania, przed włączeniem Tarczy.
- Nie wiem, co powiedzieć – wzruszył ramionami Cargin – Wykonuję swoje rozkazy i wysyłam cywilów poprzez Aleję do wyznaczonych sektorów. Ta ludzka masa wydaje się nie mieć końca. Moi obserwatorzy na Murze twierdzą, że na zewnątrz kolumna sięga ponad trzech kilometrów długości.
- Lekarka spojrzała na śliską od krwi ulicę, podniosła dłonie ku policzkom.
- Ja... – zaczęła, ale nie dokończyła zdania – Możesz mi udostępnić swój komunikator ? Spróbuję połączyć się z moimi przełożonymi. Commercia została ewakuowana i jest tam sporo wolnego miejsca. Wątpię, by udzielili zezwolenia, ale zrobię, co tylko będę mogła.
- Cargin skinął głową. Wezwał swojego radiooperatora i kazał mu towarzyszyć lekarce.
- Robienie czegokolwiek jest lepsze od nie robienia niczego – powiedział.

* * *

Czołg pędził z rykiem silnika na północ, podskakując z metalicznym chrzęstem gąsienic na kamienistych wzniesieniach sawanny. Jego odwrócona w tył wieża pluła pociskami w stronę płonącego pola bitwy, rażąc ukrytego za zasłoną gęstego dymu wroga. Nocne niebo stało w ogniu, przecinały je bezustannie smugi rakiet i pocisków artyleryjskich lecących na Vervunhive.

Komisarz Kowle siedział skulony w wieży czołgu popędzając ładowniczego uwijającego się tuż pod nim. Radio nie działało, nie było żadnego kontaktu z Domem Dowódczym. Pozostały mu czterdzieści dwa czołgi z pancernej brygady, która opuszczając Bramę Sondara liczyła ponad czterysta pięćdziesiąt maszyn. Nie żył już żaden wyższy stopniem oficer wojsk pancernych Vervun Primary. Zginął też kadet Fosker.

Dowodzenie przejął Kowle. Wykorzystując komisarza VPHC Langanę jako swego zastępcę zdołał zebrać resztki rozbitej brygady i zawrócić do metropolii. Manewr ten przypominał ucieczkę, ale Kowle wiedział, że to słuszna taktyczna decyzja. Stawili na tej sawannie czoła pancernej fali koloru ochry pręcącej prosto na nich. Tylko podczas największych kampanii krucjaty, na Balhaucie czy Cociaminusie, komisarz miał okazję na własne oczy ujrzeć szturm na tak ogromną skalę. A za zoicańskimi czołgami nadciągały regimenty piechoty, mrowie ludzkich sylwetek przypominające stada lemingów.

Kowle nie chciał nawet myśleć o liczebności tej armii. To było... niewyobrażalne. To było niemożliwe. Fala koloru ochry – to wszystko, co zdołał ujrzeć, żółtawe morze pojazdów miażdżące jego brygadę.

Włączył ponownie komunikator, ale nieprzyjaciel zagłuszał wszystkie częstotliwości. Deszcz pocisków spadał pomiędzy umykające vervuńskie czołgi. Dwa wozy eksplodowały, ich porozrywane gąsienice świsnęły w powietrzu. W interkomie rozległ się krzyk kierowcy.

- Przed nami, sir !

Kowle obrócił wieżę i spojrzał przez wizjer. Vervunhive pojawiło się na horyzoncie, okryte gigantycznym parasolem zielonej energii przypominającym kapelusz grzyba świecący

jaskrawo w ciemności. Komisarz chwycił lornetę i wyrzwał z wieży. Przez okular dojrzał czarne, ogarnięte pożarami morze ruin będące zewnętrznymi habitatami. Artyleryjski ostrzał wciąż spadał na podmiejskie dzielnice.

- Kowle do brygady ! – krzyknął do interkomu – W szyku za mną ! Jedziemy w stronę południowej trasy szybkiego ruchu. Do miasta wjedziemy przez Bramę Sondara. Nie pozwólcie się nikomu ociągać, bo ja będę szukał nieposłusznych i znajdę ich !

Uśmiechnął się na myśl o ostatnim zdaniu. Nawet teraz, w sercu ognistego piekła, potrafił wygłosić dobrą, inspirującą frazę.

* * *

Wysoko sklepiona, elegancko urządzona sala obrad Legislatury położona na wyższym poziomie Main Spine pełna była ludzkiej wrzawy. Lord Haymlik Chass, głowa Domu Chass, usiadł na swoim fotelu i przesunął wzrokiem po towarzyszącej mu świcie.

Legislatura była pełna tej nocy. Wszystkie dziewięć Wysokich Domów zjawiało się w sali obrad, podobnie jak przedstawiciele dwudziestu jeden domów mieszczkańskich oraz trzystu reprezentantów gildii kupieckich. Pod galeriami sali obrad zebrały się setki członków organizacji związkowych.

Łoża Chassa znajdowała się w wewnętrznym kręgu sali, tuż obok podestu Legislatora. Ekran monitorów migotały przed wszystkimi fotelami, terminale buczały cicho. Legislator Choir, uciszony przed kilkoma minutami przez Wysoki Dom Croe, siedział z posępną miną na swoim miejscu i rzucał poprzez poręcz galerii kartki wyrwane ze swojego notatnika. Mistrz Jehnik, z domu mieszczkańskiego Jehnik, stał na swoim fotelu w środkowym kręgu czytając głośno z trzymanego w dłoni elektronicznego notesu i próbując zainteresować kogoś trzydziestopięciopunktowym planem działania.

Chass przycisnął palec wskazujący do skanera linii papilarnych na pulpicie swego terminala i z obudowy natychmiast wysunęła się niewielka klawiatura. Polityk wprowadził sekwencję aktywującą terminal i napisał: Mistrzu Legislatorze, rozpoczynamy debatę czy będziemy pokrzykiwać tak przez całą noc ?

Tekst pojawił się jednocześnie na centralnym ekranie, monitorach sześciu Wysokich Domów, piętnastu mieszczkańskich oraz większości kupieckich. Zapadła cisza.

Mistrz Legislator Anophy, zgarbiony starzec w ceremonialnym szpiczastym kapeluszu, podniósł się ze swego miejsca i rozpoczął recytację Litanii Prawa Wyborczego. Sala obrad milczała słuchając jego głosu. Anophy pogładził długą siwą brodę, poprawił swe opalizujące szaty i poprosił o przedstawienie porządku obrad.

Prawie siedemdziesiąt holograficznych symboli pojawiło się natychmiast na centralnym ekranie i pulsowało tam rytmicznie.

- Dostojny Anko ma głos – w dole rozległy się gwizdy i gniewne pomruki.

Anko podniósł się na nogi dzięki wydatnej pomocy swych służących. Jego suchy, spotęgowany przez wzmacniacze głos był słyszalny w każdym zakątku sali obrad.

- Potępiam agresję ze strony naszych dotychczasowych partnerów handlowych z Zoicy. Domagam się pokonania ich i odesłania do domu z ogonem między nogami.

Żadnych konkretnych propozycji, pomyślał lord Chass. Typowe dla Anko, ucieszyć publikę w niezobowiązujący sposób.

- Chciałbym zwrócić uwagę Legislatury na inny problem. Moja fabryka jest przepelniona uciekinierami. Ochrona poinformowała mnie, że napływ uchodźców całkowicie wstrzymał produkcję. To zagrożenie dla Vervunhive. Domagam się prawa do usunięcia cywilów z obszaru mojej posiadłości.

Z dołu sali obrad posypały się następne gwizdy i niepoehlebne okrzyki.

- Dostojny Yetch ?

- Czy tak mamy traktować naszych pracowników, kuzynie Anko ? Darzyłeś ich swą sympatią, kiedy podnosili normy wydajności. Czy teraz ich nienawidzisz, bo tłoczą się w twoich fabrykach ?

W sali wybuchła jeszcze większa wrzawa. Kilku polityków i wielu reprezentantów gildii nacisnęło z wigorem sygnalizatory dźwiękowe. Lord Anko usiadł z wściekłą miną.

- Dostojny Chass ?

- Obawiam się, iż mój kuzyn Anko przeoczył znacznie istotniejsze zagadnienie.

Dziewięćdziesiąt lat minęło od czasu poprzedniego kryzysu takiej wagi. Stanęliśmy w obliczu Drugiej Wojny Kupieckiej. Posiadamy już raporty sygnalizujące zmasowane siły wroga podążające w naszym kierunku. Wszyscy mieliśmy okazję ujrzeć na własne oczy tragedię, która rozegrała się dziś w naszej metropolii. Moja ukochana córka z trudem uszła śmierci przed powrotem do domu.

Część domów mieszczańskich wysłała na centralny ekran sygnatury aprobaty i współczucia dla polityka.

- Jeśli ten atak zagroził naszym domom, powiadam: czujmy się zagrożeni ! Musimy spełnić swą powinność wobec mieszkańców metropolii i kuzyn Anko powinien ten fakt stawiać ponad swymi normami produkcyjnymi. Chcę zadać Legislaturze bardzo istotne pytania. Pierwsze: dlaczego ten atak okazał się dla nas całkowitym zaskoczeniem ? Drugie: czy powinniśmy Tarczę ?

poprosić o pomoc Imperium ? Trzecie: gdzie jest lord Sondar, co mu wiadomo na temat najazdu i dlaczego z takim opóźnieniem uaktywnił Tarczę ?

W sali obrad wybuchła gorączkowa wrzawa. Na ekranie zapaliły się sygnaturki poparcia dla Domu Chass. Legislator zaczął krzyczeć do mikrofonu domagając się ciszy.

- Dostojny Chass – powiedział twardy głos – Jak możesz domagać się ode mnie wyjaśnień ?

W sali natychmiast zapadła cisza. Eskortowany przez dziesięciu oficerów VPHC do pomieszczenia wszedł Salvador Sondar.

* * *

Był pół ślepy i kulawy. Jego ubranie wisiało w strzępach, a skóra poznaczona była głębokimi zadrapaniami. Mimo to nadal był dyrektorem huty.

Używając oskarża jako kostura Agun Soric pokrzykiwał pomimo poparzonych płuc na trzystu hutników maszerujących przez zgliszcza huty Vervun Jeden. Większość z nich była czarna od sadzy podobnie jak on, poznaczona czerwienią ran i bielą prowizorycznych opatrunków. W czarnych twarzach błyszczały rozszerzone strachem oczy.

Ciągnęli ze sobą rannych towarzyszy, na naprędcie skleconych noszach, na wózkach transportowych lub na rękach. Soric przystanął i spojrzął za siebie ocalałym okiem. Huta i część przylegających do niej zakładów przetwórczych stała w ogniu. Metalowe wieże i rusztowania przewracały się prosto w płomień wzbijając w niebo snopy białych iskier. Terminal kolejowy Veyveyr na zachodzie też płonął.

Dyrektor usłyszał jakieś pokrzykiwania i nerwową dyskusję na czele kolumny. Przyśpieszył kroku i zaczął przeciskać się pomiędzy mężczyznami i kobietami w hutniczych kombinezonach.

Tuzin żołnierzy Vervun Primary zatrzymał robotników przed wejściem do tunelu tranzytowego 456/k, łączącego kompleks hutniczy z dzielnicami mieszkalnymi. Blokadą dowodził oficer VPHC.

- Musimy tędy wejść – powiedział Soric podchodząc do komisarza. Jedno oko wystarczyło mu, by dostrzec wrogie spojrzenie młodego oficera.

- Rozkazy z Main Spine, stary człowieku – oświadczył komisarz – Dzielnice mieszkalne są już zapchane uciekinierami. Wprowadzono zakaz dostępu. Rozłóżcie się tutaj. Niebawem otrzymacie pomoc.

- Jak się nazywasz ? – zapytał Soric.

- Komisarz Bownome.

Soric umilkł na chwilę podpierając się na oskardzie i czyszcząc z pietyzmem swoją inżynierską odznakę. Podniósł ją tak, by oficer dostrzegł emblemat dyrektora huty.

- Soric, dyrektor, Vervun Jeden. Zostaliśmy zbombardowani. Moi ludzie potrzebują schronienia i pomocy lekarskiej. Natychmiast, a nie niebawem.

- Nie ma przejścia. Zakaz. Niech twoi ludzie rozgoszczą się tutaj – żołnierze stojący za komisarzem podnieśli broń podkreślając jego słowa.

- Tutaj ? Na tej śmierzdzącej ulicy, z palącą się hutą za plecami ? Nie jestem zachwycony. Posłuchaj, synku. Jedyńka jest własnością Wysokiego Domu Gavunda. Wszyscy jesteśmy pracownikami lorda Gavundy. Kiedy dowie się o tym...

- Odpowiadam wyłącznie przed Domem Sondara. Podobnie jak ty. Nie waż się mi grozić.

- A kto ci grozi, ty cholerny idioto ?! – Soric przeciągnął wzrokiem po towarzyszących mu hutnikach i usłyszał ich ironiczny śmiech – Jednooki kaleka jak ja ? Przepuście nas.

- Tak, przepuście ! – wrzasnął ktoś stojący za dyrektorem. Chyba Ozmac, ale nie sposób go było rozpoznać pod grubą warstwą sadzy. Inni hutnicy zaczęli gwizdać i pokrzykiwać.

- Czy ty rozumiesz, co oznacza stan wyjątkowy, stary człowieku ? – warknął Bownome.

- Rozumieć ? Ja go pieprzę ! – Soric w końcu nie wytrzymał – Zejdź mi z drogi !

Dyrektor naparł na komisarza próbując odepchnąć go na bok. Bownome uderzył go i Soric potknął się upadając na ziemię. Z tyłu rozległy się okrzyki niedowierzania i gniewu. Hutnicy postąpili do przodu. Bownome odskoczył, wyszarpnął z kabury pistolet i strzelił kilkakrotnie do tłu.

Ozmac upadł martwy, ktoś inny zaczął krzyczeć z bólu.

- Dość tego ! Zostaliście ostrzeżeni ! – wrzasnął komisarz – Zostaniecie tutaj do

Oskard Sorica przebił czaszkę Bownome i powalił go na ziemię. Zanim którykolwiek z wojskowych zareagował, robotnicy już byli wśród nich. Wszyscy żołnierze zostali zabici w ciągu kilku sekund. Hutnicy pozbierali ich broń. Gannif podał pistolet komisarza Soricowi.

- Zaopiekuję się wami ! – krzyknął dyrektor i ruszył w głąb tunelu tranzytowego. Hutnicy odpowiedzieli mu z aprobatą i podążyli śladami swego przełożonego w kierunku centrum metropolii.

* * *

- Marszałek Gnide nie żyje – oświadczył Legislaturze Salvador Sondar.

Sala obrad zamarła w milczeniu obserwując władcę metropolii idącego w kierunku swego tronu w otoczeniu oficerów VPHC o kamiennych twarzach i czujnych oczach. Tron Sondara znajdował się ponad fotelem Mistrza Legislatora i dostojnik przez długą chwilę patrzył bez słowa na wypełniający pomieszczenie tłum. Sondar miał na sobie ceremonialne szaty, a twarz skrywał pod ceramiczną maską.

- Nie żyje – powtórzył – Nasze miasto stanęło w obliczu wojny, a wy, dostojne domy, mieszczańskie domy, gildie, wy chcecie teraz uzurpować sobie prawa do mojej pozycji ?

Nadal trwała nieprzenikniona cisza. Maską Sondara poruszyła się, gdy jej właściciel prześlizgiwał wzrokiem po zatłoczonej sali obrad.

- Jesteśmy jednością albo jesteśmy niczym.

Wciąż nikt się nie odzywał.

- Wiem, że macie mnie za słabego. Nie jestem słaby. Wiem, że macie mnie za głupca. Nim również nie jestem. Sądzę, iż pewne dostojne domy próbują wykorzystać obecną sytuację dla swoich własnych interesów.

Sondar zezwolił gestem dłoni wstać z fotela lordowi Anko.

- Nigdy nie zwątpiliśmy w ciebie, Czcigodny. Wojna Kupiecka spadła na nas tak nieoczekiwanie.

Ty tchórzliwy śmieciu, pomyślał Chass. Sondar nas wpakował w te kłopoty, a ty go całujesz po stopach. Gdzie twoje gorące poparcie dla radykalnych działań, które demonstrowałeś dziś po południu.

- Zoica zostanie powstrzymana – oświadczył Sondar. Lord Chass obserwował jego ruchy i zauważył nienaturalne drżenie ciała władcy. To nie on, pomyślał. Ten sukinsyn przysłał następnego serwitora.

- Wysłaliśmy wezwanie o pomoc do Northern Foundry Collectives i Vannick Magna. Wyślą nam część swych garnizonów. Nasz kontratak rozpocznie się za najdalej dwa dni.

Okrzyki aprobaty rozległy się zarówno w dole sali obrad jak i w kręgu kupieckim. Chass wstał z fotela

- Uważam, iż w interesie całego Verghastu leży wystosowanie prośby o pomoc do Imperium.

- Nie – odparł szybko Sondar – Pokonał Zoię wcześniej i zrobimy to ponownie. To sprawa wewnętrzna naszego świata.

- Już nie – oświadczył czyjś głos. Członkowie Legislatury spojrzeli w stronę łoża zajmowanej przez dygnitarzy Administratum. Zakapturzony i okryty szczelnie płaszczem Intendent Banefail podniósł się na nogi – Przekaz astropatyczny został już wysłany. Zawiera prośbę o wsparcie adresowaną do marszałka wojny Macarotha. Produkcja zbrojeniowa Vervunhive jest zbyt istotna dla przebiegu krucjaty na Światach Sabbata. Marszałek potraktuje wezwanie z należytą powagą. Konflikt ten nabiera znaczenia poważniejszego od polityki wewnętrznej Verghastu, lordzie Sondarze.

Sondar, a raczej reprezentująca go marionetka, zdawał się drzeć na swym tronie. Wściekłość, uznał Chass. Równowaga pomiędzy polityką planetarną, a strefą wpływów Imperium była niezwykle krucha w Vervunhive, podobnie jak we wszystkich innych miastach Verghastu rządzonych przez arystokratyczne rodziny. Rzadko zdarzało się, by ktoś w tak otwarty sposób to ujawniał. Chass doskonale zdawał sobie sprawę ze strategicznego znaczenia przemysłu zbrojeniowego Verghastu, ale mimo to inicjatywa Banefaila wprowadziła go w zdumienie. Administratum było biurokratyczną instytucją uosabianą z prawą ręką samego Imperatora, ale jej pracownicy zazwyczaj akceptowali decyzje władz lokalnych.

Ten konflikt rzeczywiście musi stanowić poważne zagrożenie dla interesów mocarstwa, pomyślał i poczuł kleszcze niepokojącego ściskającego serce.

* * *

Trzymając mocno niemowlę i ciągnąc chłopca za rękę Tona Criid przemierzała wypalone ulice północnej Commercii. Chłopiec cały czas płakał. Nie potrafiła mu pomóc. Gdyby dotarli do doków, mogłaby pokonać rzekę i znaleźć jakieś schronienie, ale wszystkie szlaki na północ były zatarasowane. Podczas gdy uchodźcy napływali do metropolii z południa, mieszkańcy samego miasta uciekali równie szybko na północ.

- Gdzie idziemy? – zapytał chłopiec, Dalin.

- W bezpieczne miejsce – odparła Tona.

- Kim jesteś?

- Ciocią Toną.

- Nie mam cioci.

- Teraz już masz. Podobnie jak Yancy.

- To jest Yoncy.

- Niech ci będzie, chodź – Tona próbowała wcisnąć się w tłum stojący w kolejce do odległej przystani, ale tłok był zbyt wielki.

- Gdzie pójdziemy ? – spytał ponownie chłopiec, kiedy schronili się na chwilę w wypalonym markecie, by uniknąć zdeptania przez ludzką masę.

- Przed siebie. Za rzekę – taki miała plan, ale na widok rzeszy uciekinierów zwątpiła w możliwość jego realizacji. Może bezpieczniejsi byliby w mieście, pod osłoną Tarczy ?
Niemowlę zaczęło płakać.

* * *

Nie mógł oddychać. Czuł potworny ucisk całego ciała. Nic nie widział, jakaś oleista substancja kapłała mu na oczy. Spróbował się poruszyć, ale nawet nie drgnął. Nie, zdołał poruszyć palcami stóp. Usta pełne miał kompozytowego pyłu. Zaczął się krztusić i z przerażeniem stwierdził, że jego płuca nie mogą pracować. Był czymś przygnieciony.

Gdzieś w górze słyszał dziwne dźwięki, szuranie i zgrzyty. Pochwycił szmer stłumionych rozmów. Chciał krzyknąć, ale pył dławił go, a nie potrafił splunąć.

Światło. Punkt światła gdzieś w górze, w miejscu gdzie odsunięto gruzy. Ciężar rumowiska naparł na niego jeszcze bardziej, gniotąc podbrzusze i nogi.

Z góry patrzyła na niego czyjaś twarz.

- Jest tam kto ? – zawołała – Żyjesz ?

- Nazywam się Ban Daur – wykrztusił chrapliwym głosem – Tak, żyję.

* * *

Dom Gildii był pusty. Kupiec Worlin wszedł do środka pozostawiając na podłodze krwawe ślady podeszew. Jego rodzina z pewnością była teraz w Legislaturze. Zostawiła go i udała się pokrzykiwać na Wysokie Domy.

Przemierzył jeden z apartamentów i podszedł do barku ustawionego przy przestronnym ornamentowanym oknie, wypił trzy duże kieliszki joiliqi. Menx i Troot czekali w przedpokoju, szepcząc między sobą nerwowo.

- Ochrona ! Do mnie ! – zawołał Worlin czując jak alkohol zaczyna ogrzewać jego zziębnięte ciało. Włączył wbudowany w jedną ze ścian telewizor, ale na ekranie migotały monotennie propagandowe slogany. Wyłączył urządzenie i odłożył na półkę pilota.

Ochroniarze weszli do pokoju. Broń schowali pod długimi płaszczami, zgodnie ze zwyczajem panującym wewnątrz kupieckich siedzib. Worlin usiadł na skórzanym fotelu i upił drinka oglądając rozciągającą się za oknem panoramę Vervuhive, poznaczoną płomieniami licznych pożarów. Zielona kopuła Tarczy drżała zauważalnie pod wpływem nieustannego bombardowania.

- Przysłużyliście mi się dobrze dzisiejszej nocy – oświadczył Worlin. Mężczyźni stali w bezruchu nie wiedząc, jak zinterpretować słowa mocodawcy.

- Menx ! Troot ! Moi przyjaciele ! Rozgoście się i zróbcie sobie po drinku ! Wasz pan jest z was zadowolony.

Skłonili głowy i odwrócili się w kierunku barku. Troot podniósł karafkę, Menx sięgnął po kieliszki. Kiedy obaj stanęli plecami do kupca, Worlin wyjął z kieszeni igłowy pistolet i zaczął strzelać.

Pierwszy pocisk trafił Menxa w kręgosłup. Ochroniarz przewrócił się twarzą na szklany barek, który pękł pod jego ciężarem. Troot odwrócił się błyskawicznie i drugi pocisk roztrzaskał karafkę w jego dłoniach. Ugodzony kolejną igłą w twarz runął na wózek kuchenny. Worlin wstał i nie wypuszczając kieliszka z ręki wystrzelił dalszych trzydzieści pocisków w skręcone ciała ochroniarzy, by zyskać pewność, iż nie żyją. Potem usiadł ponownie na fotelu i popijał joiliqę obserwując palące się miasto.

* * *

- Droga jest zablokowana, sir ! – wrzasnął do interkomu kierowca czołgu. Pędząca południową trasą szybkiego ruchu kolumna pancerna dotarła już do wypalonych habitatów zewnętrznych i zbliżała się szybko do rzeszy uchodźców stojących w kolejce przed Bramą Sondara.

Kowle wyprostował się w wieży czołgu szacując wzrokiem morze ludzkich ciał. Pociski spadły gdzieś na zachodzie rozpalając ciemność nocy jaskrawym blaskiem. Komisarz schował się w wieży i zatrzasnął właz.

- Jedź po nich – rozkazał. Kierowca wlepił w niego zdumione oczy.

- Ale, komisarzu...

- Odmawiasz wykonania bezpośredniego polecenia ?

- Nie, sir, komisarzu, sir, ale

Kowle strzelił żołnierzowi w gardło i wyciągnął jego ciało z fotela kierowcy. Zajmując miejsce na zakrwawionym siedzeniu włączył interkom.

- Brygada. Jechać za mną.

To zwykli robotnicy... nic nie warci, zdecydował kierując czołg prosto na tłum, miażdżąc pod gąsienicami ludzi w drodze ku odległym bramom Vervunhive.

III – Słońce o północy

„Po dzisiejszym dniu wszystkie bitwy będą łatwe, wszystkie zwycięstwa proste, chwała powszednia”

– generał Noches Sturm po zwycięstwie na Grimoyrze

Bombardowanie trwało nieprzerwanie, dzień i noc, przez dwa i pół tygodnia. Pod koniec dwunastego dnia wojny nie sposób już było odróżnić pory ze względu na gigantyczne kłęby dymu unoszące się nad miastem. Pole siłowe działało bez zarzutu, ale południowe dzielnice podmiejskie i zakłady przemysłowe stały się morzem ruin o powierzchni pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Niektóre pociski przeleciały też ponad kopułą Tarczy i spadły na północ od metropolii siejąc zniszczenie pośród tamtejszych dzielnic mieszkalnych i zabudowań portowych nad Hassem.

W południe szóstego dnia marszałek Edric Croe, obrany przez Legislaturę następcą Gnide, wydał polecenie zamknięcia południowych bram. Nowy marszałek, brat lorda Croe, dosłużył się swego czasu stopnia pułkownikamajora w Vervun Primary i za jego elekcją opowiedziało się siedem z dziewięciu Wysokich Domów. Wysoki Dom Anko, który wystawił swojego kandydata Heskitha Anko głosował przeciw. Dom Chass wstrzymał się od głosu.

Marszałek Croe był jasnoskórym i białowłosym olbrzymem mierzącym ponad dwa metry wzrostu. Jego świdrujące czarne oczy i twarde rysy twarzy bywały źródłem wielu koszarowych stresów, ale znający osobiście marszałka cenili go za opanowanie i charyzmę, sprawiedliwość w osądach i popularność wśród żołnierzy. Wynik głosowania odzwierciedlał zaufanie, jakie pokładały w nim Wysokie Domy – oraz ich świadomość, że pozostanie lojalny wobec całej metropolii bez względu na okoliczności. Heskith Anko, otyły pompatyczny arogant przedkładający wojnę polityczną nad zagadnienia taktyczne został szefem sztabu marszałka, co miało ułagodzić niezadowolenie Domu Anko. Obaj arystokraci od początku nie potrafili dojść do porozumienia i ich zaciekle kłótnie w Domu Dowódczym szybko stały się powszechnie znane.

Decyzja o zamknięciu bram w obliczu blisko pół miliona uchodźców wciąż znajdujących się poza Murem zaskoczyła zarówno Wysokie Domy jak i całą Legislaturę. Wielu sądziło, że Croe uległ w końcu nieustannym naciskom ze strony lorda Anko. Dom Chass, Dom Rodyin oraz siedem domów mieszczańskich złożyło protest i potępiło decyzję marszałka, skazującą na śmierć pół miliona obywateli Vervunhive stojących w kolumnach pod Bramami Hass West, Sondar i Croe. To zdrada ideałów ludzkości – krzyczał w sali obrad lord Rodyin.

W rzeczywistości źródłem zaskakującej decyzji Croe była sugestia komisarza Kowle, który powrócił do metropolii drugiej nocy wojny wiodąc za sobą resztki zniszczonej brygady pancernej. Pomimo przerażających strat Kowle został obwołany bohaterem. W pojedynkę zebrał wokół siebie ponad trzydzieści czołgów i wrócił z nimi do miasta przynosząc pierwsze precyzyjne informacje na temat nieprzyjaciela. Publiczne ekrany telewizyjne bezustannie chwaliły jego heroizm i lojalność. Imię komisarza powtarzano z szacunkiem w obozach uchodźców i na Murze, przypisując mu z ochotą tytuł Bohatera Ludu. Wszyscy oczekiwali stosownej nagrody dla walecznego komisarza i skrycie powtarzano, że byłby on lepszym kandydatem na stanowisko marszałka od Edrica Croe. Kiedy dziewiątego dnia wojny Legislatura wprowadziła racjonowanie wody, żywności i energii, na publicznych ekranach wyświetlono przemówienie komisarza deklarującego ścisłe racjonowanie własnego jedzenia. Ten propagandowy chwyt był pomysłem samego Kowle'a, a społeczność podchwyciła natychmiast jego słowa i bez szemrania podporządkowała się edyktowi Legislatury popartemu przez Bohatera Ludu.

Croe uświadomił sobie szybko, że nie może lekceważyć popularności społecznej Kowle'a. Oznaczało to również, iż nie może sobie pozwolić na ignorowanie jego zaleceń i sugestii taktycznych.

Croe, Anko i grono wysokich oficerów garnizonu spędziło większość piątego dnia wojny na naradzie. Pokój odpraw w Domu Dowódczym był wypełniony po brzegi wojskowymi. Pomruk wyczekiwania przebiegł wśród zebranych po prośbie marszałka, by komisarz określił liczebność nieprzyjaciela. Kowle podniósł się z krzesła demonstrując oficerom świeżą ranę po szrapnelu szpeczącą jego czoło, umyślnie zszytą w prymitywny sposób mający przysporzyć mu uznania ze strony zebranych.

- Nie mogę nie docenić potęgi wroga – chłodny głos komisarza powieliły natychmiast rozstawione w sali odpraw wzmacniacze – Widywałem rzadko tak olbrzymi potencjał militarny. Osiem albo dziewięć tysięcy wozów pancernych, tysiące baterii artyleryjskich, a za nimi piechota w sile kilku milionów.

pancernych, tysiące baterii artyleryjskich, a za nimi piechota w sile kilku milionów.

W sali zapadła pełna niedowierzania cisza. Potem marszałek Croe poprosił o powtórzenie szacunków komisarza. W trakcie Wojny Kupieckiej Vervunhive stawiało czoła zoicańskiej armii liczącej dziewięćset tysięcy żołnierzy i ledwie zdołało zwyciężyć.

- Miliony – odparł Kowle – W całym tym zamieszaniu nie mogłem rzecz jasna liczyć ich jednego po drugim.

Wokół rozległy się wymuszone śmiechy kadry oficerskiej.

- Mogę być jednak pewien, że za formacją pancerną idzie co najmniej pięć milionów piechoty. A są to jedynie ci, których zdołałem dojrzeć.

- Niedorzeczność ! – sapnął wicemarszałek Anko – Vervunhive posiada czterdzieści milionów mieszkańców i spośród tej populacji zmobilizowaliśmy pół miliona żołnierzy ! Zoica jest trzykrotnie mniejsza ! W jaki sposób mogli wystawić do walki pięć milionów ludzi ?

- Powtarzam tylko, co ujrzałem, generale.

Wśród oficerów ponownie rozległ się pomruk i stłumione szepty Croe poprosił o zdjęcia satelitarne wykonane przed naradą żywiąc skrytą nadzieję, iż potwierdzą one lub zanegują

niewiarygodne szacunki komisarza. Dymy gigantycznego bombardowania zasłaniały jednak ogromny obszar kontynentu i nie można było niczego dojrzeć na zdjęciach. Croe w głębi serca wierzył w raport Kowle'a, potwierdzony przez czołgistów, którzy wrócili do miasta wraz z komisarzem. Zdawał też sobie sprawę z faktu, iż konfrontacja z Bohaterem Ludu byłaby dla niego politycznym i społecznym samobójstwem.

Marszałek chrząknął i spojrzął ponad stołem na komisarza.

- Pańskie sugestie ?

- Musimy zamknąć południowe bramy miasta. Prędzej czy później bombardowanie ustanie, a wtedy zoicańskie legiony uderzą na nas z niewyobrażalną siłą. Już teraz zbliżają się pod osłoną artyleryjskiego ostrzału, wkraczając na południowe peryferia. Musimy się zabezpieczyć.

Croe milczał. Jego adiutanci na Murze na bieżąco aktualizowali dane o liczebności uchodźców, wyczerpanych i rannych, lecz po pięciu dniach wojny nadal błagających o wpuszczenie do miasta. Kowle był nieubłagany.

- Południowe bramy zostaną zamknięte jutro o dziewiątej – Croe miał nadzieję, że nie dożyje chwili, w której historia oskarży go o popełnienie zbrodni. Jak się później okazało, miał rację.

Kiedy waga usłyszanej właśnie decyzji docierała do umysłów oficerów garnizonu, pułkownik Modile złożył wniosek o uzbrojenie ciężkiej artylerii na Murze. Chociaż po ogłoszeniu alarmu na stanowiskach znalazły się lekkie działa, kolubryny nie używane od czasu Wojny Kupieckiej nadal drzemały wewnątrz potężnych silosów pod Murem. Wicemarszałek Anko potwierdził rozpoczęcie prac związanych z uruchomieniem ciężkich baterii. Za dwa dni Vervunhive miało dysponować artylerią dalekiego zasięgu zdolną odpowiedzieć ogniem ukrytym za linią horyzontu najeźdźcom.

- Co z posiłkami obiecany przez czcigodnego Sondara ? – zapytał oficer artylerii siedzący w pierwszym rzędzie.

- Dziesięć regimentów ochotników nadchodzi już z Northern Foundry Collectives. Vannick obiecało nam dziewięć regimentów w przeciągu tygodnia.

- A prośba do Imperium ? – odezwał się komisarz Tarrian, dowódca komisariatu VPHC.

- Łaska Imperatora jest z nami – uśmiechnął się Croe – Marszałek wojny Macaroth już odpowiedział na wezwanie. Jego siły znajdują się miesiące lotu od nas, ale mieliśmy szczęście. Wojskowy transport z Monthaxu, lecący na główną linię frontu w systemie Cabal, jest zaledwie dziewięć dni lotu od nas. Otrzymał już nowe rozkazy. Leci do nas sześć regimentów gwardyjskiej piechoty i trzy jednostki pancerne.

W sali rozległ się donośny aplauz zebranych. Croe wyprostował się i uciszył oficerów.

- Są ciągle jeszcze dziewięć dni od nas. Musimy być silni, musimy działać szybko, musimy się dobrze zabezpieczyć. Południowe bramy zostaną zamknięte jutro o dziewiątej.

* * *

Błade światło dnia z trudem przebijało się przez zasłonę dymu nad zamykaną Bramą Heironymo Sondara. Tuziny uciekinierów w ostatniej chwili zdołały przedostać się pod nią do środka. Dziesiątki innych zginęły zmiażdżone potężnymi wrotami. Przerażające sceny powtórzyły się chwilę później pod Bramami Croe i Hass West. Brama Veyveyr została uszkodzona w pierwszym dniu bombardowania, ale pożary już wygasły i żołnierze Vervun Primary nadzorowani przez komisarzy VPHC zabarykadowali wejście do miasta ciężkim złomem. Posterunki na barykadach otrzymały rozkaz strzelania bez ostrzeżenia do uchodźców próbujących nadal korzystać z tej drogi ucieczki.

Rozpaczliwe krzyki i bluźnierstwa ludzi pozostawionych pod murami metropolii wryły się na zawsze w pamięć wielu żołnierzy Vervun Primary. Często pisali oni później w listach i

pamiętnikach, że był to najgorszy moment w całej kampanii. Ci żołnierze, którzy obserwowali zamknięcie bram na początku szóstego dnia i przeżyli wojnę, nigdy nie zapomnieli tamtych chwil. Jeszcze wiele lat później budzili się w nocy złani potem słysząc krzyki spoza Muru. Był to jak dotąd najokrutniejszy moment konfliktu i równać się z nim mógł jedynie dzień, w którym bramy ponownie stanęły otworem, ponad miesiąc później.

* * *

Ciężka artyleria Vervunhive otworzyła ogień w południe ósmego dnia wojny. Ceramitowe pokrywy odsunęły się z wylotów silosów i olbrzymie pociski zaczęły spadać na odległą sawannę. Wciąż niewidoczny wróg odpowiedział podwojeniem intensywności ostrzału.

* * *

O świcie jedenastego dnia na północ od Hassu pojawiły się wojskowe konwoje. Dwadzieścia tysięcy ludzi i pięć tysięcy pojazdów przybyło z Northern Collectives, by wesprzeć Vervunhive – czy raczej wzmocnić przejście na rzece Hass odgradzające ich metropolię od armii Zoican. Ciągąc za sobą tumany kurzu czołgi i transportery opancerzone jechały przez wypalone habitaty i uszkodzone fabryki, trafione pociskami przelatującymi ponad Tarczą. Tysiące uciekinierów próbowało przedostać się przez rzekę na pokładach promów i barek, chcąc dostać się do swoich domów na północnym brzegu lub szukać schronienia jeszcze dalej, w Northern Collectives. W wielu miejscach ludzka rzeka blokowała drogę oddziałom NorthColu i wicemarszałek Anko wysłał na północ ekipy VPHC, by zaprowadziły tam porządek.

Przed południem regimenty NorthColu zajmowały już miejsca na pokładach miejskich promów. Oddziały porządkowe przepędziły uchodźców na pobocza dróg i z nabrzeży, by oczyścić przejazd wojskowych kolumn. Trzystu uciekinierów zostało rozstrzelanych za ignorowanie poleceń oficerów VPHC. W efekcie tych akcji na przejeżdżających żołnierzy NorthColu posypały się wyzwiska i obelgi. Generał Xance zapisał później w swoim dzienniku: Te przygnębiające powitanie bardziej podkopało morale żołnierzy NorthColu niż miesiąc zażartych walk na Murze.

Liczebność oddziałów NorthColu i niska pojemność rzecznych promów pozwalała oszacować czas potrzebny do pokonania Hassu na cztery dni. Słyszając to marszałek Croe nakazał ponownie otworzyć dla ruchu Wiadukt Hass. Linia kolejowa biegnąca wiaduktem została zablokowana pierwszego dnia bombardowania. Korzystając zarówno z pociągów jak i promów żołnierze NorthColu znaleźli się w mieście w ciągu dwóch dni. Wiele wozów pancernych wjechało do metropolii po wiadukcie poruszając się po szynach, podobnie jak dwa regimenty piechoty, które przemaszerowały wąskim przejściem pomiędzy torami.

Wciąż nie pojawiały się obiecane posiłki z Vannick Hive, gigantycznego kompleksu rafineryjnego położonego trzy tysiące kilometrów na wschód od miasta. Vannick obiecało wysłać dziewięć regimentów piechoty, ale jak dotąd jedyną formą wsparcia z tamtej strony był nieprzerwany dopływ ropy pompowanego przez biegnący z wschodu rurociąg. Wielu ludzi w Vervunhive zaczęło się zastanawiać, czy Zoicanie nie dotarli również do Vannick.

* * *

O świcie czternastego dnia w górnych warstwach atmosfery pojawiły się światła. Błyskając silnikami korekcyjnymi statki desantowe Imperialnej Gwardii opadały w kierunku portu towarowego Kannak w Northern Foundry Collectives, bo ze względu na włączoną Tarczę kosmoport w Vervunhive nie mógł obsługiwać żadnych połączeń.

Lądujące na Kannaku jednostki Gwardii natychmiast ruszyły na południe w ślad za oddziałami NorthColu. Już sam widok przecinających niebo smug kondensacyjnych wydatnie podniósł morale metropolii. Nadciągała Gwardia.

* * *

Królewskie regimenty Volpone, Pierwszy, Drugi i Czwarty, jako pierwsze znalazły się na płycie Kannaku i skorzystały z linii kolejowej, by wjechać prosto do centrum Vervunhive. Marszałek Croe osobiście przywitał generała Nochesa Sturma, udekorowanego zwycięzcę z Grimoyru, na kompozytowej platformie wzniesionej przy terminalu kolejowym North Spine. Wielki tłum politycznie poprawnych obywateli miasta wznosił radosne okrzyki pod czujnym okiem oficerów VPHC.

Ubrane w połyskliwe niebieskie suknie, córki arystokratycznych rodów – wśród nich Merity Chass, Alina Anko, Iona Gavunda oraz Murdith Croe – podeszły do Sturma i jego zastępców, pułkowników Gilbeara i Cordaya, by wręczyć im łańcuchy z kwiatów. Sturm przywitał się również z komisarzem Kowle. Ich pełna uśmiechów wymiana uścisków była wielokrotnie wyświetlana na milionie ekranów informacyjnych w całej metropolii.

Piąty i Siódmy regimenty Roane pod rozkazami generała Nasha przybyły koleją po południu natrafiając na bardziej ceremonialną uroczystość. Teraz wicemarszałek Anko kierował komitetem powitalnym i odlane z brązu trąby oraz bębny wieściły wszystkim zebranym wjazd gwardyjskich żołnierzy do miasta. Pośród wymiany licznych uścisków dłoni generał Nash potwierdził obecność trzech pełnych brygad pancernych Narmanianu wylądowywanych właśnie w porcie Kannak. Oświadczenie to spotkało się z burzą oklasków ludności cywilnej, pozdrawiającej gwardzistów z tak gorącym aplauzem, jakby wygrali już oni tę wojnę.

Tanithijski Pierwszy nadjechał drogą dwie noce później, praktycznie nie zauważony.

* * *

Ponad osiemdziesiąt matowo czarnych samochodów ciężarowych jechało drogą szybkiego ruchu przez północne dzielnice podmiejskie Vervunhive. Plandeki zasłaniające paki zostały zwinięte odsłaniając siedzących na każdym wozie trzydziestu Tanithijczyków, objuczonych bronią, plecakami i kocami. Potężne ciężarówki – sześciokołowe maszyny z metalowymi kratownicami na maskach i szerokimi reflektorami – miały na drzwiach kabin poczwórne koła, symbol Trzeciej Dywizji Transportu Miejskiego NorthColu. Kanistry z benzyną i zapasowe opony wisiały na ich burtach kołysząc się na zaczepach.

Tuzin mężczyzn jechał na ciężkich czarnych motocyklach po bokach konwoju, a za nim sunęło dalszych trzydzieści ciężarówek, ośmiokołowców o zamkniętych ładowniach wiozących amunicję, żywność, leki oraz armię kucharzy, mechaników, serwitörów i innych członków służb pomocniczych regimentu. Te pojazdy były ciemnożółte, w barwach służb transportowych portu towarowego Kannak, a na ich burtach wisiały siatki maskujące. Wszystkie ciężarówki prowadzili żołnierze NorthColu w jasnoniebieskich mundurach i beretach, ale motocykliści byli Tanithijczykami. Dwanaście kilometrów przed Vervunhive konwój zatrzymał się na chwilę przy posterunku kontrolnym, gdzie dołączyły do niego dwa ciemnoniebieskie samochody terenowe prowadzone przez oficerów VPHC.

Wszystkie reflektory konwoju były włączone. Noc zapadła niepostrzeżenie ponad dywanem czarnego dymu. Wokół dostrzec można było jedynie opustoszałe habitaty, błyszczącą szmaragdowym blaskiem kopułę pola siłowego Vervunhive i okazjonalne eksplozje nielicznych pocisków spadających na północne peryferia miasta.

Brin Milo, najmłodszy z Duchów, jechał wraz z resztą pierwszego plutonu w prowadzącej konwoj ciężarówce. Szczupły bladokóry chłopiec, który dopiero osiągnął dojrzałość był jedynym cywilem uratowanym z płonących zgłiszczy Tanith cztery lata temu. Komisarz osobiście uratował mu życie i zabrał z ognistego piekła pożerającego ich rodzimy świat. Przez długi czas był Chłopcem, maskotką regimentu, trębaczem, fragmentem Tanithu ocalonym od zagłady i przypominającym reszcie żołnierzy o utraconym domu. Ale sześć miesięcy temu, podczas kampanii na Monthaxie, stał się w końcu także żołnierzem. Był niezwykle dumny ze swojego munduru i laserowego karabinu i utrzymywał ekwipunek w znacznie lepszym porządku od wielu tanithijskich weteranów.

Siedział teraz na ławeczce i polerował wpiętą w beret odznakę regimentu szmatką używaną do czyszczenia broni.

- Milo.

Chłopiec spojrzął się siedzącego przy przeciwnej burcie szeregowca Larkina. Niski, szczupły mężczyzna blisko pięćdziesiątki był równie dobrze znany ze swojej neurotycznej osobowości, co wybornych umiejętności snajperskich.

Jego długi, zmodyfikowany karabin snajperski leżał w skórzanym pokrowcu u stóp żołnierza. Larkin zdjął z broni celownik i posługiwał się nim jak lunetą obserwując okolicę drogi. Snajper powiedział kiedyś Milo, że nie ufa niczemu, czego wcześniej nie obejrzał przez swój ukochany optyczny celownik.

- Larkin ?

Duch wyszczerzył zęby i podał celownik ostrożnie młodszemu towarzyszowi. Widząc migoczące na malutkim panelu diody Milo domyślił się, że luneta pracuje w trybie podglądu termicznego.

- Rzuć okiem. W tamtym kierunku.

Milo przyłożył lunetę do oka i dostrzegł dziwaczną poświatę poprzecinaną siatką pulsującej czerwieni.

- Co to jest ?

- Metropolia, synu, metropolia.

Milo spojrzął ponownie na miasto. Uświadomił sobie, że wibrująca żółta poświata jest powłoką Tarczy kryjącej pod sobą wciąż niewidoczne w mroku nocy Vervunhive.

- Jest wystarczająco wielka i wystarczająco brzydka, by warto było na nią rzucić okiem – oświadczył.

- To samo można powiedzieć o wielu z nas – powiedział pułkownik Corbec trzymając się poręczy w drodze do Milo i Larkina – Vervunhive to robiące wrażenie miejsce, tak mówią.

- To Vervunhive, szefie – odezwał się szeregowiec Burun.

- Cicho bądź, mądralo – burknął Corbec – Rzadko kiedy pamiętam swoje własne imię, a co dopiero nazwę miejsca, w którym jestem.

Pierwszy pluton roześmiał się słysząc te słowa. Milo podał lunetę Corbecowi, ten jednak machnął ręką nie okazując zainteresowania.

- Kiedyś trafię do miejsca, które mnie zabije, kiedy nadejdzie odpowiedni czas. Nie muszę go oglądać wcześniej.

Milo oddał bezcenny celownik Larkinowi, ten zaś spojrzął raz jeszcze przez instrument na miasto i schował go do pokrowca przy pasie.

- Napatrzyłeś się dosyć przez to cacko, Larks ? – Corbec stał pomiędzy ławeczkami wystawiając brodatą twarz na powiew wiatru.

- Używam go dostatecznie często, by wiedzieć, z której strony przez nie celować – odparował Larkin.

* * *

Na podskakującej pacy jadącej trzy wozy dalej ciężarówka trzeci pluton grał w karty. Szeregowiec Feygor, niebezpieczny szczupły mężczyzna o zapadniętych oczach odkupił pełną talię imperialnego tarota od jakiegoś pracownika Administratum na frachtowcu i wciągnął resztę towarzyszy w grę Serca i Tytany.

Szeregowiec Brostin, wielki, potężny w barach i masywny, przegrał już tak dużo, że gotów był dorzucić do puli swój miotacz ognia i zapasowe kanistry z petrolium. Feygor nie wypuszczając z zębów grubego cygara roześmiał się na widok miny Brostina i zaczął ponownie tasować karty. Kiedy rzucał duże kolorowe karty w ręce graczy, żołnierze ciskali na podłogę monety, bransoletki, papierosy i słodycze.

Szeregowiec Caffran obserwował ruchy rozdającego. Młody i niski, ale dobrze zbudowany gwardzista, zaledwie rok starszy od Brina, zdobył sobie przed rokiem uznanie wszystkich podczas morskiego desantu na wyspę Oskray. Caffran nie lubił kart, ale musiał grać jako członek plutonu.

Major Rawne siedział na końcu paki, oparty plecami o tylną ścianę szoferki. Drugi rangą tanithijski oficer znany był ze swojego posępnego charakteru, porywczoci i pesymizmu. Corbec co najmniej raz przyrównał go w wąskim gronie przyjaciół do węża, zarówno w sensie fizycznym jak i mentalności.

- Zagra pan z nami, majorze ? – zapytał Feygor wyciągając karty w stronę dowódcy. Rawne pokręcił przecząco głową. Zbyt wiele już przegrał z swym adiutantem podczas trwającego czterdzieści dni lotu w warpie, teraz zaś czuł w powietrzu zapach wojny i żołnierskie rozrywki przestały go interesować.

Feygor wzruszył ramionami i skończył rozdawać karty. Caffran podniósł swoje i westchnął. Brostin westchnął jeszcze głębiej. Zastanawiał się, czy drewniane wykałaczkę mogą być uznane za wkład do puli.

* * *

Motocykliści krążyli wzdłuż konwoju. Sierżant Mkoll, dowódca plutonu zwiadowczego, śmignął swoją maszyną pomiędzy dwiema pierwszymi ciężarówkami i pomknął do przodu wjeżdżając na wzniesienie, z którego mógł dojrzeć wylaniające się z kłębow dymu miasto. Było wielkie, większe od wszystkich miast, które widział do tej pory, z pewnością zaś większe od kamiennych metropolii na Tanith.

Dodał gazu i wyprzedził terenowe samochody lokalnego komisariatu przejmując prowadzenie kolumny wjeżdżającej na zagruzowaną drogę do rzeczno-portu.

* * *

Seria pocisków spadła pomiędzy habitaty gdzieś na wschodzie. Dorden, starszy wiekiem oficer medyczny tanithijskiego regimentu wstał z ławki, by się rozejrzeć. Jaskrawożółte kule ognia wykwitły w miejscu upadku ładunków. Ciężarówka podskoczyła na dziurawej nawierzchni i Dorden upadł tyłkiem na swoje miejsce.

- Czemu jesteś taki niespokojny ? – zapytał Bragg.

- Powtórz pytanie – poprosił wyrwany z zamyślenia doktor.

Bragg zaczął wiercić się na niewygodnej ławeczce. Był olbrzymim mężczyzną, większym od dwóch innych Duchów razem wziętych.

- Dojedziemy tam prędzej czy później. Umrzemy tam prędzej czy później. Po co oglądać zapowiedź swojej zagłady ?

Po co oglądać zapowiedź swojej zagłady ?

Dorden spojrzał na olbrzyma.

- Czy kubek jest do połowy pełny, czy w połowie pusty, Bragg ? – zapytał.
- Jaki kubek ?
- Hipotetyczny. Do połowy pełny czy w połowie pusty ?
- Ale o jakim kubku mówimy ?
- Fikcyjnym kubku.
- A co w nim jest ?
- To nie ma znaczenia.
- Dla mnie ma, doktorze – wzruszył ramionami Bragg.
- Niech ci będzie, że jest tam sacra. Do połowy pełny czy w połowie pusty ?
- A ile tam jest sacry ? – zapytał Bragg.

Dorden otworzył usta, zamknął je, otworzył ponownie, potem pokręcił głową.

- Nieważne.

Bragg wyciągnął z plecaka manierkę.

- Tutaj jest dużo sacry – oświadczył.
- Nie, dziękuję – Dorden podniósł dłonie w geście zaprzeczenia. Siedzący naprzeciwko Bragg skinął głową, odkorkował naczynie i upił długi łyk alkoholu. Kolejne pociski jęknęły w powietrzu i rozerwały się jakieś pół kilometra od drogi.
- No dobra, skoro już jest...

* * *

Sierżant Varl trzymał się metalowej bariery palcami swej mechanicznej ręki i próbował poprawić humory swoich podwładnych przez śpiewanie. Kilku żołnierzy bez większego entuzjazmu podchwyciło słowa piosenki Ponad niebem i daleko dalej, ale szybko umilkli. Kiedy Varl próbował śpiewać coś innego, szybko go uciszono.

Sierżant miał dużo lepsze stosunki z podwładnymi od reszty oficerów regimentu, bo przez długi okres czasu sam był zwykłym szeregowcem w swoim plutonie. Nastroje w plutonie były kiepskie i Varl dobrze wiedział, dlaczego. Nikt tego nie chciał. Nikt nie chciał znaleźć się w środku miejskiej wojny.

* * *

Magnificat czekał na nadjeżdżający konwój w północnej przystani. Wszystkie rzeczne barki kursowały bez ustanku przez Hass wożąc żołnierzy, amunicję i żywność z Northern Collectives. Żołnierze Vervun Primary – w niebieskich płaszczach, szarych mundurach i charakterystycznych szpiczastych hełmach – wraz z oficerami VPHC, serwitorami i grupą ubranych na czerwono pracowników Administratum nadzorowali cały ruch rzeczny wywołując furię przełożonych Gildii Przewoźników. Trzeciego czy czwartego dnia wojny pojawili się również kapłani Eklezjarchii i rozpoczęli ceremonie błogosławiące przeprawę oraz wiadukt. Zakapturzeni klerycy stali wokół wielkiego świecznika umieszczonego na wysuniętym fragmencie nabrzeża, śpiewając i recytując coś nieprzerwanie. Byli tam za każdym razem, kiedy Folik prowadził Magnificat w kierunku północnego brzegu. Zdawali się nigdy nie spać, nie odpoczywać. Folik popadł w zwyczaj kłaniania się im za każdym razem, gdy przepływał obok świecznika. Nigdy mu nie odpowiadali.

Tej nocy Folik spodziewał się kolejnego transportu żywności, ale pilnujący przystani żołnierze kazali przestawić zaparkowane przy brzegu ciężarówki NorthColu robiąc przejazd dla wjeżdżającego do portu konwoju. Folik przestawił motor w tryb oczekiwania podczas gdy Mincer opuszczał przednią rampę barki.

Dwie pierwsze ciężarówki wjechały na pokład, ich silniki ryczały na wysokich obrotach. Mincer sprowadził je na miejsce parkowania wymachując dwiema trzymanymi w rękach lampami. Wysoka postać w długim płaszczu wysiadła z szoferki pierwszego samochodu i ruszyła w kierunku sternika.

Folik zamarł zahipnotyzowany widokiem odznaki komisarza na czapce mężczyzny. Zaskoczony uśmiech rozjaśnił jego ubrudzoną smarem twarz. Pośpiesznie zdjął z głowy wełniany beret.

- Sir, to dla mnie honor mieć pana na pokładzie.
- Cała przyjemność po mojej stronie. Jak się nazywasz ?
- Folik, dostojny panie, sir.
- Ja... nie sądziłem, że moja reputacja sięga tak daleko. Witaj, Folik.
- To prawdziwy zaszczyt, sir, móc przewieźć pana żołnierzy do Vervunhive.
- Odwzajemniony zaszczyt, Folik. Moje pojazdy są już na pokładzie. Czy możemy odbijać ?

Folik skinął głową i pobiegł pomóc Mincerowi odrzucać liny wiążące barkę do słupków na nabrzeżu.

- Komisarz Kowle jest na naszej łodzi ! – wysapał sternik do swego towarzysza.

rzysza.

- Kowle ? Jesteś pewien ? Bohater Ludu ?
- To on, mówię ci, z krwi i kości, stoi właśnie na naszym dziobie.

Oparty o burtę pułkownikkomisarz Ibram Gaunt uśmiechnął się słysząc słowa sternika.

* * *

Magnificat był w połowie rzeki, kiedy wschodnia część nieba rozpałała się jaskrawym blaskiem. Do uszu ludzi dobiegł dziwny syczący dźwięk, przywodzący na myśl powiew wiatru marszczący powierzchnię wody. Na wschodnim horyzoncie zdawało się wschodzić oślepiająco jasne słońce.

- Co to takiego ? – Mincer przekrzyczał zaskoczone głosy żołnierzy.

Gaunt podniósł dłoń osłaniając oczy przed blaskiem nienaturalnego światła. Temperatura powietrza natychmiast podskoczyła. Wiedział, co to oznacza, znał dobrze anomalie atmosferyczne towarzyszące nuklearnej eksplozji.

- To był początek końca – oświadczył.

IV – Śmierć metropolii

„To szaleństwo ! Szaleństwo ! Jaki my rodzaj wojny tocymy ?”

– marszałek Edric Croe po usłyszeniu wieści z Vannick Hive

Kowle wyruszył do Domu Dowódczego zaraz po otrzymaniu złowieszczych wiadomości. Wizytował w tym czasie południowe sekcje Muru i droga powrotna do Main Spine zajęła mu prawie godzinę jazdy.

Sala operacyjna Domu przepelniona była chaosem. Pracownicy Munitorum, adiutanci i młodszy stopniem oficerowie sztabowi krążyli w panice po pomieszczeniu szepcząc między sobą i czytając raporty drukowane w terminalach rozstawionych pod ścianami dolnej części sali operacyjnej. Wielu oficerów liniowych Vervun Primary oraz kilku komisarzy VPHC tłoczyło się na środku pomieszczenia nasłuchując nerwowo i czekając na oficjalne potwierdzenie wiadomości.

Kowle ostrymi słowami rozpędził obserwatorów odsyłając ich na opuszczone stanowiska. Nikt nie próbował protestować, wszyscy salutowali i odchodzili pośpiesznie. Szybkim krokiem przemierzył podłogę sali i wspiął się po krętych metalowych schodach na pomost tworzący podłogę górnej części pomieszczenia, gdzie wokół wielkiego stołu taktycznego zebrali się wyżsi oficerowie sztabu. Adiutanci i technicy biegający z stertami wydruków bez słowa usuwali się komisarzowi z drogi.

Marszałek Croe przewodził grupie zebranej przy stole. Jego oczy były jeszcze mroczniejsze niż zwykle, zdjął też czapkę, jakby nagle zaczęła mu ciążyć. Osobisty strażnik marszałka Isac stał obok swego pana w lekkim kompozytowym pancerzu osobistym i z karabinem schowanym pod płaszczem. Wicemarszałek Anko zjawił się w białym galowym uniformie ciężkim od medali i baretek. Rozmawiał półgłosem z Volpończykami. Sturm i jego adiutanci mieli na sobie standardowe polowe mundury. W sali byli też Xance z NorthColu – wyraźnie zmęczony i blady – wraz z zastępcami, dowódca narzeniańskich czołgistów Grizmund, Nash z Roane oraz tuzin starszych oficerów Vervun Prime i komisarz VPHC Tarrian.

- Czy to prawda ? – zapytał Kowle zdejmując czapkę, ale nie oddając zebrany żadnym formalnym salutów.

Croe skinął głową, nic jednak nie odpowiedział.

- Vannick Hive zostało zniszczone dziewięćdziesiąt minut temu – chrząknął Tarrian.

- Zniszczone ?

- Jestem pewien, że określenie to nie jest ci obce, Kowle – powiedział pustym głosem Croe – Miasta już nie ma.

- Zoica zrównała je z ziemią. Nie mamy pojęcia, jak. Musieli w jakiś sposób dostać się pod Tarczę i zdetonować ładunek nuklearny

Croe przerwał Anko w połowie zdania.

- Sposób, w jaki to zrobili nie jest teraz istotny, wicemarszałku ! Istnieje mnóstwo kwestii „jak”, nad którymi moglibyśmy tutaj debatować ! Pytanie brzmi „dlaczego” ?

- Zgadzam się, marszałku – powiedział Sturm – Musimy przyjąć, że tej kwestii już nie wyjaśnimy. Znane są przypadki zniszczenia szturmowanych fortyfikacji przez zbyt ambitne działania atakujących. Być może Zoica próbowała przejąć miasto i uderzyła... zbyt mocno.

- A istnieje jakiś inny sposób uderzenia, kiedy korzysta się z broni atomowej ? – na szczycie schodów rozległ się czyjś zimny głos. Wszyscy odwrócili w tamtym kierunku głowy.

- Gaunt... – wysyczał przez zęby volpoński pułkownik Gilbear.

Wysoki przybysz nosił czapkę komisarza i długi czarny płaszcz. Kiedy podszedł do stołu, zebrani spostrzegli kurz na jego ubraniu. Zsalutował krótko marszałkowi Croe.

- Pułkownikkomisarz Gaunt, Pierwszy Tanithu. Przybyliśmy z pomocą.

- Witam, Gaunt. Chciałbym być szczęśliwszy widząc pana tutaj – odparł z szacunkiem białowłosy olbrzym – Czy pańscy ludzie zajęli już kwatery ?

- Jechali do wyznaczonych stref, kiedy ich opuściłem. Chciałem tu dotrzeć tak szybko, jak to tylko było możliwe.

- To ten sławny Gaunt – wyszeptał Anko do Tarriana.

- Chciał pan zapewne powiedzieć „osławiony” – mruknął w odpowiedzi pochmurny Tarrian.

Gaunt stanął przy stole, zdjął rękawiczki i zaczął studiować taktyczną mapę. Po chwili podniósł wzrok znad blatu i uklonił się lekko Nashowi.

- Witam, generale.

- Dobrze pana widzieć, komisarzu – odparł Nash. Ich regimenty służyły razem na Montaxie i pomiędzy żołnierzami obu narodowości powstały w tym czasie przyjacielskie więzi.

Gaunt pozdrowił narzeniańskich oficerów, po czym spojrzął na Sturma, Gilbeara i pozostałych Volpończyków gapiących się na niego lodowatym

wzrokiem.

- Generał Sturm. To dla mnie przyjemność. I major Gilbear.

Gilbear próbował powiedzieć coś obraźliwego, ale Sturm uprzedził go, zrobił krok do przodu i wyciągnął do Gaunta rękę - Brawura Gilbeara na Monthaxie przyniosła mu naszywki pułkownika, Gaunt.

- Moje gratulacje, Gilbear – komisarz uśmiechnął się serdecznie i uściśnął dłoń generała.

- Cieszę się, że mamy tutaj jeszcze więcej walecznych, oddanych sprawie gwardzistów, Gaunt. Witaj.

Gaunt uśmiechnął się do siebie. Kiedy ostatnim razem rozmawiał ze Sturmem na Voltemandzie, sukinsyn próbował postawić go przed plutonem egzekucyjnym. Komisarz nigdy nie wybaczył volpońskiemu generałowi zbrodniczych rozkazów, które przyniosły wielu Duchom śmierć od pocisków własnej artylerii.

Odstawiasz ten pokaz koleżeństwa, bo zależy ci na dobrym wizerunku w oczach lokalnych dygnitarzy, pomyślał Gaunt odwzajemniając beznamiętnie spojrzenie Sturma. Jesteś nieprawdopodobnym skurwysynem i szkoda mi tych ludzi, którzy będą się musieli obracać w twoim towarzystwie.

Gaunt był jednak równie zręcznym politykiem jak oficerem liniowym i znał tajniki salonowych wojen.

- Jestem pewien, że nasi dzielni towarzysze z Volpone poradziliby sobie dobrze sami.

Sturm uklonił się raz jeszcze i przerwał uścisk dłoni zastanawiając się, jaka potencjalna obraza mogła się skrywać w uprzejmych słowach komisarza.

- Z twojego pierwszego zdania wnioskuję, iż uważasz zniszczenie Vannick Hive za celowe – Kowle zrobił krok w stronę Gaunta i obaj komisarze wymienili pełne respektu saluty.

- Komisarz Kowle, Bohater Ludu. Dużo czasu minęło od Balhautu.

- Ale wspomnienia nigdy nie przeminą – odparł Kowle.

- Komisarz Kowle prawidłowo odgadł sens mojej wypowiedzi. Nieprzyjaciel rozmyślnie zniszczył Vannick Hive. Czy istnieje inne wyjaśnienie dla termonuklearnego wybuchu ?

- Samobójstwo – zaproponował Grizmund – Ostatni akt desperacji w obliczu zwyciężającego wroga. Detonacja miejskich generatorów mocy.

Kilku vervuńskich oficerów wymruczało coś i pokręciło głowami z niedowierzaniem.

- Jesteś nowy na Verghaście, generale, dlatego nie czujemy się urażeni twymi słowami – oświadczył Tarrian – Żaden Verghastyta nie byłby tak szalony, by niszczyć miasto w obliczu wroga. Metropolie są dla nas świętością, Imperatorowi chwała. To poprzez nie czcimy go i honorujemy. Vannick Hive nie zniszczyło się samo.

Wokół stołu rozległy się słowa aprobaty dla słów Tarriana.

- Dobrze powiedziane – stwierdził Grizmund – Lecz jeśli to miasto by upadło, uchroni nas przed tym Imperatorze... Pozwolilibyście, by zajął je nieprzyjaciel ?

Gaunt natychmiast uciszył burzę gniewnych protestów.

- Jestem pewien, że generał nie zamierzał kwestionować niczyjej lojalności. I ma słuszość zadając to pytanie, gdyż z przykrością muszę stwierdzić, iż Vervunhive może się spodziewać jedynie zagłady ze strony wroga.

- Ale dlaczego ? – zapytał Croe – Znów pojawia się to pytanie ! Inwazja, podbój... Rozumiem te pojęcia ! Ale dlaczego ktoś niszczy to, o co walczył ? Gdzie sens takiego działania ?

- Marszałku, musimy stawić czoła mrocznej prawdzie – oświadczył Gaunt – Przystudiowałem przysłane mi raporty i sprawozdania. Komisarz Kowle meldował o milionach wrogich żołnierzy, armii wykraczającej stanem liczebnym poza nasze wyobrażenia i nieproporcjonalnie wielkiej w stosunku do zamieszkującej Ferrozoicę populacji. Oto wyjaśnienie. Vervunhive wystawiło pół miliona żołnierzy z czterdziestomilionowej

społeczności. Zoica mogła zmobilizować swą armię przy trzykrotnie mniejszej populacji... jeśli do armii wcielono całą społeczność.

- Jak ? – wicemarszałek Anko parsknął ironicznym śmiechem.
- Proszę kontynuować, komisarzu – powiedział Croe.
- To nie podbój. Nie konfrontacja między miastami, konflikt handlowy, wasza Wojna Kupiecka. Zoica nie wystawiła armii i wysłała ją w pole, by przejąć kontrolę nad planetarną produkcją ani by pozbawić wpływów swego starego rywala Vervunhive. Oni wyruszyli, żeby nas eksterminować.
- Piętno – wymruczał z nagłym zrozumieniem generał Nash.
- Tak – potwierdził Gaunt – By wcielić w szeregi armii nie tylko żołnierzy, ale i robotników oraz ich rodziny, trzeba nieprawdopodobnej charyzmy: grupowego szaleństwa, mentalnej korupcji, psychicznej skazy. Plugawe moce Chaosu kontrolują Zoicę, nie mam już żadnych wątpliwości w tym względzie. Trucizna pochodząca z warpu skaziła waszych dostojnych sąsiadów i wysłała każdego mężczyznę, kobietę i dziecko na wojenną ścieżkę, której celem jest zniszczenie tego świata i wszystkiego, co znajduje się na jego powierzchni.

V – Twarzą w twarz z wrogiem

„Na wojnie dobrze jest w pierw poznać wroga, który obozuje razem z tobą - zanim wyruszysz w stronę nieprzyjaciela i zdziwisz się, że jesteś sam”

– marszałek wojny Slaydo, fragment Rozprawy o sztuce wojennej

Grupa lokalnych żołnierzy w niebieskich płaszczach czekała na nich przy wjeździe do betonowego kompleksu, skąpanym w białym świetle sodowych lamp. Automaty przewiesili przez ramiona, na głowach mieli wełniane berety, szpiczaste hełmy zwisały z ich pasów. Kierowali ciężarówki do wyznaczonych miejsc machając lampami sygnalizacyjnymi.

Sierżant Mkoll pierwszy wjechał na teren kompleksu, zatrzymując motocykl na kompozytowym podejździe i kopiając boczną podpórkę. Ciężka maszyna przechyliła się na lewo i zamilkła, jej silnik zaczął stygnąć. Mkoll zeskoczył z siodła obserwując wjeżdżające na plac ciężarówki.

Sierżant rozejrzał się wokół. Przydzielone im do zakwaterowania miejsce wyglądało odpychająco, ale Tanith pewnie wyglądało teraz jeszcze gorzej. Pomimo ryku samochodowych silników zwiadowca wyczuł za sobą czyjąś obecność i odwrócił się raptownie, zanim intruz zdążył otworzyć usta.

- Spokojnie ! – powiedział zbliżający się szybkim krokiem mężczyzna. Był wysokim, dobrze zbudowanym dwudziestolatkiem w mundurze lokalnego garnizonu. Na kołnierzu nosił naszywki kapitana. Ponieważ jego prawa ręka wisiała na przyciśniętym do piersi temblaku, niebieski płaszcz przerzucił przez drugie ramię. Mkoll pomyślał, że młody oficer powinien się cieszyć, iż prawy rękaw płaszcz nie został pusty już na stałe. Sierżant podniósł dłoń do salutu.

- Przepraszam, zaskoczył mnie pan. Sierżant Mkoll, tanithijski Pierwszy i Jedyński.

Kapitan oddał salut lewą ręką. Mkoll zauważył, że oficer utyka lekko, a na jego twarzy widnieją liczne sińce i zadrapania.

- Kapitan Ban Daur, Vervun Primary. Witajcie w Vervunhive.

Mkoll roześmiał się krótko. Nigdy dotąd nikt nie witał go osobiście w strefie wojennej.

- Czy możesz mnie przedstawić swemu przełożonemu ? – zapytał Daur – Mam nadzorować wasz rozładunek. Do niczego innego się nie nadaję – skrzywił się i spojrzał na temblak.

Mkoll skinął głową i obaj ruszyli pomiędzy samochodami, zeskakującymi z pak gwardzistami, chmurami spalin i składanymi na betonie skrzynkami z zaopatrzeniem. Ich skąpane w zimnym sodowym świetle sylwetki rzucały na podjazd małe chybotałe cienie.

- Widzę, że był pan już w akcji ? – zapytał Mkoll.

- Żadnych szans na medal – odparł Daur – Byłem na blankach pierwszego dnia bombardowania. Nawet nie zdążyłem wypatrzeć celu, kiedy rozwalili mi pozycje i pogrzebali pod gruzami. Na kilka tygodni jestem wyłączony z czynnej służby, ale chciałem być użyteczny, dlatego zgłosiłem się na stanowisko łącznika.

- Więc nawet pan nie zobaczył nieprzyjaciela ?

Daur pokręcił przecząco głową.

- Z wyjątkiem Bohatera Ludu Kowle'a i kilku ludzi, którzy wrócili z nim z sawanny, nikt jeszcze nie widział.

* * *

Corbec stał przy ciężarówce paląc cygaro i rozglądając się leniwie wokół, obojętny na gorączkowy ruch panujący na placu. Obracał się powoli w miejscu próbując oszacować w myślach rozmiary metropolii majacej poza zasięgiem światła sodowych lamp. Dostrzegał w mroku kominy fabryk i hut, dachy mieszkalnych habitatów, wielką kopułę bazyliki Eklezjarchii, a za nimi czarny zarys Main Spine: gigantycznej budowli iluminowanej milionem jasnych okien. Była wielka niczym górski masyw w domu na...

Nigdzie. Wciąż jeszcze zapominał się czasami.

Jego wzrok przyciągnął wielki pylon wznoszący się przy Main Spine. Obiekt sprawiał wrażenie serca całej metropolii. Kaskady trzeszczącej energii wypływały z wierzchołka konstrukcji i wnikały w migotliwą zieloną powłokę pola siłowego rozciągniętą ponad miastem. Corbec nigdy wcześniej nie widział pola siłowego takich rozmiarów. Coś zwróciło jego uwagę. Spojrzał na południe i dostrzegł jasne rozbłyski eksplozji w miejscach, gdzie pociski uderzały w powierzchnię Tarczy. Najwyraźniej pole dobrze się spisywało.

Wciągnął w płuca następną chmurę tytoniowego dymu i czubek jego cygara rozjarzył się czerwonym światłem. Świadomość rozmiarów metropolii zaczynała go przygniatać. Miał okazję przyjrzeć się reakcji swych chłopców, gdy wjeżdżali do miasta, gapiących się z oszołomieniem monumentalne budowle. Wiedział, że musi ich szybko wyprowadzić z tego stanu nabożnego podziwu albo będą zbyt zajęci oglądaniem otoczenia, by walczyć.

- Zgaś to natychmiast ! – za jego plecami rozległ się ostry władczy głos. Corbec odwrócił się i przez moment sądził, że to Gaunt. Ale tylko przez moment. Idący w jego kierunku komisarz nie miał w sobie nic z aury Gaunta. Nosił lokalne insygnia, a jego puciołowata twarz była niezdrowo blada. Corbec nic nie powiedział, wyjął tylko cygaro z ust i uniósł pytająco brwi. Był dobre dwadzieścia pięć centymetrów wyższy od mężczyzny w czarnym uniformie.

Oficer zatrzymał się kilka kroków od Tanithijczyka szacując wzrokiem rozmiary Colma Corbeca.

- Komisarz Langana, VPHC. To strzeżony teren. Zgaś tego cholernego papierosa !

Corbec włożył cygaro z powrotem do ust i wciąż nic nie mówiąc postukał palcem w naszywki pułkownika na ramionach.

- Ja... – zaczął mężczyzna, ale zaraz uznał, że lepiej będzie się wycofać i odszedł bez słowa.

- Pułkowniku ?

Zbliżał się Mkoll w towarzystwie innego lokalnego wojskowego, na szczęście noszącego mundur regularnej armii, a nie uniform oficera politycznego.

- To jest kapitan Daur, nasz oficer łącznikowy – słysząc swe nazwisko Daur stuknął obcasami w najlepszy sposób, na jaki stać było ranionego w nogi oficera, po czym

zasalutował swą lewą ręką. Ku jego zaskoczenia Corbec bez wahania wyciągnął do niego lewą dłoń. Uścisnęli mocno ręce. Daur natychmiast poczuł sympatię do brodatego wytatuowanego olbrzyma. Obcy bez mrugnięcia okiem zaakceptował niedyspozycję kapitana i nie pozwolił mu poczuć się kaleką.

- Witamy w Vervunhive, pułkowniku.

- Nie mogę powiedzieć, że cieszę się będąc tutaj, kapitanie, ale wojna to wojna i musimy iść tam, gdzie tego chce Imperator. Czy to pan przygotowywał te kwatery ?

Daur spojrzął na okopcone budynki, do których Tanithijczycy wnosili swoje bagaże.

- Nie, sir – odpowiedział zmieszonym tonem – Oczekiwałem lepszych. Ale przestrzeń stała się teraz niezwykle cenna w mieście.

- W tak wielkim miejscu ? – parsknął Corbec.

- Zostaliśmy zalani falą uciekinierów i rannych z południa. Wszystkie wolne obszary takie jak Commercica, kosmoport czy fabryki zostały otwarte, by ich gdzieś umieścić. Zażyczyłem sobie kwater o wyższym standardzie w dolnej części Main Spine, ale wicemarszałek Anko kazał was rozlokować bliżej Muru. No i jesteśmy tutaj. Kompleks magazynowy fabryki chemicznej Gavunda. Ktoś na górze uznał, że tego właśnie jesteście warci.

Corbec pokiwał głową. Brudne magazyny dla tanithijskich Duchów. Mógł postawić w zakład całomiesięczny żołd, że volpońscy Błękitnokrwieści nie będą tej nocy spędzać w jakimś zardzewiałym hangarze.

- Oczyszciliśmy dla was siedem tysięcy metrów kwadratowych magazynów i możecie zająć sobie więcej, jeśli wam zabraknie miejsca.

- Nie ma potrzeby – powiedział Corbec – Jesteśmy małym regimentem. Nie zajmiemy wiele miejsca.

Daur poprowadził obu Tanithijczyków do wielkiego magazynu, gdzie przygotowywała sobie kwatery większość Duchów. Poprzez rozsunięte wrota Corbec dostrzegł sąsiedni magazyn, gdzie rozkładała swe rzeczy reszta gwardzistów.

- Moi ludzie wykopali w tamtym miejscu latryny, a w magazynie po lewej działają jeszcze prysznice – pokazał palcem Daur – Wodociągi wciąż są pełne, więc możecie się wykapać. Na wszelki wypadek pozwoliłem sobie zrobić zapasy wody i paliwa, gdyby się skończyły.

Corbec spojrzął w kierunku wskazanym przez Daura i ujrzał rząd cystern zaparkowanych przy wschodnim ogrodzeniu.

- Magazyny trzeci, czwarty i piąty są wyładowane żywnością i innymi zapasami o krótkotrwałym okresie przechowywania. Amunicja zostanie dostarczona o świcie. Dom Dowódczy wywalczył od Domu Anko jeszcze jeden budynek, w którym możecie urządzić centrum medyczne.

Corbec obejrzał wskazany mu przez kapitana budynek.

- Mkoł, każ tam zajrzeć Dordenowi – słysząc rozkaz sierżant złapał najbliższego gwardzistę i wysłał go na poszukiwania oficera medycznego.

- W tych biurach przygotowaliśmy główne i zapasowe centrum komunikacyjne – Daur wprowadził ich do budynku będącego dyrekcją magazynów. Pokoje pełne były kurzu i pajęczyn, ale na ich ścianach wisiały już dwa ciężkie radiokomunikatory, migoczące kontrolkami i wyrzucające z siebie potok radiowych transmisji. Przy urządzeniach leżały nawet ryzy czystego papieru i zatemperowane ołówki. Ta pieczołowitość wywołała uśmiech na pomyślał.

ustach Corbeca. Może to mentalność mieszkańców miasta, pomyślał.

- Proponuję to miejsce jako pańską kwaterę, sir – powiedział Daur i wskazał pułkownikowi niewielki pokój z tapczanem i biurkiem. Corbec obejrzał pomieszczenie, pokiwał głową i odwrócił się do kapitana.

- Muszę oświadczyć, że nasze kwatery zostały dobrze przygotowane pomimo jakości budynku, jakie wasi mocodawcy oddali nam do dyspozycji. Wygląda na to, że pomyślał pan o wszystkim. Jestem pod wrażeniem.

Daur skłonił się lekko, zadowolony.

Corbec wyszedł z biura i przyłożył do ust złożone dłonie.

- Sierżant Varl !

Varl przerwał rozładunek ciężarówki i przebiegł przez hangar do dowódcy mijając kręcących się wokół Tanithijczyków.

- Pułkowniku ?

- Spocznij. Wygrałeś służbę zaopatrzeniową. Tamte składy – Corbec zerknął na Daura prosząc wzrokiem o potwierdzenie – są przeznaczone na nasze magazyny. Dobierz sobie ekipę i przenieście tam zapasy z aut.

Varl zasalutował i odbiegł szukając ochotników do pomocy.

Z Daurem i Mkollem po bokach, Corbec obserwował ruch na terenie kompleksu.

- Wygląda na to, że Duchy rozgościły się w domu – mruknął sam do siebie.

- Duchy ? Dlaczego was tak nazywają ? Skąd jesteście ? – zapytał Daur.

- Z Tanith – odpowiedział Mkol.

- Znikąd – Corbec poprawił sierżanta z pozbawionym wesołości uśmiechem – Jesteśmy znikąd i dlatego właśnie zwą nas Duchami.

* * *

- To jedyne dostępne miejsce – oświadczył beznamiętnie Langana.

- Nie podoba mi się – odpowiedział Dorden przesuwając wzrokiem po brudnych ścianach hangaru, rozbitych szybach, stertach śmieci na podłodze i grubej warstwie kurzu – Nie mogę tutaj urządzić szpitala polowego. Ten syf zabije więcej moich ludzi niż nieprzyjaciel.

- Rozkazy wicemarszałka były precyzyjne – oficer VPHC zmierzył lekarza wzrokiem – Ten budynek został wyznaczony dla potrzeb służb medycznych.

- Możemy tu posprzątać – zaproponował szeregowiec Lesp. Niski i szczupły, stał w drzwiach wejściowych hangaru wraz z Chaykerem i Foskinem. Ta trójka stanowiła ekipę medyczną Dordena, osobiście wyszkoloną przez starego lekarza. Gherran i Mtane, dwaj pozostali gwardziści posiadający kwalifikacje lekarzy polowych, zaglądali do środka ponad ramionami kolegów.

- Czym ? – zapytał Dorden – Zanim wyczyścimy tę rudere, wojna dawno się już skończy.

Lesp wzruszył ramionami.

- Musicie sobie poradzić – oświadczył Langana – Wojna jest czynnikiem, który nakazuje nam pracować z całą siłą rąk i pokornym posłuszeństwem w umysłach.

Dorden przysunął swą poznaczoną zmarszczkami twarz do pucołowatego oblicza Langany.

- Sam sobie tę bzdurę wymyśliłeś czy ktoś ci takie teksty pisze ?

Sanitariusze z trudem próbowali powstrzymać chichot, Gherran i Mtane otwarcie wybuchli śmiechem.

- Mogę cię zniszczyć za taką beczelność ! – warknął Langana, jego blade policzki poczerwieniały raptownie.

- Doprawdy ? – wyduł usta Dorden – I pozbawiłbyś regiment Imperialnej Gwardii głównego oficera medycznego ? Twój wicemarszałek nie byłby zachwycony słysząc o czymś takim, prawda ?

Langana próbował coś powiedzieć, ale przerwał mu donośny kobiecy głos.

- Szukam doktora ! Halo ?

Dorden minął oburzonego komisarza i wyszedł za drzwi. Przed wejściem stała niska młoda kobieta w czerwonym uniformie z podwiniętymi rękawami. Przez ramię miała przewieszoną lekarską torbę. Towarzyszyło jej pięciu podobnie ubranych pracowników służb medycznych: trzech mężczyzn i dwie kobiety.

- Dorden, główny oficer medyczny, Pierwszy Tanithu.

- Chirurg Ana Curth, szpital miejski 67/mv – przedstawiła się lekkim skinieniem głowy i rozejrzała po brudnym hangarze – Kapitan Daur, wasz oficer łącznikowy, był zaniepokojony stanem sanitarnym kwater i zwrócił się do moich przełożonych z prośbą o pomoc.

- Jak widzisz, Ana, czeka nas mnóstwo prac porządkowych – Dorden objął ruchem dłoni zdewastowane pomieszczenie.

Kobieta zmarszczyła gniewnie czoło. Poufałość Tanithijczyka zaskoczyła ją, tego rodzaju formy kontaktu w metropolii należały do rzadkości. Były niespotykane, wręcz oburzające.

Pracowała równie ciężko jak mężczyźni, by zdobyć swój obecny status i pozycję społeczną.

- Jestem chirurg Curth, medyku – oświadczyła szorstkim tonem.

Dorden spojrział na nią zdumiony i zaraz uświadomił sobie, że w jakiś iwie.

sposób uraził dumę lekarki. Stojący za plecami oficera medycznego Langana uśmiechnął się złośliwie.

- Mój błąd. Chirurg Curth, rzecz jasna – Dorden odwrócił wzrok – Cóż, jak pani zapewne widzi, nie ma tu miejsca dla rannych. Czy mogłaby pani... wspomóc nas ?

Zmierzyła go wzrokiem, wciąż jeszcze zła, ale powoli wracająca do równowagi. Było coś takiego w zmęczonym głosie mężczyzny, co niemal kazało jej pożałować ostrych słów. To nie był buńczuczny żołnierz próbujący nad nią górować, tylko stary człowiek o opuszczonych w geście bezradności ramionach. Jego postać emanowała aurą wyczerpania, której nie zdołałby usunąć zwykły sen. Te oczy widziały zbyt wiele złego, pomyślała.

Odwróciła się do Langana.

- W takim miejscu jak to nawet bydła bym nie trzymała. Zostanie podniesione do kategorii M w trybie natychmiastowym.

- Nie możesz... – zaczął Langana.

- Ależ mogę, komisarzu. Piąta Księga Praw, ustęp 457/hj: W przypadku stanu wyjątkowego personel medyczny ma prawo do dysponowania wszelkimi rezerwami w celu zapewnienia dostatecznie wysokiego poziomu pracy ekip lekarskich. Życzę sobie tutaj drużynę miejskiego departamentu sanitarnego, z odkurzacami i pompami wodnymi. Chcę dezynfekcji całego budynku. Chcę sześćdziesięciu polowych łóżek, parawanów, czterech stołów operacyjnych z zestawem lamp, urządzeń monitorujących i instrumentów, osłon na drzwi i okna, zapasowego generatora prądu, bieżącej gorącej wody. I załatania dziur w tym cholernym suficie !

- Ja...

- Czy zrozumiał mnie pan, oficerze polityczny Langana ?

- Muszę zgłosić te zapotrzebowanie do Domu Dowódczego – oświadczył komisarz.

- Więc zrób to ! – warknęła Curth. Dorden obserwował ją z ukosa. Już polubił tę kobietę.

- Użyj mojego kodu kastowego: 678/cu. Zapamiętasz ? To da ci autoryzację wymaganą do wykonania moich poleceń. I zrób to natychmiast, Langana !

Komisarz zasalutował niechętnie i wyszedł z hangaru, przepychając się pomiędzy pochrząkującymi znacząco Tanithijczykami.

- Moje podziękowania, chirurgu Curth. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

- Wykonaj dobrze swoją pracę i będziemy kwita – oświadczyła oschle – Mam w szpitalu więcej rannych uchodźców niż jestem w stanie obsłużyć. Nie chciałabym dodatkowo zajmować się waszymi rannymi, kiedy dojdzie do wymiany ognia.

- Nie będzie takiej konieczności. Dziękuję raz jeszcze, chirurgu – Dorden posłał jej swój najserdeczniejszy uśmiech. Rysy jej twarzy złagodniały nieco i uśmiechnęła się również, ale natychmiast ruszyła wraz ze swoją ekipą do wyjścia.
- Wrócimy za dwa dni, żeby wam pomóc rozstawić szpital.
- Chirurgu ?
- Przystanęła i obejrzała się przez ramię.
- Jak bardzo jesteście przeciążeni ? Rannymi.
- Krytycznie – westchnęła.
- Przyda wam się szczęściu wyszkolonych medyków ? – zapytał Dorden i wskazał dłonią swoich podwładnych – Nie mamy jeszcze żadnych rannych, Imperatorowi dzięki. Dopóki się nie pojawią, chętnie was wspomozemy.
- Dziękuję. Wasza pomoc jest zaakceptowana. Chodźcie z nami.

* * *

Varl wtoczył się do magazynu ze stertą skrzynek na rękach, dźwigając nadludzko ciężki ładunek dzięki swej cybernetycznej kończynie. Jako przełożony grupy trzydziestu gwardzistów nadzorował magazynowanie regimentowych zapasów. W składzie piętrzyły się już palety skrzynek, równo ułożone i oznakowane potrójnymi papierowymi manifestami, wciąż jednak pozostawało mnóstwo wolnego miejsca.

Kolejny samochód podjechał tyłem do wrót magazynu i zamigał światłami. Domor, Cocor i Brostin zaczęli ściągać z platformy paczki z żywnością. Varl oznakował kawał wolnego miejsca z myślą o amunicji, która miała być dostarczona do składu następnego dnia. Caffran podniósł wzrok słysząc wołanie sierżanta.

- Sprawdź kąty – rozkazał Varl – Zobacz, czy tył magazynu jest zabezpieczony.

Caffran skinął głową, podniósł z najbliższej palety swoją kamizelkę kuloodporną i maskujący płaszcz, założył je na siebie. Wciąż jeszcze ociekał potem. Przewiesił przez ramię laser i zaczął przeciskać się między skrzynkami kontrolując mroczne zakamarki pod zardzewiałą tylną ścianą hangaru.

Coś poruszyło się w ciemności.

Ściągnął z ramienia karabin. Szczury ?

Ruch się nie powtórzył. Caffran okrążył ostrożnie róg najbliższej palety i zauważył skrzynkę o podważonym wieczku. Ułożone wewnątrz paczki z suszonymi suszonymi owocami były porozrzucane. Rzeczywiście gryzonie. Na ziemi dostrzegł kawałki podartych plastikowych opakowań. Trzeba będzie rozłożyć pułapki i trutki.

Zawahał się na moment. Dziura w skrzynce znajdowała się wysoko nad powierzchnią betonu, za wysoko dla szczura. Chyba, że w tym mieście rosły gryzonie wielkości psów. To by go nie zaskoczyło, w końcu wszystko w Vervunhive miało kolosalne rozmiary.

Odbezpieczył laser i zaczął przesuwając się powoli za następną stertę paczek. Coś zaszeleściło ponownie.

Skoczył do przodu z podniesionym karabinem szukając celu. Być może lokalne gryzonie były jadalne. Przez ostatnie czterdzieści dni nie pojawiło się zbyt wiele okazji do skosztowania świeżego mięsa.

Coś poruszyło się po jego lewej stronie i przypadł na jedno kolano z gotową do strzału bronią. Za skrzyniami żywności dostrzegł wypełniony szmaragdowym blaskiem okrąg - wybitą w ścianie hangaru dziurę, przez którą sączyło się światło emitowane przez pole siłowe.

Zrobił krok do przodu.

Szuranie po prawej.

Odwrócił się na pięcie. Nic. Więcej pootwieranych skrzynek.

Jakiś kształt pojawił się błyskawicznie przy otworze przysłaniając poblask Tarczy, przecisnął się przez dziurę. Caffran runął w ślad za nim, uderzył barkiem w wyrwę krzywiąc i łamiąc cienką zardzewiałą blachę, wypadł prosto na rumowisko rozciągające się za magazynem.

Upadł na brzuch, złożył się do strzału...

I zobaczył chłopca. Mały chłopiec, ośmio, może dziewięcioletni, pędził pomiędzy stertami gruzu ściskając w rękach paczki suszonych owoców. Kiedy dotarł do granicy kompleksu, z ciemności wychynęła inna postać. Dziewczyna, starsza od niego, nastolatka, ubrana w prowokacyjne szmatki i obwieszona kolczykami. Zabrała chłopcu jedzenie i uściśniła go mocno.

Caffran podniósł się na nogi.

- Hej ! – zawołał.

Dziecko i dziewczyna spojrzeli na niego błyskawicznie, niczym zwierzęta, które wyczuły obecność myśliwego.

Caffran miał tylko chwilę na przyjrzenie się dzikiej, ale przepięknej twarzy dziewczyny, zanim pochwyciła dziecko i razem znikli w mroku nocy. Podbiegł do zniszczonego ogrodzenia, ale już nie było po nich śladu.

* * *

W kanale odpływowym jakieś sto metrów od magazynu Tona Criid przycisnęła do siebie Dalina i nakazała mu ruchem dłoni milczenie.

- Dobry chłopiec, dobry chłopiec – wymruczała i otworzyła jedną z paczek. Dalin pochłonął natychmiast jej zawartość. Był głodny. Wszyscy byli głodni.

* * *

Odżywcze płyny pompowane do wnętrza Żelaznego Zbiornika nasycaly władcę Vervunhive. Dryfował w oleistej substancji ospale, z podkurczonymi nogami i rękami, niczym drzemący pies. Śnił o Wojnie Kupieckiej, konflikcie sprzed jego narodzin. Obrazy w jego śnie pochodziły z zapisów video studiowanych w młodości. Śnił o swym bohaterskim poprzedniku, wielkim Heironymo, demaskującym ukrytą rywalizację z Ferrozoicą i mobilizującym armię. Jak źle, jak głupio ! Co za godny ubolewania kult fizycznej siły ! A metropolia tak podziwiała jego charyzmatyczne przywództwo. Głupcy ! Bydło ! Coś jeszcze gorszego od bydła !

Handel zawsze był wojną. Ale wojną toczoną w subtelny sposób. Ogłaszać wojnę, mobilizować populację, przeznaczać podatki miasta na produkcję broni, amunicji, racji żywnościowych...

Cóż to był za patetyczny umysł, ten Heironymo. Jakimż musiał być ślepcem, by nie dostrzegać prawdziwych rodzajów zwycięstwa. Dom Clatch będzie cierpiał konsekwencje handlowych embarg na długo przed tym, jak dzielni chłopcy z Vervun Primary zajmą mury Ferrozoicy. Tu koncesja, tam blokada, zamrożenie kont bankowych...

Salvador Sondar podpłynął wyżej dachu zbiornika, jego umysł wypełnił się teraz strumieniem kodu maszynowego zawierającego informacje o poziomie miejskiej produkcji, poborze energii, kursach wymiany walut i cen surowców. Matematyczne wizje kupieckiego zwycięstwa przedkładał ponad wszelkie inne przyjemności wszechświata.

Przeciągnął się w ciepłej gęstej wodzie, bąbelki powietrza umknęły w górę, ku dachowi Żelaznego Zbiornika. Cieszył się, że w końcu zabił starego człowieka. Heironymo rządził zbyt długo. Liczący sto dwadzieścia lat, uwielbiany przez głupie tłumy starzec nie miał wcale zamiaru ustąpić miejsca swemu dwudziestoletniemu wnukowi i oczywistemu sukcesorowi.

To był akt miłosierdzia, powtarzał sam sobie Salvator, choć poczucie winy gnębiło go przez ostatnie pięćdziesiąt lat. Jego zanurzone w zawieszynie rysy twarzy wykrzywiły się.

Tak, akt miłosierdzia... dla dobra metropolii i świetności Domu Sondar ! Czyż majątek rodu nie uległ trzykrotnemu powiększeniu za jego rządów ? A teraz Gnide, Croe, Chass i inni nieudacznicy próbują wmówić mu, że wojna handlowa już nie wchodzi w grę. Głupcy !

Gnide...

Teraz... on już nie żył, prawda ?

I Slaydo też ? Wielki marszałek wojny, uśmiercony trucizną. Nie, nieprawda. Zabity na dywanie w pokoju audiencyjnym... nie... nie...

Dlaczego jego sen był taki niewyraźny ? To przez ten szept. Chciałby, żeby ten odgłos umilkł. Był hałasem. Władca Vervunhive życzył sobie, by jego uśpiony umysł był czysty w obliczu nieuniknionego tryumfu.

Tarcza ? Co ? Co mówisz o Tarczy ?

Szept próbował mu coś przekazać.

Nie ! Nn

Myśli Salvadora Sondara urwały się raptownie, ciało zamarło w zbiorniku niczym zeszywniałe zwłoki.

Potem sen pojawił się ponownie. Zatruc serwitorkę kontrolującego pożywienie, czyż to nie był przebłysk geniuszu ? Nikt czegoś takiego nigdy nie podejrzewał ! I użyć neuralnej toksyny, która nie pozostawia śladu. Zgon naturalny, powiedzieli. Zgon, który ostatecznie zakończył rządy starego Heironymo. Salvador musiał sobie zakropić podrażniającym płynem oczy, by z krzykiem wylewać łzy przed trumną poprzednika.

Te płacze ! Ta masowa żałoba ! Po pięćdziesięciu latach wspomnienie to nadal budziło jego złość. Dlaczego mieszkańcy metropolii tak bardzo kochali tego starego sukinsyna ?

Szept pojawił się ponownie, na samym krańcu jego receptorów nerwowych, niby krzyk ptaków nadbiegający o świcie z odległego lasu, niby cykanie owadów na sawannie o zmierzchu.

Szeptanie...

Tarcza ? Co mówisz o Tarczy ?

Jestem Salvador Sondar ! Opuść mój umysł i

Skurczone ciało zaczęło dygotać spazmatycznie wewnątrz zbiornika. Stojący na zewnątrz serwitorky poruszali się chaotycznie w rytm ruchów swego pana.

* * *

Wielki terminal kolejowy przy Bramie Veyveyr był czarnym wypalonym gruzowiskiem. Kłęby pary unosiły się niczym chmury nad stygnącym betonem i stopionym żelastwem, na które wylano miliony litrów wody, by zdławić gigantyczny pożar.

Major Jun Racine z Vervun Primary krążył pomiędzy ekipami roboczymi i próbował ocenić postępy w porządkowaniu zgliszczy. Próbował... to był żart. Miał do dyspozycji dwustu ludzi, głównie żołnierzy, ale także pracowników Administratum oraz ładowaczy i maszynistów z Gildii Kolejowej. Z trudem tych zasobów wystarczało, by chociaż rozstawić się na terenie objętym robotami.

Racine nie był inżynierem. Pomimo czternastu ciężkich ciągników wyposażonych w spychacze nie widział sposobu na wykonanie rozkazów Domu Dowódczego i zabezpieczenie terenu terminala w ciągu trzech dni. Wielkie fragmenty zerwanego dachu wały się wokół niczym kawałki rozbitej skorupki jajka, a kompozytowe filary przypominały pogięte w palcach woskowe świece. Zabronił swym ludziom kopać w ich pobliżu, by nie zawalić

jeszcze większego fragmentu budowli, a już zmuszony był odesłać pięciu podwładnych do szpitala po tym, jak spadła na nich nadwerżona sekcja dachowa.

Powietrze było wilgotne i ciężkie, a krople wody kapały z każdego kawałka dachu i ściany. Pod nogami oficera powstała gigantyczna kałuża głęboka na pięć centymetrów.

Racine spojrział ponownie na wyświetlacz elektronicznego notesu. Schematyczny rysunek terminala na ekranie w niczym nie przypominał otoczenia majora. Mężczyzna nie potrafił nawet zlokalizować miejsca, w których znajdowały się przed pożarem zbiorniki materiałów łatwopalnych i generator energii. W wielkim kraterze opodal leżała przekrzywiona na bok lokomotywa. Ile paliwa z niej wyciekło? Racine zaczął rozmyślać o wylanym petrolium, urwanych kablach elektrycznych, uciekającym z pękniętych rur gazie, ukrytych pod gruzami niewypałów. Znienawidził tej misji.

- Ciężka robota, majorze – powiedział ktoś za jego plecami.

Racine odwrócił się. Mężczyzna był niski i krępy, koło pięćdziesiątki, usmolony i oparty na oskardzie. Gruby bandaż zakrywał jeden z jego oczodołów. Wnioskując z widocznych pod sadzą i kurzem strzępów ubrania Racine uznał, że ma do czynienia z nadzorcą hutników.

- Nie powinno cię tutaj być, przyjacielu – powiedział z cierpliwym uśmiechem.

- Żadnego z nas nie powinno – odparł Soric Agun robiąc krok do przodu. Stał obok Racine i razem zaczęli przyglądać się wypalonym ruinom stacji ciągnącym się ku uszkodzonej Bramie i mającącemu w oddali Murowi. To było istne morze gruzów i ludzie majora przypominali mrówki walczące z potopem.

- Nawet nie muszę o to pytać. Nie dajecie sobie rady – oświadczył Soric.

- Cholerna prawda. Jesteś z uchodźców?

- Nazywam się Soric. Dyrektor huty Vervun Jeden – Soric wskazał dłonią zrujnowany kształt huty rozciągający się niedaleko terminala – Byłem tam, kiedy spadły pociski. Prawdziwe piekło.

- Wierzę na słowo. Wielu ludzi stamtąd wyciągnąłeś?

Soric wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby i pokręcił głową.

- Zbyt mało. Trzy setki, jak mi się zdaje. Wymieszali się potem z innymi uciekinierami. Było sporo zamieszania.

Racine rzucił okiem na dyrektora wyczuwając nagły gniew w jego głosie.

- Jak z nimi teraz? Słyszałem, że uchodźcy są upchani w mieście ponad wszelkie granice.

- Jest źle. Wyobraź sobie to – Soric pokazał majorowi zniszczony terminal – tyle tylko, że ruiny są ludźmi, a nie ceramitem. Brakuje zapasów: jedzenia, czystej wody, medycznej pomocy. Wszyscy robią, co w ich mocy, ale sam rozumiesz: miliony bezdomnych, wielu z nich rannych, wszyscy przerażeni.

Racine zadrzał.

- Próbowałem załatwić pomoc dla moich robotników, ale powiedziano mi, że wszyscy uchodźcy będą otrzymywali jedną czwartą racji żywnościowych, dopóki nie przyłożą się do pracy na rzecz miasta. Wtedy mogą dostać jedną trzecią, a może nawet połowę.

- Ciężkie czasy... – skomentował Racine i umilkli na chwilę obaj.

- A co, jeśli sprowadzę tu trzy setki żądnych roboty ludzi? Twardzieli, nawykłych do kopania i noszenia ciężarów i znających się na odgruzowywaniu?

- Chcecie pomóc?

- Cholera, tak. Moja ekipa ma dosyć siedzenia na tyłkach w obozie dla uchodźców. Możemy wam pomóc z tą robotą.

Racine spojrział na dyrektora uważnie, zastanawiając się, czy w słowach mężczyzny nie kryje się jakaś sztuczka.

- Dla dobra metropolii? – zapytał uśmiechając się nieznacznie.

- Tak, dla dobra metropolii. I dobra moich robotników, zanim oszaleją albo do reszty stracą morale. I mam nadzieję, że jeśli pomożemy, szepniesz gdzie trzeba odpowiednie słowo. Może wtedy przydzielą nam lepsze racje żywnościowe.

Racine wahał się. Jego komunikator zaczął popiskiwać. To pewnie Dom Dowódczy, pomyślał, domagający się raportu o postępach prac.

- Chcę oczyścić ten teren, a przynajmniej zrobić czysty pas pośrodku. Mój regiment zabezpieczył częściowo bramę, ale jeśli wróg na nas uderzy, będziemy potrzebowali porządnej linii obrony, z wałem, stanowiskami strzeleckimi i okopami łącznikowymi. Ty i twoja banda pomożecie mi to zrobić, a ja załatwię wam odpowiednie jedzenie.

Soric uśmiechnął się i schował oskard po pachę wyciągając do majora brudną dłoń. Racine uściskał ją.

- Huta Vervun Jeden nie zawiedzie pana, majorze.

* * *

Chronometr wskazywał godzinę świtu, ale nawet na wyższych piętrach Mid Spine nie sposób było zauważyć zmiany natężenia światła. Blask Tarczy i kłębiący się nad nią dym skutecznie zagrażały dostęp słonecznym promieniom.

Amchanduste Worlin zjadł śniadanie w kopule obserwacyjnej pałacu. Wstał wcześniej od innych członków rodziny, chociaż po korytarzach krążyli już niżsi rangą pracownicy i serwitorki. Siedział w pomarańczowej koszuli nocnej przy mahoniowym stoliku i jadł posiłek przyniesiony przez serwitorkę kuchenną. Zawartość tacy została wcześniej skontrolowana, inny serwitorka skosztował jedzenie poszukując bezskutecznie śladu trucizny, po czym odszedł odprawiony krótką komendą.

Uwaga Worlina oscylowała pomiędzy panoramicznym oknem kopuły, a wbudowanym w blat stołu wyświetlaczem, gdzie widniały poranne wiadomości i biuletyny kupieckie.

Suflet, smażona ryba, świeże owoce, pieczywo i kubek kawy. Worlin wiedział, że jego śniadanie nie przypomina rekomendowanych przez Legislaturę racji żywnościowych, ale czyż nie była przywilejem członka elitarnej rodziny kupieckiej możliwość skorzystania z zasobów klanu ?

Doprawił kawę odrobiną joiliqi. Po raz pierwszy od wielu dni czuł zadowolenie i nie był to wyłącznie błogi efekt oddziaływania alkoholu. Istniało pewne źródło dochodów Gildii Worlin, które gwarantowało jej wymierne korzyści w czasie trwania konfliktu: ropa naftowa. Całkowicie o niej zapomniał w momencie paniki i gniewu.

W ubiegłym roku wygrał koncesję na dostawy ropy naftowej dla miasta pozbawiając licencji Gildię Farnora, co spotkało się z uznaniem całej niezmiennie.

- Panie ? – jego osobisty sekretarz, Magnal, wszedł do kopuły.

- Tak ?

- Sporządziłem już grafik twego dnia pracy, panie. Przypominam o spotkaniu z Radą Gildii o jedenastej.

- Pamiętam o nim.

rodziny. Trzydzieści procent importu paliwa z Vannick Hive znajdowało się pod bezpośrednią kontrolą Gildii Worlin, trzy kompletne rurociągi. Skontrolował dane o wysokości przepływu ropy, a potem sporządził kilka kalkulacji obrazujących wzrost rynkowej ceny za baryłkę w kolejnych miesiącach wojny. Wykonywał te obliczenia już kilkakrotnie wcześniej, ale wyniki cieszyły go niezmiennie.

- Panie ? – jego osobisty sekretarz, Magnal, wszedł do kopuły.

- Tak ?

- Sporządziłem już grafik twego dnia pracy, panie. Przypominam o spotkaniu z Radą Gildii o jedenastej.

- Pamiętam o nim.

Magnal zawahał się na moment.

- Coś jeszcze ?

- Ja.. ja przyniosłem ostatniej nocy dyrektywę Legislatury. Tę nakazującą odcięcie wszystkich rurociągów po tym, jak upadło nasze sąsiedzkie miasto. Nie autoryzowałeś jeszcze polecenia zamknięcia, panie.

- Zamknięcia...

- Wszystkie gildie kontrolujące przepływ ropy mają wysadzić w powietrze rurociągi na północnym brzegu rzeki i zamurować wyloty – Magnal próbował pokazać Worlinowi trzymane w dłoni pismo, ale kupiec zbył go ruchem ręki – Nasi pracownicy są już gotowi...

- Jak dużo paliwa zgromadziliśmy w rafinerii przy Hass East ?

Magnal wymienił liczby.

- Ile ciągle jeszcze płynie przez rurociągi ?

Kolejne wartości. Worlin pokiwał głową.

- Ubolewam nad tragicznym losem naszych kuzynów z Vannick, ale paliwo ciągle płynie. Obowiązkiem Gildii Worlin wobec Vervunhive jest utrzymanie przepływu, dopóki istnieje możliwość odzyskania jak największej ilości surowców. Zamknę rurociągi w chwili, w której wyschną.

- Ale dyrektywa, panie...

- Pozwól, że to ja będę się tym martwić, Magnal. Ropa popłynie jeszcze dzień, może kilka godzin dłużej. Ale jeśli zamknę zawory teraz, potrafisz sobie wyobrazić utracone profity ? To nie byłby dobry interes, przyjacielu. Nie, nie byłby dobry.

Magnal stał ze zmieszana miną.

- Podobno to względy bezpieczeństwa, panie...

Worlin odstawił filiżankę na podstawkę. Uderzyła odrobinę mocno w spodek, bo Magnal podskoczył na ten dźwięk zauważalnie, chociaż szeroki uśmiech nawet na moment nie opuszczał twarzy kupca.

- Nie jestem głupim człowiekiem, skrybo. Traktuję poważnie swoją odpowiedzialność wobec miasta i rodziny. Jeśli zamknę rurociągi teraz, zawiodę obie strony. Niech żołnierze zdobywają chwałę na linii frontu, a historia wspomni i moją odwagę tutaj, walkę z brawurą, na jaką może zdobyć się tylko wybitny człowiek biznesu.

- Twe imię będzie pamiętane, panie – odparł Magnal i kłaniając się opuścił pokój.

Worlin siedział przez chwilę nieruchomo w fotelu, potem odłożył na spodek srebrną łyżeczkę. Nie miał żadnych wątpliwości.

Będzie musiał zabić również tego głupca Magnala.

* * *

Oglądana z samego krańca południowych osiedli podmiejskich, metropolia przypominała w porannych promieniach słońca bladezieloną kopułę przezierającą pomiędzy chmurami dymu.

Kapitan Olin Fencer z Vervun Primary wyczołgał się ze swojego dołka i przetaił zaspane oczy. Powietrze wciąż było gęste od zapachu kordytu, płonącego paliwa i zwęglonego mięsa. Ale tego poranka pojawiło się coś jeszcze. Coś, czego kapitan nie potrafił określić.

Pięćdziesięciosobowy pluton Fencera miał służbę wartowniczą na peryferiach miasta, kiedy zaczęło się bombardowanie. Niemal natychmiast stracili radiokomunikatory i nie pozostało im nic poza okopaniem się w oczekiwaniu na nowe rozkazy, podczas gdy wokół

dzień w dzień ostrzał artyleryjski systematycznie obracał w perzynę kompleksy mieszkalne robotników.

Nie mieli żadnej możliwości wycofania się do metropolii, chociaż Fencer wiedział, że miliony cywilów wybrały tę drogę ucieczki. Kapitan miał posterunek do utrzymania. Pamiętał dobrze chwilę, kiedy pancerna kolumna generała Vegolaina przejechała obok jego pozycji w drodze na sawannę. Żołnierze gwizdali i machali czołgistom. Ukrywali się w bunkrach tej nocy, jedni płaczący z wściekłości, inni zrozpaczeni, kiedy resztki brygady przetoczyły się obok śpiesząc do ostrzeliwanego miasta.

Z plutonu pozostało mu wtedy dwudziestu ludzi.

W następnych dniach z powodu braku łączności z Domem Dowódczym Fencer zaczął wydawać własne rozkazy. Zresztą wątpił, by ktokolwiek w Vervunhive spodziewał się na zewnątrz żywych ludzi. Wypełnił co do joty ruinach

wojskowe protokoły Vervun Primary, organizując kopanie rowów i wnęk strzeleckich, tworzenie linii zaopatrzeniowych i prowizorycznych fortyfikacji w ruinach osiedli. Z nieba wciąż spadały pociski.

Jego zastępca, sierżant Grosslyn, zaminował okoliczne drogi, zaś pozostali żołnierze przygotowali pułapki przeciwpancerne i zapadnie przeznaczone do eliminacji piechurów. Pomimo bombardowania wzniesiono też długi na trzysta metrów wał z ziemi i gruzu, obłożony drutem kolczastym i najeżony metalowymi prętami. Workami z piaskiem obudowano stanowiska trzech karabinów maszynowych i dwóch miotaczy ognia strzegących południowej trasy szybkiego ruchu.

Wszystko to zrobiono dziesiątego dnia. Pod wieczór przy życiu pozostało osiemnastu żołnierzy.

Trzech następnych zmarło od obrażeń bądź wskutek zakażenia ran czternastego dnia, kiedy na niebie płonęły silniki korekcyjne gwardyjskich statków desantowych.

Teraz był świt dziewiętnastego dnia. Brudny i zakrwawiony, Fencer szedł wzdłuż wału obserwując budzących się żołnierzy i wymieniając uwagi ze zmęczonymi podwładnymi schodzącymi z nocnej warty.

Teraz miał pod swoją komendą sześćdziesięciu ludzi. Main Spine zakładało, że za Murem nie pozostało już nic prócz gruzów, że wszyscy zginęli. To był błąd. Nie wszyscy mieszkańcy dzielnic uciekli do metropolii, wielu było zdezorientowanych, zbyt upartych lub po prostu przerażonych do tego stopnia, że postanowiło zostać. W trakcie kolejnych dni bombardowania Fencer odnajdywał mężczyzn i kobiety – a nawet dzieci – krążących wśród zgliszczy. Osoby niezdolne do posługiwania się bronią wysyłał do swoich nielicznych bunkrów, resztę natychmiast wcielał do ochotniczego batalionu.

Lekarstwa i środki opatrunkowe wyciągnęli z punktu sanitarnego zbombardowanej kopalni, w zdewastowanej piekarni założyli szpital połowy kierowany przez młodą dziewczynę imieniem Nessa, która była wykwalifikowaną pielęgniarką. Znaleźli zapasy żywności w stołówkach trzech zrujnowanych fabryczek. Posterunek VHPC przy drodze tranzytowej 567/kl zapewnił im dostęp do karabinów laserowych i krótkiej broni automatycznej oraz materiałów wybuchowych i jednego miotacza płomieni.

Podwładni Fencera pochodzili z wszelkich grup społecznych. Miał pod swoimi rozkazami urzędników, którzy nigdy nie trzymali w rękach broni, pracowników fabryk chemicznych o zniszczonym toksycznymi oparami wzroku i mieszkańców habitatów, którym wskutek huku wybuchów popękały bębenki i którzy rozkazy mogli przyjmować wyłącznie w formie wizualnej. Rdzeniem batalionu było dwudziestu jeden górników z Kopalni Głębinowej nr 17, którzy dosłownie wyryli sobie drogę na powierzchnię po tym, jak zawalił się główny szyb obsługujący windę.

Fencer schylił się przezornie idąc wzdłuż linii okopów, pomiędzy wypalonymi domami, zwałami pokruszonego betonu, korzystając z krótkich transei łącznikowych wykopanych przez górników. Ich ciężka praca robiła na oficerze wrażenie.

Podszedł do stanowiska karabinu maszynowego w punkcie 567/kk i skinął głową obsłudze. Kapral Gannen gotował zupę na przenośnym kocherze podczas gdy jego podkomendna, młoda dziewczyna imieniem Calie, leżała na brzuchu przy broni obserwując horyzont. Ta para była doskonałym przykładem bohaterów zrodzonych przez konieczność. Gannen przeszedł szkolenie w posługiwaniu się bronią maszynową, ale lepiej radził sobie z podawaniem taśm amunicyjnych niż strzelaniem. Calie dla odmiany okazała się naturalnie uzdolniona w obsłudze broni. Bez oporów zamienili się miejscami i zawodowy żołnierz nie okazywał śladu urażonej dumy.

Fencer szedł dalej. Minął dwa kolejne stanowiska wartownicze i znalazł Gola Koleę, ukrytego za rogiem budynku i obserwującego drogę szybkiego ruchu. Kolea, przywódca górników, był potężnym, muskularnym mężczyzną. Pił właśnie gorącą wodę z poszczerbionego, metalowego kubka, karabin trzymał na kolanach. Fencer przymierzał się do podniesienia mu rangi drogą awansu polowego, górnik zasłużył sobie na to. Wyciągnął swych towarzyszy spod skalnego zawału, sformował sprawnie działającą drużynę i bez słowa oporu wypełniał wszystkie rozkazy Fencera. A przy tym robił dużo więcej. Kolea zdawał się płonąć posępną furią, intensywną nienawiścią do zoicańskich agresorów. Miał rodzinę w metropolii, ale nigdy o niej nie mówił. Fencer był pewien, że to myśl o żonie i dzieciach mobilizowała Gola do nadludzkiej pracy.

- Kapitanie – Kolea przywitał oficera skinieniem głowy.
- Coś jest nie tak, Gol – odparł Fencer – Coś się zmieniło.
- Potężny górnik wyszczerzył zęby w uśmiechu.
- Nie zauważył pan ?
- Co zauważył ?
- Bombardowanie ustało.

Fencer milczał zdumiony. Ostrzał stał się tak codziennym elementem ich życia, że nawet nie zwrócił uwagi na fakt, iż pociski przestały spadać. W uszach wciąż jeszcze słyszał huk wybuchów.

- Na litość Imperatora ! – sapnął – Ależ ze mnie głupiec !

Wstał dwadzieścia minut temu i przemierzył długi odcinek umocnień po to, by dowiedzieć się od górnika, że bombardowanie ustało.

- Widać coś ? – położył się na brzuchu i podczołgał do wnęki strzeleckiej tuż obok stanowiska Kolei.
- Nie... kurz, dym, mgła... nic więcej.

Fencer miał właśnie zamiar sięgnąć po lornetkę, kiedy Zoicanie rozpoczęli ofensywę lądową.

Ściana laserowego ognia uderzyła w wypalone bryły habitatów niczym bilion rozbłysków włączonych zapalniczek. Same rozmiary tej salwy były przerażające. Dziewięciu ludzi Fencera zginęło na miejscu, trzech inni – robotnicy miejscy – uciekli w panice. Granaty i rakiety zaczęły spadać wszędzie wokół niszcząc dwa okopy komunikacyjne. W płomieniach stanął budynek używany do przechowywania żywności.

Podwładni Fencera zaczęli stawiać opór.

Kazał wszystkim przestawić broń do trybu strzałów pojedynczych, by oszczędzać amunicję i akumulatory. Nawet obsługa karabinów maszynowych miała otwierać ogień tylko do widocznych celów. Ich odpowiedź na szturm Zoican wydawała się wątła i niepozorna.

Fencer zajął pozycję w wnęce i przyłożył do ramienia karabin. Pięćset metrów z przodu dostrzegł majaczące pośród dymu sylwetki wrogich żołnierzy w ciężkich żółtawych kombinezonach, nadchodzących w ciasnej formacji.

Fencer otworzył ogień, dołączył do niego Kolea.

W ciągu pierwszych pięciu minut zastrzelili trzynastu zoicańskich szturmowców.

Zoicańskie czołgi, pomalowane na kolor ochry i wyrzucające z rur wydechowych kłęby spalin, z rykiem silników zjechały z drogi szybkiego ruchu próbując manewrować pośród ruin i stert gruzu. Przeciwpancerne miny wysadziły dwa z nich w powietrze siejąc na wszystkie strony ostrymi odłamkami, a płonące wraki zablokowały ruch sześciu innych wozów.

Rakiety pomknęły w kierunku wału rozrywając piętnastometrową sekcję umocnień. Kapral Tannik i trzech inni żołnierze dosłownie znikli unicestwieni wybuchami raketowych głowic.

Kolejny zoicański czołg, okryty szczelnie siatką maskującą, wjechał w ślepą uliczkę. Otoczony kompozytowymi ścianami z trzech stron zaczął obracać wieżę w kierunku dobierającej się do niego vervuńskiej sekcji miotacza płomieni. Struga płynnego ognia oblała maszynę stawiając ją w płomieniach.

Sierżant Grosslyn, mający pod swoimi rozkazami dwóch żołnierzy Vervun Primary i sześciu ochotników, pochwycił w krzyżowy ogień oddziały Zoican próbujące przedrzeć się przez najeżony zaostrozonymi prętami wschodni kraniec wału. Uśmiercili ponad pięćdziesięciu żołnierzy wroga, wielu z nich skonało nabitych na ostre szpice zapór przeciwpiechotnych. Kiedy Jada, robotnica kłęcząca obok sierżanta, została postrzelona w klatkę piersiową i upadła z przeraźliwym krzykiem, Grosslyn odwrócił się w jej stronę. Jeden z umierających opodal Zoican zdołał podnieść broń i odstrzelił sierżantowi tył głowy.

Gannen i Calie utrzymali swą pozycję przez dwie godziny likwidując kilka tuzinów napastników i jeden transporter opancerzony, który eksplodował po tym, jak dziewczyna podziurawiła kadłub pojazdu pociskami przeciwpancernymi.

Gannen zginął ugodzony odłamkiem raketowego pocisku w chwili, gdy Zoicanie zaczęli obchodzić pozycje obrońców z lewej strony. Calie wciąż strzelała, samodzielnie przytrzymując taśmy amunicyjne. Czołgowy pocisk wyrzucił w niebo jej ciało, karabin maszynowy i dwadzieścia metrów wału.

Żałośnie nieliczni w obliczu najeźdźców, ludzie Fencera zaczęli wycofywać się w głąb zrujnowanej dzielnicy. Niektórzy zginęli pod gąsienicami wrogich pojazdów. Jakiś kleryk, wykrwawiający się na śmierć po postrzale z boltera, skoczył z pasem granatów na stojący w miejscu zoicański czołg. Eksplozja rozświetliła na moment unosząc się nisko nad ziemią kurtynę dymu, deszcz metalowych odłamków spadł na okoliczne ulice.

Niektórzy obrońcy pozostali na stanowiskach, otoczeni i zalani ludzką falą wrogich żołnierzy. Rozgorzała szaleńcza, zaciekle walcząca wręcz, na pięści i bagnety. Każdy metr terytorium Vervunhive był okupiony zoicańską krwią.

Gol Kolea odrzucił swój rozładowany laser i wspinał się na barykadę stając twarzą w twarz z wrogiem. Zabijał jednego po drugim, z potworną siłą uderzając swym górniczym kilofem na prawo i lewo. Wykrzykiwał imię żony po każdym celnym ciosie.

Laserowa wiązka trafiła kapitana Olinę Fencera w biodro i przeszła na wylot przez ciało wypalając otwór wylotowy w przeciwnym ramieniu. Upadając z oczami pełnymi łez bólu przestawił broń w tryb ognia seryjnego. Jego palec wskazujący wciąż jeszcze naciskał na spust, kiedy akumulator wyczerpał się całkowicie.

On sam już w tym czasie nie żył.

VI – Hierarchia służbowa

„Wojna toczona pośród sporów jest wojną z górą przegraną”

Gaunt czuł jak monumentalna bryła Muru wibruje pod podeszwami jego butów. Grad pocisków uderzających w ścianę fortyfikacji niósł się w powietrzu głuchym nieprzerwanym grzmotem.

Kapitan Daur i trzech innych oficerów grupy łącznikowej prowadziło obserwatorów w górę drugiej wieży na zachód od Bramy Heironymo Sondara. Gaunt zabrał ze sobą majora Rawne i sierżanta Mkolla oraz swego adiutanta, szeregowca Milo. Resztę grupy tworzyli generał Grizmund i trzech inni narmeniańscy oficerowie, generał Nash i dwaj jego adiutanci oraz komisarz Tarrian wraz z trzydziestką żołnierzy Vervun Primary w pełnym uzbrojeniu.

Obserwatorzy weszli na platformę wieńczącą szczyt wieży wciągając w płuca powietrze przesycone zapachem kordytu. Trzy wyrzutnie rakiet stały na blankach, ale ze względu na kompozytowe tarcze przeciwołamkowe ustawione z myślą o wizytatorach ich obsługa nie mogła strzelać – zbyt ograniczona przestrzeń nie pozostawiała wolnego miejsca na płomień wylotowy broni. Żołnierze zaszalutowali na widok oficerów.

- Czy to dla naszego bezpieczeństwa? – zapytał Tarriana Gaunt wskazując tarcze.
- Oczywiście
- Pozbawiliście obronną wieżę zdolności bojowej po to, byśmy mieli bezpieczny punkt obserwacyjny?

Tarrian zeszywniał.

- Generał Sturm zażądał obecności tarcz za każdym razem, gdy wizytuje Mur. Założyłem, że pan i inni wysocy rangą oficerowie oczekują takiego samego poziomu zabezpieczeń.
- Przylecieliśmy tutaj walczyć, a nie chować się. Zabierzcie te tarcze i przygotujcie wyrzutnie do użytku

Tarrian rzucił okiem na Nasha i Grizmunda. Narmeniański generał skinął głową.

- Gaunt mówi w imieniu nas wszystkich – powiedział Nash – Niepotrzebne nam niańczenie.

Tarrian odwrócił się do artylerzystów i zaczął wydawać polecenia.

Reszta obserwatorów podeszła do parapetu wieży i sięgnęła po magnokulary bądź wbudowane w blanki obrotowe teleskopy. Milo podał Gauntowi jego własną lornetę.

W dole przed ich oczami rozciągało się morze ruin będących niegdyś dzielnicami robotniczymi. Nigdzie nie widać było żadnego śladu życia, ale wroga artyleria bombardowała gruzowiska z równą zaciekłością, co ściany Muru. Gaunt wychylił się za parapet i spojrzął na powierzchnię budowli. Adamandytowa fortyfikacja naznaczona była szczerbami i powierzchniowymi pęknięciami na całej długości. Co kilka sekund baterie umieszczone po obu stronach wieży wystrzeliwały kolejną salwę, w powietrzu niósł się też grzmot ciężkich dział oblężniczych ukrytych wewnątrz Muru.

Wyczuwalna wibracja budowli nie ustawała.

- Nie sposób określić liczebności bądź skali... – zaczął Nash. Grizmund pokręcił głową.
- Nie tak do końca – oświadczył wskazując dłonią krańce podmiejskich osiedli – To już nie tylko robota ich dalekosiężnej artylerii ustawionej na sawannie. To ostrzał z bliższego zasięgu. Ich oddziały pancerne muszą już znajdować się w obrębie fabryk i habitatów.
- Jesteś pewien? – zapytał Gaunt.
- Nawet stąd można dostrzec rozbłyśki czołgowych dział. Jakies cztery, pięć kilometrów, na samych peryferiach miasta. Lufy mają podniesione pod maksymalnym kątem, dlatego płomień wylotowy są tak wysokie. To prosta kwestia obserwacji i kalkulacji.

Gaunt spojrzął przez lornetę szukając rozbłyśków ognia. Podobnie jak Nash, komisarz był oficerem piechoty i zawsze chętnie uczył się od wojskowych służących w innych formacjach. Grizmund cieszył się opinią wyborczego oficera wojsk pancernych i Gaunt wierzył w jego

ocenę. Patrząc przed siebie zaczął dostrzegać migotliwe punkciki rozbłysków daleko na krańcach przedmieść.

- Pańskie szacunki? – zapytał generał Nash, podobnie jak Gaunt zainteresowany opinią eksperta. Grizmund spojrział na swych stojących przy teleskopach zastępców.

- Nachin?

Brygadier odpowiedział natychmiast niskim głosem o głębokim narmeriańskim akcencie.

- Wstępne szacunki pozwalają określić ich liczebność w granicach dwudziestu tysięcy maszyn. Formacja liniowa, być może z elementem drugiej fali na wschodzie, tam gdzie dostrzec można stojące jeszcze kominy wież chłodniczych. Mnóstwo baterii raketowych i moździerzy, trudniejszych do lokalizacji. Cała artyleria jest mobilna. Czterdzieści, może czterdzieści pięć tysięcy.

Pozostali zastępcy potwierdzili odpowiedź. Grizmund odwrócił się do Gaunta i Nasha, podszedł też do nich Tarrian.

- Nachin jest równie dobrym fachowcem jak ja sam. Słyszeliście szacunki. Szturm w sile wielu połączonych regimentów. Atak pancerny na wielką skalę. A przy tym – jeśli komisarz Kowle nie pomylił się w ocenie – to nawet nie ułamek potęgi militarnej wroga.

- Należy przyjąć, że reszta armii przemieszcza się przez dystrykt górniczy, wschodnie bagna oraz być może wzdłuż wschodniego brzegu Hassu – powiedział zamyślony Nash.

- Nie mogę jednak oszacować liczebności piechoty – oświadczył Grizmund.

- Jeśli panowie pozwolą – odezwał się Rawne i Gaunt skinął dłonią pozwalając majorowi kontynuować.

Rawne zaczął wskazywać wybrane rejony przedmieść precyzyjnymi ruchami swych smukłych zręcznych dłoni, dłoni zawodowego zabójcy.

- Jeśli przyjrzymy się płomieniom wylotowym czołgowych dział wskazanym przez generała Grizmunda, łatwo zauważymy, że tworzą one pewien kontur. Porównajmy go z miejscami znajdującymi się pod ostrzałem. Najkrótszy dystans pomiędzy nimi, co łatwo stwierdzić na podstawie widocznych z naszego miejsca pożarów i ściany dymu, to jakieś półtora kilometra. W tej strefie należy oczekiwać obecności piechoty, przeczesującej teren przed jednostkami pancernymi.

Nash przytaknął w milczeniu, zaskoczony bystrą uwagą tanithijskiego oficera.

- Nie możemy oceniać taktyki wroga w oparciu o nasze własne – ciągnął dalej Rawne – Na Fetha, widzieliśmy już nie raz hordy Chaosu wykonujące manewry, które całkowicie przeczą zdrowemu rozsądkowi i zasadom taktyki na polu walki, ale jeśli założymy, że nie chcą zmasakrować własnych żołnierzy i przyjmiemy stosowny margines błędu, otrzymamy obszar zajęty przez piechotę wroga. Nawet przyjmując pojedynczą linię natarcia mamy do czynienia z armią liczącą pół miliona. Dołóżcie drugą falę, a otrzymacie podwojoną liczebność. Jeśli ją potroicie...

- Możemy być starszą wiekiem kadrą, ale nadążamy za pańskim tokiem myślenia – powiedział Gaunt. Reszta oficerów roześmiała się pośepnie – Doskonała ocena, majorze. Bardzo dziękujemy.

- Co najmniej milion – odezwał się nagle Mkoll.

Wszyscy spojrzeli na niego jednocześnie.

- Sierżancie?

- Proszę posłuchać, sir – polecił Mkoll i wszyscy umilkli, ale nie słyszeli nic poza nieustannym świstem przecinających niebo pocisków i grzmotem eksplozji.

- Ponad wybuchami, wyższa nuta, jak trzask przypominający szum wiatru.

Gaunt wy tężył słuch próbując wyłowić coś z hałasu bombardowania i w końcu uchwycił odległy dźwięk zauważony przez Mkolla.

- Karabiny laserowe, sir. Tak wiele laserów strzelających jednocześnie, że ich indywidualny szcęk zlał się w jeden odgłos. Potrzeba... cholernie dużo laserów, żeby czegoś takiego dokonać.

Stojący w tyle grupy Daur spostrzegł, że adiutant Gaunta Milo podchodzi do wschodniego parapetu wieży i przygląda się czemuś w skupieniu. Adiutant był jeszcze chłopcem, o bladej skórze ozdobionej niebieskim tatuażem charakterystycznym dla wielu Duchów.

Daur podszedł do chłopca utykając lekko.

- Na co patrzysz ? – zapytał.
- Co to ? – zapytał Milo wskazując palcem wschodni fragment Muru. Daleko za zakretem fortyfikacji, za Bramami Sondara i Veyveyr oraz ruinami dzielnicy hutniczej wielki czarny kształt wypełzał poza metropolię, szeroki na dwa kilometry i na pięć głęboki. Przypominał falę płynnego błota. Mur był w tym miejscu przerwany na odcinku czterystu metrów.
- To Hałda – odparł Daur – To... góra utworzona z żużlu i innych odpadów hutniczych oraz kopalnianych. Jedno z charakterystycznych miejsc Vervunhive – roześmiał się.
- Nie ma tam Muru.
- Hałda istnieje dłużej od Muru. Trzeba ją było obudować z obu stron.
- Zatem w linii obrony istnieje luka.
- Nie martw się, jest dobrze strzeżona. Piąta dywizja garnizonu, Hałdziarze, pilnują wyłącznie tego rejonu: to dwadzieścia tysięcy żołnierzy podchodzących bardzo poważnie do swojej roboty. Poza tym Hałda sama w sobie jest niezwykle krwiożercza. Niestabilna, grząska, nieustannie osypująca się. Chyba trudniej przejść przez nią niż wdrzeć się na Mur. Nieprzyjaciel straciłby tysiące ludzi próbując szturmować w tym miejscu ! – Daur uśmiechnął się pokrzepiająco i zawrócił w stronę reszty oficerów.

Milo popatrzył za nim z politowaniem. Daur nie miał pojęcia o wrogu, jego metodach walki i całkowitym braku poszanowania dla życia żołnierzy. Obrońcy Vervunhive oparli preferowane przez siebie taktyki na doświadczeniach wyniesionych z konfliktów toczonych ze zdrowym na umyśle nieprzyjacielem.

Gaunt spojrzał na towarzyszących mu oficerów.

- Wnioski ?
- Trochę za dużo jednostek pancernych jak na kontruderzenie z udziałem piechoty, ale wolałbym nie dopuścić tych sukinsynów zbyt blisko Muru – oświadczył Nash.
- Chętnie wystawiłbym do walki moje czołgi – powiedział Grizmund – Najlepiej z wsparciem pancerniaków NorthColu. Wciąż jeszcze nie mają przewagi liczebnej. Jeśli zatrzymamy ich w rejonie dzielnic podmiejskich, wypracujemy sobie drogę pozwalającą na uderzenie w środek wrogiej armii. Pomimo nieprawdopodobnej liczby żołnierzy nieprzyjaciel jest rozproszony na ogromnym obszarze. Zmechanizowane kontruderzenie, nagłe i precyzyjne, przełamie ich linie natarcia, niechby przynajmniej w jednym miejscu, a to pozwoli wejść na tyły wroga i zaatakować jego flanki oraz linie zaopatrzeniowe. I utworzy przejście dla jednostek piechoty.

Nash pokiwał z aprobatą głową.

- Bez wahania wezmę udział w takiej akcji – oświadczył.
- Ja również – dodał Gaunt – Już zajęli zbyt wiele terenu. Możemy zatrzymać ich na dobre, przynajmniej w tym sektorze.
- Trzeba otworzyć bramy po tej stronie miasta – powiedział Grizmund – Poradzę sobie z łatwością z tymi bękartami, ale muszę mieć wolną przestrzeń do ustawienia brygad i manewrowania. Wolałbym zrobić to na zewnątrz miasta, zanim tamci podejną pod Mur.
- Albo wejdą za niego – dokończył Rawne.
- Zwróćcie uwagę na istotny fakt – Gaunt uśmiechnął się do towarzyszących mu oficerów – Trzech dowódców różnych regimentów akceptuje bez zastrzeżeń wspólny plan kontrataku.

Śmiech pozostałych mężczyzn utonął pośród ryku pierwszych odpalanych ze szczytu wieży rakiet.

- Ten plan koliduje ze strategią generała Sturma – oświadczył stojący z boku Tarrian.

Gaunt spojrzał bacznie na komisarza VPHC.

- Mam dziwne uczucia za każdym razem, kiedy oficer polityczny używa słowa koliduje, Tarrian. Co takiego ma pan na myśli ?

- Taktyczne rekomendacje generała Sturma dotyczące obecnego konfliktu zostały już poddane pod obrady sztabu marszałka Croe, oficerów Domu Dowódczego oraz głowy dostojnych rodzin. Słyszałem, że podjęte decyzje spotkały się z całkowitą aprobatą wicemarszałka Anko i komisarza Kowle'a.

- Wygląda na to, że plany taktyczne zostały już zdefiniowane – parsknął generał Nash pocierając podbródek.

- Więc po co tu tracimy czas ? Po co ta wycieczka obserwacyjna, skoro inni już za nas zdecydowali ? – zapytał Grizmund.

- Miałem już w przeszłości kontakty z generałem Volpończyków – wycedził Gaunt – Bez wątplenia czuje się najwyższym rangą oficerem Gwardii na tej planecie, a władze metropolii go w tym przekonaniu umacniają. Sturm nie lubi bezpośredniej konfrontacji. Wolał znaleźć nam jakieś zajęcie w czasie, gdy sam podejmował istotne decyzje. Wyprawa na wieżę okazała się doskonałym pretekstem.

Gaunt spojrzał ostro na Tarriana.

- I zapewne wie pan, jakie podjęto decyzje, nieprawdaż, Tarrian ?

- Nie jestem upoważniony do udzielenia odpowiedzi, komisarzpułkownik – odparł Tarrian.

- Pilnować Muru, strzec zamkniętych bram, odstąpić nieprzyjacielowi całe terytorium na zewnątrz fortyfikacji i przygotować się do długotrwałego oblężenia, ufając przy tym w Tarczę, Mur i stacjonujące w Vervunhive armie. I w ten sposób przetrzymać najazd aż do zniechęcenia wroga, a przynajmniej do zimy, która być może zmusi go do odwrotu.

Wszyscy spojrzeli na mówcę. Kończąc wyjaśnienie kapitan Daur wzruszył ramionami, ignorując morderczy wzrok komisarza VPHC.

- Plany zostały zatwierdzone dziś rano i objęte klauzulą tajności Magenta. Nie widzę żadnych powodów, które uniemożliwiałyby ujawnienie tych informacji najwyższym oficerom Gwardii.

- Dziękuję, Daur – odpowiedział Gaunt i spojrzał ponownie na Tarriana – Generalowie i ja życzymy sobie widzenia ze Sturmem i marszałkiem. Natychmiast !

* * *

Piątka żołnierzy w ochrowych kombinezonach poruszała się cicho korytarzem zrujnowanego warsztatu, idąc wśród chmur dymu. Na zewnątrz przetoczył się z łoskotem czołg, miażdżący pod gąsienicami potrzaskaną powierzchnię drogi tranzytowej 287/fd.

Żołnierze nosili żółtawe kombinezony bojowe, czarne skórzane pasy i nowiutkie, lśniące lasery. Ich głowy chroniły pełno twarzowe kompozytowe hełmy ozdobione symbolami trupich czaszek i koroną Ferrozoicy umieszczoną na wysokości czoła. Sprawdzali starannie każde wejście do pomieszczeń roboczych, które mijali. Gol Kolea słyszał przytłumione dźwięki radiowych komunikatów dobiegające z wnętrza hełmów.

Górnik wślizgnął się z powrotem do kryjówki i uniósł dłoń w geście znanym całej drużynie. Widząc ten ruch cofnęli się w tył znikając pośród cieni i kurzu.

Gol obserwował pięciu zoicańskich żołnierzy do chwili, gdy ostatni z nich stanął na fragmencie fałszywej podłogi. Wtedy mężczyzna przytknął trzymany w dłoni drut do leżącej przy stopach baterii. Minapułka rozsadziła korytarz unicestwiając żołnierza, który stanął

dokładnie na niej. Idący przed nim Zoica został poszatkowany odłamkami metalu i kawałkami kości towarzysza. Trzej pozostali upadli na podłogę korytarza, ale natychmiast zerwali się na nogi otwierając na oślep ogień z laserów. Jaskrawe krechy laserowej energii przecięły zadymiony korytarz.

Gol przewrócił kopniakiem fałszywą ścianę i skoczył od tyłu na najbliższego Zoicę. Jego górniczy oskard zatoczył łuk w powietrzu i trafił żołnierza w głowę przebijając z chrupnięciem hełm i kości czaszki. Sierżant Haller runął na drugiego Zoicę i zabił go strzałami z przyłożonego do ciała ofiary pistoletu. Ostatni żołnierz przestawił swój karabin w tryb ognia seryjnego i zaczął strzelać na wszystkie strony. Wiązki energii przebiły na wylot blachy zasłaniające kryjówkę mechanika Vidora i ugodziły go w brzuch i uda w chwili, gdy zamierzał wyskoczyć na korytarz.

Nessa wypadła spod sterty szmat i wbiła długi nóż w podstawę karku żołnierza. Przywarła do pleców ofiary krzycząc coś niezrozumiale i szarpiąc ostrzem w rytm konwulsyjnych ruchów Zoicy. Kiedy trup znieruchomiał, jego głowa była niemalże odcięta.

Gol doskoczył do Nessay, podniósł ją na nogi i odciągnął od ciała zabitego. Podała mu zakrwawioną nóż, dygoczącą i wstrząśniętą.

- Zatrzymaj go – poruszył wyraźnie ustami. Kiwnęła głową. Jej narządy słuchu zostały uszkodzone wskutek bliskiego wybuchu pocisku w siódmym dniu bombardowania i już nigdy nie miała słyszeć normalnie bez uprzedniej operacji chirurgicznej i implantów – co oznaczało, że do końca życia pozostanie głucha. Była wykwalifikowanym medykiem z habitatów robotniczych. Nie należała do najniższej warstwy społeczności, ale jednak znajdowała się daleko w dole miejskiej hierarchii kastowej.

- Dobra robota – zasygnalizował Kolea. Uśmiechnęła się, ale wyraz strachu w jej oczach i strużki krwi zasychające na policzkach zmieniły ten uśmiech w przerażający grymas, który oszpecił piękną twarz kobiety.

- Nie było łatwo – odpowiedziała ruchami dłoni. Szybko przyswoiła sobie język migowy. Kapitan Fencer, niech Imperator ma w opiece jego duszę, zdołał ją wiele nauczyć i pokazał, w jaki sposób ma panować nad swoim własnym głosem teraz, kiedy ogłuchła.

Gol rozejrzał się po korytarzu. Sierżant Haller i członkowie ekipy Gola zabrali zabitym cztery sprawne karabiny, dwa pistolety i zapasowe baterie zdjęte z pasów ofiar.

- Ruszamy stąd ! Szybko ! – polecił Gol, powtarzając rozkaz w języku migowym dla głuchej części drużyny. Z dziewięciu towarzyszących mu ludzi słuch straciło sześciu. Spojrzał po raz ostatni na ciało Vidora i skinął głową z szacunkiem. Lubił Vidora i żałował, że waleczny mechanik nie miał okazji wziąć udziału w walce. Potem ruszył w ślad za swoimi podwładnymi.

Opuścili warsztat poprzez tylne wyjście, przemknęli ostrożnie pustą uliczką i wpadli do wypalonej kaplicy Eklezjarchii. Ciała kleryków Ministorum leżały na podłodze pokryte chmurami much. Bracia zakonni nie uciekli ze swego sanktuarium pomimo spadających coraz bliżej artyleryjskich pocisków.

Haller podszedł do ołtarza, poprawił przechylony w bok emblemat Imperialnego Orła i upadł na kolana. Łzy ciekły po jego policzkach, ale modlił się w języku migowym, pomny obowiązku zachowania ciszy. Gol Kolea był zaskoczony żarliwą wiarą żołnierza i jego rónie silnym instynktem samozachowawczym. Rozstawił swoich ludzi przy wejściach do kaplicy nakazując im wyszukać najlepszą drogę ucieczki na wypadek konfrontacji z wrogiem.

Ziemia zadrżała, gdy czołgowe pociski zniszczyły warsztat, w którym partyzanci przygotowali zasadzkę. Pośród huku eksplozji Gol odezwał się pośpiesznie, poruszając jednocześnie dłońmi.

- Poszukajmy następnych do zabicia.

- Grupa sześciu, idą z zachodu – syknęła Banda kładąc na kolanach laser i wyglądając ostrożnie za parapet rozbitego okna.

- Szyk jak poprzednio – zasygnalizował Gol – Idziecie za mną. Przygotujemy następną pułapkę.

* * *

Lord Heymlik Chass odprawił ruchem ręki serwitörów i strażników przybocznych. Ich przełożony, Rudrec, próbował protestować, ale Chass nie był w nastroju do rozmowy. Stojąc samotnie w chłodnym półmroku rodzinnej kaplicy Domu Chass, wysoko w górze Main Spine, lord modlił się do nieśmiertelnego Imperatora. Duchy jego przodków krążyły wokół opuszczając swe statuy. Heymlik Chass wierzył w duchy.

Przemawiały do niego.

Otworzył czytnikiem linii papilarnych ołtarzyk stojący pomiędzy kryptami przodków i wysunął ukrytą wewnątrz szufladę. Wsłuchując się w pomruk serwomechanizmu sterującego ołtarzykiem podniósł ze środka szuflady Amulet Heironymo.

- Co robisz, ojcze ? – zapytała Merity Chass. Jej głos zaskoczył go i przestraszył do tego stopnia, że omal nie wypuścił z dłoni bezcennego przedmiotu.

- Merity ! Nie powinno cię tu być ! – wymamrotał.

- Co robisz ? – spytała ponownie podchodząc bliżej. Jej długa zielona suknia szeleściła cicho.

- To jest... – głos jej zadrżał. Nie potrafiła dokończyć zdania.

- Tak. Wręczony naszej rodzinie przez samego Heironymo.

- Chyba nie zamierzasz go użyć ? Ojcze !

Spojrzał w jej piękną, pełną bólu twarz.

- Odejdź, córko. Nie powinnaś na to patrzeć.

- Nie ! – tak bardzo przypominała mu swą matkę, kiedy wpadała w gniew – Jestem dorosła, jestem twoją następczynią, chociaż kobietą ! Powiedz mi, co zamierzasz zrobić !

Lord Chass westchnął i zważył w rękach ciężar Amuletu.

- Zrobię to, co będę musiał, co jest dobrem dla naszego miasta. Istniały powody, dla których stary Heironymo przekazał tę rzecz mojemu ojcu. Salvadore Sondar jest szaleńcem. Zabije nas wszystkich.

- Nauczyłeś mnie respektu wobec Wysokich Domów, ojcze – na ustach Merity pojawił się nieznacznym uśmiech, znów tak bardzo przywodzący na myśl jej matkę – Twoje słowa to poważny zarzut.

Pokiwał głową i opuścił wzrok ku ziemi.

- Wiem, ale znaleźliśmy się właśnie na krawędzi zagłady. Heironymo przewidział ten moment.

Przytulił córkę. Poczowała ucisk Amuletu na swych plecach.

- Zrobisz to, co uznasz za słuszne, ojcze – szepnęła Merity.

Niczym ospały błyszczący insekt do pomieszczenia wleciała sonda dźwiękowa. Zbliżając się do ludzi zaczęła popiskiwać. Lord Chass odsunął od siebie córkę wciągając w nozdrza zapach jej włosów.

- W Legislaturze zaczęło się głosowanie. Muszę iść.

Sonda krążyła przy twarzy polityka brzęcząc niczym mucha, prowadząc go w kierunku wyjścia.

- Ojcze ?

Heymlik spojrział przez ramię na swoje ukochane dziecko, samotne i zziębnięte w zwiewnym ubraniu.

- Będę cię wspierać bez względu na wszystko, ale mów mi o swoich decyzjach. Nie utrzymuj mnie w niepewności.

- Przyrzekam – odparł.

* * *

Wyższa Rada była pomieszczeniem znajdującym się piętro wyżej nad główną salą obrad Legislatury, a wstęp do niej mieli jedynie członkowie Wysokich Domów. Kopulasty dach komnaty pokryty był freskami przedstawiającymi Imperatora i otaczane nabożną czcią marsjańskie maszyny. Snopy ciepłego żółtego światła padały z wielkich lamp umieszczonych w rogach pomieszczenia podświetlając welwetowe trony Wysokich Domów. Z wyjątkiem rodziny Chass na miejscach byli już wszyscy pozostali: Gavunda, Yetch, Rodyin, Anko, Croe, Piidestro, Nompferenti i Vwik.

Marszałek Croe stał obok swojego brata, starego lorda Croe, pogrążony w głębokiej konwersacji. Wicemarszałek Anko hałaśliwie przedstawiał generała Sturma głowie swego rodu. Komisarz Kowle wymieniał dyplomatyczne uwagi z lordami Gavundą i Nompferenti. Członkowie przybocznej świty krążyli wokół nosząc dokumenty i tace z przekąskami albo obserwując otoczenie położonych z dłońmi spoczywającymi na kolbach ukrytej pod płaszczami broni.

Gong rozbrzmiał czterokrotnie. Wejście do windy we wschodniej ścianie komnaty otworzyło się z sykiem i do sali wszedł Mistrz Legislatury Anophy. Jego opalizujące szaty błyszczały w złotawym świetle lamp, ciężki ceremonialny kapelusz kołysał na siwej głowie. Idąc starzec podpierał się długą złotą laską będącą symbolem jego urzędu. Otaczała go grupka dzieci przytrzymujących końce powłóczystej szaty i niosących na palestrach urządzenia nagłaśniające oraz Księgę Praw Miasta.

Anophy zajął swe miejsce i uniósł srebrny mikrofon.

- Dostojne rody, proszę o waszą uwagę.

Wszyscy dygnitarze szybko usiedli na swych fotelach. Sturm, Kowle i reszta wojskowych stanęła na uboczu.

Fotel lorda Chassa był pusty.

Anophy przestudiował w skupieniu zawartość kartki podanej mu przez jedno z dzieci i przyłożył palec wskazujący do dolnej wargi.

- Głosowanie w kwestii ratyfikacji planów militarnych przedstawionych nam przez naszego dostojnego gościa, generała Nochesa Sturma. Ich treść nie wymaga dalszych obrad. Metropolia - oby trwała wiecznie, a jej potęga rosła – czeka na wasze głosy.

Sześć hologramów zapaliło się nad głową Mistrza Legislatury. Domy Rodyin i Piidestro głosowały przeciwko

- Zatwierdzono – oświadczył Anophy. W sali rozległy się przyciszone rozmowy.

Drzwi z polerowanej stali po zachodniej stronie pomieszczenia otworzyły się ze szcękaniem i do środka wszedł lord Chass w asyście swych przybocznych strażników. W sali zapadła cisza. Zebrani śledzili wzrokiem kroki polityka do chwili, w której zajął swój fotel. Kiedy przerzucił jedwabny płaszcz przez oparcie mebla, strażnicy stanęli przy jego oparciach.

Chass przesunął wzrokiem po pomieszczeniu. Kilku przywódców innych Domów odwróciło wzrok na ten widok.

- Głosowaliście. Nie byłem obecny.

- Zostałeś przyzwany – oświadczył Anko – Jeśli nie dotarłeś na czas, twój głos przepadł.

- Znasz zasady głosowania, panie – wymamrotał Anophy.

- Wiem, kiedy zostaję... wykluczony.

- Nie istnieje pojęcie wykluczenia w wyższym parlamencie Vervunhive – oświadczył Anophy – Przez wzgląd na nadzwyczajną sytuację uznaję twoje prawo do złożenia głosu w tej chwili.

Chass rozejrzał się ponownie wokół, nieco zaskoczony faktem, że lord Croe również unika jego wzroku.

- Widzę, że wynik głosowania został zatwierdzony stosunkiem sześciu do dwóch. Moja decyzja nie ma zatem żadnego znaczenia.

- Pomimo to zagłosuj, dostojny bracie – zaproponował lord Gavunda mówiąc przez posrebrzany respirator, który zakrywał jego usta niczym wielki pajak. Chass pokręcił przecząco głową.

- Moja decyzja nie ma już znaczenia.

Grupa mężczyzn weszła do sali przez wschodnie wejście. Komisarz Tarrian próbował ich powstrzymać, ale odepchnęli go na bok. Byli to Gaunt, Grizmund, Nash i ich wyżsi stopniem oficerowie sztabowi.

- Z trudem przyjmuję do wiadomości pańskie zachowanie, Sturm – warknął Nash spoglądając na wolpońskiego generała. Gilbear zrobił krok w kierunku Rończyka, ale Sturm osadził go w miejscu strzelając władczo palcami.

Gaunt podszedł prosto do fotela Mistrza Legislatora i wyjął z dłoni zaskoczonego Anophy'ego jego notatnik. Przesunął wzrokiem po kartkach.

- A więc to prawda – powiedział spoglądając na Sturma i marszałka Croe.

- Strategiczne sugestie generała Sturma zostały zaakceptowane przez Wyższą Radę – oświadczył buńczucznie wicemarszałek Anko – I szczerze radzę panu oraz towarzyszącym panu innymi oficerom, by okazali należyty respekt i szacunek wobec pracy tego parlamentu. Nie pozwolimy, by nasze długowieczne tradycje...

- Jesteście głupcami – powiedział Gaunt uderzając notatnikiem w oparcie fotela – jeśli przykładacie większą miarę do ceremonialnych rytuałów niż ludzkiego życia. Popełniliście dziś poważny błąd.

- Zabiliście to miasto i nas wszystkich razem z nim ! – wrzasnął rozwścieczony generał Nash. Gaunt ujął wielkiego Rończyka pod ramię i pociągnął w kierunku wyjścia z sali.

- Jestem zaskoczony, marszałku – oświadczył Grizmund z ledwie tłumioną furią, trzymaną na uwięzi niczym pies na łańcuchu – Z naszych poprzednich spotkań wnioskowałem, że pański talent taktyczny jest większy.

Marszałek Croe podniósł się ze swego fotela.

- Przykro mi z powodu pańskiego niezadowolenia, generale Grizmund, jednakże propozycje generała Sturma spotkały się z moją akceptacją. Muszę myśleć o dobrze całej metropolii. Komisarz Kowle, pierwszy człowiek, który stawiał czoła wrogowi, podziela moje zdanie w tej kwestii.

Grizmund pokręcił z wściekłością głową.

- Co takiego chcieliście zrobić ? – zapytał lord Chass.

W sali rozległa się wrzawa protestów.

- Lord Chass ma prawo do poznania odpowiedzi ! – czysty twardy głos Ibrama Gaunta uciął krzyki polityków. Komisarz odwrócił się w kierunku głowy Domu Chass.

- W oparciu o wcześniejsze obserwacje generałowie Nash, Grizmund i ja chcieliśmy otworzyć południowe bramy metropolii i przypuścić na wroga pancerne kontruderzenie z wsparciem idącej w tyle piechoty. Mieliśmy zamiar zmierzyć się z nimi poza Murem, a nie czekać, aż podejdą pod samo miasto.

- Czy ten plan miał szansę realizacji ? – zapytał Chass.

- Tego już się nie dowiemy – odparł Gaunt – Wiadomo jednak coś innego: jeśli zaczekamy, aż nieprzyjaciel dojdzie do Muru, gdzie będziemy się mogli później wycofać ?

- Nigdzie.

Dostojny Chass chciał zadać jeszcze jakieś pytanie, ale sala obrad Wyższej Rady pograżyła się w ogólnym chaosie i Gaunt wraz ze swymi towarzyszami opuścił pomieszczenie.

* * *

- Komisarzu ? Komisarzu pułkowniku ?

W zatłoczonym korytarzu na zewnątrz pomieszczeń Wyższej Rady kręcili się członkowie niższego parlamentu oraz przyboczna świta arystokratów, prowadząca nerwowe konwersacje z przedstawicielami gildii kupieckich i delegatów mieszczańskich rodów. Gaunt zatrzymał się i odwrócił.

W jego kierunku zmierzał wysoki posępny mężczyzna w lekkim kompozytowym pancerzu i satynowym płaszczu zarzuconym na trzymaną w prawej dłoni broń. Gaunt odesłał swych oficerów w ślad za pozostałymi dowódcami regimentów Gwardii i zawrócił w stronę wołającego go nieznanego. Straż przyboczna jakiegoś Wysokiego Domu, uznał w myślach.

Mężczyzna podszedł bliżej i zasalutował sprężyście.

- Jestem Rudrec, osobisty strażnik jego ekscelencji lorda Chassa z Wysokiego Domu Chass. Mój pan prosi o spotkanie w najbliższym dogodnym terminie.

Ochroniarz wręczył komisarzowi niewielki okrągły identyfikator z Imperialnym Orłem na rewersie i emblematem Domu Chass po drugiej stronie.

- Okazując to jest pan upoważniony do wejścia na teren posiadłości Domu Chass o każdej porze dnia i nocy. Mój pan będzie czekał.

Gaunt spojrział na identyfikator, potem przesunął wzrok na znikającego wśród tłumu strażnika.

I co teraz ?, pomyślał.

* * *

Salvadore Sondar ocknął się ze snu, zdezorientowany i oszołomiony. Otaczająca go woda była ciepła i słodka, emanująca różową fosforyzującą poświatą.

Szept wciąż mu coś opowiadał w mruczący sposób, sennie, miękko, kusząco. Nie opuszczał go teraz nawet na moment, we śnie i na jawie.

Sondar nasłuchiwał unosząc się w wodzie.

Co ? Co ? Czego chcesz ?

* * *

Południowe dzielnice podmiejskie stały w płomieniach. Gęsty dym snuł się po ulicach rozwiewany podmuchami wiatru, który szalał niczym cyklon w ogarniętych największymi pożarami obszarach.

Pomimo zacieklego oporu stawianego przez niewielkie oddziały miejskich partyzantów Zoicanie parli cały czas do przodu w zmasowanych kolumnach pancernych i blokach piechoty, zmierzając nieubłaganie na północ.

Pierwsi z najeźdźców znaleźli się zaledwie kilometr od Muru.

VII – Machiny śmierci

„Zwycięstwo i Śmierć są bliźniaczymi synami Wojny”
– starożytne przysłowie

Bombardowanie umilkło zniecacka o poranku dwudziestego piątego dnia. Obserwatorzy na Murze usilnie poszukiwali jakichkolwiek śladów nieprzyjaciela, ale począwszy od dwudziestego drugiego dnia wokół miasta unosiła się tak szczelna kurtyna dymu i pyłu, że nie sposób cokolwiek było przez nią wypatrzeć Zapadła niepokojąca, dzwoniąca w uszach cisza.

Nikt nie wątpił, że koniec ostrzału wieści rychły szturm i Dom Dowódczy pośpiesznie wzmocnił siły stacjonujące na Murze w południowych sekcjach obronnych. Obsadzone przez żołnierzy Vervun Primary fortyfikacje zostały zasilone dużymi jednostkami Volpone, Roane i NorthColu. Na linii obrony przerzucono również tanithijskie Duchy, zabijające dotąd czas w magazynach chemikaliów pośród napięcia i rosnącej frustracji. Gaunt pozostawił w składach kilka plutonów rezerwy, ale pięć plutonów pod rozkazami majora Rawne poszło do fortu Hass West, a cztery prowadzone przez Corbeca wzmocniły pozycje pod Bramą Veyveyr, strzeżoną przez trzy kompanie Vervun Primary i dwie NorthColu.

Corbec zauważył krytyczne położenie obrońców w chwili, kiedy wysiadał z ciężarówki. Nadludzkim wysiłkiem żołnierzy oczyszczono spory obszar zrujnowanego terminala kolejowego i grupy porządkowe wciąż jeszcze sprzątały teren bądź wznosiły prowizoryczne barykady. Brama, szeroka na siedemdziesiąt metrów i na sto wysoka, była zatarasowana metalowym złomem, ale w przeciwieństwie do pozostałych bram nie chroniły jej wielkie kompozytowe wrota.

Corbec spotkał się z pułkownikiem Modile i majorem Racine, najwyższymi rangą oficerami Vervun Primary w sektorze, oraz pułkownikiem Bulwarem z kontyngentu NorthColu. Modile był rozmowny i uprzejmy, ale wyraźnie podniecony perspektywą swego chrztu bitewnego. Corbecowi nie przypadł do gustu fakt, iż dowódca Bramy Veyveyr okazał się żółtodziobem. Major Racine sprawiał bardziej pozytywne wrażenie, ale dosłownie padał z nóg ze zmęczenia. Corbec dowiedział się później, że oficer Vervun Primary nie spał od blisko trzech dni, niestrudzenie nadzorując przebieg prac porządkowych i fortyfikacyjnych.

Bulwar okazał się weteranem wieloletniej wojny z rebeliantami w kolonii NorthColu na głównym księżycu Verghastu. Był to potężny mężczyzna noszący taki sam zielony mundur i kamizelkę kuloodporną co podwładni, chociaż czapka z daszkiem i energetyczny szpon z miejsca wyróżniały go pośród zwykłych żołnierzy. Kiedy czwórka oficerów zebrała się przy stole w bunkrze Modile, Corbec natychmiast dostrzegł podatność Modile na sugestie Bulwara. Pułkownik NorthColu też to zauważył i w efekcie zaczął dyskretnie przejmować komendę. W umiejętny sposób wyrażał swoje opinie i spostrzeżenia, a Modile akceptował je i wdrażał w życie jako samodzielnie podjęte decyzje.

Na razie świetnie, pomyślał Corbec, ale co będzie się działo, kiedy rozlegną się strzały? Bez zdecydowanych, precyzyjnych rozkazów linia obrony pęknie.

Po spotkaniu dowódców Duchy zajęły pozycje na wschodniej flance sektora, opodal ruin wypalonej huty. Corbec ujął pod ramię Bulwara i odciągnął go na ubocze.

- Z całym stosownym szacunkiem, Modile jest naszym słabym punktem.

Bulwar pokiwał głową.

- Zgoda. Takie same zdanie mam o większości oddziałów Vervun Primary. Brak doświadczenia. Moi chłopcy przeszli dostateczny chrzest podczas księżycowej wojny, ale tutaj pierwsze skrzypce gra garnizon Vervunhive i ich Dom Dowódczy sprawuje kontrolę nad nami wszystkimi, pułkowniku.

- Potrzebujemy zabezpieczenia – powiedział cicho Corbec drapiąc się za kołnierzem kombinezону – Nie mam na myśli niesubordynacji...

- Wiem, co masz na myśli. Mój stary kod wywoławczy to Kowadło. Niech będzie hasłem do koordynacji rozkazów z obojgiem Modile, jeśli pojawi się taka konieczność. Wolę nie pokładać bezgranicznie zaufania w niedoświadczonym człowieku. Nawet tak dobrze wyszkolonym i zdyscyplinowanym jak Modile.

Corbec przytaknął. Polubił Bulwara. Miał nadzieję, że nie będzie musiał skorzystać z hasła.

* * *

Minął kolejny dzień, pełen złowrogiej ciszy i kłębow dymu snujących się pod Murem. Dopóki bombardowanie trwało, tworzyło pewien rodzaj iluzji kalkulować sprawiającej wrażenie walki. Wyczekiwanie, najgorszy wróg żołnierza, zaczęło zbierać swoje żniwo. Zdenerwowane umysły zaczynały się troskać, bać, kalkulować szansę przeżycia. Na Murze znajdowało się prawie trzy czwarte miliona żołnierzy, bezradnie obserwujących zadymione przedpole i trzeszczącą kopułę Tarczy daleko w górze, pozostawionych na pastwę swej przestraszonej wyobraźni.

Oficerowie VPHC byli bardzo zajęci. Sześćdziesięciu siedmiu dezerterów bądź potencjalnych dezerterów zostało rozstrzelanych wyrokami sądu polowego w przeciągu dwudziestu czterech godzin.

* * *

Po południu dwudziestego siódmego dnia obserwatorzy na Murze zaczęli wychwytywać pośród dymu dziwne szczęknięcia i zgrzyty. Przeciągle odgłosy serwomechanizmów, szczęk gąsienic, stukanie metalu o metal i ledwie słyszalne niezrozumiałe transmisje radiowe sprawiały wrażenie mającego się zaraz rozpocząć szturm.

Atak nie nastąpił. Mechaniczne dźwięki rozlegały się przez resztę dnia, a w nocy jeszcze uległy nasileniu. Były dziwaczne i nierozpoznawalne, przywodzące na myśl krzyki nieznanym istot w głębi mechanicznej dżungli.

* * *

Dwudziesty ósmy dzień był cichy. Odgłosy nieznanym machin umilkły o świcie. W południe dym zaczął się rozpraszać pod wpływem południowozachodniego wiatru, niosącego deszczowe chmury znad wybrzeża. Widoczność wciąż była kiepska, a słoneczne światło mizerne. Poza Murem nie było widać nic prócz szaroburym konturów zrujnowanych habitatów.

* * *

Dwudziestego dziewiątego dnia obserwatorzy na Murze stacjonujący opodal Bramy Sondara dostrzegli małą grupę zoicańskich czołgów nadjeżdżającą wzdłuż południowej trasy szybkiego ruchu i odległą od Muru o dwa kilometry. Po szybkiej wymianie komunikatów z Domem Dowódczym do akcji wyznaczono sześć baterii rakietowych i trzy działa oblężnicze. Artyleria otworzyła ogień wywołując masowy aplauz ze strony obrońców, ucieszonych zakończeniem nużącego wyczekiwania. Ostrzał trwał dwanaście minut. Nieprzyjaciel nie odpowiedział ogniem. Kiedy wiatr rozpędził dym wybuchów, po ostrzelanych czołgach nie pozostał żaden ślad, nawet wraki.

Przez cały poranek tego dnia uszu wartowników dochodziły sporadyczne dźwięki wrogich pojazdów. Marszałek Croe wygłosił mowę propagandową pojawiając się na miejskich ekranach informacyjnych. Jego wystąpienie podniosło morale obrońców, chociaż Gaunt uważał skrycie, że takie mowy Croe powinien był wygłaszać od co najmniej tygodnia. Marszałek wypowiadał się ostatnimi czasy wyłącznie w towarzystwie komisarza Kowle'a. Pomimo swej niechęci do członka Komisariatu Gaunt doceniał talenty polityczne Kowle'a.

Komisarz działał niezwykle energicznie. Jednym z jego ostatnich rozporządzeń było wezwanie skierowane do członków VPHC i komisarzy Gwardii, nakazujące regularne inspekcje linii obronnych i ponoszenie nastrojów. Gaunt robił to samo od chwili zajęcia przez jego ludzi pozycji na Murze i nieustannie krążył pomiędzy Hass West i Veyveyr. Podczas tych wypraw stale zadziwiała go dyscyplina i wysoki poziom wyszkolenia żołnierzy Vervun Primary zajmujących stanowiska wraz z Duchami. Gaunt modlił się w duchu, by prawdziwe oblicze wojny nie złamało determinacji członków lokalnego garnizonu.

Późnym wieczorem, jadąc terenowym samochodem do fortu Hass West, Gaunt znalazł w kieszeni kurtki identyfikator wręczony mu przez członka ochrony Domu Chass. Nie miał do tej pory czasu, by złożyć dostojnemu politykowi wizyty. Gaunt obracał identyfikator w dłoni podczas gdy samochód mknął drogą na zachód. Być może tej nocy, po inspekcji w Hass West.

Nie dano mu tej szansy. Tuż przed północą, gdy Gaunt wciąż jeszcze wspinał się po krętych schodach wiodących na szczyt fortu Hass West, Zoicanie ruszyli do pierwszego szturmu.

* * *

Pomimo wielodniowych przygotowań do obrony skala szturmu przerosła wszelkie oczekiwania. Atak nastąpił zniemacka, poprzedziła go jednoczesna salwa z tysięcy dział czołgowych i samobieżnych haubic rozstawionych wśród ruin jakieś tysiąc metrów od Muru. Ogłuszający grzmot wstrząsnął całym miastem, a jaskrawa luna rozpałała nocne niebo. Po raz pierwszy wróg strzelał prosto w Mur, rażąc stanowiska na blankach i zawalając rampy. Precyzyjny ostrzał z moździerzy spadł w wąską szczelinę pomiędzy parapetami Muru, a dolną krawędzią Tarczy rozrywając się na platformach obronnych. Przerażający deszcz pocisków dudnił o powierzchnie wielkich bram i odrywał fragmenty adamandytowych ścian Muru.

Obrońcy przypadli do ziemi na swoich stanowiskach, całkowicie zaskoczeni. Setki ludzi zginęły na miejscu albo zostały ciężko ranne, blanki rozkruszyły się w tuzinie newralgicznych miejsc. Pośród okrzyków oficerów żołnierze zaczęli odpowiadać ogniem. Dzięki wieżyczkom rakietowym, ciężkim działom, gniazdom broni maszynowej i tysiącom pojedynczych strzelców, odpowiedź ta przybrała monumentalne rozmiary. Dzika furia zawładnęła obrońcami Vervunhive. Nareszcie mogli odpłacić wrogowi, znaleźli cele. To było wspaniałe uczucie, oczyszczające udręczone umysły.

Morze ognia spadło na zoicańskie oddziały. Vervunhive stworzyło pole śmierci głębokie na czterysta metrów i sukcesywnie unicestwiała prących na Mur napastników. Na podstawie późniejszych szacunków obliczono, iż w pierwszej godzinie szturmu obrońcy zlikwidowali 40,00050,000 zoicańskich żołnierzy i blisko 6000 pojazdów pancernych.

Pomimo przerażających strat gigantyczna armia Ferrozoicy przytłaczała swą liczebnością, fizycznie i psychicznie. Bez względu na to, ile setek zabitych padało, tysiące następnych najeźdźców ruszały do przodu deptając niestrudzenie po trupach poległych towarzyszy. Szli niczym obląkani prosto na śmierć, nie okazując śladu strachu. Obserwując przedpole z okopu tuż za Bramą Veyveyr Milo Brin zrozumiał, że stało się to, czego lękał się najbardziej: przyszło im stawić czoła szalonym taktykom Chaosu, których sztab Vervunhive po prostu nie był w stanie uwzględnić.

Mogłeś do nich pruć seriami z lasera, napisał później w swoim pamiętniku generał Xance z kontyngentu NorthColu, i zabijać całe dziesiątki, po to tylko, by patrzeć, jak luka w ich szeregach zamyka się w czasie, który był ci potrzebny na wymianę baterii w karabinie. Gdyby wojnę mierzyć liczbą zadanych strat, już pierwszej nocy bylibyśmy zwycięzcami. Niestety, takie rozwiązanie nie wchodziło w grę.

- Tak wielu, tak wielu... – to ostatnie wyszeptane do komunikatora słowa oszołomionego oficera Vervun Primary na Bramie Sondara, zanim jeden z komisarzy VPHC nie zastrzelił go i nie przejął dowodzenia nad przestraszonymi żołnierzami.

W forcie Hass West Gaunt dotarł na szczyt głównej platformy tuż po tym, jak moździerzowy pocisk rozwalił kawał parapet i urwał głowę pułkownikowi Fraderowi, dowódcy sektora. Gaunt natychmiast przejął dowodzenie, wzywając do siebie vervuńskiego radiooperatora i korzystając z jego modułu łączności. Oficer łącznikowy Daur wspierał komisarza wydając komendy znajdującym się w pobliżu żołnierzom. Gaunt był zadowolony ze swego łącznika. Daur znał fort i jego załogę z czasu swojej służby w Hass West, a lokalni żołnierze chętniej przyjmowali rozkazy od swojego oficera niż obcego. Wielu z nich dosłownie kamieniało na widok imperialnego komisarza. Gaunt akceptował strach jako narzędzie sprawowania kontroli, ale ubolewał nad przesadną skalą terroru stosowaną przez rządzących żelazną ręką członków VPHC.

Komisarz złapał przez komunikator majora Rawne. Tanithijski oficer rozproszył swoich żołnierzy na niższych poziomach Muru wokół fortu

- Nie mamy strat – głos składającego raport majora nił pośród statycznych trzasków – Strzelamy z wszystkich luf, ale ich jest zbyt wielu !

- Pozostańcie na stanowiskach ! Nie przerywać ognia ! Obaj wiemy, że nie można ich złamać jak normalnej armii, ale i ja i ty walczyliśmy z takim wrogiem wcześniej, Rawne. Wiesz, co zrobić, żeby wygrać !

- Zabić ich wszystkich, komisarzupułkownika ?

- Zabić ich wszystkich, majorze Rawne ! – i chociaż osobiście Gaunt nie ufał wcale swemu podwładnemu, wiedział, że major zrobi dokładnie to, co powiedział.

* * *

- Co to takiego ?! – wrzasnął Feygor strzelając ponad parapetem.

Rawne podczołgał się do adiutanta.

- Co ?

Feygor wskazał bronią w dół. Opancerzony pojazd trzykrotnie większy od czołgu nadjeżdżał w kierunku Muru dźwigając na dachu wielką stertę metalowych platform i wysięgników.

- Wieża obłącznicza ! Na fetha ! Łap radio, powiadom Gaunta !

Feygor odbiegł w bok szukając łącznościowca. Rawne wychylił się mocniej za parapet ogarniając wzrokiem morze laserowego światła w dole.

- Bragg ! Bragg !

Olbrzym przyskoczył do oficera trzymając swą wyrzutnię rakiet.

- Zniszcz to !

Bragg potwierdził rozkaz, zarzucił wyrzutnię na ramię i posłał za parapet trzy rakiety. Pomknęły w dół ciągnąc za sobą smugi niebieskiego dymu i wybuchły na dachu pojazdu, ale najwidoczniej nie zdołały go uszkodzić.

- Przeładuj ! Powtórz !

Monstrualny pojazd dotarł do podstawy Muru i uderzył w ceramitową ścianę z przeraźliwym zgrzytem metalu. Zakończone kotwiczkami liny poleciały w kierunku Muru przytrzymując maszynę w miejscu, hydrauliczne ziemie łapy wysunęły się spod burt pojazdu i opadły na ziemię podpierając wieżę po bokach. Z przeciągłym jękiem serwomotorów platformy na dachu wozu zaczęły podnosić się w górę, ku blankom Muru. Segmenty pancernych płyt ozdobione koroną Ferrozoicy i nieludzkimi insygniami szczypiącymi majora Rawne w oczy wysuwały się wraz z rosnącą wieżą chroniąc

jej wnętrze. W tym samym czasie w tylnej części pojazdu otworzyła się wielka rampa i dziesiątki zoicańskich żołnierzy zaczęły wbiegać do środka maszyny.

Górny segment wieży pojawił się przy Murze czterdzieści metrów od majora. Syknęły hydrauliczne podnośniki i metalowa rampa uderzyła w parapet fortyfikacji wbijając w blanki metalowe zaczepy. Po obu stronach opancerzonej platformy znajdowały się zamocowane na obrotowych zaczepach ciężkie miotacze ognia.

- Padnij ! Padnij ! – wrzasnął Rawne.

Miotacze skąpały szczyt Muru w morzu płynnego ognia. Czterdziestu żołnierzy Vervun Primary i dziewięciu Duchów spłonęło żywcem podczas próby ucieczki. Umieszczone nad miotaczami automatyczne granatniki zaczęły obracać się wystrzeliwując serie ładunków, przytłumione wybuchy wstrząsnęły osmalonymi blankami.

Rawne leżał za załomem parapetu wraz z Braggiem, Feygozem i kilkoma innymi Duchami. Feygor strzelał ze swojego lasera, ale wiązki energii nie były w stanie naruszyć opancerzonej kopuły wieży. Jacyś vervuńscy żołnierze przebiegli obok w panice, ich mundury płonęły.

- Bragg !

- Blokada ! – odparł olbrzym siłując się z wyrzutnią.

- Pomóż mu ! – krzyknął Rawne do szeregowca Gyrdy.

Gyrd, barczysty Duch około czterdziestki, wskoczył za zakładającego wyrzutnię na ramię Bragga i zaczął wkładać rakiety do bębna amunicyjnego ciężkiej broni.

- Czysta ! – wrzasnął Bragg i wystrzelił raketę. Wybuch zniszczył wiszący na lewym zaczepie miotacz ognia i skąpał wieżę w płomieniach rozlanego paliwa, ale nie przebił grubego pancerza platformy.

- Czekać, czekać... – wysyczał Rawne. Skóra na jego lewym policzku poczerniała spalona żarem miotacza. Jeśli pisano mu było przeżyć tę noc, miał już zawsze nosić znamię.

- Na co ? – warknął Feygor – Jeszcze chwila i właz się otworzy, a te skurwysyny wsiądą nam na karki !

- Zatem jeszcze pół chwili. Nie zdołamy nawet wgnieść tego pancerza, więc poczekamy na właz.

Drugi miotacz płomieni obrócił się raz jeszcze w obie strony oblewając nadtopioną rampę strumieniem ciekłego ognia, po czym wyłączył się i krople paliwa zaczęły kapać z jego poczerniałej lufy. Wyrzutniki granatów umilkły chwilę później.

Właz na szczycie wieży otworzył się ze zgrzytem. Przez ułamek sekundy obrońcy patrzyli w milczeniu na szeregi stojących wewnątrz segmentu żołnierzy w ochrowych pancerzach, gotowych do wtargnięcia na blanki Vervunhive.

Bragg odpalił trzy pociski. Pierwszy z nich przeleciał nieszkodliwie ponad parapetem i spadł gdzieś na przedpole. Pozostałe dwa znikły wewnątrz szerokiego włazu. Szczyt wieży został rozerwany wybuchem, wtórna eksplozja wstrząsnęła wnętrzem wieży ogarniając ją płomieniami. Z przeraźliwym jękiem dartej konstrukcji wielka konstrukcja przechyliła się i runęła na ziemię.

Obrońcy zaczęli krzyczeć.

- Wracać na miejsca ! Chronić Mur ! – wrzasnął Rawne.

* * *

Sześć dalszych wież obłączniczych toczyło się w kierunku Muru w czasie, gdy Rawne i jego ludzie rozprawiali się z pierwszą. Nieustanny ostrzał z baterii raketowych zniszczył jedną z nich na chwilę przed rozstawieniem tuż przed Bramą Sondara. Druga dotarła pod sam Mur, ale stanęła dokładnie na wprost silosu ciężkiej artylerii. Salwa z potężnych dział

dalekiego zasięgu rozniosła wieżę na strzępy, chociaż wszyscy vervuńscy artylerzyści zginęli spopieleni eksplozją zniszczonej maszyny.

Trzecia wieża ustawiła się przed Bramą Sondara, wysunęła teleskopowy podest i spaliła z miotaczy ognia zajmujących najbliższe pozycje obrońców. Z otwartego wjazdu na blanki wylały się tysiące zoicańskich szturmowców w ciężkich pancerzach. Żołnierze Vervun Primary zostali unicestwieni w pierwszej fazie ataku, ale stacjonujące na pobliskich rampach oddziały Volpone pod rozkazami pułkownika Cordaya natychmiast przystąpiły do kontrataku. Nad Bramą rozgorzała jedna z najbardziej krwawych walk Pierwszego Szturmu. Dwadzieścia plutonów volpońskich Błękitnokrwisych, w tym pododdział elitarnej Dziesiątej Brygady pod wodzą majora Culcisa, zmierzyło się w walce wręcz z tysiącami Zoican. Regularni Błękitnokrwisicy nosili szarozłote pancerze i okrągłe talerzowate hełmy. Ludzie z elitarnej Dziesiątki mieli karapaksy, matowoczarne ciężkie lasery i jasnonie- brutalnej determinacji.

niebieskie emblematy Imperialnego Orła na kompozytowych kołnierzach. Culcis, odznaczony za męstwo okazane na Vandamaarze, był stosunkowo młody jak na członka tej formacji, ale jego przełożeni zdążyli już docenić talent taktyczny i charyzmę majora. Pomimo siedemdziesięcioprocentowych strat Culcis utrzymał Bramę Sondara, wyłącznie dzięki bystrości umysłu i brutalnej determinacji.

Szczyt Bramy i rampy po jej bokach były zasłane ciałami zabitych. Culcis i jego tymczasowy zastępca, sierżant Mantes z regularnych Błękitnokrwisych, spróbowali zniszczyć wieżę za pomocą min przeciwczołgowych. Mantes przypłacił to życiem, ale udało się zerwać zaczepy przytrzymujące maszynę przy Murze i zaraz potem cała konstrukcja zawałowała się pod własnym ciężarem. Culcis pomimo urwanej wybuchem miny dłoni zebrał wokół siebie podwładnych i wyciął w pień zoicańskich szturmowców pozbawionych wsparcia na blankach. Brama Sondara przetrwała pierwszy z trzech zorganizowanych szturmów.

Czwarta maszyna oblężnicza dojechała do Muru na wschód od Bramy Sondara, dokładnie w środku łuku, który zakręcał w kierunku Bramy Veyveyr. Pozycje trzymali tam Roańczycy, zaprawieni w bojach gwardziści noszący ciemne mundury i siatkowe hełmy. Generał Nash osobiście koordynował pracę baterii rakietowych w swoim sektorze i natychmiast polecił ostrzeliwać szczyt wysuwającej się w górę platformy. Chociaż nie zdołano zniszczyć górnego segmentu maszyny, rakiety uszkodziły jakiś mechanizm, bo wieża zatrzymała się w połowie wysięgnika nie mogąc wystawić rampy desantowej. Jej miotacze ognia i granatniki omiotły blanki Muru i Nash stracił blisko czterdziestu żołnierzy, ale wieża pozostała bezużyteczna i napastnicy szybko ją porzucili na pastwę losu. Stała tak uszkodzona do końca wojny.

Dwie pozostałe wieże uderzyły na fort Hass West.

Gaunt widział, jak zbliżają się powoli do jego pozycji i wywołał przez radio swoje stanowiska broni ciężkiej. Komisarz obserwował wcześniej przez lornetę szturm wieży na pozycje majora Rawne i nie zamierzał dopuścić do powtórzenia tamtej krytycznej sytuacji na swoim odcinku.

Naprowadzane radiowymi komunikatami, baterie skoncentrowały ogień na bliższej maszynie i zdołały przebić jej grubą pancerz. Wysuwająca się wieża pękła w połowie i runęła na lewo pośród jaskrawych eksplozji, niszcząc kadłub pojazdu.

Druga maszyna oblężnicza zdążyła dojechać do Muru na zachodnim krańcu fortu. Szczęknęły wysuwane zaczepy i haki, rampa opadła na blanki z metalicznym hukiem. Gaunt wycofał swych ludzi z pobliza wieży, zanim napastnicy uruchomili miotacze ognia i granatniki.

Kłęczący obok komisarza kapitan Daur cisnął na ziemię oficerskim kordem.

- Twoja broń ? – zapytał Gaunt.
- Do diabła ! Dajcie mi karabin !

Komisarz wręczył vervuńskiemu kapitanowi swój boltowy pistolet i włączył trzymany w ręce łańcuchowy miecz.

- Przygotuj się, Daur. Będzie naprawdę ciężko.

Zoicańscy żołnierze wypadli z wieży rozlewając się po rampach szeroką rzeką tysięcy opancerzonych ciał. Duchy i Vervuńczycy skoczyli im naprzeciw. Tak rozpoczął się inny znany epizod Pierwszego Szturmu.

* * *

Tuż przed zniszczeniem pierwszej z dwóch atakujących sektor Gaunta wież spomiędzy ruin habitatów wyjechały inne zoicańskie pojazdy. Było to pół tuzina pancernych wozów szybko ochrzczonych mianem krabów ze względu na podobieństwo do jadalnych skorupiaków hodowanych na farmach w Hass Estuary. Wozy te miały rozmiary pięciokrotnie większe od czołgu, a ich burty i dachy okrywał owalny pancerz przypominający żuka. Zamocowane na obrotowych zaczepach superciężkie bronie pokładowe bombardowały ogniem ciągłym ściany Muru odrywając wielkie bryły adamandytu.

Kraby były łamaczami fortyfikacji, machinami przeznaczonymi do niszczenia najcięższych umocnień. Dwa z nich, wyposażone w masywne tarany, uderzyły na Bramy Hass i Sondara. Zwykle czołgi, malutkie w porównaniu z krabami, flankowały je po bokach. Tysiący idących w tyle sylwetek w ochrowych pancerzach nikt nawet nie próbował liczyć.

Wtedy pojawiły się pająki, największe i najbardziej przerażające z zoicańskich machin oblężniczych. Sięgające stu metrów długości i napędzane ośmioma kolczastymi kołami umieszczonymi na wysięgnikach po opancerzonych bokach pojazdu, pająki wypadły zza kurtyny dymu pędząc prosto na Mur. Umieszczone na ich grzbietach baterie artyleryjskie i raketowe odpalały kolejne salwy w kierunku pozycji obrońców.

Po dotarciu do podstawy Muru pająki nie zatrzymały się. Ich kolczaste koła wbiły się w ceramitowe ściany i potężne maszyny ruszyły w górę niczym monstrualne insekty, pnąc się w kierunku blanków. Spośród ogarnęły

wszystkich machin oblężniczych rzuconych na Vervunhive właśnie pająki były najbliższe przełamania pozycji lojalistów tej nocy. Było ich w sumie pięć. Jeden został zniszczony ogniem artylerii w strefie śmierci, drugi stanął unieruchomiony raketami jakieś dwadzieścia metrów od Muru i po chwili ogarnęły go płomienie.

Trzy pozostałe wspinały się po pionowej powierzchni Muru zgrzytając i piszcząc, gdy ich najeżone ostrzami koła wgryzały się w warstwę ceramitu. Pierwszego zniszczył komisarz VPHC Vokane, który kazał swoim żołnierzom zrzucić na zbliżającą się maszynę wyciągnięte z magazynu amunicji pociski artyleryjskie, ustawione na detonację po kilku sekundach. Zbiorowa eksplozja prowizorycznych min oderwała pająka od ściany i cisnęła w dół. Pojazd runął na grzbiet miażdżąc pod swym ciężarem setki zoicańskich najeźdźców. Vokane i jego pięćdziesięciu siedmiu vervuńskich żołnierzy nie zdążyło nawet tryumfalnie krzyknąć, fala uderzeniowa wybuchu spaliła ich ciała do kości.

Drugi pająk skręcił na Bramę Veyveyr i zaczął przebijać się przez gigantyczne barykady. Jego potężne koła miażdżyły wzniesione z kawałków kolejowych szyn zapory. Kiedy opancerzony łeb pająka przedostał się na drugą stronę Bramy, ciężka artyleria i czołgi NorthColu powitały go salwą z wszystkich luf i podziurawiły kadłub. Uszkodzona machina zatrzymała się w miejscu przechylona na bok, opierając się niezdarnie na pękniętych sekcjach napędowych i blokując przejście przez bramę.

Ostatni pająk wdarł się na Mur na zachód od fortu Hass West. Generał Grizmund czekał na niego cierpliwie. Kiedy machina śmierci pojawiła się na blankach paląc żywcem obrońców bądź zmuszając ich do panicznej ucieczki, narmeniańskie czołgi ustawione na odkrytej

przestrzeni przed fabryką chemiczną Domu Anko strzeliły jednocześnie zmiatając pojazd ze szczytu Muru. Potencjał tej czołgowej salwy zniszczył spory fragment wewnętrznych sekcji Muru, ale szybko machnięto na to ręką. Pająk został zniszczony.

* * *

W forcie Hass West ludzie Gaunta starli się z falą Zoican przedostających się na Mur poprzez wieżę oblężniczą. Na ciasnych krętych platformach rozgorzała zaciepła walka wręcz. Komisarz osobiście uśmiercił dziesiątki napastników swym łańcuchowym mieczem i zdołał wyciąć sobie drogę w kierunku rampy desantowej wieży. Daur walczył u jego boku strzelając z boltowego pistoletu, podobnie jak sześćdziesięciu innych żołnierzy, tanithijskich i Vervun Primary.

Drużyny pod rozkazami Varla i Mkolla dołączyły do grupy komisarza i Gaunt z ulgą stwierdził, że jego ludzie zabijają wrogich szturmowców równie szybko jak kolejni Zoicanie wdzierają się na blanki. Słyszając wśród bitewnego zamieszania jakieś okrzyki Gaunt odwrócił się w ich kierunku i dostrzegł komisarza Kowle'a wiodącego pięćdziesięciu żołnierzy Vervun Primary niżej położonymi rampami po drugiej stronie wieży.

Najeźdźcy zostali pochwyceni między kleszcze obrońców.

- Potrzebuję ładunki wybuchowe ! – Gaunt wykrzyczał rozkaz dla Daura. Kapitan przywołał grenadiera, obwieszono go pasami z minami rozpryskowymi i ładunkami przeciwpancernymi.

- Dawać je wszystkie ! – wrzasnął Gaunt – Do środka wieży ! Za mną !

Komisarz skoczył pomiędzy szeregi Zoican, jego łańcuchowy miecz rozrzucał wkoło krew, kawałki pancerzy, włosy i rozdarte mięśnie. Oficer wyciął sobie przejście do rampy desantowej i krzyknął ponaglająco na grenadiera. Laserowa wiązka trafiła vervuńskiego żołnierza w czoło, gdy dobiegał do Gaunta. Komisarz chwycił przewracającego się mężczyznę.

- Daur !

Kapitan doskoczył z pomocą. Razem pociągnęli ciało grenadiera do wjazdu wieży. Gaunt wyciągnął zza pasa zabitego jeden z ładunków, odbezpieczył go i wetknął ponownie w uchwyt. Potem obaj oficerowie chwycili mocno martwego żołnierza i cisnęli go do środka oblężniczej wieży.

Ładunek eksplodował kilka sekund później. Milisekundę po jego detonacji wybuchły pozostałe miny. Wieża zakotłowała się i runęła na mrowie zoicańskich żołnierzy kłębiących się daleko w dole.

Kowle i jego podwładni zabili ostatnich Zoican pozostających jeszcze na Murze.

* * *

O godzinie drugiej w nocy, trzydziestego dnia wojny, Zoicanie przerwali natarcie i wycofali się pod osłonę zadymionych habitatów. Kraby odjechały z chrzęstem gąsienic, eskortowane przez zwykłe czołgi i oddziały piechoty. Imperialne hymny rozbrzmiewały z każdego głośnika metropolii.

Vervunhive straciło 34,000 żołnierzy, dwadzieścia wyrzutni raketowych, pięćdziesiąt lekkich dział i dziesięć oblężniczych. Mur był nadwerężony w wielu miejscach, w tuzinie z nich w stopniu krytycznym.

Pierwszy Szturm został odparty.

„Pierwsza zasada wpajana oficerowi politycznemu brzmi: ucz się kłamać. Druga: nie ufaj nikomu. Trzecia: nigdy nie angażuj się w lokalne rozgrywki polityczne.”

– komisarz generał Delane Oktar, fragment Listów do Hyrkańczyków

Procesja kapłanów Ministerium przemierzała kamienne korytarze szpitala miejskiego 67/mv. Nieśli lichtarze i kadzidła, a błagalne litanie i błogosławieństwa udzielane rannym rozlegały się wszędzie wokół. Długie, poskręcane zwoje pergaminów pokrytych kazaniami Imperatora ciągnęły się za nimi niczym fragmenty skóry liniejącego węża, zwisając z niesionych modlitewnych skrzynek.

Chirurg Ana Curth skłaniała z respektem głowę za każdym razem, gdy napotykała na swej drodze kleryków, ale w głębi duszy miotała na nich przekleństwa. Przeszkadzali medykom, a przy tym straszili wielu krytycznie rannych, którzy w zakapturzonych księżach dopatrywali się demonów przybywających po ich dusze. Wsparcie duchownych miało swe zalety, ale w obliczu kryzysu fizycznego personel szpitala zobowiązany był ratować w pierwszej kolejności życia, na drugi plan spychając posługi duchowe.

Zoicański szturm zaowocował konwojami rannych we wszystkich miejskich szpitalach, wypełnionych już po brzegi ofiarami pierwszego bombardowania. Wojskowe szpitale polowe natychmiast zaoferowały swą pomoc w postaci oficerów medycznych i sprzętu przywiezionego przez Gwardię. Ich doświadczenie okazywało się bezcenne. Curth i jej koledzy byli doskonale wykształconymi lekarzami znającymi każdy aspekt swojego rzemiosła – poza obrażeniami wojennymi.

Był poranek trzydziestego dnia wojny. Curth nie kładła się spać od dobrych dwudziestu godzin. Po koszarze nocnego szturmie walki ustały i ograniczyły się do sporadycznej wymiany ognia artyleryjskiego z obu stron ponad morzem zoicańskich trupów zaścielających przedpole Muru.

Tyle przynajmniej słyszała od przechodzących żołnierzy i pracowników Administratum. Sama praktycznie nie miała czasu, by podnieść wzrok znad niekończącej się pracy. Opłukała dłonie pod strumieniem wody, nie tyle chcąc je umyć, co poczuć między palcami odświeżający chłód. Podniosła głowę i spojrzała na grupkę brudnych żołnierzy Vervun Primary dźwigających na noszach tuzin swych rannych towarzyszy.

- Nie, nie ! – krzyknęła – Zachodnie skrzydło jest pełne ! Nie tędy !

Kilku żołnierzy zaprotestowało.

- Nikt wam nie wytłumaczył drogi ? Pokażcie dokumenty !

Sprawdziła wymiętą, ubrudzoną błotem i zaschniętą krwią kartę przyjęć podaną przez jednego z żołnierzy.

- Źle wypisana – wymruczała kręcąc głową w trakcie czytania – Ktoś zaznaczył niewłaściwe pozycje. Musicie wrócić do głównej sali przyjęć.

Więcej protestów. Wyjęła z kieszeni pióro i przekreśliła wpisy na karcie. Po wprowadzeniu prawidłowych danych wypaliła w karcie swój identyfikator pewnym dotknięciem służbowego sygnetu.

- Z powrotem – powiedziała nie znoszącym sprzeciwu głosem – Z powrotem tamtą drogą, a ktoś się wami zajmie.

Żołnierze zawrócili. Curth odwróciła się słysząc podniesione głosy w sali 12/g.

Sala 12/g była wypełniona uchodźcami z zewnętrznych habitatów, wyczerpanymi i znajdującymi się w stanie przejściowego szoku. Kilka dni odpowiedniego odżywiania się i zabiegów rehabilitacyjnych przyniosło znaczącą poprawę i Curth miała cichą nadzieję, że najdalej za dwa dni będzie mogła większość z nich odesłać do obozów tymczasowych. Potrzebowała wolnego miejsca.

Weszła do wysoko sklepionej długiej sali o wyłożonych zielonymi kafelkami ścianach, pod którymi stało siedemset łóżek. Niektóre z nich były przesłonięte parawanami, przy innych kłębiły się tłumy krewnych nie chcących opuścić członków swych rodzin. W ciepłym powietrzu unosił się zapach ludzkich ciał i leków.

Pokrzykiwania dobiegały z rzędu łóżek w połowie sali. Dwóch sanitariuszy, rozpoznawalnych z daleka dzięki czerwonym fartuchom, próbowało uspokoić jakiegoś nerwowego uchodźcę, obserwowanego beznamytnie przez pozostałych pacjentów. Robotnik był potężnym mężczyzną bez widocznych obrażeń zewnętrznych, ale o bladej i wymizerniałej aparycji. Krzyczał na sanitariuszy i wygrażał im nerwowymi gestami dłoni.

Curth westchnęła. Nie był to pierwszy taki incydent. Miała już wcześniej kłopoty z członkami najniższych klas społecznych, traktujących narkotyki jako jedyną drogę ucieczki od udręki życia codziennego. Obskura była tańsz tańsza od alkoholu, a do jej aplikacji wystarczała strzykawka albo inhalator. Po rozpoczęciu inwazji robotnicy uciekli do metropolii pozostawiając w domach swoje zapasy narkotyku. Naliczyła już ponad dziewięćdziesięciu pacjentów z objawami głodu w formie konwulsji i gorączki, chociaż odpowiednia dieta i wsparcie farmakologiczne pozwalały złagodzić ból do postaci regularnych dreszczy. Niemniej jednak niektórzy uchodźcy musieli otrzymywać medyczne substytuty narkotyków. Części udało się przetrwać pierwsze etapy odwyku, inni stali się nadpobudliwi i nieobliczalni. Dla kilku nie rokujących nadziei pacjentów o nieodwracalnym stopniu uzależnienia musiała przepisać środki znieczulające.

Curth weszła pomiędzy swych podwładnych i stanęła twarzą w twarz z uchodźcą. Dłonie trzymała przed sobą w uspokajającym geście.

- Jestem głównym lekarzem – oświadczyła spokojnie – Jak się nazywasz ?

Robotnik wycharczał coś niezrozumiale i z kącika jego ust pociekła cienka strużka śliny.

- Twoje imię ? Jak się nazywasz ?

- NNorand.

- Jak długo używasz obskury, Norand ?

Kolejne mamrotanie, pociągnięcie nosem.

- Jak długo ? To ważne.

- Ood czasu kkontraktu...

Co najmniej dwadzieścia lat. Nieuleczalny przypadek, nie miała wątpliwości. Ten człowiek pewnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że jego mózg został zżarty przez narkotyk.

- Przyniosę ci zaraz coś, co sprawi, że lepiej się poczujesz, Norand. Musisz się tylko uspokoić. Potrafisz ?

- Pprochy ? – zapytał przygryzając wargi.

Skinęła twierdząco głową.

- Będiesz teraz spokojny ?

Robotnik wlepił wzrok w podłogę i usiadł na swoim łóżku gniotąc w palcach brzeg prześcieradła. Curth odwróciła się do sanitariuszy.

- Przynieście mi dwie dawki lomitamolu. Natychmiast ! – jeden z pielęgniarzy odszedł pośpiesznie, drugiego odprawiła ruchem dłoni nakazując mu zająć się innymi pacjentami.

Wypełniająca salę ludzki gwar przycichł na ułamek sekundy. Stojąca tyłem do uchodźcy Curth pojęła w jednej chwili swój błąd. Zdażyła się odwrócić na czas, by ujrzeć jak mężczyzna skacze w jej kierunku z wyszczerzonymi w upiornym grymasie zębami i zardzewiałym nożem w ręce.

Zastanawiając się idiotycznie, w jaki sposób narkoman zdołał przemycić na salę ostrze, spróbowała uskoczyć w bok. Robotnik zderzył się z nią i pchnął impetem swego ciała na wózek z butlami wody. Pojemniki spadły na podłogę. Wydając z siebie przeraźliwy wrzask mężczyzna zakołysał się na nogach próbując odzyskać równowagę. Ciął nożem z półobrotu, ale zdołała odtoczyć się spod ostrza rozcinając skórę o walające się na podłodze kawałki

mokrego szkła. Poderwała się na kolana, w każdej chwili oczekując bolesnego uklucia między łopatkami.

Odwracając się dostrzegła bełkoczącego coś narkomana, pochwyconego od tyłu w żelazny uścisk. Oficer medyczny Dorden owinał lewą rękę wokół szyi robotnika, a prawą chwycił go za uzbrojony nadgarstek i odciągnął trzymającą nóż dłoń na długość całego ramienia w bok. Uchodźca charczał i dygotał, ale Dorden był niewzruszony i spokojny. Palce lewej dłoni trzymał zaledwie milimetr od rdzenia kręgowego i w taki sposób, że jednym ruchem dłoni mógł w każdej chwili skrócić kark narkomana. Taką precyzją poszczycić się mógł tylko wybitny medyk albo imperialny assasyn.

- Rzuć to – powiedział Dorden do ucha robotnika.

- Nnnie !

- Rzuć to. Już – powtórzył Tanithijczyk i wbił palce w nadgarstek narkomana zmuszając go do rozwarcia dłoni. Zardzewiałe ostrze stuknęło metalicznie o podłogę i Curth kopniakiem usunęła je z pola widzenia robotnika. Dorden wzmocnił ucisk na arterię mężczyzny do chwili, w której jego oczy zaszyły mgłą, a mięśnie zwiotczały. Pchnął nieprzytomnego uchodźcę twarzą na wolne łóżko, robiąc miejsce nadbiegającym sanitariuszom.

- Zwiążcie go. Dajcie mu lomitamol, ale i tak go zwiążcie – odwrócił się do Curth – To jest wojna, chyba już zauważyłaś. Powinnaś mieć tutaj ochronę. W czasie wojny wszędzie jest niebezpiecznie, nawet za linią frontu.

- Dziękuję, Dorden – kiwnęła głową, poruszona i wstrząśnięta.

- Cieszę się, że mogłem pomóc. Szukałem cię. Pozwól ze mną – podniósł z podłogi plik dokumentów i teczek i ujął kobietę pod ramię wyprowadzając ją delikatnie z sali.

W chłodnym korytarzu Curth otarła czoło i oparła się plecami o kamienną ścianę oddychając głęboko.

- Od jak dawna pracujesz ? Powinnaś odpocząć – oświadczył Dorden.

- Czy to diagnoza lekarska ?

- Nie, przyjacielska rada.

Rzuciła na lekarza okiem. Choć wciąż jeszcze nie potrafiła pogodzić się z jego na jego naturalną poufałością, zdążyła go polubić. Dorden i tanithijscy medycy byli rdzeniem zespołu pracującego w głównym punkcie przyjęć.

- Siedzisz tutaj równie długo, jak ja. Widziałam cię przy stole wczoraj o północy.

- Podrzemuję sobie.

- Co robisz ?

- Ucinam sobie drzemki. Użyteczna umiejętność i dużo zdrowsza od stymulantów. Znam dobrze problem braku snu. Do diabła, jestem lekarzem od wielu lat, nauczyłem się drzemać. Dziesięć minut tu, pięć tam, w każdych warunkach. To pozwala się zregenerować.

Pokręciła głową i uśmiechnęła się.

- A gdzie zazwyczaj drzemiesz ?

- Zauważyłem, że na trzecim piętrze jest wyjątkowo komfortowy składzik na brudną pościel. Powinnaś spróbować. Nikt ci tam nie będzie przeszkadzał, pościeli na łóżkach i tak tutaj nikt nie zmienia.

Roześmiała się ponownie.

- Dzięki i za to.

Dorden wzruszył ramionami.

- Pamiętaj dzisiejszą lekcję, chirurga Curth. Znajdź czas na drzemkę. Ufaj przyjaciołom. Nigdy nie odwracaj się plecami od narkomana z zardzewiałym nożem.

- Będę pamiętała – obiecała szczerze.

Ruszyli razem wzdłuż korytarza mijając dwa zespoły ratunkowe wnoszące na salę operacyjną nowych rannych.

- Mówiłeś, że mnie szukałeś.

- Hmm – Dorden przypomniał coś sobie i zaczął przeszukiwać trzymane w rękach dokumenty – To nic szczególnego. Pomyślisz, że to głupie, ale jestem uczulony na szczegóły. Kolejna lekcja, jeżeli jesteś w nastroju do wysłuchiwanie nauczek. Zwracaj uwagę na detalu, zanim dobią ci się do tyłka – urwał na moment, spojrzął na nią i zaczerwienił się raptownie – Proszę o wybaczenie. Zbyt długo przebywałem w towarzystwie żołnierzy o niewyparzonych gębach.

- Wyjaśnienie zaakceptowane. Opowiedz mi o tych szczegółach.

- Byłem na intensywnej terapii w 471/k. Jest tam wielu mieszkańców metropolii rannych podczas pierwszego bombardowania. Mamy urwane kończyny, rany cięte od szrapneli, poparzenia i silne potłuczenia, szeroki przekrój paskudnych obrażeń. Wszyscy oni przebywali w Commercii, kiedy spadły pierwsze pociski. Zwłaszcza zaś – spojrzął do dokumentów – w rejonie stacji kolejki C4/a i na wschodnim pasażu handlowym.

Sięgnęła po sprawozdanie i wyjęła mu je z ręki.

- I co ?

- Sprawdzalem, czy można kogoś wypisać albo przynajmniej przenieść na inne sale, żeby zwolnić trochę łóżek. Znalazłem dwunastu pacjentów, których wolno już przerzucić na zwykłe oddziały.

- Więc ? – zapytała ponownie – O co chodzi ? Czy to sugestia administracyjna ?

- Nie, nie – zaprzeczył i sięgnął po inny arkusz papieru – Mówiłem ci o rodzaju obrażeń, z którymi mamy tam do czynienia. Głównie efekty bombardowania, chociaż jest też trochę ofiar stratowanych przez tłum. Ale znalazłem też dwa inne przypadki, oba w stanie śmierci klinicznej. Zastanawiające... zastanawiające jest, dlaczego umierają od ran postrzałowych.

- Co ? – chwyciła kartkę i zaczęła studiować jej zawartość.

- Mały kaliber, prawdopodobnie pistolet igłowy. Łatwo o pomyłkę przy tylu ranach od szrapneli.

- Tutaj jest napisane penetracja organów wewnętrznych odłamkami szkła. Kopuła stacji rozpadła się i

- Wiem, jak wygląda rana postrzałowa z igłowego pistoletu. A znalazłem ich blisko tuzin na każdej z ofiar. Do tych ludzi strzelano z bliskiego dystansu. Sprawdziłem karty przyjęć. Przywieziono z tego samego miejsca dwanaście innych osób, wszystkie z takimi samymi ranami. Zmarły w drodze do szpitala.

- Z Commercii ?

- Ze stacji C7/d, jak dotąd nie trafionej żadnym pociskiem. Mimo to znaleziono tam blisko dwadzieścia ciał.

Curth przeczytała jeszcze raz kartkę, potem spojrziała na Dordena.

- Myślisz o tym samym, co ja, prawda ? – uśmiechnął się posepnie – Wokół setki tysięcy zabitych i rannych, potrzebujących naszej pomocy, a ja zaprzęgam sobie głowę tymi dwoma. Nie powinno mnie interesować, jak zostali ranni, tylko jak mogę ich uratować.

- Tak pomyślałam – powiedziała – Ale...

- Tak: ale. Użyteczne słówko. Dlaczego tamci ludzie zginęli ? Kto otworzył ogień do bezbronnych cywilów na samym początku inwazji ?

Pomimo godzin wyczerpującej pracy Ana Curth ponownie poczuła przyływ energii. Dorden miał rację: ten incydent był niewymiernie mały w porównaniu ze skalą nieszczęść, jakie spadły na Vervunhive. Ale nie mógł być przemilczany. W Scholam Medicalis nauczono ją cenić każde ludzkie życie w jednakowy sposób.

- Vervunhive jest mordowane – oświadczyła – Większość zabójców krąży na zewnątrz w ochrowych pancerzach. Inni, jak się domyślam, siedzą teraz przy mapach w Domu Dowódczym. Ale jest gdzieś jeszcze jeden. I my go znajdziemy.

* * *

Gaunt poprawił swoją czapkę, wygładził rękawy czystej skórzanej kurtki i wysiadł z windy otoczony sześcioma Tanithijczykami pełniącymi rolę eskorty. Dowodzeni przez Caffrana gwardziści wodzili wzrokiem po przepyszej architekturze górnych poziomów Main Spine. Żaden z nich wcześniej się nie spodziewał wizyty w posiadłości któregoś z arystokratycznych rodów.

- Nawet w pieprzonej windzie mają dywan ! – syknął z niedowierzaniem szeregowiec Cocoer.

Gaunt spojrzął na żołnierzy.

- Zostańcie tutaj. I zachowujcie się odpowiednio.

Duchy potwierdziły rozkaz, a potem zebrały się przy ornamentowanej fontannie, gdzie krystalicznie czysta woda tryskała z muszli trzymanyh przez marmurowe nimfy i wpadała do wyłożonego zielonymi kamieniami zbiornika. Na powierzchni wody pływały dorodne lilie. Niektórzy żołnierze oparli swoje karabiny o kamienną krawędź fontanny. Gaunt uśmiechnął się pod nosem widząc, jak Caffran sprawdza starannie czy ma czyste spodnie chcąc usiąść na stylowej ławeczce.

Niecodzienny obrazek, pomyślał spoglądając raz jeszcze na swoich podwładnych, sześciu brudnych żołnierzy z pierwszej linii, świeżo po walce, zagubionych pośród aury władzy i bogactwa.

Ruszył wzdłuż promenady stąpając po grubym niebieskim dywanie. W otaczającym go powietrzu unosił się dyskretny zapach olejków eterycznych, a z ukrytych głośników dobiegały dźwięki melodyjnej muzyki. Dach nad głową komisarza był przeszklony i pocięty wąskimi metalowymi wspornikami. Drzewa, prawdziwe drzewa, rosły w donicach na środku korytarza, a małe, jaskrawo upierzone ptaszki skakały po ich gałązkach. Przywileje władzy, pomyślał Gaunt.

Stanął przed wielkimi drzwiami wykonanymi z pojedynczego kawałka jakiegoś gigantycznego drzewa. Na ich powierzchni pysznił się płaskoryt przedstawiający insygnia rodowe Wysokiego Domu Chass.

* * *

Komisarz wziął do ręki kieliszek i skinął głową odprawiając serwitora. Sącząc w zamyśleniu drinka zaczął zastanawiać się nad celem swej wizyty. Nie miał wątpliwości, że pomiędzy nim i lordem Chass istniało całe uniwersum różnic. Co mogli mieć ze sobą wspólnego ?

- Żeby tutaj wejść, musiałeś otrzymać zaproszenie, ale nie znam cię.

Gaunt odwrócił się i ujrzał młodą kobietę wchodzącą do hallu bocznymi drzwiami. Miała na sobie żółtą suknię z jedwabiu, futrzaną narzutę oraz srebrny diadem skrzący się drogimi kamieniami. Jej uroda była wręcz boleśnie zniewalająca, a perfekcyjne rysy twarzy i błysk oczu zdradzały nieprzeciętną inteligencję.

Uklonił się z szacunkiem i stuknął obcasami oficerek.

- Jestem Gaunt, pani.

- Komisarz spoza naszego świata ?

- Jeden z nich. Wielu nas przybyło wraz z Gwardią.

- Ale ty jesteś znany: Ibram Gaunt. Powiadają, że Bohater Ludu Kowle wpadł w szal, kiedy usłyszał, że sławny Gaunt leci do Vervunhive.

- Tak powiadają ?

Dziewczyna zaczęła okrążyć go powoli. Gaunt pozostał w miejscu patrząc spokojnie przed siebie.

- Pewnie. Bohater wojenny Kowle mógł zbierać spokojnie laury, ale pojawił się inny heros. Znany powszechnie z operacji na Balhaucie, Fortis Binary, Menazoidzie i Monthaxie. To zbyt wiele dla Kowle'a. Przerastasz go. Vervunhive jest wielkie, ale nie ma w nim miejsca dla dwóch bohaterskich komisarzy, nieprawdaż ?

- Być może. Nie jestem zainteresowany rywalizacją. Zatem... nieobca jest ci najnowsza historia militarna Imperium, pani ?

- Mnie nie, moim damom do towarzystwa owszem - uśmiechnęła się niebezpiecznie.

- Twoje panny do towarzystwa interesują się moją biografią ?

- Ogromnie, tobą i twymi... jak one ich nazwały ? Barbarzyńskimi i nieustraszonymi Duchami. Przyznają, że są znacznie bardziej ekscytujący od tych nadętych volpońskich Błękitnokrwistych.

- Za to akurat mogę ręczyć - odparł. Chociaż dziewczyna była śliczna, jej protekcyjne maniery i dwuznaczne uwagi zaczynały go irytować. Nie miał ochoty na zwracanie sobie głowy dworskimi flirtami - Mam szczęście tobie, pani.

barbarzyńskich i nieustraszonych Duchów w przedpokoju. Jeśli sobie życzysz, mogę ich przedstawić twoim pannom do towarzystwa – wyszczerzył zęby - lub tobie, pani.

Przystanęła w miejscu. Złość na moment pojawiła się na jej twarzy, ale zaraz znikła pod maską obojętności. Dobrze skrywała swe uczucia.

- Czego tutaj szukasz, Gaunt ? - zapytała, jej głos wyraźnie stwardniał.

- Lord Chass mnie wezwał.

- Mój ojciec.

- Tak też myślałem. Zatem jesteś

- Merity Chass, z Wysokiego Domu Chass.

Gaunt uklonił się ponownie i upił łyk likieru.

- Co wiesz o moim ojcu ? - zapytała szorstko ponownie okrążając go wokół, niczym egzotyczny ptak w tańcu godowym.

- Jest głową jednego z dziewięciu arystokratycznych rodów Vervunhive. Jeden z trzech sprzeciwiających się polityce militarnej generała Sturma. Jedyne zainteresowane moimi propozycjami. Sojusznik, jak sądzę.

- Nie wykorzystaj go ! Nie waż się go wykorzystać ! - syknęła.

- Wykorzystać ? Pani

- Nie baw się w żadne gierki. Wysoki Dom Chass jest jedną z najpotężniejszych rodzin Vervunhive i jedną z najstarszych, ale znajduje się w defensywie. Croe i Anko mają władzę i są w stosunku do nas w opozycji. Anko w szczególności. Mój ojciec znany jest jako liberał. Ma... szczytne idee i uczciwe intencje. Ale jest też niewinny, bezbronny. Polityczny manipulator bez trudu wykorzysta jego łatwowierność i zdradzi w stosownej chwili. To się już zdarzyło w przeszłości.

- Pani Chass, nie mam zamiaru wykorzystywać pozycji twego ojca. To on wezwał mnie tutaj. Nie mam pojęcia, jakimi kierował się motywami. Jestem taktikiem, przywódcą żołnierzy. Prędeż sobie utnę prawe ramię niż dam się wciągnąć w rozgrywki polityczne między waszymi rodami.

Zamyśliła się na chwilę analizując jego słowa.

- Obiecaj mi, Gaunt. Obiecaj mi, że go nie wykorzystasz. Lord Anko nie posiadałby się ze szczęścia patrząc jak nasz dostojny Dom ulega zniszczeniu.

Studiował uważnie twarz kobiety. Nie żartowała. W swym uniesieniu była... niewinna, używając jej własnego określenia.

- Nie jestem intrygantem. Zostawiam to dla Kowle'a. Proste, uczciwe obietnice akceptuję i gotów jestem złożyć. Na nich opieramy nasze żołnierskie życie. A więc obiecuję ci, pani.

- Przysięgnij !

- Przysięgam na życie ukochanego Imperatora i światło Astronomiconu.
Westchnęła patrząc gdzieś w bok.
- Chodź ze mną - powiedziała.

* * *

W towarzystwie utrzymujących dyskretny dystans ochroniarzy dziewczyna poprowadziła Gaunta krótkim korytarzem obwieszonym różnobarwnymi draperiami maskującymi pracujące bezgłośnie nawilżacze powietrza, po czym wprowadziła go na odkryty taras.

Taras wyrastał z zewnętrznej ściany Main Spine, chroniony tarczą miniaturowego pola siłowego. Platforma znajdowała się blisko tysiąc metrów ponad ulicami metropolii. Poniżej rozpościerała się panorama Vervunhive, w górze błyszczał szczyt luksusowego kompleksu, skąpany w szmaragdowym świetle trzeszczącej Tarczy.

Taras był cybernetycznym ogrodem. Mechaniczne rośliny wyrastały z metalowych pojemników. Metalowe żuki i malutkie motyle o papierowych skrzydłach latały w powietrzu pomiędzy martwymi kwiatami. Oleście czarne owoce zwieszały się z gałęzi metalowych drzewek niczym kawałki węgla.

Lord Heymlík Chass, ubrany w strój ogrodnika, szedł wzdłuż rzędów roślin przycinając laserowym sekatorem łodygi aluminiowych róż. Rzucił spojrzenie w kierunku wiodącej komisarza córki.

- Miałem nadzieję, że mnie odwiedzisz – powiedział do Gaunta.
- Pewne wydarzenia opóźniły tę wizytę – odparł komisarz.
- Oczywiście – Chass skinął głową i spojrzał w kierunku południowej części miasta – Zła noc. Twoi ludzie... przeżyli ?
- Większość z nich. Taka jest wojna.
- Poinformowano mnie o twoich czynach w Hass West. Vervunhive już jest twoim dłużnikiem, komisarzu.

Gaunt wzruszył ramionami i rozejrzał się po ogrodzie.

- Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem – oświadczył szczerze.
- Prywatny kaprys. Dom Chass specjalizuje się w tworzeniu serwitorów, maszyn oraz inteligentnej elektroniki. Całe życie konstruujemy maszyny dla Imperium. Lubię pozwalać im ewoluować w naturalny sposób, bez zewnętrznej ingerencji.

Merity cofnęła się kilka kroków od mężczyzn.

- Zostawię was teraz samych – powiedziała. Chass odprowadził wzrokiem idącą w kierunku wyjścia dziewczynę.
- Masz wspaniałą córkę, panie – oświadczył Gaunt.
- Owszem, mam. To moja spadkobierczyni. Nie miałem synów. Posiada techniczne uzdolnienia, które mnie przerastają. To ona poprowadzi Dom Chass w kolejne stulecie – arystokrata przerwał na moment, uciął rdzewiejący kwiat i schował go do kieszeni fartucha – Jeśli istnieje następne stulecie dla Vervunhive.
- Ta wojna będzie zwycięstwem Imperium, nie ma co do tego żadnych wątpliwości.
- Chass uśmiechnął się.
- Wypowiedź godna prawdziwego politycznego drapieżnika, komisarzu Gaunt.
- Te określenie nie sprawia pozytywnego wrażenia.
- I nie ma sprawiać. Ale ty jesteś politycznym drapieżnikiem, prawda, Gaunt ?
- Jestem pułkownikiem Imperialnej Gwardii. Żołnierzem wszechmocnego Imperatora, chwała Jego imieniu. Mój talent polityczny ogranicza się do dbania o morale podwładnych, niczego więcej.

Chass skinął głową.

- Chodź ze mną.

Przeszli pomiędzy platynowymi drzewkami ciężkimi od brzoskwiń z brązu. Ich pnie owinięte były lianami wykonanymi z kolczastego drutu. Za owocowym parkiem znajdowały się schody wiodące na niższy poziom ogrodu.

- Jak przypuszczam, moja córka już zdążyła cię przestrzec przed moimi liberalnymi przekonaniem ?

- Zgadza się, panie.

- Bardzo się o mnie troszczy – roześmiał się Chass – Uważa, że jestem w niebezpieczeństwie.

- Tak właśnie stwierdziła.

- Pozwól, że coś ci pokażę – Vervuńczyk poprowadził komisarza w płataninę metalowych żywopłotów. Ich gałęzie trzeszczały cichutko w rytm elektrycznych wyładowań.

- Fraktalna struktura – oświadczył z dumą Chass – Matematyczny wzór wygenerowany przez elektroniczne umysły zaprogramowane posadzonym tu roślinom.

- To zadziwiające – odparł zdawkowo Gaunt.

- Nie sprawia na tobie specjalnego wrażenia, prawda ?

- Owszem, panie. Mówiąc szczerze budzi we mnie zmieszanie.

- Jesteś niezwykle oficerem, Gaunt. Przystudiowałem twoje dossier bardzo starannie.

- Podobnie jak damy dworu - odparł komisarz.

Chass parsknął zdejmując z pasa niewielkie nożyce. Zaczął nimi przycinać mechaniczny żywopłot.

- Kierowały nami odmienne motywy, jak zapewne się domyślasz. Panny szukają kandydatów na mężów. Ja zaś przyjaciół. Twoje dokumenty zdradzają, iż jesteś człowiekiem o zadziwiająco uczciwym charakterze.

- Doprawdy ? - Gaunt patrzył jak narzędzie dostojnika modeluje żywopłot. Czekał na dalszy ciąg wypowiedzi.

- Jesteś lojalny wobec sprawy Imperium, wobec krucjaty, ale nie w stosunku do tych przełożonych, którzy stwarzają dla niej zagrożenie. Jak Dravere na Menazoidzie Epsilon. Jak wasz generał Sturm na Voltemandzie. Szukasz własnych rozwiązań i jak przystało na prawdziwego komisarza nie cofasz się nigdy przed usunięciem tych sprzymierzeńców, którzy przeszkadzają dobru sprawy.

Gaunt przesunął wzrokiem po panoramie widocznego w dole miasta.

- Jeszcze jedna sentencja lub dwie i zaczniesz mi stawiać zarzuty, lordzie Chass.

- I kto mnie wysłucha ? Człowiek, który jest profesjonalistą w odpieraniu zarzutów ? Jeśli cię o coś oskarżę, możesz mnie zabić na miejscu, Gaunt.

- Mam nadzieję, że możemy tego uniknąć, panie - powiedział komisarz.

- Ja też. Po awanturze w Wielkiej Radzie zrozumiałem, że nie popierasz strategii promowanej przez generała Sturma.

Gaunt skinął potakująco głową.

- Mamy zatem coś ze sobą wspólnego. Ja nie uznaję zwierzchnictwa Wysokiego Domu Sondar. Sondar kontroluje Croe, a Anko jest jego pokojowym pieskiem. Razem poprowadzą nas ku zagładzie.

- Polityczne machinacje dalece mnie przewyższają, panie - odparł dyplomatycznie oficer Gwardii.

Chass wrócił do pracy nad żywopłotem. Cybernetyczny krzew zaczynał przybierać zarys perfekcyjnie wyciętego Imperialnego Orła.

- Obaj jednak jesteśmy w nie uwikłani. Zła polityka i złe rozkazy zniszczą to miasto. Obaj ucierpimy.

Gaunt chrząknął, by oczyścić gardło.

- Z całym szacunkiem, lordzie Chass, czy to kwestie polityczne są przyczyną

czyną mojej wizyty ?

- Być może. Być może nie. Chciałem z tobą porozmawiać, Gaunt, ocenić cię. Zajrzeć w głąb twego serca i spróbować dostrzec tam znajomy błysk. Na swych barkach noszę ogromną odpowiedzialność wobec Vervunhive, większą niż władza sprawowana obecnie przez arystokratyczne rodziny. Nie zrozumiałbyś tego, ja zaś nie zamierzam ci tego tłumaczyć.

Zaufaj mi.

Gaunt milczał.

- Będę walczył o to miasto do ostatniego tchu... lub jeszcze dłużej, jeśli będzie to konieczne. Chcę wiedzieć, na kogo mogę w tej walce liczyć. Możesz odejść. Poślę po ciebie w odpowiednim czasie. Być może.

Komisarz uklonił się i odwrócił, by odejść. Imperialny Orzeł był już niemal gotowy.

- Gaunt ?

Obejrzał się. Lord Chass sięgnął do wnętrza swej ogrodniczej torby i wyjął z niej różę. Była przepięknie wykonana, ze stali, proporcjonalna i inkrustowana delikatnym rdzawym nalotem. Ze srebrnej łodygi wyrastały aluminiowe kolce.

Chass podał mu metalowy kwiat - Noś ją za honor.

Gaunt wziął różę i włożył do kieszeni swego munduru, kładąc kwiat na sercu. Skłonił się raz jeszcze.

- Dla honoru będę nosił wszystko.

Chass stał w milczeniu patrząc jak komisarz wychodzi z cybernetycznego ogrodu. Tkwił w bezruchu przez długi czas, pogrążony w zamyśleniu.

- Ojczy ? - Merity wysunęła się zza metalowych pomarańczowych drzewek.

- Co o nim sądzisz ?

- Honorowy człowiek. Odrobinę szorstki, ale nie jest zły. Ma waleczne serce i odwagę.

- Bez wątplenia.

- Możemy mu zaufać ?

- A jak ty myślisz ?

Merity zamyśliła się na moment, gładząc czubkami palców żywoplot.

- Decyzja należy do ciebie, panie Domu Chass.

Heymlick Chass roześmiał się.

- Owszem. Ale czy ci się spodobał ? To dla mnie ważne. Powiedz, sama życzyś sobie, bym ja o wszystkim cię informował.

- Tak. Polubiłam go.

Chass pokiwał głową. Wyjął z torby Amulet, który spoczywał tam przez cały czas rozmowy, zagrzebany pośród metalowych ścinków. Obrócił go w palcach. Przedmiot wibrował ledwie wyczuwalnie i cichutko brzęczał.

- Wkrótce będziemy wiedzieli wszystko - powiedział do córki.

* * *

Dzień trzydziesty pierwszy upłynął bez żadnych znaczących incydentów. Wymiana ognia artyleryjskiego pomiędzy obrońcami i wyczekującą armią Zoican trwała bez zmian.

O świcie trzydziestego drugiego dnia rozpoczął się Drugi Szturm.

IX – Brama Veyveyr

„Nie pytaj jak możesz poświęcić swe życie Imperatorowi. Poświęć mu swą śmierć.”

– marszałek wojny Slaydo, na łożu śmierci

To był ponury, mroczny poranek. Rachityczne promienie słońca z trudem przebijały się przez grubą powłokę dymu unoszącą się ponad miastem. Zaczął padać deszcz. Początkowo tylko mżył, przez pół godziny, później rozpadało się na dobre. Widoczność natychmiast spadła do kilkuset metrów. Ulewa spadała na kopułę Tarczy wywołując nieustanny trzask wyładowań energetycznych.

W pierwszej godzinie dnia Colm Corbec wędrował wzdłuż tanithijskich umocnień na wschód od wypalonego terminala kolei. Owinął się szczelnie płaszczem maskującym, a na głowę włożył talerzowaty hełm należący do jakiegoś żołnierza NorthColu, budząc swym widokiem nieskrywaną wesołość wśród Duchów. Było zimno, ale przynajmniej Tarcza chroniła przed deszczem.

Corbec wizytował pozycje Duchów już dobry tuzin razy i za każdym kolejnym jeszcze mniej mu się podobały. Wzdłuż fortyfikacji rozciągały się montażownie i magazyny, zrzurowane i okopcone, a potem morze gruzu i szczątków kontenerów, sięgające poczerniałej od ognia Bramy. Nieco dalej na wschodzie widoczne były ruiny budynków huty. Pozycje trzymał tam oddział vervuńskich żołnierzy zwanych Hałdziarzami, kontrolujący potencjalną drogę ataku wroga poprzez zdradziecką Hałdę. Corbec miał pod rozkazami ponad dwustu Duchów, ukrytych w montażowniach i ubezpieczanych przez czujki zwiadowcze wysunięte tuż pod Bramę.

Oddziały Vervun Primary pod dowództwem pułkownika Modile, liczące prawie pięć tysięcy żołnierzy, okopały się w środku sektora, zajmując pozycje w płytkich okopach, za wałami ziemnymi i barykadami. Ludzie pułkownika Bulwara, dwa tysiące żołnierzy NorthColu, znajdowali się na zachodzie, przy wciąż jeszcze nieuszkodzonym kompleksie fabrycznym. Pięćdziesiąt szwadronów pancernych NorthColu czekało opodal północnego krańca linii kolejowej, rozstawione w bocznych uliczkach i placach ładunkowych. Czołgiści stanowili odwód przeznaczony do kontruderzenia w razie przełamania pozycji piechoty.

Corbec siedł pomiędzy wypalonymi, pozbawionymi dachów halami montażowymi, pod jego podeszwami zgrzytał gruz zalegający wszędzie grubą warstwą pomimo nadludzkich wysiłków ekip porządkowych. W jednym z baraków napotkał dwudziestkę odpoczywających Duchów, strzeżonych przez stojących przy oknach i dziurach w ścianach wartowników. Z dachu budynku pozostało jedynie metalowe ozebrowanie, obwieszane kawałami rozdartej blachy.

Pułkownik podszedł do zwiadowcy MkVennara i szeregowca Mochrana, leżących za stertą blaszanych kanistrów i obserwujących południowy horyzont przez przestrzeleny w ścianie.

- Macie tu dobre pole ostrzału, chłopaki - oświadczył przechylając się przez kanistry i spoglądając na zewnątrz.

- Dobrze do umierania, sir - burknął MkVennar. Był jednym z elitarnych wychowanków sierżanta Mkolla, zręcznym i byстрыm. Mkoll szkolił ich osobiście. MkVennar był wysokim mężczyzną około trzydziestki, z niebieskim półksiężycem wytatuowanym pod prawym okiem.

- Dlaczego, MkVennar ?

Zwiadowca wskazał palcem bramę.

- Wejda prosto na nas w razie frontalnego szturmu, na nas i miejscowych w centrum.

- A pole ostrzału zostało skrócone, kiedy to coś upadło - dodał zmęczonym głosem Mochran.

Wskazane coś okazało się gigantycznym wrakiem pająka zniszczonego przez działa NorthColu trzy dni wcześniej, podczas Pierwszego Szturmu. Masywny kadłub maszyny opierał się spodem o ustawione w Bramie zapory, blokując ją do połowy i drwiąc sobie jak dotąd z wysiłków uzbrojonych w buldożery oddziałów inżynieryjnych.

Corbec przyznał żołnierzowi rację. Nieprzyjacielska piechota mogła kryć się za kadłubem pająka do chwili podejścia pod samą Bramę, a potem wypaść znienacka na ziemię niczyją wewnątrz metropolii. Machina przed unieruchomieniem zdołała wjechać dostatecznie głęboko w Bramę, by zniszczyć większość barykad tworząc przejście dla piechoty.

Wymyślił na poczekaniu jakiś żart, który obaj mężczyźni skwitowali śmiechem. Chociaż usilnie potem próbował sobie przypomnieć, co takiego powiedział, nie pamiętał.

Ruszył na południe, w kierunku usypanego z ziemi i gruzu wału, gdzie za workami z piaskiem ustawił jedenaście stanowisk broni ciężkiej. Sześć ciężkich karabinów maszynowych na trójnogach, dwa automatyczne działka i trzy wyrzutnie rakiet. Pomędzy poszczególnymi stanowiskami leżeli tanithijscy piechurzy. Corbec natychmiast dostrzegł wrażliwość tych pozycji. Na wschodniej flance nie mieli nikogo prócz odległych zabudowań huty. Mógł jedynie pokładać nadzieję w nieznanym bliżej Haldziarzach.

Włączył komunikator i wezwał trzy sekcje miotaczy ognia czekające dotąd w rezerwie za montażownikami. Dopiero teraz, w świetle poranka, uświadomił sobie, jak bardzo jego pozycje są odkryte i podatne na uderzenie wroga. Chciał je dodatkowo zabezpieczyć na wypadek bezpośredniej konfrontacji z zoicańską piechotą.

Larkina znalazł w małym dołku wykopanym opodal Bramy. Niski snajper czyścił swój karabin nasączoną olejem szmatką.

- Coś się dzieje, Larks ?
- Cholernie wielkie nic – Larkin założył na karabin nowiutką lufę i wsunął masywną baterię w obudowę broni. Corbec usiadł obok snajpera i sprawdził swój laser. Nosił standardową broń ze szkieletowym uchwytem, krótszą od egzemplarza snajpera i pozbawioną drewnianej kolby.
- Może kiedyś sam dostanę jeden z takich – powiedział wskazując palcem karabin Larkina. Mały Tanithijczyk parsknął i umocował na broni optyczny celownik.
- Snajperskie wersje MG dają tylko tym, którzy potrafią strzelać. Nie umiałbyś się nim posłużyć.

Corbec miał już na końcu języka ripostę, kiedy zapiszczał jego komunikator.

- Modile do wszystkich jednostek. Obserwatorzy na Murze meldują o ruchu w deszczu. Potencjalnie to fałszywy alarm, ale bądźcie czujni.

Corbec potwierdził odbiór komunikatu. Spojrzał na zarys Muru i ufortyfikowany szczyt Bramy. Często zapominał, że tam również są ludzie, tysiące żołnierzy setki metrów w górze, obdarzonych doskonałym polem ostrzału i odpowiednią siłą ognia.

Kiwnął głową do Larkina, który mocował na lufie tłumik światła.

- Jesteś gotowy ?
- Nigdy. Ale to normalne. Dawać ich tutaj. Jestem zmęczony czekaniem.
- Oto prawdziwy Duch – odparł Corbec.

A właściwie poruszyły się jego usta. Słowa utonęły w ogłuszającym huku eksplozji i trzasku laserowej energii. Ściana ognia zatrzęsła Murem. Płomienie ogarnęły korpus uszkodzonego pająka, omiotły go po bokach i pomknęły wzdłuż kolejowej linii. Wielkie fragmenty zapór, niektóre ważące po pięćdziesiąt ton, poleciały na wszystkie strony rozsądzone artyleryjską salwą.

Corbec runął na ziemię. Biliony rozpalonych do białości szrapneli śmigały ponad tanithijskimi pozycjami. W komunikatorze słyszał wezwania do sanitariuszy wysyłane z umocnień Vervun Primary. Przekręcił głowę w bok i ujrzał pociski spadające na Haldę. Ich wybuchy ciskały w niebo fontanny żużlu i kawałków skał. Zaczął się Drugi Szturm.

* * *

Ferrozoica zmieniła swą taktykę podczas drugiego ataku. Poprzedni szturm był zmasowanym natarciem na całej linii obrony. Tym razem Zoicanie rozpoczęli atak od ciągłego ostrzału artyleryjskiego południowych sekcji Muru, by precyzyjnie obrotować Vervunhive do ziemi. Potem wyprowadzili trzy oddzielne uderzenia. Pierwsze, pancerna kolumna prowadzona przez dwa przerażające kraby, natarła na Bramę Sondar i szturmowała ją przez ponad dwie godziny, nim ogień przeciwpancerny przepędził ją z pola ostrzału. Druga poszła wzdłuż linii kolejowej na zachodzie i uderzyła na Bramę Croe w sile jednego batalionu. Walki w tym sektorze, bronionym przez garnizon Vervun Primary i roańskich gwardzistów, trwały do późnego popołudnia.

Trzeci atak został wymierzony w bezbronną Bramę Veyveyr.

W ciągu pierwszych dziesięciu minut Drugiego Szturmu kraby oraz samobieżne działa obłęznicze zniszczyły barykady wzniesione w Bramie i rozwaliły kadłub pająka. Pierwszy krab wdarł się do metropolii miażdżąc pod gaśnicami metalowe szczątki i gruz. Parł prosto na pozycje Vervun Primary. Skoncentrowany ostrzał artyleryjski zniszczył stanowiska na blankach Bramy i Vervuńczycy utracili bezcenne wsparcie broni ciężkiej.

Nastąpiły desperackie minuty, w których pułkownik Modile usiłował zebrać swe zdezorientowane oddziały w środku sektora. Przestraszeni Vervuńczycy wycofywali się pośpiesznie pod naporem pancernego ataku, umykając okopami przed miażdżącą siłą ognia zoicańskiej maszyny wojennej. Drugi krab wdarł się do miasta w ślad za pierwszym, posyłając jeden pocisk za drugim prosto w pozycje Tanithijczyków.

Modile zmontował chaotyczny kontratak, ustawiając piechotę w formacji przypominającej literę V. Środkiem uderzyły pancerne oddziały NorthColu.

Powietrze wokół terminala kolejowego rozbrzmiewało szczękami gaśnic i jęklwym świstem pocisków. Czołgi NorthColu kolejno stawały w płomieniach trafiane z pokładowych dział krabów podczas gdy Chimery były miażdżone pod ich monumentalnymi gaśnicami.

Żołnierze piechoty, wśród nich również Duchy, mogli jedynie kryć się w okopach w obliczu tego pancernego starcia. Dźwięk detonacji rozsadzał uszy, ziemia drżała pod nogami. Jedną ze szczególnie spektakularnych eksplozji nagrodził wrzask tryumfu rozbrzmiewający w komunikatorach. Trzydzieści czołgów NorthColu prowadząc ciągły ostrzał kraba rozerwał jego kadłub na kawałki. Drugi, wciąż jeszcze pełznący przez Bramę, został zablokowany przez płonący wrak.

Corbec wychylił się ze swojego dołka i zaczął czołgać w kierunku bocznej burty kraba. Larkin chwycił go za ramię.

- Co ty kurwa robisz, Colm ?!

- Musimy to rozwalić ! Może zwykły piechur będzie w stanie podejść dostatecznie blisko, żeby

Ciężki pocisk rozerwał się opodal i podmuch powietrza wepchnął obu gwardzistów do dołka.

- Zwariowałaś ! – wrzasnął Larkin i ścisnął mocniej karabin – Niech pieprzeni pancerniaci martwią się krabem. To ich problem, nie nasz !

Corbec położył się na brzuchu obok snajpera. Setki zoicańskich żołnierzy przechodziły przez Bramę Veyveyr korzystając z wyrw wykonanych przez kraby. Corbec zaczął strzelać. Cienki trzask jego lasera natychmiast wtopił się w głośniejszy dźwięk broni Larkina. Za ich plecami rozległ się huk wystrzałów z tanithijskich stanowisk broni ciężkiej.

* * *

Rakietowe pociski śmignęły nad głową Brina Mila. Chłopiec położył się wśród stert gruzu i zaczął przepatrywać przepole w poszukiwaniu wrogich żołnierzy. Stanowcze rozkazy pułkownika Corbeca wylewały się potokiem z komunikatora. Wszędzie wokół było piekło.

Milo dostrzegł kilka ochrowych sylwetek biegnących przez ziemię niczyją zaraz za Bramą. Jego pierwszy strzał poszedł zbyt wysoko, ale odłożył poprawkę i dwoma następnymi powalił zoicańskiego piechura.

Szeregowcy Baffles i Yarch padli na brzuchy tuż obok chłopca i otworzyli ogień ze swoich laserów. Wiązki światła mknęły we wszystkich kierunkach tworząc w powietrzu wielobarwną płataninę jaskrawych krech. Kilka metrów obok ktoś zaczął przeraźliwie krzyczeć.

Milo starał się nie zwracać uwagi na krzyki. Wycelował karabin w sposób, którego nauczył go Larkin, wolno oddychając i mierząc starannie. Błysk światła u wylotu lufy. Ochrowy napastnik runął na ziemię. Yarch wychylił się ponad stertę gruzu i cisnął z całej siły granatem. Powietrzem wstrząsnęła detonacja.

- Jeśli... – zaczął mówić Yarch.

Milo i Baffles nigdy nie dowiedzieli się, co planował ich towarzysz. Laserowa wiązka przepaliła na wylot jego głowę, trafiając u szczytu kości nosowej i odrywając potylicę. Kiedy gwardzista wyprężył się konwulsyjnie, ugodziły go dwie dalsze wiązki, jedna w gardło, druga w oko. Znieruchomiał pośród kawałków cegieł. Kolejny stracony Duch.

Baffles, brodaty gwardzista koło czterdziestki z baryłkową klatką piersiową i niebieskim tatuażem w kształcie przecinającego policzek pazura, pociągnął Mila za większą stertę kamieni. Ładunki laserów uderzały w szczyt ich osłony. Razem wczołgali się w płytki okop, gdzie kryli się Fulch, MkFeyd i Drummond, próbujący ostrożnie ocenić sytuację panującą na południu.

Morze laserowego ognia wypełniało powietrze ponad ich głowami. Jakiś rykoszet trafił Fulcha w pośladek i powalił go na kolana. MkFeyd spróbował wychylić się poza krawędź okopu, ale wiązka lasera trafiła natychmiast w jego karabin rozwalając uchwyt broni i urywając dwa palce lewej dłoni. Upadł na plecy, złorzecząc na swoje parszywe szczęście i opryskując wszystkich wkoło jasnymi kroplami krwi.

Milo rzucił się opatrywać okaleczoną dłoń towarzysza, owijając ją bandażami. Baffles zajmował się w tym czasie krwawiącą ranę Fulcha, wzywając przez komunikator sanitariusza. Drummond, noszący przy sobie jeden z miotaczy ognia, podczołgał się do parapetu okopu i skąpał przepole fortyfikacji płynnym ogniem. Drummond nosił już na sobie ślady poparzeń od zoicańskiego miotacza płomieni, z którym miał okazję spotkać się podczas Pierwszego Szturmu, w forcie Hass West.

Większa grupa żołnierzy dołączyła do nich pośpiesznie. Niektórzy z nich, prowadzeni przez sierżanta Folsa, odbili w bok wąskimi transejami, by rozciągnąć tyralierę. Milo obejrzał opatrunek założony na rękę MkFeyda i poderwał zaskoczony twarz, kiedy obryzgała go krew tryskająca z przeciętego ładunkiem energii żołnierza stojącego tuż obok chłopca. Drummond nie zdejmował palca ze spustu miotacza, dołączyli do niego trzej inni Tanithijczycy, strzelający zawzięcie z laserów.

- To najlepsze, co mogłem zrobić ! – krzyknął Milo i dołączył do pozostałych strzelców. MkFeyd poszedł w ślad za nim, rozsadzany krążącą w żyłach adrenaliną. Chwycił karabin obandażowaną ręką i zaczął strzelać. Na całej długości okopu tanithijskie karabiny błyskały rytmicznie światłem.

* * *

MkVennar wyprowadził swoją drużynę z montażowni na chwilę przed tym jak zdemolował ją wystrzelony przez kraba pocisk. Mochran już wtedy nie żył, podziurawiony serią z karabinu maszynowego, która przestębnowała ścianę baraku.

MkVennar kazał swoim ludziom założyć bagnety – długie srebrne noże z Tanith – tuż po rozpoczęciu zoicańskiego szturmu. Bardzo się teraz cieszył z tej decyzji. Nieprzyjacielscy

żołnierze, anonimowi za maskami swoich pełnotwarzowych hełmów, parli z południa prosto na tanithijskie pozycje. Mając wokół jedynie piętnastu Duchów, MkVennar rzucił ich do desperackiej walki, dżgając i tnąc szaleńczo, strzelając z broni przykładanych wprost do ciał wrogów. Zoicanie zalewali ich swą liczebnością. Wydawało się, że ochrowa fala nie ma końca. Bez względu na to, jak szybko MkVennar zabijał swoich przeciwników, natychmiast pojawiali się następni. Odnosił wrażenie, że walczy z oceanicznym przypływem.

* * *

Major Racine z garnizonu Vervun Primary wizytował wysunięte pozycje przed Bramą Veyveyr, kiedy rozpoczął się szturm. Próbując opanować panikę w szeregach obrońców wdał się w dziką radiową dyskusję z pułkownikiem Modile, ale po kilku dosadnych komentarzach majora komunikator umilkł. Modile najwyraźniej nie zamierzał dyskutować ze swoim rozgorączkowanym podwładnym.

Racine miał na gruzowisku pięciuset żołnierzy, stawiających teraz czoła drugiemu krabowi. Wezwał jednego z bombardierów i zabrał mu trzy torby wyładowane materiałami wybuchowymi. Potem wyskoczył z okopu i popędził co sił w kierunku wrogiej maszyny.

Burza pocisków laserowych i boltowych rozpętała się wokół majora. Żaden z nich nawet go nie drasnął. Obserwujący ten szaleńczy bieg żołnierze sądzili, iż mają do czynienia z cudem. Racine był już tylko dziesięć metrów od kadłuba superczołgu, kiedy pojedyncza wiązka lasera trafiła go w ucho i przeszła przez mózg. Upadł na ziemię.

Krzyki rozpacz i wściekłości rozległy się w vervuńskich okopach. Major był tak blisko.

Krab potoczył się do przodu, najeżdżając gąsienicą na ciało Racine, wgniatając je w gruz.

Nacisk zdetonował umieszczone w torbach ładunki. Ogłuszająca seria detonacji poderwała kraba w górę i błyskawicznie myślący czołgiści NorthColu natychmiast wpakowali salwę przeciwpancernych pocisków w słabo chroniony spód pojazdu. Jeden z pocisków wbił się w pokładowy magazyn amunicji. Krab znikł w gigantycznej kuli ognia, która rozrzuciła jego szczątki na wszystkie strony i zerwała falą uderzeniową szczyt samej Bramy Veyveyr.

Żołnierze Vervun Primary, przyciśnięci do ziemi ostrzałem i rozproszeni, w myślach przyrzekli zgodnie nigdy nie zapomnieć tego, co uczynił major Racine.

* * *

Zoicańscy żołnierze byli wszędzie wokół. Corbec leżał w zagłębieniu terenu, które kiedyś było drogą biegnącą wzdłuż linii kolejowej. Ściany okolicznych budynków wciąż wznosiły się opodal, oznaczone przestrzelinami i odarte z tynku. Pułkownik miał przy sobie szesnastu gwardzistów, w tym Larkina i szeregowca Genxa, który ciągnął za sobą ciężki karabin maszynowy na dwunogu.

Pierwszą myślą Corbeca był przeskok pod osłonę ścian, ale na całej długości ulicy świstały nieprzyjacielskie pociski, rykoszetujące od budynków. Pułkownik stracił już trzech ludzi próbując dostać się pod ściany i uznał, że paradoksalnie bezpieczniej będzie leżeć na samym środku ulicy.

Poczołgali się do przodu, by niemal natychmiast wpaść na oddział pięćdziesięciu zoicańskich szturmowców, biegnących na wschód. Laserowe krechy zaczęły krzyżować się w powietrzu. Szeregowiec Fanck znieruchomiał z wypaloną klatką piersiową, szeregowiec Manik wił się po ziemi i krzychał przeraźliwie trafiony w brzuch.

Genx otworzył ogień i jego ciężka broń zaczęła łomotać w charakterystyczny sposób – whuk whuk whuk. Kiedy strzał z zoicańskiego lasera urwał Duchowi dłoń na wysokości nadgarstka, Corbec złapał za kolbę karabinu i podjął obsługę. Genx nawet nie spojrzął na

przypalony kikut ręki, tylko bez słowa komentarza zaczął drugą dłonią podawać dowódcy taśmę amunicyjną.

Larkin starannie wybierał swe cele, odstrzeliwując skondensowanymi wiązkami głowy, przepalając na wylot korpusy. Potencjał kinetyczny zwykłych MGalaxy nie posiadał mocy zdolnej powalić ofiarę samym impetem trafienia. Larkin widział Zoican przestrelonych na wylot ze zwykłego lasera i mimo to prących nadal w jakimś szaleńczym transie. Tylko jego snajperski karabin i broń Corbeca potrafiły ściąć wroga z nóg za pierwszym trafieniem, więc nie zdejmował palca ze spustu.

* * *

Pozycje NorthColu padły niemal całkowicie. Pułkownik Bulwar wzywał przez komunikator pułkownika Modile, ale oficer Vervun Primary otwarcie wyłączył swój moduł łącznościowy.

- Kowadło ! – Bulwar wysłał umówiony sygnał do Corbeca, jedyne go oficera, któremu mógł zaufać w szalejącym wokół piekle – Kowadło !

* * *

Poranek nastął niezauważony. Przy Bramie Sondara, po dwóch godzinach walk, zoicański atak został odparty. Narmeniańskie czołgi Grizmunda stacjonowały na Alei Marszałków za Bramą, gotowe do kontrataku przeciwko każdemu wrogowi mogącemu przełamać pozycje obrońców. Stały w równych szeregach, z włączonymi silnikami, dokładnie na tym samym miejscu, które zajmowała w pierwszych godzinach wojny pancerna brygada Vegolaina, ponad miesiąc temu.

Kiedy natarcie na Bramę Sondar ustało, Grizmund otrzymał rozkaz przegrupowania na wschód za pomocą południowej trasy szybkiego ruchu, w celu wsparcia Bramy Veyveyr. Identyczne rozkazy otrzymały dwa regimenty vervuńskiej piechoty zmotoryzowanej i wydzielony oddział Volpone. Wydane przez wicemarszałka Anko rozkazy były na tyle nieprecyzyjne, by błyskawicznie zatarasować komunikacyjną arterię. Sfrustrowany Grizmund nie mogąc uzyskać bezpośredniego połączenia z Domem Dowódczym zjechał czołgami z trasy szybkiego ruchu i ruszył na Veyveyr poprzez uliczki wiodące pomiędzy halami dystryktu przemysłowego. Wszelkie próby autoryzacji tego manewru zakończyły się niepowodzeniem z powodu totalnego chaosu w eterze. Grizmund zdołał w ten sposób pokonać dwa kilometry, miażdżąc pod gąsienicami zapory z drutu kolczastego i drewniane szlabany. Oddziały VPHC dopadły go miotając przekleństwa przez megafony i domagając się natychmiastowego powrotu na drogę szybkiego ruchu. Konwersacja przerodziła się w konflikt. Grizmund wysiadł ze swojego czołgu i wdał się w dyskusję z oficerami miejskiego komisariatu, argumentując, iż jego decyzja była jedynym rozwiązaniem mogącym wesprzeć stosunkowo szybko pozycje pod Veyveyr. Napięte nerwy puściły i jeden z komisarzy wyjął z kabury pistolet. Grizmund natychmiast go znokautował. W rezultacie krótkiej bijatyki narmeniański dowódca i czterech jego zastępców zostało skutych i odwiezionych do Domu Dowódczego. Pozbawieni oficerów czołgiści pozostali na miejscu incydentu, obserwowani czujnie przez gromadzące się wokół jednostki VPHC.

Brak precyzyjnych rozkazów Domu Dowódczego stał się przyczyną kilku innych nieszczęśliwych wypadków wydatnie pogarszających sytuację na południowej linii obrony. Piechota Vervun Primary i Volpończycy utknęli na dobre na trasie szybkiego ruchu. Grupa zmotoryzowanych piechurów obsługujących przeciwlotnicze działa Hydra wzięła nadjeżdżające z tyłu Chimery Volpończyków za zoicańskie transportery. W sytuacji, gdy z

komunikatorów wydostawał się jedynie niezdyscyplinowany bełkot i panika, powstało wrażenie przełamania linii obrońców przez wrogie forpocząty. Bateria Hydr otworzyła ogień do sojuszniczej kolumny i nim pomyłkę wyjaśniono, zginęło trzynastu Volpończyków.

Drugi Szturm wykazał ewidentnie słaby punkt vervuńskich struktur dowódczych. Garnizon Vervun Primary. Dom Dowódczy i VPHC korzystały z protokołów komunikacyjnych doskonale sprawdzających się w czasach pokoju, ale całkowicie niezdatnych do błyskawicznego transferu informacji na polu walki. Co gorsza, moduły łącznościowe Domu Dowódczego, wzorowane na standardach Imperialnej Gwardii, korzystały z tego samego zakresu częstotliwości, co oddziały Gwardii i NorthColu. Po godzinie od chwili rozpoczęcia szturm nie było już sposobu na zrozumiałe komunikowanie się pomiędzy poszczególnymi jednostkami. Przestała istnieć nawet możliwość potwierdzania rozkazów w Domu Dowódczym. Tylko słuchawkowe zestawy łączności krótkiego zasięgu noszone przez liniowych żołnierzy i oficerów funkcjonowały w poprawny sposób. Niektórzy dowódcy próbowali zmieniać kanały licząc na to, że ich podwładni wpadną na podobny pomysł i poprawnie odgadną wybór swych przełożonych.

Przy Bramie Croe generał Nash osiągnął w ten sposób sukces. Przełączył komunikator na częstotliwość, z której roańscy Deepersi korzystali podczas kampanii na Kroxisie i większość jego radiooperatorów wpadła na ten sam pomysł. Przez większą część dnia generał Nash był jedynym wyższym jednost

rangą oficerem w metropolii posiadającym bezpośrednią łączność z jednostkami swego sektora.

Volpończycy pod rozkazami pułkownika Cordaya próbowali na własną rękę odtworzyć stabilny system łączności. Corday wykorzystał w tym celu słuchawkowe komunikatory, przekazując nową częstotliwość od człowieka do człowieka poprzez pole bitwy. Niestety, jak się później okazało, wybrał kanał radiowy zakłócany całkowicie przez interferencje Tarczy.

Pod Bramą Veyveyr sytuacja wyglądała jeszcze gorzej, ponieważ Modile wyłączył główny kanał komunikacyjny, by zerwać połączenia z oficerami takimi jak major Racine, otwarcie kwestionującymi jego rozkazy. Corbec przechwycił sygnał Bulwara – Kowadło – przez moduły krótkiego zasięgu i zdołał skoordynować swe posunięcia z dowódcą NorthColu, ale ich działania nieustannie były zakłócane przez chaotyczne akcje Vervuńczyków próbujących wykonywać sprzeczne polecenia pułkownika Modile.

Gaunt, znajdujący się w chwili ataku w forcie Hass West, natychmiast ruszył na Veyveyr w towarzystwie Daura i plutonu Tanithijczyków. Ich samochodowy konwój szybko stanął za ostatnimi pojazdami kolumny blokującej południową trasę szybkiego ruchu. Gaunt kilkakrotnie próbował połączyć się z Domem Dowódczym poprzez nadajnik Raglona i znaleźć szybkie rozwiązanie narastającego problemu logistycznego, ale kanały były zablokowane, co już wcześniej stwierdzili inni szukający autoryzacji rozkazów oficerowie.

Oddał słuchawkę komunikatora Raglonowi i spojrział badawczo na bladą twarz kapitana Daura. Hałas koszarnej bitwy pod Veyveyr niósł się ulicami metropolii, horyzont płonął jaskrawym blaskiem.

- Jak stąd daleko do Veyveyr ? – zapytał komisarz.
- Cztery, może pięć kilometrów – odpowiedział vervuński łącznik.

Gaunt zmierzył wzrokiem gęsto stłoczone oddziały tarasujące na całej długości autostradę i zaklął cicho. Modyfikacja systemów komunikacyjnych miała być pierwszym zadaniem sztabowców po odparciu tego szturm. Żołnierze Vervun Primary byli dzielnymi ludźmi, a arystokratyczne domy czcigodnymi instytucjami, ale w kwestii rzemiosła wojennego wszyscy oni zaliczali się do amatorów.

- Z wozów ! – krzyknął Gaunt i zeskoczył na pobocze drogi. Daur dołączył do niego przewieszając przez plecy laserowy karabin, który wypożyczył dla siebie z arsenału po

Pierwszym Szturmie. Jego ramię wciąż bolało, ale poruszał nim dostatecznie sprawnie, by móc obsłużyć broń, a nie miał najmniejszego zamiaru pójść za komisarzem w akcję i ponownie prosić o pożyczenie pistoletu. Przełknął pośpiesznie parę tabletek znieczulających, by stłumić tępy ból kończyny.

Pięćdziesięciu Tanithijczyków zebralo się na drodze za ciężarówkami. Gaunt wszedł pomiędzy nich, mówiąc szybko i zwięźle.

- Zasuwamy na piechotę. To pięć kilometrów, a my musimy być szybcy, dlatego wyrzucie wszelkie zbędne obciążenie. Bierzemy tylko broń i amunicję, bagnety. Precz z tym, co będzie was opóźniać albo ograniczać ruchy na miejscu. Daur nas poprowadzi – spojrzał na łącznika – Kapitanie ? Proszę znaleźć drogę.

Daur skinął głową. Chociaż od urodzenia mieszkał w metropolii, znał rozległe kompleksy przemysłowe południowych dystryktów równie kiepsko jak przybysze spoza jego świata. Wyjął mapę z kieszeni na udzie i zaczął porównywać elementy otoczenia z symbolami na karcie, by zlokalizować aktualne położenie oddziału. Następnie szybko wytyczył optymalną trasę. Był zdecydowany nie zawieść Duchów – w szczególności zaś Gaunta.

- Za mną – powiedział i przeskoczył biegnące wzdłuż drogi ogrodzenie lądując na placu remontowym jakiegoś warsztatu. Gaunt i jego Duchy ruszyły śladem Vervunńczyka.

* * *

Pod Bramą Croe Zoicanie atakowali tak zaciekle, że adamantytowe wrota zaczęły się wyginać i żarzyć bladym światłem od upiornego żaru. Nash ustawił za Bramą wszystkie jednostki pancerne znajdujące się pod jego rozkazami, przygotowując je do potencjalnego kontrataku w przypadku wyłomu.

Na zewnątrz nieprzyjacielskie czołgi i maszyny wojenne w sile blisko pięciuset pojazdów przemieszczały się wzdłuż torów kolejowych i ich roztrzaskanych kompozytowych poboczy prowadząc ciągły ogień. Gdzieś tam pojawili się zoicańscy piechurzy, ale bitwa toczyła się w przeważającej mierze pomiędzy ciężką artylerią, stacjonarną i mobilną. Jeśli oddziały Vervunhive utrzymałyby utrzymać Bramę, walka nie miała zmienić charakteru z pancernej na rzeź rozgrywającą się za Veyveyr. Jeśli jednak wróg dokonałby drugiego wyłomu w linii obrony metropolii i złamał Bramę Croe, Nash wiedział, iż byłby to początek nieodwołalnej klęski lojalistów. Modlił się w duchu do Imperatora, by Zoicanie nie mieli w rezerwie więcej obłączonych machin.

* * *

Veyveyr było autentycznym koszmarem. Powietrze ponad rozległym obszarem terminala zdawało się składać wyłącznie z laserowych wiązek, pocisków smugowych, płomieni tryskających z miotaczy ognia, rakiet oraz kłębow czarnego dymu. Pomimo swego wojennego doświadczenia Corbec jeszcze nie spotkał się z takim natężeniem walk. Klęcząc w zagłębieniu terenu i próbując odblokować zacięty karabin maszynowy Genxa pułkownik zastanawiał się, czy przyczyną jego wrażenia nie była przypadkiem specyfika miejsca, w którym przyszło im walczyć: z jednej strony ciągnął się Mur, z drugiej warsztaty i montażownie, ponad głowami Tarcza. Cały sektor sprawiał wrażenie wnętrza diabelskiej skrzynki potęgającej piekło dzikiej bitwy.

Bulwar ponownie wywoływał go przez komunikator, więc potwierdził odbiór. Dowódca NorthColu parł do przodu na zachodzie, ciągnąc ze sobą wszystkie dostępne czołgi i kilka

oddziałów Vervun Primary, które udało mu się wyrwać spod kontroli bezużytecznego Modile. Oczekiwał, że Corbec wesprze go Duchami z wschodu.

Corbec zaakceptował plan. Rozesłał rozkazy przekazując je od żołnierza do żołnierza, próbując zmontować drużyny w składną formację. Zoicanie byli jednak wszędzie i pułkownik wiedział, że blisko trzy czwarte jego gwardzistów walczy teraz o życie odciętych od dowódcy gdzieś z tyłu.

Rzucił spojrzeniem na wschód obserwując mroczne kształty Hałdy. Wrogie pociski wciąż spadały na górę żużlu i dostrzegał tam rozbłyśki laserowych strzałów. Hałdziarze najwyraźniej stawiali skuteczny opór szarżującym na nich heretykom. Miał nadzieję, że Zoicanie będą kontynuować atak na doskonale bronioną Hałdę i nie wpadnie im do głów pomysł, by skrócić na zachód, bo wtedy zalaliby tyły formacji Corbeca i...

Wymazał tę myśl z umysłu.

- Ile jeszcze ? – wrzasnął do Genxa. Gestykułując swą jedyną dłonią Duch pokazał, że ma jeszcze jakieś trzy tysiące pocisków, w taśmach opasujących jego tors i ramiona oraz ciągniętych skrzynkach. Ponad dwie minuty ciągłego ognia, oszacował Corbec.

Wykrzyczał przekleństwo. Cholerni żołnierze Vervun Primary, całkowicie bezradni i osamotnieni w centralnej części sektora, strzelali do wszystkiego, co poruszało się w ich polu widzenia, w tym również osłaniających ich flankę Duchów. Corbec próbował złapać przez radio Modile, ale połączył się jedynie z jego adiutantem, miotającym przez komunikator obsceniczne wyzwiska i żądającym natychmiastowego podporządkowania się mętnym rozkazom vervuńskiego dowództwa.

Modile jest trupem. Zabiję go osobiście, zdecydował Corbec.

Podniósł się na nogi i posłał w stronę Zoican serię z karabinu. Boltowy pocisk uderzył w kawał gruzu tuż za nim i zrykoszetował trafiając pułkownika w udo. Runął na ziemię powalony impetem pocisku i zaczął szarpać palcami za rozdarte ubranie próbując wyciągnąć spod materiału parzące kawałki metalowej łuski. Dostrzegł na kombinezonie krew. Bolt rozerwał się uderzając w kamień i tylko łuska dosięgła człowieka wbijając w jego ciało tuzin metalowych odłamków. Poruszył kończyną. Bolała i krwawiła obficie, ale wciąż mógł chodzić.

Modile zdecydowanie zasłużył sobie na śmierć.

Nie mógł ruszyć na zachód, nie bezpośrednio przed siebie. Poderwał spośród gruzów swe oddziały i zaczął przedzierać się w kierunku bramy, korzystając z osłony dawanej przez ciąg wschodnich fortyfikacji. Żywił nadzieję, że skróci na zachód nieco dalej, poza zasięgiem broni Vervuńczyków.

Pociski artyleryjskie dudniły ponad jego głową, zaś dziesiątki rakiet wlatywały w głąb metropolii poprzez zniszczoną Bramę.

Gwardziści Corbeca zdołali pokonać jakieś sto metrów nim wpadli na zoicańskie oddziały szturmowe.

* * *

Milo doczołgał się do wyrwy w popękany murku i cisnął za załom granat. Kiedy głucha detonacja wprawiła w przelotne drżenie ziemię i z powierzchni muru posypał się tynk, Milo przeskoczył wyrwę zajmując pozycję po drugiej jej stronie. Wysunął zza rogu laser i klęcząc ubezpieczał idącego w tyle Bafflesa.

Kilka wrogich pocisków gwizdnęło w powietrzu nad ich głowami, wysoko ponad murem.

Neskon i Rhys przeskoczyli obok wyrwy podczas gdy Baffles i Milo odpowiadali ogniem niewidocznym strzelcom.

- Gdzie Dremmond ? – wykrzyczał pośród ogłuszającej kanonady Neskon. Cały był obryzany krwią, ale nie należała ona do niego.

- Z przodu, jak sądzę – wrzasnął Milo i postukał palcem w komunikator, ale w głośniku słyszał tylko statyczne trzaski. Pluton parł pomiędzy zrujnowanymi umocnieniami prosto na Bramę, wspierając pułkownika Corbeca w jego brawurowym kontruderzeniu. Miotacz Dremmonda oczyszczał im drogę, ale uderzenie trzech raketowych pocisków w fragment fortyfikacji dymu

fortyfikacji przerwało zniecka łączność wzrokową pomiędzy członkami plutonu i jedna jego połowa, z Dremmondem i sierżantem Folsem na czele, przepadła pośród kłębow dymu gdzieś w przdzie.

Milo, Baffles i Rhys poczołgali się w kierunku ściany następnego budynku podczas gdy Neskon ubezpieczał idącą w tyle grupkę Duchów: Domora, Filaina i Tokara. Za nimi skradali się radiooperator Wheln oraz szeregowcy Caill i Venar. Neskon i Domor odczekali krótką chwilę, po czym skoczyli do przodu zostawiając przy wyrwie Filaina i Tokara.

Przemykając się na czele grupy Milo, Baffles i Rhys obrzucali granatami wszelkie podejrzane zaułki i skacząc od osłony do osłony. Jakies sto metrów z przodu słyszeli odgłosy dzikiej walki. W komunikatorze Mila zatrzeszczał zniekształcony głos Corbeca.

Domor i Neskon przypadli do ziemi obok pierwszej trójki. Domor zaczął skanować kurtynę gęstego dymu za pomocą optycznych implantów, które wszczepiono mu po ciężkim urazie głowy odniesionym na Menazoidzie Epsilon. Soczewki wizjerów wysunęły się z metalicznym warkotem i powróciły do trybu spoczynku.

- Odczytuję sygnatury cieplne. Dużo ich. No i miotacz ognia.
- Dremmond – zasugerował Baffles.

Podniesieni na duchu perspektywą dołączenia do zagubionej części plutonu żołnierze poderwali się z ziemi i zebrali w grupie. Milo spostrzegł, że wszyscy patrzą na niego wyczekująco, szukając przewodnictwa pod nieobecność sierżanta Folsa. To był szalony pomysł – wszyscy mieli więcej doświadczenia polowego od Mila i wszyscy byli od niego starsi. Przyciągała ich aura Gaunta otaczająca chłopca, czyniąca z niego w naturalny sposób autorytet poprzez sam fakt stałego przebywania w towarzystwie komisarza.

Ciąg zabudowań urywał się przechodząc w odkryty teren pełen płytkich okopów zdewastowanych wielkimi kraterami. Serie z nieprzyjacielskiej broni przecinały całą okolicę uniemożliwiając przejście. Milo dostrzegł ciała dwóch Duchów leżące bezwładnie pośród gruzu.

- Wkoło ! Musimy ruszać wkoło ! – zawołał. Baffles przytaknął głową. Ludzie lubili Baffelsa, zaś on sam natychmiast zaadoptował się do roli zastępcy Mila, podobnie jak Corbec w stosunku do Gaunta. Milo zdumiał się nad szybkością tworzenia takich nieformalnych struktur, powstających samorzutnie w ogniu walki, bez zbędnych pytań czy uwag. Strach, adrenalina, balansowanie na krawędzi życia i śmierci – te czynniki zmuszały żołnierzy do podejmowania prostych, naturalnych decyzji.

Dobrze wyszkolone i umotywowane formacje takie jak Duchy potrafiły działać niczym organiczny twór. Milo był pewien, że żołnierze Vervun Primary zawiedli ze względu na brak tej rzutkiej spontaniczności.

Poprowadził towarzyszy na wschód, w kierunku krawędzi Hałdy, poprzez niskie budyneczki pełne suwnic i podnośników linowych. Venar niósł karabin maszynowy i kilka taśm z nabojami, dlatego Milo kazał mu iść przodem. Stukot broni odbijał się echem od ścian fabrycznych hal.

Za budowlami rozciągał się hektar jakimś cudem nietkniętej ziemi. Kryte wagony i cysterny kolejowe stały w długich składach na sześciu biegnących obok siebie torach. Na końcu jednego ze składów dymiła dopalająca się lokomotywa.

Pluton zaczął przemykać pomiędzy kolejowymi składami, wślizgując się pod wagony lub przeskakując ponad ubrudzonymi sadzą zderzakami.

Laserowe wiązki zaczęły dziurawić wagony opodal Mila, w powietrzu pojawiły się drzazgi z rozwalonych drewnianych burt. Gwardziści padli na brzuchy szukając osłony, w komunikatorach zaczęły rozbrzmiewać krótkie komunikaty podające przypuszczalną lokalizację snajperów. Venar wystrzelił kilka serii spod wagonu, za którym się ukrył. Milo usłyszał metaliczny jęk pocisków rykoszetujących od metalowych elementów innego pociągu.

Nieprzyjacielski ostrzał przybrał na sile.

Milo ponaglił ludzi do ruchu naprzód. Kątem oka dostrzegł Filaina wyglądającego zza rogu wagonu i niemal natychmiast chowającego się z powrotem. Wiązki laserów posypały się na chroniący go pojazd. Jeden z ładunków trafił w szynę i kawał lanego metalu pękł z dziwnie melodyjnym brzdękiem.

Domor i Neskon też próbowali posunąć się do przodu. Przeczolękali się pod kilkoma zwykłymi wagonami i wychynęli zza ciężkiego kontenerowca. Snajperzy natychmiast odpowiedzieli ogniem. Neskon upadł, ale Domor chwycił go za mundur i wciągnął pod osłonę wagonu. Neskon nie został trafiony, po prostu się potknął.

Milo i Baffels utknęli w miejscu, podobnie jak Rhys i Tokar. Brin próbował przeskoczyć do następnego wagonu w składzie, ale ostrzał wroga był zbyt silny. Upadł na brzuch za jednym z kół.

- Dostałeś ! – usłyszał krzyk Baffelsa.

- Nie, wszystko w porządku – odparł.

- Kurwa, dostałeś ! – upierał się Baffels.

Milo przekręcił się w miejscu i wtedy poczuł wilgoć na skórze prawego ramienia. Ku swemu zdziwieniu nie czuł żadnego bólu. Został trafiony. Nawet tego nie zauważył.

Podniósł się na nogi, ale przerwał w pół ruchu. Schylił się ponownie i spojrzął uważnie pod wagon. Kiedy przewracał się na ziemię, dostrzegł kątem oka obiekt, którego identyfikacja zajęła mu kilkanaście cennych sekund.

Trzy pociągi dalej, pod wagonami, widział wyraźnie stopę. Ciężki pancerny but w charakterystycznej barwie żółci. Pokiwał dłonią pozostałym pokazując im stopę.

Było ich więcej. Tuzin, może dwa.

Zoicanie.

Ostrzał snajperów urwał się znenacka. Zoicanie bez wątpienia poruszali się w kierunku Duchów, obchodząc wagony podobnie jak gwardziści. Milo rozdzielił pośpiesznie ludzi i rozesłał ich na boki. Niewielu żołnierzy Gwardii potrafiło poruszać się równie bezszelestnie jak Tanithijczycy.

Jakieś dwadzieścia metrów na południe od Brina zaterkotał karabin maszynowy. Jedna seria, druga. Odpowiedziało mu kilka strzałów z laserów. Venar uwikłał się w wymianę ognia. Kolejne strzały dobiegły zza sąsiedniego wagonu. Milo usłyszał w komunikatorze klnącego Whelna, potem jego zdławiony śmiech. Baffles przeczołgał się obok chłopca pełznącego w stronę końca wagonu. Wszystkie Duchy były umorusane duszącym pyłem i starym olejem.

Milo usłyszał gdzieś w górze stukot. Dobiegał z wnętrza wagonu.

Wrzasnął ostrzegawczo i potoczył się w bok w chwili, gdy zoicański szturmowiec wyrzwał zza drzwi pojazdu i strzelił w dół. Baffels przylgnął instynktownie do kół wagonu, krecha laserowego światła przypaliła pręty, po których się moment wcześniej czołgał.

Milo pociągnął za spust. Trzy wiązki przeszły aluminiową burtę wagonu i kryjącego się za nią Zoicę. Opancerzona sylwetka zadrżała konwulsyjnie i wypadła z przedziału towarowego uderzając w ziemię tuż za Baffelsem. Ten odwrócił się błyskawicznie i dla pewności strzelił szturmowcowi prosto między oczy.

Neskon, Rhys i Tokar strzelali pod lorami do kryjących się tuż po drugiej stronie składu Zoican. Wymiana ognia nasiliła się do tego stopnia, że Tokar musiał odkoczyć w tył, za pusty zbiornik z paliwem. Neskon chował się za tarczą jednego z kół, sporadycznie wychylając głowę zza osłony. Rhys zerwał się na nogi ignorując wiązkę lasera, która otarła się o jego głowę, odbezpieczył granat i przerzucił go ponad wagonem. Wybuch poszatkował odłamkami ciała szturmowców. Potrzaskany zoicański hełm potoczył się pod nogi Rhysa. Gwardzista schylił się po niego chcąc zachować sobie trofeum, ale zrezygnował z pomysłu widząc, że w środku hełmu wciąż jeszcze znajduje się większa część głowy właściciela.

Milo usłyszał krzyk Whelna. Radiowiec oberwał. Jego pełne bólu mamrotanie dobiegało zza sąsiedniego wagonu.

- Moja noga... moja noga...

- Zamknij się! – krzyknął Brin i przeskoczył dzielący ich bufor wagonu. Radiooperator leżał na torach pomiędzy wagonami, jego lewa noga poniżej kolana wyglądała niczym mieszanina krwi, tkanki, gołej kości i podartego materiału. Milo chwycił mężczyznę za ramiona i powlókł w kierunku osłony. Posypały się kolejne strzały. Dwaj Zoicanie pojawili się na dachu sąsiedniego wagonu, dwaj inni wybiegli zza jego rogu. Laserowa wiązka mignęła przed nosem chłopca, dwie dalsze przeszły jego luźno zwisający z ramienia płaszcz.

Powietrze przecięła seria z broni maszynowej i szturmowcy na dachu wagonu znikli skoszeni kulami. Ich towarzysze na ziemi cofnęli się szybko za osłaniającą ich burtę pojazdu. Milo wciągnął Whelna pod jeden z wagonów, kładąc go na podkładach kolejowych. Pod drugiej stronie składu jakaś grupa Zoican ostrzeliwała się zaciekle, niektórzy z nich posyłali wiązki energii pod wagonem, ale rannego radiooperatora osłaniały osie lory. Brin rozejrzał się z desperacją szukając wsparcia. Dostrzegł Baffelsa leżącego za małym wózkiem transportowym, przyciśniętego wrogim ostrzałem do ziemi w stopniu uniemożliwiającym chociażby odpowiedzenie ogniem.

Ignorując mamrotanie Whelna chłopiec podniósł głowę i zaczął studiować wzrokiem zaczepy łączące poszczególne wagony. Odpięcie metalowych haków zajęło mu kilkanaście sekund. Wyjął granat i powiesił go między zderzakami, wyszarpnął zawleczkę. Ciągnąc Whelna za sobą zatoczył się w kierunku betonowego podestu oferującego chwilowe schronienie. Radiooperator płakał z bólu.

Granat eksplodował, a siła wybuchu pchnęła osiemnastotonowy wagon do przodu, przemieszczając cały skład. Kryjący się pomiędzy i pod wagonami Zoicanie zginęli zmiżdżeni lub pocięci kołami. Pociąg zatrzymał się ponownie pośród stukotu i metalicznych zgrzytów.

Rhys, Neskon i Baffels dołączyli do Mila ubezpieczając go w czasie, gdy chłopiec próbował założyć opatrunek na zmasakrowaną nogę Whelna i powstrzymać upływ krwi.

Wheln wciąż krzyczał. Milo marzył o możliwości wezwania sanitariusza, ale wiedział, że komunikatory stały się bezużyteczne, poza tym Wheln upadając rozbił swój radionadajnik. Zresztą Brin nawet nie wiedział, czy w pobliżu zna

pobliżu znajdzie jakiegoś medyka.

Baffles objął komendę nad grupą i zaczął systematycznie oczyszczać z wroga plac przeładunkowy. Po krótkiej wymianie ognia z cofającymi się Zoicanami kilka kolejnych ciał w ochrowych pancerzach znieruchomiało pomiędzy szynami.

Milo usłyszał nowy dźwięk, przebijający się ponad szcęk laserów i krzyki Whelna, nawet ponad łoskot artyleryjskiej kanonady. Głosy... śpiewające głosy, oślizgłe i złe...

* * *

Pusta taśma zaszczękała i karabin umilkł bezużyteczny. Corbec cisnął broń na ziemię i ściągnął z pleców swój laser. Jego oddział był już przy Bramie, zaangażowany w pozbawioną jakiegokolwiek porządku walkę z głównym zgrupowaniem Zoican. Krew wsiąkała w ziemię pośród spalonych budynków kompleksu strażniczego Bramy i pod jej zagruzowanym łukiem.

Zoicanie byli wszędzie.

Corbec przestał pełnić rolę dowódcy, nie miał już kim dowodzić. Stał się zwykłym żołnierzem walczącym resztkami sił, zabijającym nadbiegające z wszystkich stron sylwetki w ochrowych pancerzach z myślą o ratowaniu własnego życia.

To samo robiły pozostałe Duchy. Jedynym czynnikiem opóźniającym zoicańską ofensywę były rozmiary zniszczonej Bramy. W otwartym polu czterdziestka Tanithijczyków towarzysząca Corbecowi już dawno uległaby przewadze liczebnej wroga.

Pułkownik krwawił z tuzina płytkich ran. Przeciwników nie chcących umrzeć od strzałów z lasera dobijał uderzeniami kolby i bagnetu. Dremmond pojawił się zniemacka tuż przy nim, kąpiąc przeciwników w strudze płomieni. Zbiornik na plecach gwardzisty wydawał dziwne mlaszczące odgłosy. Corbec znał ich przyczynę. Kanistry miotacza były prawie puste. Krzyknął do Dremmonda nakazując mu wypalić Bramę. Ta resztką paliwa musiała być użyta do oczyszczenia przejścia.

Dremmond skoczył do przodu, pociągnął strumieniem płomieni niczym biczem. Kilkunastu Zoican upadło na ziemię, topiące się pancerze przylegały ciasno do ich zwęglonej skóry. Niektórzy biegli jeszcze chwilę niczym żywe pochodnie, zanim potoczyli się po ziemi w konwulsyjnych drgawkach.

Dremmond podarował Corbecowi kilka bezcennych sekund do namysłu. Pułkownik pobiegł w stronę naznaczonego przestrzelinami Muru, zmieniając w biegu akumulator i dziękując sobie w duchu za wszystkie przemyślnie schowane do kieszeni bluzy magazynki.

Genx krył się tuż przy Murze. Ból w końcu zaczynał paraliżować jego nerwy i twarz młodego żołnierza bladła coraz bardziej. Pozbawiony jednej dłoni, nie mógł używać karabinu, chociaż w pobliżu leżało ich kilka, zoicańskich i tanithijskich. Corbec rzucił Genxowi swój pistolet i chłopiec – szeregowiec miał zaledwie dwadzieścia lat, chociaż zbudowany był niczym niedźwiedź – zaczął strzelać jedną ręką do każdego przeciwnika w zasięgu wzroku.

Ubezpieczany przez trójkę gwardzistów, sierżant Fols dobiegł do wejścia na kręte schody wiodące ku rampom Bramy, zerwanym eksplozją pierwszego kraba. Poczerniałe trupy veruńskich artylerzystów leżały wszędzie wokół, przygniecione bryłami ceramitu i elementami zniszczonych dział. Fols spojrzał w górę potężnej bramy i poczuł ukłucie bólu na widok zerwanego łuku. Tylko dwie wielkie wieże sterczały po obu stronach Bramy, jedyny ślad po forcie wieńczącym szczyt Veyveyr.

Fols dostrzegł też nierówny zarys Tarczy ponad swoją głową. Wybuch kraba oprócz łukowatej kopuły Bramy zniszczył też lokalną stację przekaźnikową Tarczy i pole siłowe trzeszczało teraz przeciążone sypiąc snopami iskier. Sierżant poczuł wilgoć na twarzy i zrozumiał, że to krople deszczu. Ulewa na zewnątrz ochronnego kokonu metropolii wciąż szalała i teraz, po cofnięciu się Tarczy o sto metrów w głąb miasta, deszcz lał prosto na głowy żołnierzy. Nogi walczących zaczynały grzęznąć w mokrym popiele.

Duch stojący obok Folsa upadł bez słowa, jego dolna szczęka zniknęła. Strugi wody ściekały po mundurach gwardzistów mieszając się z ludzką krwią. Sierżant pchnął pozostałych szeregowców na schody, strzelając w głąb Bramy. Deszcz i gryzący dym coraz bardziej ograniczały widoczność. Fols dostrzegł błękitny błysk miotacza Dremmonda opodal swej pozycji, widział parę buchającą z miejsc, w których płonące chemikalia stykały się z wodą i mokrymi kamiennymi ścianami.

Jeden z żołnierzy wykrzyczał coś niezrozumiale i Fols obejrzał się przez ramię. Zoicańscy szturmowcy nadbiegali dziesiątkami wzdłuż ściany Muru zachodząc Tanithijczyków od tyłu. Odwrócił się i zaczął strzelać. Zabił trzech najbliższych. Ściana laserowego ognia ścięła jego

ludzi i cisnęła ich ciałami o skrwawioną ścianę klatki schodowej. Fols stracił kolano, oko, łokieć. Czwarty strzał trafił sierżanta w brzuch.

Nie zdjął palca ze spustu nawet wtedy, gdy zoicański bagnet przybił go do ściany budynku.

* * *

Śpiewy nie ustawały. Zoicańscy szturmowcy pracy przez Bramę Veyveyr nieśli ze sobą wielkie proporce z emblematami Ferrozoicy oraz bluźnierczymi insygniami wywołującymi u lojalistów łzawienie oczu i wymioty: dowodem chaotycznego skażenia najeźdźców. Niektórzy napastnicy mieli na swoich hełmach zamontowane wzmacniacze, przez które wykrzykiwali niezrozumiałe modlitwy i odrażające pieśni. Obserwując pole walki Corbec zrozumiał, że Zoicanie zwyciężyli. Nie mógł odwrócić biegu historii, nie był w stanie tego dokonać dysponując zaledwie garstką ludzi. Zmienił ponownie akumulator, rzucając pusty pod nogi. Obok przeładowali broń Genx i dwaj inni Tanithijczycy.

Zabijają tyłu, ilu zdołają przed śmiercią. Tylko tyle mogli jeszcze zrobić.

* * *

Impulsy biegnące światłowodami mówiły o zacieklej, bestialskiej wręcz walce, ale toczyła się ona w niezwykle odległym miejscu. Dla odbiorcy tych komunikatów stanowiła zaledwie ciąg pozbawionych empatii informacji, cyfrowy zapis beznamiętnych faktów.

Salvadore Sondar dryfował w wodach Żelaznego Zbiornika. Przestał się interesować losem miejskich żołnierzy. Wydarzenia pod Bramami Croe i Veyveyr stanowiły dla niego nic nie znaczący sen. Dla władcy Vervunhive liczył się teraz tylko szept.

* * *

Wybuch rakiety spopielił szeregowca Feaxa i cisnął Larkinem wysoko w powietrze. Snajper runął z łomotem pomiędzy gruzowisko i ciepłe jeszcze trupy, ogłuszony i osłepiony. Nigdzie nie było jego bezcennego karabinu.

Przewrócił się na plecy. Biegł z drużyną Corbeca, tyle tylko pamiętał. Zaczął odzyskiwać słuch. Śpiewne zawrota Zoican dobiegały do niego niczym spod wody. Widział rozbłyski laserowego światła i kolorowe proporce majaczące pośród dymu.

Zoica stanął tuż przy nim patrząc w dół zza skrywającej twarz potwornej maski, pchnął bagnetem. Larkin przetoczył się w bok i spadł z krawędzi zapadliska na położone dwa metry niżej dno. Ignorując ból potłuczonego kręgosłupa wyciągnął tanithijski nóż i skoczył na prześladowcę w chwili, gdy ten zaczął zbiegać na dno krateru. Bagnet heretyka rozciął policzki Larkina. Snajper uderzył ciałem przeciwnika i przewrócił go na ziemię, rozpaczliwie dźgając ostrzem w poszukiwaniu szczeliny w zoicańskim pancerzu.

Znalazł ją w miejscu, gdzie hełm zachodził na kołnierz kombinezonu. Gęsta cuchnąca krew pociekła po ręce Larkina parząc ją niczym kwas. Zoica szarpał się i dygotał, ale Tanithijczyk nie rozluźniał uścisku wbijając nóż coraz głębiej. Potoczyli się razem dwadzieścia metrów w dół krateru. Zaciekle wysiłki snajpera pozwoliły mu w końcu zerwać klamry łączące hełm przeciwnika z jego napierśnikiem.

Larkin był pierwszą osobą w Vervunhive, która ujrzała nagą twarz przeciwnika, odsłoniętą, pozbawioną ochrony anonimowego wizjera. Wrzasnął histerycznie na ten widok.

A potem dźgał trupa i dźgał i dźgał.

* * *

Morze laserowych wiązek wypełniło otoczenie Bramy nadlatując z zachodu. Szturmowcy padali na ziemię upuszczając swe proporce, przestrzelone wzmacniacze wybuchały z głośnym trzaskiem. Corbec i jego ludzie, na równi oczarowani i zaskoczeni, uderzyli w zdezorientowanych Zoican z odzyskanym wigorem.

Dziewięć plutonów vervuńskiej piechoty uderzyło na Bramę od zachodu, idąc pod rozkazami prącego na czele grupy komisarza Kowle.

Kowle przedzierał się w stronę Bramy Veyveyr od świtu i pokonanie drogi z Domu Dowódczego zajęło mu czas do południa. Nie mogąc znaleźć Modile ani żadnego innego oficera Vervun Primary komisarz sterroryzował kryjących się w pobliżu żołnierzy i popędził ich ku Bramie ubezpieczony przez idącego na flance Bulwara.

Komisarz śpiewał na całe gardło hymn Imperium nie zdejmując palca ze spustu swego stormboltera.

Oddziały NorthColu przyspieszyły, rozciągając linię natarcia w stronę wschodu w celu wsparcia wątkich pozycji Tanithijczyków. Corbec nie wierzył własnym oczom. Nareszcie jakieś skoordynowane działanie. Zebrał wszystkie Duchy i zaczął docinać szturmowców krążących jeszcze po wschodniej stronie Bramy. W ten sposób ułatwił ludziom Kowle'a uderzenie na samą Bramę – Bramę, którą Tanithijczycy utrzymywali samotnie ponad godzinę.

ponad godzinę.

Trzy kliny – tanithijski, vervuński i NorthColu – wypchnęły Zoican za Mur, w ruiny podmiejskich habitatów i ulewny deszcz. Następnie Kowle wycofał Vervuńczyków pozwalając pancernym jednostkom NorthColu zablokować Bramę, wcześniej jednak nie omieszkając skorzystać z okazji do wykonania kilku propagandowych zdjęć, które natychmiast trafiły na ekrany wszystkich miejskich kanałów telewizyjnych: Kowle stojący ze zwycięską miną pod zniszczonym łukiem Bramy, Kowle strzelający do nieprzyjaciela, Kowle trzymający wysoko w górze sztandar Vervun Primary i grupa żołnierzy pomagająca mu wbić proporzec w gruzy.

Późnym popołudniem za Bramą stało już w pogotowiu pięćdziesiąt czołgów NorthColu. Kowle okazał się ponownie Bohaterem Ludu, bitwa o Veyveyr dobiegła końca.

Pod Bramą Croe Zoicanie odstąpili wkrótce później na wieść o porażce swych towarzyszy. Generał Nash westchnął z ulgą na widok wycofujących się najeźdźców. Wydał artylerzystom rozkaz, aby nękali nieprzyjaciela ostrzałem do chwili wyjścia poza ich zasięg.

* * *

Na tablicach miejskich ekranów ani raz nie pojawiła się informacja o stratach własnych obrońców: 440 Vervuńczyków i 200 roańskich Deepersów na Bramie Croe, 500 Vervuńczyków na Hałdzie, 3500 żołnierzy Vervun Primary, 900 NorthColu i 100 Tanithijczyków na Bramie Veyveyr.

Miasto miało swe zwycięstwo i swego bohatera – tylko to się liczyło.

* * *

Gaunt i jego mały oddział dotarli do Bramy Veyveyr tuż po ustaniu walk. Komisarz kipiał z wściekłości i determinacji. Daur poprowadził go okopem łącznikowym do bunkra, w których pułkownik Modile wydawał nowe rozkazy sztabowcom i uruchamiał ponownie radiokomunikatory.

Vervuński dowódca spojrział pustym wzrokiem na oficera politycznego, wchodzącego do pomieszczenia ze kamienną miną na twarzy.

- Bitwa skończona. Wygraliśmy. Vervunhive zwyciężyło – oświadczył beznamiętnym głosem Modile.

- Słyszałem transmisje. Wiem, co tutaj się działo. Zawiodłeś, Modile. Straciłeś panowanie nad sytuacją. Schowałeś się. Wyłączyłeś radia, bo nie potrafiłeś przyjąć do wiadomości przekazywanych ci komunikatów.

Pułkownik wzruszył niechętnie ramionami.

- Ale wygraliśmy...

Tanithijscy żołnierze weszli do bunkra i stanęli obok komisarza. Posępny Daur trzymał przy boku swój pistolet.

- Zbierzcie wszystkich oficerów i przesłuchajcie ich. Chcę zapisy wszystkich prowadzonych tu rozmów radiowych – rozkazał Gaunt. Gwardziści zaczęli gromadzić w jednym miejscu zaskoczonych i zmieszanych oficerów Vervun Primary.

- Co ty robisz ? – warknął Modile – To moja strefa dowodzenia !

- A jak do tej pory dowodziłeś ? Urządziłeś tu rzeźnię. Rozczarowałeś mnie, Modile. Ludzie błagali o rozkazy i wsparcie, ale ty ich zignorowałeś. Wszystko słyszałem.

- To był niefortunny incydent – odparł Modile.

- Mam swoją reputację, Modile – powiedział Gaunt – Reputację człowieka uczciwego i szczerego, dbającego o swoich żołnierzy i wspierającego ich w chwilach słabości. Być może postawa ta uczyniła mnie zbyt miękkim. Rozumiejącym błędy i wybaczącym je. Niektórzy, jak Kowle, uważają, że jestem miernym komisarzem, niezdolnym do spełnienia wymogów piastowanego stanowiska. Nieprzygotowanym do wymierzania kar dyscyplinarnych.

Gaunt zdjął z głowy czapkę i podał ją Daurowi. Nie odrywał wzroku od nadal nie rozumiejącego powagi sytuacji pułkownika.

- Jestem imperialnym komisarzem. Umacniam słabych, wspieram potrzebujących, wskazuję drogę zagubionym. Jestem wszystkim dla moich ludzi. Jestem karzącym ramieniem władzy dla żołnierzy tchórzliwych, niekompetentnych i niebezpiecznych dla swych towarzyszy.

- Gaunt, ja

- Komisarzu Gaunt ! Nic nie mów. Zabrałeś dziś życie wielu ludziom.

Pułkownik zrobił krok w tył, uświadamiając sobie zniechęcające konsekwencje swego błędu. Gaunt wyjął z kabury boltowy pistolet.

- W drodze wyjątku daję ci prawo wyboru: pluton egzekucyjny złożony z własnych podwładnych albo egzekucja w trybie natychmiastowym.

Modile zadygotał i odwrócił się w miejscu próbując uciekać. Komisarz przestrzelił mu głowę.

- Sam dokonałeś wyboru – oświadczył mściwym tonem.

X – Straty

„Przyszedł kiedyś taki dzień, kilka lat temu, kiedy uznałem, że ujrzałem już dosyć. Później widywałem znacznie gorsze rzeczy, ale już o nich nie myślałem. Ludzkie sumienie ma ograniczoną pojemność”

– Mistrz Chirurgu Goleca po pacyfikacji Augustusa IX

Sądząc po dobiegających z oddali dźwięków, przy Bramie Veyveyr musiało się rozpętać istne piekło. Niebo pod Tarczą płonęło nieustannie ognistymi rozbłyskami, a grzmot detonacji wstrząsał ulicami metropolii. Trwało to od poranka i wcale nie zamierzało ucichnąć.

Dziecko, Yoncy, płakało żałośnie i krztusiło się w niepokojący sposób. Zachowywało się tak przez całą noc i Tona nie miała pojęcia, jak mogłaby temu zapobiec. Dalin był bardzo spokojny i większość czasu drzemał w zagłębieniu pomiędzy stertami śmieci otaczającymi ich kryjówkę.

Tona wyrzwała z kontenera i przeciągnęła wzrokiem po zrujnowanej okolicy. Pół kilometra dalej dostrzegła ogrodzone siatką i drutem kolczastym magazyny fabryki chemicznej Domu Gavunda. Tam właśnie mieszkali żołnierze z innego świata, bladokórzy i ciemnowłosi mężczyźni noszący czarne mundury i niebieskie tatuaże. Tona uznała, że muszą pochodzić z podobnego świata przemysłowego jak Verghast – tatuaże były zapewne insygniami różnych gangów.

Ciągle śniła o ich jedzeniu. Niebiańska uczta oczekiwała w tych magazynach i kilka razy wysyłała już Dalina, aby coś ukradł, robiło się to jednak dla chłopca zbyt niebezpieczne. Tona wiedziała, że przyszła kolej na nią. Niemowlę było osłabione. Potrzebowała mleka w proszku i prepaku.

W szczątkach budynków i kraterach pokrywających zbombardowaną dzielnicę przetwórczą kryły się tysiące innych uchodźców, ale Tona nigdy nawet nie pomyślała o prośzeniu ich o pomoc. Każdy w Vervunhive troszczył się tylko o siebie.

Gigantyczny grzyb ognia wyrósł nad Veyveyr i Tona spojrzała na niego urzeczona. Była kilka razy w terminalu kolejowym Veyveyr i stała w przeszklonym hallu dworca obserwując odjeżdżające z metropolii pociągi. Jej wujek Rika prowadził tam bar szybkiej obsługi, pracowała też przez krótki czas w gangu kieszonkowców żerujących na pasażerach. Wielki Terminal zawsze budził jej zachwyt, stając się w myślach dziewczyny szklaną bramą do innego świata. Gdyby miała dość pieniędzy, bez wahania pojechałaby jednym z pociągów do któregoś z miast tropików, na archipeląg, a może nawet do sławnego Badportu, gdzie można podobno kupić bilet do dowolnego miejsca na świecie, a nawet poza nim.

Brama Veyveyr stanowiła dla niej ucieleśnienie drogi ucieczki z Vervunhive. Obietnicy lepszej przyszłości. Teraz płonęła w oddali, a nieznani żołnierze z innego świata dewastowali ją prowadząc brutalną wojnę.

Dziecko załkało ponownie. Tona wyszła z kontenera i trąciła Dalina.

- Uważaj na małego. Wkrótce wrócę – wślizgnęła się pomiędzy rumowisko i zaczęła skradać ku magazynom Gavundy.

* * *

Przemykała wśród zgliszczy fabryk zbombardowanych pierwszego dnia wojny, przed podniesieniem Tarczy. Rozbite budynki ziały pustką roztrzaskanych okien, szerokie na dwadzieścia metrów kratery pokrywały ziemię niczym ślady monstrialnej ospy. Spośród gruzów wystawały kawałki metalowych filarów i rur, wszędzie wałały się pocerniałe od ognia szczątki nierozpoznawalnych maszyn.

Ludzkie ciała leżały tam, gdzie dopadła je śmierć i po upływie miesiąca zmieniły się w sterty zmumifikowanej tkanki okrytej strzępami ubrań. Ekipy medyczne zaopiekowały się rannymi, a mieszkańcy metropolii pochowali swoich najbliższych, ale pośród ruin wciąż poniewierały się ludzkie zwłoki, pogrzebane pod betonem lub zwęglone. Bezpańskie psy – wychudłe, chore i dziczące – włóczyły się po zgliszczach żerując na trupach. Tona czuła dziwną więź z tymi zwierzętami, chociaż ona wciąż krzywiła się z odrazą na myśl o jedzeniu ludzkiego mięsa.

Nad całą dzielnicą unosił się trupi odór. Tysiące innych uchodźców, członków najniższych kast społecznych i przesiedleńców z innych sektorów metropolii, koczowały wśród ruin w oczekiwaniu na wolne miejsca w obozach tymczasowych. Tona Criid podobnie jak wielu innych niskich rangą mieszkańców Vervunhive instynktownie starała się unikać kontaktów z przedstawicielami organizacji humanitarnych, bo choć dostarczali jedzenie i leki, reprezentowali sobą władzę. VPHC zdążyło zasłynąć z brutalności wobec uchodźców.

Widywała innych bezdomnych krążących w ruinach, w większości dorosłych, chociaż trafiały się dzieci. Ludzie byli wychudzeni i brudni, nosili podarte ubrania. Niektórzy gapili się na nią, gdy przechodziła obok, inni ją ignorowali. Nikt nie odezwał się choćby słowem.

Kiedy mijiała magazyn, w którym ocalało kilka szyb, spojrzała machinalnie na swoje odbicie. Zatrzymała się w pół kroku zaskoczona. Oczekiwała dziewczyny o bystrym spojrzeniu, lekko drwiącym uśmiešku i przyciągających oko tatuażach.

Widząc zapadnięte policzki w pełni zdała sobie sprawę z dręczącego ją głodu. Do tej pory starała się ignorować ssanie w żołądku, teraz jednak zaczęło burczeć jej w brzuchu tak intensywnie, że musiała na chwilę przysiąść i poczekać, aż fala bólu ustanie na tyle, by mogła pojąć dalszą wędrówkę. Odpięła od pasa butelkę i wlała do ust kilka łyków bezcennego płynu. Opróżnione do połowy naczynie było ostatnią z butelek płynnego elektrolitu znalezionych w magazynie przy Hucie Vervun Jeden. Wiedziała doskonale, że tylko ten płyn pozwolił jej i dzieciom przetrwać ostatni miesiąc.

Przytroczyła pojemnik z powrotem do pasa i wyjęła z pochwy nóż. Metalowa siatka otaczająca koszary była zaledwie kilka metrów od niej. Nigdzie nie widziała żywej duszy. Być może wszyscy żołnierze walczyli teraz pod Bramą. Miała nadzieję, że się nie myli.

Jej brat Nake podarował jej ten nóż w dziesiąte urodziny, na kilka tygodni przed śmiercią w ulicznej strzelaninie pomiędzy gangami, gdzieś w uliczkach DownReach pod Main Spine. Nake Criid należał do bandy Verves, jednego z silniejszych gangów Vervunhive, i rękojeść broni ozdobił pieczołowicie wykonany ryt w formie śmiejącej się czaszki spoczywającej pomiędzy ramionami gotyckiej litery V. Tona posiadała kilka symboli gangsterskich – kolczyk w uchu, bransoletę, tatuaż w postaci węża na ramieniu – nigdy jednak nie angażowała się w bandyckie wojny. Jednego w swym życiu była pewna, jeszcze przed śmiercią Nake'a od gangsterskich kul jakieś siedem lat temu: kariera bandyty była krótka i bolesna. Sama kierowała swym życiem i sama sobie była panią.

Nóż był bronią o łańcuchowym ostrzu piętnastocentymetrowej długości. Jeden ruch palca wskazującego przy rękojeści pozwalał włączyć ukrytą wewnątrz noża baterię, wprawiającą ostrze w tak szybkie drgania, że sprawiało ono wrażenie nieruchomego. Lecz jak potrafiło ciąć!

Dotknęła przycisku i ostrze zaczęło leciutko wibrować. Wyłączyła je, zacisnęła w dłoni i zaczęła czołgać się w kierunku ogrodzenia.

Magazyn był mroczny i wyładowany zapasami, tak jak tego oczekiwała. Nie potrafiła odczytać większości nalepek na skrzynkach, dlatego musiała je po kolei otwierać i przeszukiwać. W pierwszej znalazła mnóstwo małych pudełek pełnych sznurówek. Z drugim pojemnikiem poszło lepiej – pełny był metalowych tub. Uznała, że ich zawartość to preparat i nabrała w dłoń nieco czarnej pasty, aby jej posmakować. Omal nie wymiotowała. Jeśli ci obcy żołnierze to jedli, rzeczywiście musieli pochodzić z zupełnie innego świata. Ruszyła w kierunku następnej palety, pozostawiając na podłodze za sobą opróżnioną do połowy tubę pasty kamuflującej.

Słuchawki z okablowaniem i wtyczkami. Baterie. Rolki gazy pachnące środkami dezynfekującymi. W kolejnej stercie odkryła mrożone mięso i warzywa. Świetnie. Wrzuciła pół tuzina woreczków do plecaka, po chwili namysłu dodała jeszcze kilka, choć wiedziała, że

będą musieli jeść je na sucho, jeśli nie znajdzie wody. Zaraz potem wpadła na bloczki łatwopalnego plastiku używane w formie jednorazowych kocherów. Następnie metalowe nożyce. Wybrała jedno dla siebie i drugie dla Dalina. Chłopiec na pewno ucieszy się z własnych narzędzi.

W końcu dotarła do żywności. Kukurydziane płatki i sojowe kotlety. Zaczęła wpychać paczki do plecaka rozpruwając jedną z nich i połykając łączywie miękką zawartość woreczka. Nagle zamarła w bezruchu z napiętymi policzkami i żołądkiem dostającym wariacji od nagłego nadmiaru jedzenia. Dźwięk gdzieś z tyłu, po prawej; dźwięk, którego nie zdołało zagłuszyć jej wilcze mlaskanie. Wsunęła się ostrożnie w cień magazynu.

Snop światła rzucany przez latarkę zaczął omiatać podłogę trzy rzędy palet dalej. Rozpląszyła się na podłodze za piramidą metalowych puszek próbując stać się niewidzialną, nóż ścisnęła w spoconej dłoni. Snop światła poruszył się raptownie i do uszu dziewczyny dobiegło jakieś mamrotanie lub parsknięcie. Na dźwięk strzału z lasera omal nie zerwała się na nogi. Bezpański pies przemknął tuż obok niej z dzikim skowytem wlokąc za sobą osmaloną łapę.

Odprężyła się nieco. Głos powiedział coś w dialekcie, którego nie zrozumiała, a światło latarki zaczęło się oddalać, aby po chwili zniknąć całkowicie. Przebiegła wśród palet rozglądając się uważnie. Kilka cięć nożem wystarczyło, aby odsłonić zawartość skrzynek. Pakiety pierwszej pomocy. Zupy w proszku podgrzewające się samoczynnie po otwarciu pojemnika. Woreczki z suszonymi owocami. Konserwy rybne. Pudełka z mlekiem.

Wyładowała do pełna plecak. Był teraz ciężki, a jej limit szczęścia mógł się lada chwila wyczerpać. Nadszedł czas powrotu do dzieci.

Jaskrawe światło oślepiło ją wywołując okrzyk przerażenia, czyjaś ręka spoczęła na ramieniu dziewczyny. Tona Criid pobierała lekcje samoobrony u swoich braci, wszystkich gangsterów bez wyjątku. Instynktownie chwyciła napastnika za rękę i przerzuciła go przez ramię. Latarka poleciała gdzieś pomiędzy skrzynki w ślad za mężczyzną podnoszącym się z bolesnym przekleństwem z podłogi. Nie puścił jej mimo upadku, zacisnął jeszcze bardziej dłonie i cisnął przeciwniczką w drewniane skrzynie.

Zderzenie z paletą oszołomiło Tonę. Spróbowała się podnieść słysząc za plecami wstającego z podłogi wartownika, klnącego w niezrozumiałym języku. Zerwała się na nogi i wymierzyła w ciemność za sobą solidnego kopniaka. To musiał być jeden z komisarzy VPHC, była tego pewna. Nie mogła oczekiwać od niego niczego prócz laserowej wiązki czy boltowego pocisku.

Jej stopa trafiła w cel i ciemna postać ponownie runęła na podłogę. Posypały się kolejne błuźnierstwa.

Dziewczyna skoczyła w kierunku szczeliny w ścianie magazynu.

Mężczyzna wpadł na jej plecy i powalił na podłogę przygniatając Tonę do kompozytowych płyt. Wiła się i kopała jak szalona, ale jego ciężar wydusił jej powietrze z płuc. Pochwycona w żelaznym uścisku nie mogła uciec przed promieniem latarki sunącym w kierunku jej twarzy.

- Wszystko w porządku, wszystko w porządku – powiedział w starannie akcentowanym niskim gothicu zdyszany głos – Nie walcz ze mną.

Wciąż się szamocząc spojrzała w górę i ujrzała twarz żołnierza z obcego świata, młodego mężczyznę, który tydzień wcześniej przepędził z magazynu Dalina.

Kiedy ostrze zaczęło wibrować w jej dłoni, pchnęła nim w górę.

* * *

Caffran dostrzegł mknące ostrze noża i rzucił się w bok uwalniając swego więźnia. Ta dziewczyna była piękną złodziejką, którą widział już wcześniej podczas pościgu za kradnącym żywność chłopcem. Stała teraz na ugiętych nogach, z nożem wysuniętym przed siebie i pochyloną głową. Postawa obronna, pomyślał Caffran, dostatecznie dobra dla Ducha.

- Odłóż broń – powiedział spokojnie – Mogę ci pomóc.

Odwróciła się i zaczęła biec w stronę pękniętej blachy stanowiącej ścianę baraku. Caffran wyszarpnął z kabury pistolet i strzelił trzy razy wypalając okrągłe dziury w ścianie po obu bokach dziewczyny. Światło dzienne zaczęło sączyć się przez przestrzeliny rozjaśniając nieco panujący wewnątrz pomieszczenia mrok. Kobieta stanęła oczekując wyraźnie kolejnego, tym razem śmiertelnego, strzału.

Caffran podniósł się z podłogi nie opuszczając broni.

- Mogę ci pomóc – powtórzył – Nie cieszysz się życiem, które musisz prowadzić. Masz dzieci, prawda, chłopca ? Czego potrzebujesz ?

Odwróciła się w jego stronę, w opuszczonej dłoni wciąż ścisnęła nóż, drugą osłaniała oczy przed światłem latarki. Caffran opuścił ją nieco, aby promień nie oslepił dziewczyny.

- Bzdura – powiedziała.

- Co ? – nie zrozumiał Caffran.

- Nie chrań. Po prostu mnie zastrzel, sukinsynu.

- To nie chrzaniecie – cofnął się o krok i schował pistolet do kabury – Żadne chrzaniecie.

Wystrzeliła w jego kierunku tnąc powietrze nożem. Chwycił ją w pół skoku i odepchnął na stertę skrzyń. Grzmotnęła z impetem o drewniane pojemniki tracąc na moment orientację. Kopnął leżące na podłodze ostrze posyłając je w ciemny róg.

Podniósł dziewczynę w górę. Oddychała spazmatycznie i krztusiła się. Wyglądała tak bezbronne i krucho w jego rękach, że uznał zagrożenie za nieistniejące.

- Jak ci na imię ?

Omam nie stracił oczu, gdy przeorała mu paznokciami twarz. Potknął się i przewrócił sycząc z bólu. Nim zdołał wstać ponownie, dziewczyna już przeciskała się przez szczelinę w ścianie. Caffran zauważył, że okazała się bystra dostatecznie, by w drodze do wyjścia schylić się po swój nóż.

Popędził w jej kierunku.

- Stój, na fetha ! Chcę ci pomóc ! Stój !

Spojrzała przez ramię wzrokiem zaszczutego zwierzęcia. Jej wyładowany do pełna plecak zahaczył o krawędź pęknięcia nie pozwalając przedostać się na drugą stronę ściany.

- Odwal się ! Odwal się ! – wrzasnęła histerycznie. Podchodził ostrożnie, z szeroko rozstawionymi dłońmi, starając się sprawiać wrażenie pokojowo nastawionego człowieka.

- Nie zrobię ci krzywdy... proszę... nazywam się Caffran. Przyjaciele wołają na mnie Caff. Jesteśmy do siebie podobni, wiesz. Jestem Duchem bez właSSS

własnego domu. Nie chcę cię o nic prosić, bo pewnie masz to gdzieś, ale...

Był już tylko na odległość wyciągniętej ręki od dziewczyny, wyczuwając wyraźnie emanujący z niej strach. Zawyla z rozpaczą i przeciągnęła nożem po paskach plecaka. Kiedy upadł pod jej nogi, skoczyła do przodu, nareszcie wolna. Prześlizgnęła się pod ogrodzeniem i zaczęła wspinać się na rumowisko poza kompleksem.

Caffran stracił więcej czasu na przepchnięcie się przez wyciętą w ścianie dziurę. Zdążył tylko pochwycić wzrokiem śmigającą po gruzach sylwetkę dziewczyny, która po kilku sekundach znikła mu z oczu.

* * *

Tona leżała przez kilka minut na dnie krateru, w towarzystwie spalonych ludzkich szczątków. Kiedy uznała, że żołnierz zrezygnował z pościgu, poczołgała się w kierunku ogrodzenia i wyjrzała ostrożnie na teren koszar. Zaraz potem usłyszała zgrzyt kamieni pod ciężkimi butami. Dwadzieścia metrów dalej, patrząc w złym kierunku, obcy żołnierz szedł po gruzowisku niosąc w dłoni jej plecak.

- Hej ! – zawołał – Hej ! Będziesz tego potrzebowała. Naprawdę ! Hej !

Stanął w miejscu na dłuższą chwilę, może dziesięć minut, rozglądając się wokół. Tona nawet nie drgnęła. W końcu żołnierz poddał się i położył plecak na ziemi.

- Jest tutaj, jeśli go chcesz – oświadczył i znowu odczekał chwilę. Nigdzie jej nie widząc odwrócił się i szedł po rumowisku na teren magazynów Gavundy.

Tona odczekała pełny kwadrans, nim odważyła się poruszyć. Potem wypadła z kryjówki, pochwytiła plecak i znikła wraz ze zdobyczą pośród labiryntu zrujnowanych budynków. Żołnierz nie pojawił się ponownie, nie próbował jej gonić.

Wsunęła się w jakąś dziurę i zaczęła studiować zawartość plecaka. W środku było wszystko, co wcześniej zapakowała, ale nie tylko: znalazła też trzy butelki sterylizowanej wody, połowy kombinezon, paczkę antybiotyków w jednorazowych strzykawkach, parę zwiniętych ciasno bandaży i laserowy pistolet, ten sam, z którego żołnierz strzelał do niej w magazynie. Bateria broni była niemal pełna.

Gapiała się do plecaka przez dłuższą chwilę, potem wybuchła histerycznym śmiechem. Szczęśliwa i zmęczona zarzuciła plecak na ramię i ruszyła okrężną drogą do swej kryjówki, rozglądając się czujnie za śladami pościgu.

Później, kiedy wraz z Dalinem zjadła pierwszy mięsny posiłek w tym miesiącu, a mały Yoncy spał spokojnie z brzuszkiem pełnym mleka, na dnie plecaka znalazła zapinkę do beretu: czystą, srebrną, w postaci imperialnego dwugłowego orła trzymającego w szponach zwój z inskrypcją Tanithijski Pierwszy, ku chwale Imperatora, Boga Ziemi.

We wnętrzu mrocznego kontenera, najedzona Tona siedziała przy palącym się bloczku plastiku i rozmyślała nad miejscem, w które powinna wpiąć otrzymany emblemat. Był wspanialszy od jakichkolwiek gangsterskich odznak, które nosiła do tej pory.

* * *

Na ulicach i skwerach za Bramą Veyveyr królowała niepodzielnie śmierć. Żołnierze Vervun Primary, milicja robotnicza i pracownicy Munitorium pracowali w zasłaniających twarze maskach znosząc ciała zabitych z torowiska kolejowego terminalu i składając je na placach na północ od Veyveyr w celu identyfikacji.

Agun Soric sprowadził swą grupę roboczą z obozu dla uchodźców w Commercii natychmiast po ustaniu walk chcąc pomóc wojskowym w przygnębiającej, ale koniecznej pracy. Dyrektor chciał walczyć. Do diabła, gdzie był ten dzielny vervuński oficer... jak on się nazywał ? Racine ! Pozwolił im już raz wykazać się oddaniem dla metropolii, ale Soric pragnął czegoś więcej. W poszukiwaniu broni ludzie dyrektora już wczesnym rankiem pojawili się na linii frontu. Niech Ferrozoica drży na myśl o gniewie robotników z Vervun Jeden !

Ciągnąc za języki pracujących wokół żołnierzy – obcych z Gwardii i wojskowych z NorthColu – Soric dowiedział się, że po zacieklej walce Zoicanie zostali wyparli poza miejskie mury. Dyrektor miał nadzieję, że szybko odnajdzie majora Racine, by złożyć mu gratulacje i być może usłyszeć kilka słów uznania pod adresem jego pionierskiej brygady inżynierskiej, która włożyła tyle wysiłku w budowę umocnień pod Veyveyr.

Ale czas na składanie gratulacji miał dopiero nadejść. Wraz ze swymi hutnikami: Gannifem, Fafenge i Modjem, Soric układał na czterokołowym wózku ciała poległych żołnierzy. Była to niewdzięczna i przykra praca. Wszyscy ratownicy otrzymali polecenie

owijania zwłok w płachty materiału, zdejmowania noszonych na szyi ofiar identyfikatorów i odnotowywania ich zawartości w notesach, ale wiele ciał zostało rozczłonkowanych i części ludzkich szczątków nie sposób było do siebie dopasować.

Na pobojowisku wciąż konali ranni.

To była prawdziwa rzeźnia. Wszędzie wokół przemieszczały się wózki sanitariuszy, personel medyczny i ochotnicy formowali z łez rannych długie kolumny maszerujące z wysiłkiem w kierunku punktów opatrunkowych. Wlokąc się z trudem ranni schodzili z przejezdnych szlaków ustępując co chwila miejsca ręcznie pchanym wózkom noszowym lub medycznym Chimerom pędzącym z łoskotem gąsienic do miejskich szpitali.

Soric oparł oskard o biodro i pochylił się wsuwając okryte rękawicami dłonie pod ramiona poczerniałych od ognia, beznogich zwłok. Kiedy pociągnął je w górę, „trup” wydał z siebie przeciągły charkot.

- Medyk ! Medyk ! – wrzasnął dyrektor puszczając ze strachem wciąż żywe ciało. Krępy lekarz wojskowy przepchnął się przez pobliski tłumek. Był to siwobrody mężczyzna po pięćdziesiątce, sprawiający wrażenie obcokrajowca. Pod jego karmazynowym lekarskim fartuchem można było dostrzec czarny mundur i ciężkie gwardyjskie buty.

- Żyje ? – zapytał lekarz.

- Nie wiem, chyba tak. Próbowalem go podnieść.

Medyk zdjął z szyi stetoskop, wtyczkę wepchnął do ucha, drugi koniec instrumentu przyłożył do piersi poparzonego żołnierza.

- Martwy. Musiałeś wydusić z jego płuc powietrze podczas dźwigania ciała.

Dyrektor skinął ze zrozumieniem głową patrząc jak lekarz chowa stetoskop do noszonej na pasku torby.

- Pan pochodzi z naszego świata, prawda ?

- Słucham ? – zapytał lekarz nie rozumiejąc pytania.

- Obcoświatowiec ?

- Tanithijski Pierwszy – uklonił się lekko oficer – Dowódca służb medycznych.

Soric zdjął z prawej dłoni papierową rękawicę.

- Dziękuję – powiedział krótko. Zaskoczony Tanithijczyk spojrzał na niego badawczo, po czym uściśnął podaną dłoń dyrektora.

- Dorden, Pierwszy i Jedyne Gaunta – przedstawił się.

- Soric. Zarządzałem kiedyś tym miejscem – dyrektor wskazał ruchem ramienia zgliszcza huty Vervun Jeden dymiące na wschód od terminala kolejowego.

- Zły to czas dla nas wszystkich – westchnął Dorden mierząc spojrzeniem niskiego mężczyznę o byczym karku i twarzy pokrytej grubą warstwą popiołu. Dyrektor potwierdził jego słowa skinięciem głowy.

- Ta rana oka... jak opatrunki ? – postąpił krok do przodu lekarz. Soric zatrzymał go gestem dłoni.

- Stara historia, przyjacielu, bardzo stara. Teraz inni bardziej potrzebują twojej pomocy.

Jakby na potwierdzenie jego słów grupka ludzi w vervuńskich mundurach przebiegła tuż obok niosąc na noszach krzyczącego przeraźliwie, zbryzganego krwią żołnierza NorthColu. Mtane i jeden z sanitariuszy Curth doskoczyli do rannego. Dorden spojrzał kątem oka na Sorica.

- Podziękowałeś mi. Za co ?

- Tkwie w tym od początku – wzruszył ramionami Soric – Pozostawiono mnie i moich ludzi, abyśmy tu zginęli. Wy nie musieliście nam pomagać, ale to zrobiliście i za to właśnie dziękuję.

- To nie tak – pokręcił głową Dorden – Marszałek Macaroth skierował nas tutaj, wypełniamy tylko jego rozkazy. Cieszę się, że możemy was wesprzeć.

- Bez obcoświatowców Vervunhive już by konało. Dzięki i za to.
- Dobre słowa przyjęte. Zazwyczaj nikt nam nie okazuje wdzięczności za przelaną krew.
- Widziałeś może majora Racine ? Z Vervun Primary ? To świetny żołnierz...

Dorden zaprzeczył z przykrością i podszedł do miejsca, w którym noszowi zaczęli składać rannych Tanithijczyków. Milo i Baffels nieśli właśnie Manika, krwawiącego obficie z przestrzelonej klatki piersiowej. Dorden pochylił się nad młodym szeregowcem widząc, że ten lada moment wykrwawi się na śmierć.

- A wy, chłopaki ? Wiecie może, co się dzieje z majorem Racine ?

Dorden pracował już nad raną Manika. Główna arteria została rozerwana i nie potrafił zatrzymać upływu krwi. Wyciągnął dłonie z ciała szeregowca, wrzasnął do Lespa żądając czystych kleszczy.

- Racine ? – Milo odstał na krok od noszy i zaczął poprawiać opatrunek założony na ramię – Zginął. Pod krabem. Zniszczył go, ale zapłacił życiem.

Soric pokręcił z żalem głową słysząc słowa chłopca. Lesp podbiegł do Dordena, cisnął w jego wyciągniętą dłoń skalpel. Lekarz ciął nim wzdłuż rany próbując poszerzyć ją dostatecznie mocno, by można było wyciągnąć tętnicę i zamknąć ją klamrami. Zrobił to zbyt późno. Manik wyprężył się i skonał z rękami Dordena wciąż tkwiącymi w jego ciele.

- Pozwól nam się nim zająć – oświadczył Soric i z pomocą swych ludzi złożył delikatnie zwłoki na swoim wózku. Dorden był zaskoczony szacunkiem okazywanym przez hutników zmarłemu.

- Każda dusza dla miasta, miasto w każdej duszy – rzucił przez ramię dyrektor pchając wózek przed siebie.

Ana Curth wydawała pośpieszne rozkazy swym podopiecznym. Pod Bramą Veyveyr więcej było trupów do identyfikacji niż rannych potrzebujących jej pomocy. Sprawdzała starannie każde ciało zdejmując poległym identyfikatory i przekazując je grupom prowadzącym rejestry.

Zawahała się na moment natrafiając na pierwsze zwłoki Tanithijczyków. Ci ludzie byli przyjaciółmi Dordena. Zaczęła zdejmować ostrożnie ich blaszki zapisując wszystkie nazwiska w swoim notesie. W cieniu Bramy stanęła na dłuższą chwilę i po raz trzeci sprawdziła ostatni pęk identyfikatorów, aby się ostatecznie upewnić.

Nie myliła się. Łzy pociekły po jej policzkach, gdy chowała zakrwawione identyfikatory do kieszeni fartucha.

* * *

Trzydziesty drugi dzień wojny dobiegał końca. Mieszkańcom Vervunhive miał zapaść w pamięć jako najcięższy dzień oblężenia w dotychczasowej historii konfliktu. Pomimo sukcesu osiągniętego podczas Pierwszego Szturmu, w oczach zwykłych obywateli właśnie teraz Vervunhive zatryumfowało. W kolejnych godzinach po zakończeniu walk historia obrony Bramy Veyveyr zaczęła przybierać charakter mitu. Arystokraci, zwykli Vervuńczycy czy uchodźcy – wszyscy wskazywali na ten epizod wojny uważając go za przełom, początek przejścia inicjatywy w konflikcie.

Publiczne ekrany w całej metropolii wyświetlały propagandowe slogany i zwycięskie zdjęcia z linii frontu, przedstawiające w większości Bohatera Ludu zatykającego sztandar Vervunhive pośród gruzów Bramy Veyveyr. W bazylice Eklezjarchii odprawiono mszę dziękczynną z udziałem chóru w liczbie dziesięciu tysięcy śpiewaków oraz lektorów cytujących przez długie godziny wybrane ustępy z Codex Imperialis. Miejskie stacje radiowe transmitowały przebieg mszy na wszystkich poziomach metropolii.

Spontaniczne świętowanie zwycięstwa zaowocowało rozprężeniem dyscypliny wśród żołnierzy Vervun Primary i w kilku przypadkach VPHC interweniowało wyciągając wobec winnych surowe konsekwencje. Represje nie zdołały jednak zepsuć radosnego nastroju mieszkańców metropolii. Olejne lampki płonęły w obozach uchodźców, grały tysiące własnoręcznie wykonanych instrumentów. Wśród ludności cywilnej mnożyły się plotki o dekadentkich bankietach w górnych apartamentach Main Spine, gdzie głowy szlacheckich rodów zignorowały nakaz racjonowania żywności celebrując zwycięstwo lojalistów.

Słyszając o entuzjastycznych reakcjach społeczności Gaunt tylko westchnął, nie wiedząc, czy usprawiedliwiać takie zachowanie zwykłą ignorancją Verghastytów czy też próbą odepchnięcia od siebie świadomości dalszej eskalacji konfliktu. Niech się cieszą, zdecydował w końcu, być może to ich ostatnie chwile radości.

Pogrążony w posępnym nastroju pozostał przy Bramie Veyveyr po zapadnięciu zmroku, pokrzepiając żołnierzy, licząc poległych, reorganizując drużyny. Awansował szeregowca Baffelsa drogą promocji polowej do stopnia sierżanta i przekazał mu komendę nad plutonem Folsa. Brodaty gwardzista wzruszył się niezmiernie słysząc wiwaty otaczających go Duchów. Uścisnął dłoń komisarza i starł z policzka łzę. Przez krótki czas wśród żołnierzy krążyły plotki, że Gaunt planuje podnieść do stopnia sierżanta Mila, ale nie miały one nic wspólnego z prawdą. Młodziutki gwardzista nie zasługiwał jeszcze na awans pomimo szacunku, jaki zdobył sobie pod Bramą Veyveyr oraz powszechnego przekonania innych żołnierzy o fakcie, iż jest awatarem samego komisarza.

Dowodzone przez Corbeca oddziały wykrwawione pod Veyveyr wycofały się do punktu zbiorczego na północ od Hałdy, a ich pozycje zajęły świeże plutony pod komendą majora Rawne, wsparte przez Volpończyków pułkownika Corday'a. Kamieniarze, spawacze i zwykli miejscy robotnicy zostali spędzeni do asysty oddziałom saperskim umacniającym ruiny Bramy. Korzystając z kamiennych brył tworzących niedawno szczyt Bramy zbudowano dwa masywne wały na zewnątrz Muru. W ciemności nocy płonęły setki ogników znaczących miejsca, w których robotnicy uzbrojeni w palniki acetylenowe przygotowywali stalowe zapory przeciwczołgowe. Fragmenty pociętych szyn kolejowych zespawano ze sobą na kształt wielkich kozłów i obwieszono zwojami drutu kolczastego. W ciągu dwunastu godzin wytężonej pracy ekipy inżynierskie zbudowały zdumiewający kompleks fortyfikacji przed i za Bramą. Usypane za pomocą buldożerów rampy zapewniały czołgom NorthColu szybką drogę dojazdową do samej Bramy, natomiast wokół wypalonego terminala kolejowego wznosił się las moździerzowych luf, gotowych zasypać pociskami przestrzeń przed Murem i w obrębie wyłomu.

W punkcie zbiorczym zmęczeni żołnierze Gwardii i NorthColu zasypiali padając z nóg zaraz po odłożeniu broni. Ciężarówki z ciepłą zupą, chlebem i słabym piwem dostarczyły posiłek dla tych, którzy jeszcze jakoś się trzymali. Rozkazy polecały wszystkim wycofanym z pierwszej linii jednostkom pozostanie w punkcie zbiorczym do świtu – do tego czasu służby koszar.

służby miejskie miały oczyścić drogi szybkiego ruchu i umożliwić wojskowym powrót do koszar.

W półmroku przedziału pasażerskiego Chimery NorthColu, Corbec i Bulwar opróżniali butelkę wina analizując przebieg minionego dnia. Najwięcej przekleństw padło na głowy vervuńskich piechurów, zwłaszcza zaś pułkownika Modile. Trunek pochodził z prywatnych zbiorów Corbeca i był wyjątkowo mocną odmianą tanithijskiej sacry. Bulwar zdjął z ręki energetyczny szpon, odwiesił go na specjalny zaczep i zaczął gimnastykować zdrętwiałe palce. Po wypiciu pierwszego toastu obaj mężczyźni zapalili papierosy wyjęte z kieszeni pułkownika NorthColu.

Bulwar nigdy wcześniej nie kosztował tanithijskiego alkoholu, ale nawet się nie skrzywił pociągając potężny łyk. Corbec nie był tym specjalnie zaskoczony. Pułkownik NorthColu był doświadczonym weteranem zaprawionym zarówno w boju jak i pijatykach. Obaj oficerowie napełnili ponownie kieliszki.

- Kowadło – zaproponował toast Corbec wypuszczając z ust kółko z tytoniowego dymu.
- Mam nadzieję, że nie trzeba już będzie z tego hasła korzystać – pokiwał głową Bulwar – Ale ból w nodze mówi mi, że to pobożne życzenia.

- Ból w nodze ?
- Metalowy odłamek – Bulwar poklepał się po prawym udzie – Kawalek pocisku karabinowego z czasów wojny księżycowej. Cholernie boli, gdy robi się wilgotno. I jeszcze mocniej wtedy, kiedy szykują się poważne kłopoty.

- Zmiana pogody. Będzie jeszcze mocniej lało.
- To nie dlatego boli.

Corbec podsunął kieliszek Vergastycie.

- Poza wojną księżycową nigdy nie opuszczałeś tego miejsca ?
- Nie – odparł Bulwar – Chciałem zaciągnąć się do Gwardii podczas ostatniej Fundacji, ale byłem już wtedy w randze majora, miałem inne obowiązki. Siły Obrony Planetarnej, podobnie jak mój ojciec i dziadek.

- To zaszczytna służba. Sam bym sobie takiej życzył, komendy nad garnizonem na własnym świecie.

- A gdzie on leży ? To Tanith ?

Corbec zaczął się bawić trzymanym między palcami kieliszkiem, wydał lekko policzki.

- Przemineło i już nie wróci. Umarło. Jesteśmy ostatnimi jego dziećmi.

- Jak ?

- Podczas pierwszej tanithijskiej Fundacji. Trzy regimenty miały dołączyć do krucjaty Macarotha. Było to tuż po Balhaucie, rozumiesz. Gaunta przysłano, aby nas ogarnął i wziął w ryzy. Popelniono... pewien błąd. Armada Chaosu przedostała się przez sieć posterunków kosmicznej marynarki i uderzyła na Tanith. Gaunt miał wybór: uciekać z planety wraz z tymi oddziałami, które zdążył zaokrętować albo pozostać na Tanith i umrzeć razem z resztą ludzi.

- I wybrał...

- Zrobił to, co na jego miejscu zrobiłby każdy inny dobry dowódca. Lubię starego Ibrama, chociaż to komisarz z krwi i kości. Twardy, gorliwie wierzący, zdyscyplinowany. Wyciągnął nas stamtąd, dwa tysiące Tanithijczyków, kiedy nasz świat płonął. Za każdym razem wróg drogo nam płaci za to, co się wtedy stało.

- To dlatego nazywają was Duchami, prawda ? – zapytał Bulwar.

Corbec kiwnął głową i napił się sacry. Bulwar dumiał przez chwilę.

- Nie potrafię sobie wyobrazić utraty własnego świata – powiedział w końcu. Corbec ugryzł się w język nie chcąc wypowiadać myśli, która go właśnie naszła, ale pułkownik NorthColu sam zrozumiał dwuznaczny sens swej wypowiedzi – I mam nadzieję, że nas to nie spotka.

Corbec podniósł kieliszek w geście salutu.

- Na utracone Tanith – powiedział patrząc na połyskliwy płyn – Niech moje Duchy sprawią, by nigdy nie narodziły się Duchy Vergastytów.

Wychylili kieliszki do dna. Bulwar wstał i zaczął grzebać w metalowej skrzynce przynitowanej do burty transportera. Musiał wyrzucić stertę map polowych, kilka magazynków z amunicją i komplet flag sygnałowych, nim natrafił na cel swych poszukiwań: dużą butelkę z brązowego szkła.

- Wnosiliśmy już toasty tym twoim tanithijskim piwem, które choć w swej klasie niezłe, w niczym nie umywa się do vergastyckich win. Pora na prawdziwy trunek. Dziesięcioletnia joiliqa, odpowiednio fermentowana.

- Wszystkiego muszę spróbować – uśmiechnął się Corbec i przesunął wzrokiem po butelce – Przynajmniej raz, a może i więcej – podniósł swój kieliszek.

* * *

Przy ognisku podsycanym kanistrem oleju napędowego Baffels, Milo, Venar, Filain i Domor odpoczywali w milczeniu. Filain i Venar spali, oparci o siebie plecami i pochrapujący cicho. Domor jadł zupę podnosząc łyżkę do

ust w mechaniczny, pozbawiony entuzjazmu sposób.

- Chcę cię mieć do swojej stronie – Baffels pochylił się przy uchu Mila.

- Sierzancie ?

- Daj spokój z tymi szarzami. Te naszywki powinny być twoje.

Brin roześmiał się i Filain zamrugał wyrwany na moment z drzemki.

- Byłem żołnierzem przez całe dziesięć sekund. I jestem najmłodszy w regimencie. Gaunt nigdy nie oszalałby do tego stopnia, by zrobić ze mnie sierżanta. Zasłużyłeś na ten awans, Baffels, nikt temu nie zaprzeczy.

- Ty nas dzisiaj poprowadziłeś – wzruszył ramionami sierżant – Nikt temu nie zaprzeczy. Ludzie ci ufają.

- Tak jak tobie i działamy jako zespół. Jeśli idą za mną, to tylko dlatego, że ty robisz to samo. Uważają mnie za maskotkę plutonu, żywy fetysz dotknięty ręką komisarza, ale to ciebie darzą respektem.

- Dobrze się dzisiaj spisaliśmy, prawda ? – Milo pokiwał głową słysząc pytanie Baffelsa.

- Chciałbym, żebyś cały czas był przy mnie, dobrze ?

- Jasne, sierzancie.

- Ja wydaję rozkazy. Chłopcy cię szanują. Jeśli pójdziesz za mną, oni też to zrobią.

Milo zapatrzył się w płomień ogniska. Czuł wyraźnie obawy Baffelsa przed obowiązkami dowódcy plutonu. Brodaty gwardzista był świetnym żołnierzem, ale nigdy wcześniej nie miał pod swoją komendą innych ludzi. Szaleńczo obawiał się porażki, chociaż Milo skrycie wierzył, że sierżant dobrze się spisie na swym nowym stanowisku, podobnie jak awansujący go Gaunt. Jeśli jednak cokolwiek mogło podnieść wiarę Baffelsa w niego samego, Milo gotów był to uczynić. Chłopiec zdążył już zauważyć, jak psychologiczne aspekty wojny wiążą się z wybieraniem własnym autorytetów przez żołnierzy. Czuł, że gwardziści wybrali Baffelsa i jego samego na swych przywódców.

- Jak myślisz, gdzie jest Tanith ? – Milo zerknął w bok myśląc, że sierżant zadaje retoryczne pytanie. Baffels patrzył jednak w niebo.

- Tanith ?

- Która to z gwiazd ?

Milo spojrzał w nieboskłon. Tarcza okrywała przestrzeń nad metropolią szmaragdowym parasolem, wirującym i kotłującym się pod wpływem spadających kropel deszczu, mimo to jednak wciąż dostrzec można było w górze kilka jasných punktów. Milo wskazał na chybił trafił jeden z nich.

- To ta – oświadczył.

- Jesteś pewien ?

- Całkowicie.

Odpowiedź najwyraźniej usatysfakcjonowała Baffelsa, bo przez długą chwilę milczał patrząc na świetlną kropkę.

- Masz jeszcze swoje dudy ? – Milo był muzykiem i przed założeniem munduru często grywał na dudach tanithijskie pieśni.

- Tak – odpowiedział – Nigdzie się bez nich nie ruszam.

- Zagrasz ?
- Teraz ?
- Pierwszy rozkaz sierżanta.

Milo wypakował delikatnie instrument z wnętrza swego plecaka, oczyścił ustnik i dmuchnął kilkakrotnie poruszając dudami. Rozmowy przy okolicznych ogniskach umilkły na dźwięk strojonego instrumentu. Chłopiec odetchnął głęboko i wydał z dud przeciągły zew.

- Co grać ? – zapytał przesuwając palcami po klawiszach.
- Moja miła czeka w zielonym zagajniku – odezwał się znienacka Domor.

Milo skinął potakująco głową. Melodia ta była nieoficjalnym hymnem Tanithu, znacznie popularniejszym od hymnu rządowego, teraz zaś stanowiła pełne melancholii wspomnienie utraconego domu. Zaczął grać. Dźwięki muzyki poniosły się ponad punktem zbiorczym, ponad tańczącymi w powietrzu iskrami ognisk. Jeden po drugim, Tanithijczycy podchwycili melodię śpiewając niskimi głosami.

* * *

- Co to takiego ? – zapytał Bulwar, gdy Corbec zaczął cicho nucić pod nosem. Żołnierze NorthColu podnosili głowy nasłuchując ze zdziwieniem niepokojącej pieśni.
- Zew Duchów – odparł tanithijski pułkownik sięgając po butelkę.

* * *

Kompleks Main Spine rozbrzmiewał feerią ludzkich głosów. W salach Legislatury i wielkiej kaplicy Domu Dowódczego powietrze wypełniały podniosłe psalmy wyśpiewywane ku czci zwycięstwa.

Komisarz Gaunt, kroczący marmurową nawą w towarzystwie kapitana Daura i kilku innych zmierzających do Domu Dowódczego oficerów, przystanął na jednym z balkonów, by przyrzeć się odprawianej w kaplicy ceremonii. Ruchem ręki poprosił swych towarzyszy, aby na niego nie wpraw

czekali. Tysiąc dwustu śpiewaków w złotych szatach przyciskało oprawione w czerwoną skórę hymnały zanosząc ku sklepieniu kaplicy psalm „Uklękajcie, oto tryumf Terry”. Ich głosy tworzyły perfekcyjną harmonię, wprawiając powietrze w wyczuwalne wibracje.

Audytoryum ceremonii dzierżyło sztandary domów szlacheckich i organizacji miejskich, w rozświetlonej tysiącami świec sali unosił się zapach egzotycznych kadzideł. Procesja kleryków Ministerium niosąca zwoje świętych pism i relikwie podążała w stronę ołtarza, gdzie oczekiwali już intendent Banefail i mistrz legislator Anophy. W procesji uczestniczyli zakapturzeni urzędnicy Administratum oraz trzech astropatów miejskich Gildii w jedwabnych szatach obwieszonych kablami interfejsów i przenośnych systemów podtrzymywania życia. Astropaci byli niesieni na srebrnych lektykach dźwiganych przez serwitorów.

- Widok taki cieszy serce, nieprawdaż ? – zapytał czyjś głos za plecami Gaunta. Komisarz odwrócił się w miejscu. Nieznajomym był Kowle.
- Jeśli to podniesie morale Vervunhive, niech tak będzie. Osobiście uważam, że to przedwczesny optymizm.
- Doprawdy ? – Kowle zmarszczył czoło – Idę do Domu Dowódczego. Dołączysz do mnie ?

Gaunt skinął głową i obaj ubrani na czarno mężczyźni o posępnych twarzach ruszyli marmurowym korytarzem rozświetlanym blaskiem okrągłych ściennych lamp.

- Ten dzień okazał się dla nas zwycięski, ty jednak nie sprawiasz wrażenia zadowolonego.
- Odpędziliśmy ich tylko – parsknął Gaunt – Jeśli chcesz, możesz to nazywać zwycięstwem. Kosztowało nas ono zbyt wiele, w dodatku niepotrzebnie.

- Mogę zapytać, na czym opierasz te stwierdzenie, komisarz pułkownika ?

Przeszli do rozległą arkadą, z której zwisały chorągwie miejskie, głosy chóru cichły za ich plecami.

- Systemy dowodzenia i kontroli Vervunhive są nieadekwatne do rozmiarów tego konfliktu. Cały układ się rozsypał. Procedury rozmieszczania jednostek zawiodły i wszystko znalazło się w jednym momencie na krawędzi noża. Istnieje wiele powodów do krytyki struktur dowódczych Vervun Primary.

- Każda taka krytyka dotyczy bezpośrednio mnie – oświadczył zimno Kowle – Jestem odpowiedzialny za całokształt dyscypliny tutejszego garnizonu.

Gaunt stanął i spojrzał na towarzysza. Na jego szczupłej twarzy pojawił się mroczny grymas.

- Wydajesz się osiągać szczyty perfekcjonizmu w swej dziedzinie, komisarzu Kowle. Lepiej od wszystkich innych znanych mi oficerów politycznych znasz tajniki wojny propagandowej i perswazji, czasami jednak odnoszę wrażenie, że utrzymywanie dyscypliny za pomocą represji i terroru odnosi skutki przeciwne do zamierzonych. Dowódcy Vervun Primary nie posiadają doświadczenia w prowadzeniu wojny na tak wielką skalę. Cała ich wiedza w tym zakresie opiera się na materiałach szkoleniowych. Muszą zaakceptować władzę zwierzchnią doświadczonych oficerów polowych.

- Takich jak ty czy dowódcy Gwardii, chociażby generał Grizmund ?

- Dokładnie. Wierzę, że mogę liczyć na twoje poparcie w tej kwestii podczas spotkania w Domu Dowódczym. Chcę cię mieć po swojej stronie, Kowle. Nie możemy ze sobą walczyć.

- Oczywiście. Całkowicie się z tobą zgadzam, komisarz pułkownika.

Ruszyli w dalszą drogę. Gaunt wyczuwał napięty nastrój drugiego komisarza i rozumiał jego przyczyny. Wiedział o blisko dwudziestu pisemnych prośbach Kowle'a o przeniesienie do strefy frontowej złożonych w sztabie Krucjaty w przeciągu ostatnich trzech lat. Jako wprawny polityk i intrygant, Kowle wspierał każdą inicjatywę Gaunta licząc na jego rewanż i poparcie kolejnego wniosku o zmianę przydziału.

- Jak rozumiem, wykonałeś połowę egzekucję na Modile – stwierdził beznamiętnie Bohater Ludu.

- Przykra konieczność. Wykazał zbrodniczą niekompetencję.

- Czy nie było to przypadkiem spowodowane brakiem doświadczenia sugerowanym przez ciebie przed chwilą ? Być może ten wyrok śmierci był zbyt pochopną karą dla człowieka, który mógł się jeszcze czegoś nauczyć ?

- Sądzę, że postąpiłbyś tak samo, Kowle. Niezdecydowanie i strach Modile pociągnęły za sobą wiele ofiar. Nie mógł uniknąć konsekwencji swych czynów. Zignorował zarówno rozkazy otrzymane przed akcją jak i polecenia wysyłane bezpośrednio drogą radiową w trakcie szturm.

- Owszem – skinął głową Kowle – stracił panowanie nad sytuacją, w której liniowy oficer Gwardii trzymałby się twardo otrzymywanych rozkazów.

- Tak.

Kowle uśmiechnął się i uśmiech ten wzbudził dreszcz niepokoju Gaunta.

- W głębi serca popieram twój czyn. Zdecydowany, twardy, prawdziwie godny członka Komisarjatu. Wielu żywiło już obawy, iż legendarny Gaunt Gaunt zmiękł po otrzymaniu komendy nad własną jednostką, że utracił instynkt oficera politycznego. Rozwiałeś te obawy rozprawiając się dzisiaj z Modile.

- Cieszę się słysząc taką opinię.

Doszli do wielkich drzwi zdobionych pozłacanymi drzeworytami. Vervuńscy żołnierze w galowych mundurach przewiązanych brokatem i w hełmach z pysznymi pióropuszcami otworzyli drzwi na widok obu oficerów.

Wnętrze Domu Dowódczego rozbrzmiewało dziką wrzawą.

* * *

Generał Nash stał na trybunie próbując zabrać głos, ale wysokie domy zagłuszały go skutecznie. Młodszy oficerowie Vervun Primary stali na swoich fotelach i gwizdali, ignorując obraźliwe okrzyki wznoszone przez roańskich adiutantów. Wojskowi NorthColu, Narmenianu i Volpone próbowali bezskutecznie zaprowadzić porządek.

Wicemarszałek Anko zerwał się ze swojego miejsca i uderzył pięścią w blat stołu zwracając na siebie powszechną uwagę.

- Chociaż żywię ogromną wdzięczność za pomoc udzieloną nam przez obcoświatowców, uważam ostatnią wypowiedź za wielce ubliżającą. Generał Nash potępił nasze struktury organizacyjne i stwierdził, iż jesteśmy źle przygotowani do prowadzenia wojny. To obraza, nie mniej, nie więcej. Czy czcigodny generał Sturm podziela ten pogląd ?

Sturm wstał ze swego fotela.

- Wojna, drodzy panowie – zaczął pojednawczym tonem – jest nierozłącznie związana z zamieszaniem. Emocje sięgają zenitu. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy dany system jest poprawny czy wadliwy, dopóki nie sprawdzi się go w ogniu walki. Żołnierze Vervun Primary to wyśmienici fachowcy, dobrze wyszkoleni i świetni umotywowani. Ich odwaga nie może być kwestionowana. Wzajemne zakłócanie kanałów komunikacyjnych podczas dzisiejszej bitwy było efektem nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, nie ma w nim winy vervuńskich oficerów. Już wydałem polecenie rozszerzenia zakresu wojskowych częstotliwości, by uniknąć dalszych takich incydentów. Szczerze żałuję wszystkich zbytecznych ofiar spowodowanych tym wypadkiem. To się już więcej nie powtórzy.

- A co z dyscypliną ? – ostry głos Gaunta dotarł do każdego zakątka sali. Wszyscy obecni spojrzeli pytająco na komisarza. Gaunt podszedł wolnym krokiem do mównicy i zajął miejsce przy mikrofonie, podczas gdy Kowle usiadł na wolnym fotelu obok wicemarszałka Anko.

- Pułkownikukomisarzu – zabrał głos marszałek Croe – Czy to kolejny problem ? Generał Nash udzielił nam już rzekomo słusznej reprimendy za słabości Vervun Primary na szczęblu dowódczym. Czy pan również podziela tę opinię ?

- Częściowo tak, marszałku. Problemy w kwestii łączności poruszone przez generała Sturma to tylko część kryzysu, jakiemu musieliśmy dzisiaj stawić czoła. Tylko dzięki wyjątkowemu szczęściu przetrwaliśmy atak na Bramę Veyveyr.

Anko zerwał się raptownie na nogi.

- I czyż nie mamy naszego Bohatera Ludu, dzięki któremu kryzys ten został zażegnany ?

Sala wybuchła feerią oklasków i okrzyków aplauzu, głównie ze strony vervuńskich oficerów. Kowle przyjął podziękowania zebranych krótkim skinieniem głowy, gestem wytrawnego dyplomaty.

- Czyny komisarza Kowle'a będą przedmiotem analizy historyków. To oni zdecydują, jak wielkie zasługi dla Vervunhive oddał Bohater Ludu – Gaunt uważnie dobierał słowa odpowiedzi – Faktem jest nieudolność systemu dowodzenia ujawniona podczas walk pod Veyveyr. Polowi oficerowie Vervun Primary, choć bezgranicznie dzielni, nie zdołali zapanować nad sytuacją lub nie przyjmowali do wiadomości otrzymanych rozkazów.

Gwizdy i kocia muzyka zagłuszyły na chwilę słowa komisarza.

- Jak rozumiem, zaczął pan już egzekwować stosowną dyscyplinę, pułkownikukomisarzu ? – zapytał sarkastycznie Anko.

- I będę to robił nadal – Gaunt podniósł głos ponad nieuprzejme docinki audytorium – W ten jednak sposób eliminuję jedynie symptomy całego problemu, nie zaś jego przyczyny.

- Czy sednem tego problemu jest nieposłuszeństwo wobec wyższych szarż ? – Kowle wstał ze swojego miejsca.

Gaunt skinął twierdząco głową.

- Musimy obserwować zachowanie oficerów na wszystkich szczeblach hierarchii. Wszyscy łamiący wojskowe regulaminy żołnierze muszą mieć świadomość, że popełniają czyn zagrożony największym wymiarem kary. Bez zaostrzonego systemu kontroli i represji ta wojna będzie dla nas klęską. Liczę na to, że dowódcy Vervun Primary wykażą zrozumienie dla konieczności wprowadzenia tych zmian.

- Zatem wszystkie przypadki łamania bądź odrzucania bezpośrednich rozkazów będą karane? – zapytał Kowle.

Ależ musi mu zależeć na tym przeniesieniu, pomyślał Gaunt. Wspiera mnie na każdym kroku.

- Oczywiście. Bez ryzyka śmiertelnych sankcji niesubordynacja nadal będzie się szerzyć.

- Więc wyrazi pan swoje poparcie dla trybunału wojskowego mającego skazać generała Grizmunda? – wtrącił się wicemarszałek Anko.

- Słucham?

- Generała Grizmunda, który złamał dzisiaj otrzymane rozkazy i na własną rękę rozpoczął przemieszczanie narmeniańskich jednostek – teraz gwizdy i krzyki oburzenia podniosły się w części sali zajmowanej przez oficerów brygad pancernych.

- Ja... nic mi o tym nie wiadomo – zmieształ się Gaunt – To musi być jakaś pomyłka. Generał Grizmund posiada moje pełne zaufanie i

- A więc jedno prawo dla miejscowych, a drugie dla Gwardii? – wysyczał Anko.

- Tego nie powiedziałem. Ja

- Generał Grizmund odrzucił rozkazy otrzymane bezpośrednio z Domu Dowódczego i przemieścił swe czołgi po terytorium należącym do Wysokich Domów. Pomijając już niepowetowane straty materialne, jakie w trakcie tej operacji poczynił, czy zachowanie takie nie zasługuje na najwyższy wymiar kary? – komendant VHPC Tarrian spojrział zimnym wzrokiem na komisarza – Czy nie takiej właśnie dyscypliny pan się domaga?

Gaunt oderwał bezradne spojrzenie od lodowatych oczu Tarriana i spojrzął na Bohatera Ludu. Kowle uśmiechał się w szyderczy sposób, wyniośle i bezdusznie.

On wiedział. Wiedział o Grizmundzie jeszcze przed wejściem do sali obrad. Z premedytacją wmanewrował Gaunta prosto w pułapkę. Komisarz pojął w jednej chwili, że nie docenił swego rywala. Kowle wcale nie miał ochoty na szybki transfer z Verghastu, jemu zależało na władzy i sławie.

- No i co, pułkownikukomisarzu? Co takiego zrobimy teraz z generałem Grizmundem? – spytał Anko.

Gaunt zszedł z mównicy i opuścił salę. Całą drogę do wyjścia ściagały go szydercze gwizdy.

* * *

Za drzwiami komisarz pochwycił jednego z wartowników i przycisnął go do ściany.

- Grizmund! Gdzie on teraz jest?

- W... w areszcie, sir! Piętro –40.

Gaunt odepchnął przestraszonego żołnierza i odszedł szybkim krokiem. Mury wokół niego wibrowały od śpiewu kościelnych chórów. W uszach komisarza brzmiały one niczym żałobne treny.

* * *

Słońce zaszło godzinę temu.

Grupa Tanithijczyków wysiadła z ciężarówek zaparkowanych na poboczu wschodniej autostrady i weszła do budynków przemysłowych graniczących z Hałdą. Trzydziestu

gwardzistów, śmietanka kadry zwiadowczej regimentu. Vervuńczycy stacjonujący w tym miejscu, członkowie Hałdziarzy, powitali sprzymierzeńców w wielkiej hali o żebrowanym suficie. Powietrze wewnątrz budynku było duszne i pełne pyłu, półmrok rozjaśniały słabe elektryczne lampy powieszono na pośpiesznie wbitych w ściany gwoździach.

„Pieprzony” Ormon, major dowodzący w chwili obecnej Hałdziarzami, przyjął sierżanta Mkolla uprzejmym salutem. Był wysokim masywnym mężczyzną o przekrwionych oczach i poparzonej szyi.

- Słyszałem, że jesteście dobrymi snajperami i szperaczami – oświadczył major wskazując Mkollowi drogę do stołu z mapami. Sierżant skinął głową i zaczął studiować dokumenty. Hałda, gigantyczne wysypisko żużli, stanowiła słaby punkt w linii obronnej Vervunhive.

- General Sturn przekonał się już wcześniej o naszej przydatności w takich operacjach, dlatego skierowano nas tutaj jako wsparcie.

Ormon miał na sobie niebieski mundur i spiczasty hełm Vervun Primary. Spojrzał z góry na szczupłego niskiego Ducha w czarnym kombinezonie i berecie. Nowy sojusznik nie zrobił na nim specjalnego wrażenia.

Wszyscy Hałdziarze z majorem włącznie nosili karabiny automatyczne o długich lufach i celownikach optycznych. Ich twarze pokryte były pasami czarnej pasty kamuflującej, kilku miało na sobie prowizorycznie założone opatrunki.

Sierżant Mkoll poprosił swoich podwładnych o podejście do stołu. Duchy zaczęły przeglądać miejskie plany wymieniając między sobą ściszone komentarze.

- Dlaczego po prostu nie wydasz im rozkazów ? – zapytał z niesmakiem Ormon.

- Chcę, by znali swe położenie i wykorzystali teren. W przeciwnym razie w jaki sposób mogą się tutaj efektywnie bronić ?

Ormon nie odpowiedział.

Mkoll podzielił swoich ludzi na pary i wysłał w różnych kierunkach, upewniając się uprzednio, że wszystkie słuchawkowe moduły łączności zwiadowców pracują na tej samej częstotliwości. Ormon towarzyszył sierżantowi, gdy ten wraz z MkVennarem, Domorem, Larkinem i Rilke wszedł na trzecie piętro budynku. W rozbitych oknach stało dziewięciu vervuńskich snajperów, szukających poprzez swe lunety jakiegokolwiek śladu życia na Hałdzie. Duchy zajęły pozycje w wolnych miejscach.

Larkin i Rilke, uzbrojeni w snajperską wersję karabinu laserowego, rozłożyli się pieczołowicie na swych stanowiskach strzeleckich. Rilke zamaskował lufę broni kawałkiem rury, Larkin przykrył swoją rozprutym workiem. Domor zabrał lornetę Mkolla, przymocował ją do ustawionego na jednym z parapetów trójnoga i wpiął do urządzenia wtyczki swych mechanicznych oczu. Widział teraz dalej i lepiej od kogokolwiek innego na Hałdzie.

Ormon odwrócił się, by zadać Mkollowi jakieś pytanie i wtedy uświadomił sobie, że sierżant oraz Duch o nazwisku MkVenar znikli bez śladu.

* * *

Mkoll i MkVennar poruszali się szybko po mokrym żużlu, ich płaszcze kamuflujące okrywały szczelnie ciała mężczyzn. Ruchome podłoże pod podszewkami osuwało się zdradliwie utrudniając ruchy. Zwiadowcy byli teraz poza kopułą Tarczy i nocny deszcz moczył ich kombinezony.

Zaczęły lustrować okolicę za pomocą lunet. Dwa tysiące metrów za Hałdą dostrzegli płaską przestrzeń sięgającą do zrujnowanych habitatów podmiejskich. Deszcz lał jak z cebra i na odkrytym pasie ziemi rosły coraz większe kałuże. Widoczność spadała z każdą minutą.

Słyszeli jakiś dziwny dźwięk. MkVennar odbezpieczył karabin, Mkoll poczołgał się kilka metrów do przodu.

To był śpiew, a w zasadzie posępne zawodzenie. Z pozycji nieprzyjaciela, poprzez głośniki i megafony, dobiegały bluźniercze psalmy Chaosu, zoicańska odpowiedź na tryumfalne pieśni Vervunhive. Dźwięk zdawał się narastać.

Mkoll i MkVennar zadrżeli machinalnie.

W budynku za ich plecami major Ormon poczuł nagle, że natychmiast musi udać się do toalety.

Skulony za parapetem Larkin pocierał palcami zmęczone oczy. Był wyczerpany przejściami pod Bramą Veyveyr i tylko ze względu na swój nadludzki talent snajpera otrzymał rozkaz dołączenia do ekipy Mkolla. Kiedy zamykał oczy, niezmiennie dostrzegał twarz zoicańskiego szurmowca. Teraz, daleko spoza Hałdy, dobiegały go głosy nieprzyjaciół.

Zoicańscy najeźdźcy wyśpiewywali jedno imię, powtarzane wciąż niestrudzenie.

Wyzwoliciel Asphodel... Wyzwoliciel Asphodel...

XI – Wyzwoliciel

„Zabijcie nas ! Zabijcie nas wszystkich ! W imię Terry, zanim on”

– ostatni przekaz radiowy z Ryxusa V, pierwszego wyzwolonego świata

Piętro –40 znajdowało się ponad kilometr pod powierzchnią ziemi, głęboko pośród fundamentów Main Spine. Opancerzona klatka wiozła Gaunta przez ostatnie trzysta metrów, dostarczając go do podziemnego świata mroku, mokrej skały, zaduchu i zimnego światła sodowych lamp. Ruszył szerokim korytarzem omijając kałuże wody skapującej z biegnących pod sufitem rur i schylając głowę pod pękami wiszących w górze zardzewiałych łańcuchów. Wzdłuż jednej ściany korytarza ciągnęły się drewniane stojaki z metalowymi klamrami na wysokości ludzkich kończyn. Mur za stojakami pełen był dziur po pociskach i zaschłych plam ciemnej cieczy.

Gaunt podszedł do kompozytowych drzwi pomalowanych w czarnożółte pasy i strzeżonych przez dwa flankujące je bunkry. W położonych wysoko szczelinach obserwacyjnych nie dostrzegł śladu życia. Kiedy zrobił jeszcze jeden krok, automatyczny szperacz zamontowany ponad drzwiami włączył się i skąpał postać komisarza w snopie jaskrawego światła.

- Identyfikacja ! – zażądał czyjś głos dobiegający z głośnika panelu kontrolnego.
- Pułkownikkomisarz Ibram Gaunt – odparł krótko mężczyzna, dodając po chwili namysłu swój numer seryjny.
- Czego pan tu szuka ?
- Otwieraj te wrota !

Po krótkiej chwili metalowy właz rozsunał się wpuszczając Gaunta do środka. Komisarz znalazł się w małej komorze prowadzącej do drugiego włazu. Za plecami oficera z metalicznym hukiem zatrasnęło się pierwsze wejście, po chwili drugie rozsunało się z podobnym hałasem.

Wnętrze wartowni przechodziło w szerokie pomieszczenie ze stołami i wieszakami przeznaczonymi do kontroli osobistej. Sodowe lampy nadawały gęstemu, stęchlemu powietrzu wygląd niebieskiego szronu.

Strażnicy wyszli pośpiesznie z bocznych bunkrów zmierzając w kierunku intruza. Byli to szeregowi żołnierze VPHC w czarnych bluzach, czarnych czapkach z daszkami, grafitowoszarych bryczesach i skórzanych butach, z pomarańczowymi opaskami na

ramionach. Przy pasach nosili pałki i kajdanki, trzech trzymało w rękach strzelby z ładowaniem pompkowym.

- Grizmund – powiedział krótko Gaunt. Pozwolił się przeszukać i oddał swój boltowy pistolet. Dwaj strażnicy poprowadzili go przez serię otwieranych elektrycznymi zamkami krat do korytarza więziennego. Powietrze pomieszczenia przesycił odór amoniaku, zgnilizny i soli, każdy dźwięk odbijał się echem od ścian i sufitu.

Grizmund i czterej inni zatrzymani wraz z nim oficerowie siedzieli w dużej klatce. Wciąż mieli na sobie musztardowobrazowe mundury Narmenianu, ale funkcjonariusze VHPC zabrali im czapki, pasy, epolety i naszywki regimentalne.

Narmeniański dowódca przywitał Gaunta w drzwiach klatki. Ponieważ strażnicy odmówili otwarcia drzwi aresztu, obaj mężczyźni musieli prowadzić rozmowę przez kraty.

- Cieszę się, że cię widzę – oświadczył Grizmund. Był blady, ale jego oczy błyszczały niebezpiecznie – Wyciągnij nas stąd.

- Opowiedz mi, co się stało. Swoimi własnymi słowami.

Grizmund zamyślił się na moment, potem wzruszył ramionami.

- Kazano nam przedostać się pod Veyveyr. Dzięki idiotom z Domu Dowódczego trasy tranzytowe zostały całkowicie zapchane. Zjechałem z autostrady i zacząłem przebijając się w kierunku Bramy przez sektor przemysłowy. Zaraz potem dogonili mnie ludzie z VPHC.

- Czy odrzuciłeś jakikolwiek bezpośredni rozkaz ?

- Kazano mi dotrzeć pod Veyveyr – powtórzył narmeniański oficer – Miałem kierować się tam trasą szybkiego ruchu GH/7m. Ponieważ była ona zablokowana, próbowałem wykonać rozkaz nadrzędny poprzez obranie innej drogi.

- Czy uderzyłeś funkcjonariusza VHPC ?

- Tak. Wyciągnął na mnie broń, chociaż go nie prowokowałem.

Gaunt milczał przez chwilę.

- Można by pomyśleć, że te skurwysyny nie chcą, byśmy za nich walczyli – warknął Grizmund.

- Ich duma ucierpiała. Dzisiejszy dzień zdemaskował słabości ich wyszkolenia. Szukają kozłów ofiarnych, na których mogliby rozładować swą frustrację.

- Są popieprzeni, jeśli myślą, że zdołają mnie o cokolwiek oskarżyć ! To czyste szaleństwo ! Czy Sturm się za nami ujął ?

- Sturm jest zbyt pochłonięty próbą ułagodzenia obu stron. Nie martw się, nie będziecie tu siedzieć ani chwili dłużej, niż to konieczne.

Grizmund skinął głową. W korytarzu rozbrzmiały pośpieszne kroki, odbijające się echem od ścian korytarza i metalowych drzwi cel. Gaunt spojrzał przez ramię na komisarza Tarriana nadchodzącego w asyście strażników VHPC.

- Komisarzu Gaunt. Nie powinien pan tutaj przebywać. Niesubordynacja narmeniańskich oficerów leży w gestii vervuńskiego Komisarjatu. Nie będę tolerować ingerencji w prace verghastiańskiego wymiaru sprawiedliwości. Nie będzie pan rozmawiał z więźniami, moi ludzie odprowadzą pana do windy.

Gaunt pożegnał się z Grizmundem i ruszył w kierunku vervuńskich funkcjonariuszy nie odrywając spojrzenia od twarzy Tarriana.

- Popeliłeś błąd, którego i ty i twoja klika gorzko pożałujecie, Tarrian.

- Czy to jakaś groźba, Gaunt ?

- Jesteś komisarzem, Tarrian, a przynajmniej aspirujesz do takiego miana. Powinieneś wiedzieć, że komisarze nigdy nie grożą. Oni po prostu stwierdzają fakty.

Nie mówiąc nic więcej Gaunt pozwolił odprowadzić się do windy.

* * *

Nastał trzydziesty trzeci poranek wojny, wieszczący niezwykle deszczowy dzień smagający gęstymi kroplami wody całą metropolię, podmiejskie habitaty i sawannę. Marszałek Croe właśnie jadł śniadanie w zaciszu swej kwatery tuż za salą odpraw, gdy adiutanci zapowiedzieli przybycie Gaunta.

Prywatny pokój dowódcy wojskowego Vervunhive był obszerny i wyłożony gustowną boazerią, ściany zdobiły rzędy olejnych obrazów przedstawiających portrety poprzednich marszałków. Croe siedział u szczytu mahoniowego stołu czytając w trakcie posiłku ustawione na niewielkim stojaku raporty. Ścianę za jego plecami tworzyła gigantyczna płyta z pancernego szkła oferująca panoramę Commercii i Pylonu Tarczy. Na tle nikłego światła wpadającego do wnętrza kwatery przez okno marszałek stanowił masywną mroczną postać.

- Komisarzu.

Gaunt zasalutował.

- Marszałku. Zarzuty stawiane narmeniańskim oficerom muszą zostać natychmiast unieważnione.

Croe podniósł głowę znad sprawozdań i spojrzał na komisarza niczym orzeł mierzący wzrokiem jagnię.

- Dlaczego ?

- Ponieważ są całkowicie niedorzeczne i absurdalne. Ponieważ desperacko potrzebujemy oficerów pokroju Grizmunda. Ponieważ każda próba skazania ich przez trybunał wojskowy stanowić będzie negatywne przesłanie dla wszystkich jednostek Gwardii. Vervunhive udowodni w ten sposób, jak bardzo lekceważy sojuszników.

- A co z punktem widzenia drugiej strony ? Słyszał pan przecież ten argument: jedno prawo dla Vervun, drugie dla Gwardii ?

- Obaj doskonale wiemy, że to naciągane stwierdzenie. Grizmund działał zgodnie z wojskową logiką, jednakże VHPC uparł się, by jego akcje potraktować z najwyższą surowością. Nie wiem nawet, czy Narmeńczykowi można postawić zarzut niesubordynacji. Każdy trybunał wojskowy obali te oskarżenia, ale już sam fakt jego powołania pociągnie za sobą poważne konsekwencje. Honor Gwardii zostanie zakwestionowany, a VHPC zrobi z siebie głupców – w ostatniej chwili Gaunt powstrzymał się przed stwierdzeniem „jeszcze większych głupców”.

- Ludzie Tarriana bardzo poważnie traktują całą sprawę. Nie próbowaliby powoływać trybunału, gdyby nie mieli pewności, że się im to uda.

- Miałem już w przeszłości do czynienia z takimi „sądami”, marszałku. Mogliby odnieść sukces tylko wtedy, gdy inni przymknęliby na cały incydent oczy.

- Takie jest ich prawo. Dyscyplina wojskowa. To podlega pod jurysdykcję Tarriana.

- Nie pozwolę VHPC na jakiegokolwiek postępowanie karne w tej sprawie.

Croe odsunął swój talerz i spojrzał na Gaunta, jakby ten właśnie napluł mu do posiłku. Marszałek wstał ze swojego fotela wycierając wierzchem dłoni usta.

- Nie... pozwoli pan ?

- Edykt 4378b Imperialnego Komisariatu jednoznacznie stwierdza, iż wszelkie kwestie dyscyplinarne związane z żołnierzami służącymi w Gwardii rozstrzyga tylko i wyłącznie Imperialny Komisariat. Żadne instytucje planetarne. Sprawa nie podlega jurysdykcji Tarriana. VHPC nie powinno tu w ogóle wpychać nosa.

- I zamierza pan wykorzystać ten przepis ?

- Jeśli zostanę do tego zmuszony. Jestem najwyższym rangą oficerem politycznym na Verghaście.

- Taka interpretacja prawa wojskowego może się okazać katastrofalna w skutkach, sprowokuje innych do ustawicznego roztrząsania różnic pomiędzy imperialnym kodeksem karnym, a verhastyckim. Nie rób tego, Gaunt.

- Przykro mi, marszałku, ale muszę. Nie są mi obce protokoły trybunałów wojskowych. Wykorzystam każdy precedens i każdą lukę w przepisach, aby rzucić Tarriana i jego bandę zbirów na pożarcie wilkom.

Adiutant w mundurze Vervun Primary wpadł do pokoju przez drzwi za plecami Gaunta.

- Nie teraz ! – warknął Croe, ale mężczyzna się nie cofnął. Zamiast tego pośpiesznie podał marszałkowi notes.

- Musi pan to zobaczyć, sir – wyjąkał zmieszany.

Croe wyrwał z ręki asystenta urządzenie i rzucił okiem na wyświetlacz. Zmarszczył czoło i ponownie przeczytał całą wiadomość, tym razem powoli i uważnie. Potem rzucił wydruk w rękę Gaunta.

- Proszę się z tym zapoznać. Nasi obserwatorzy na południowym Murze słyszą to od świtu.

Komisarz przesunął wzrokiem po transkrypcjach komunikatów dźwiękowych wychwyconych przez strażę na Murze, wyświetlonych w równych rzędach na ekranie notesu.

- Wyzwolicie! Asphodel – wymruczał i spojrzął na Croe – Sugeruję natychmiastowe uwolnienie Grizmunda. Teraz naprawdę będziemy potrzebowali takich ludzi jak on.

* * *

Gaunt i Croe opuścili razem kwaterę marszałka i przeszli do wielkiego audytorium Domu Dowódczego. Na obu poziomach centrali wrzała ludzka aktywność. W powietrzu świeciły wielkie holograficzne mapy metropolii, krzyżowały się radiowe komunikaty, pomruki astropatów i buczenie pracujących komputerów.

Grupa sztabowców Munitorium, oficerów Vervun Primary i techników ruszyła w kierunku wchodzącego na dolny poziom pomieszczenia marszałka, ten jednak odpędził ich zdecydowanym ruchem ręki i wspiał się po żelaznych schodkach na górne piętro sali. Wicemarszałek Anko, generał Sturm, komisarz Kowle i generał Xance z kontyngentu NorthColu stali wokół stołu mapowego. Milczący serwitorzy i adiutanci tkwili w bezruchu za ich plecami. Jakaś drona informacyjna przeleciała nad stołem bucząc cichutko. Gaunt przystanął u szczytu schodów obserwując całą grupę.

- Kowle ? – zapytał Croe zmierzając w stronę stołu.

- Brak potwierdzenia. Nie sposób uzyskać potwierdzenia, marszałku.

Croe podniósł do góry trzymany w rękę elektroniczny notes.

- To jest wierna transkrypcja komunikatu nadanego przez wroga ? Czy to właśnie śpiewają przy bramach ?

- Od świtu – odpowiedział Sturm. Wyglądał na zmęczonego, jego elegancki szarozłoty mundur Volpone był wymięty i zdradzał pośpiech przy ubieraniu się właściciela – I nie tylko śpiewają.

Strzelił palcami i jeden z serwitorów włączył radiokomunikator. Z głośnika urządzenia wylał się potok niezrozumiałych dźwięków.

- Centrala radiowa przefiltrowała ten zapis. Imię powtarzane jest na wszystkich częstotliwościach w formie sygnału dźwiękowego, kodu maszynowego, sekwencji arytmetycznej oraz skompresowanego przekazu graficznego - Sturm urwał i sięgnął po filiżankę kawy. Jego dłoń lekko drżała.

- Jednoznaczne oświadczenie. Chcą, byśmy to wiedzieli – powiedział Gaunt.

Kowle zerknął z ukosa na rywala.

- Chcą nas przestraszyć – oświadczył – Kilka godzin temu wyraziłeś uznanie dla mojego doświadczenia w kwestii propagandy. Możemy przyjąć, że nasz przeciwnik również jest biegły w tej dziedzinie. To próba zdemoralizowania garnizonu, szerzenia terroru za pomocą jednego imienia.

- Być może... ale też uznaliśmy już wcześniej, że porwanie do zbrodniczego czynu miasta wielkości Ferrozoicy wymagało ogromnej charyzmy. Wyzwoliciel Asphodel posiada taką osobowość. Jego los i miejsce pobytu po wojnie na Balhaucie pozostają nieznane.

Anko odwrócił się demonstracyjnie od Gaunta i spojrzał na Bohatera Ludu.

- Pan był na Balhaucie, Kowle. Kim jest ten potwór ?

Kowle otworzył usta, by odpowiedzieć, ale przerwał mu Gaunt.

- Obaj służyliśmy na Balhaucie. O ile pamiętam, komisarz stacjonował na południowozachodnim kontynencie, z dala od głównej linii natarcia na pozycje Oligarchii. Ja miałem sposobność osobiście walczyć z armią Wyzwolicielea.

Kowle przytaknął z trudem ukrywając swą wściekłość.

- Pułkownik-komisarz zapewne... posiada obszerniejszą wiedzę ode mnie na ten temat.

Croe spojrzał wyczekująco na tanithijskiego dowódcę.

- Zatem ?

- Wyzwoliciel był jednym z ulubionych poruczników Archona Nadzybara, wodzem posiadającym pod swymi rozkazami armię złożoną z miliona żołnierzy. Należał do oficerów zwerbowanych przez Nadzybara podczas przygotowań do ofensywy na Światy Sabbatu, niechaj go Imperator przeklnie. Pomimo znanego okrucieństwa innych najemników – Sholena Skary, Nokada Oświeconego, Anakwanara Seka czy Quxa Bezokiego – on był prawdziwym arcyzbrodniarzem. Jeszcze przed przystąpieniem do paktu Nadzybara złożył ślubowanie, iż będzie „wyzwalał” imperialne światy i przywracał na nich jedyne uznane prawo: prawo Chaosu. Jego bezwzględność nie ma sobie równych, podobnie jak sadyzm i brutalność, nie wolno też nie doceniać jego charyzmatycznej osobowości. I, być może z wyjątkiem Seka, był najbardziej utalentowanym taktykiem w sztabie Nadzybara.

- Zabrzmiało to tak, jakbyś wręcz podziwiał tego zwierza – sarknął Sturm.

- Nie lekceważę go, generale – odparł zimno Gaunt – To spora różnica.

- I on może tutaj być ? Czy to rzeczywiście coś więcej niż tylko propagandowe kłamstwo ? – wicemarszałek Anko z trudem ukrywał nagłe drżenie głosu.

- Wyzwoliciel uciekł z Balhautu po tym, jak marszałek Slaydo zabił Archona. Być może właśnie teraz po raz pierwszy wychynął ze swej kryjówki. Zoicańskie jednostki okrążyły nas szybko i sprawnie, wykorzystując umiejętnie zaskoczenie. Ulubiona taktyka Wyzwolicielea. Co więcej, on lubuje się w machinach wojennych. Mając dostęp do zakładów zbrojeniowych Ferrozoicy mógł bez trudu skonstruować dokładnie takie pojazdy, jakie widzieliśmy na początku oblężenia, a właśnie takich konstrukcji bym się po nim spodziewał.

Croe namyślał się przez chwilę.

- Jakies sugestie ? Gaunt ?

Gaunt spojrzał się w stronę drugiego komisarza, wiedząc doskonale, że Bohater Ludu wręcz kipi z gniewu pod maską chłodnego spokoju.

- Myślę, że najlepiej byłoby poprosić komisarza Kowle'a o radę w tej kwestii.

Kowle rzucił się chciwie na ten ochłap autorytetu.

- Nie jesteśmy w stanie zagłuszyć wszystkich transmisji radiowych wroga, dlatego musimy im przeciwdziałać w inny sposób. Wszystkie wojskowe i komercyjne instytucje oraz wybrani przedstawiciele związków zawodowych i Legislatury muszą być poinformowani o fakcie, iż transmisje te są zwykłą propagandą wroga. Przygotujemy oświadczenia przeznaczone do emisji na ekranach miejskich. Proponuję również rozpocząć niezwłocznie naszą wojnę informacyjną. Na początek wystarczy komunikat radiowy w formie powtarzanej pętli o treści „Wyzwoliciel nie żyje”.

- Weźcie się do pracy, żądam regularnych sprawozdań – Croe zaczekał, aż Kowle zaszalutuje zebraniem i wyjdzie, po czym odwrócił się do Sturma i Xance – Nadal obowiązuje stan niskiego pogotowia bojowego, ale chciałbym natychmiast rozpocząć przemieszczanie na

pozycje liniowe wszystkich naszych zasobów. Tym razem żadnych rezerw. Musimy następnemu atakowi stawić czoła z maksymalną siłą własną.

Obaj generałowie skinęli głowami.

- Jak rozumiem, modyfikacje systemów łączności pańskiego autorstwa już wcielono w życie, Sturm ?

- Nowe częstotliwości i nowe kody wywoławcze przydzielono wszystkim jednostkom.

Zamieszanie z ostatniego razu się nie powtórzy.

Gaunt pragnął wierzyć w pewność siebie Sturma. Przystudiował wcześniej rozporządzenia Volpończyka w tej sprawie i brzmiały one rozsądnie, chociaż komisarz nie mógł się oprzeć wrażeniu, że głównodowodzący Gwardii zarezerwował najłatwiej dostępne częstotliwości dla Błękitnokrwistych i Vervun Primary.

- Czy rozpatrzył pan już moją propozycję konfrontacji na zewnątrz Muru ? – zapytał Xance.

- Jest niepraktyczna, generale – odpowiedział Croe.

- Sam pan wie, jak zmasakrowano Vervuńską Zmechanizowaną na sawannie – dodał Sturm.

- Ale teraz mobilność wroga została ograniczona zabudową dzielnic podmiejskich. Taktyka lansowana przez Nasha, Grizmunda i Gaunta wydaje się bardzo obiecująca. Czołgi NorthColu i Narmenianu przy wsparciu naszej piechoty mogłyby uderzyć na zewnątrz i wyprzeć nieprzyjaciela z jego dotychczasowych pozycji.

Gaunt słuchał zafascynowany, po raz pierwszy miał bowiem okazję dowiedzieć się o planie Xance. Bez wątpienia Sturm, Anko i Croe zrobili wszystko, by pomysł generała NorthColu zdławić w zarodku. Komisarz zrozumiał, że nie było nic z przypadku w poruszeniu tej kwestii przez Xance właśnie w obecności Gaunta.

- Nie ! – warknął Sturm marszcząc gniewnie twarz – Nie będziemy osłabiać naszego potencjału obronnego poprzez marnotrawienie sił na akcje wypadowe.

Xance pokręcił głową i wyszedł z audytorium bez słowa. Sturm zerknął na komisarza ostrzegawczo.

- Nawet nie myśl o wsparciu propozycji Xance, Gaunt. Imperialny garnizon w Vervunhive nie przejdzie do ofensywy ani teraz ani w najbliższej przyszłości.

Gaunt uklonił się, zsalutował i opuścił salę. Doskonale wiedział, kiedy może sobie pozwolić na dyskusje z przełożonymi i uznał, że już dostatecznie nadstawiał karku w ostatnich kilku dniach.

* * *

Zoicanie wznowili sporadyczne bombardowanie o świcie miotając rakiety i pociski artyleryjskie w sposób chaotyczny i nastawiony bardziej na zmęczenie obrońców niż wyrządzenie znaczących zniszczeń. Stanowiska strzeleckie na Murze odpowiadały ogniem za każdym razem, gdy obserwatorzy lokalizowali wysunięte pozycje nieprzyjaciela.

Zoicańscy piechurzy, podchodzący ostrożnie w pobliże Muru, ostrzeliwali z laserów i bolterów okolice bram miejskich, kryjąc się w kraterach i za stertami gruzu. Na Bramie Sondara vervuńscy żołnierze pod rozkazami kapitana Cargina uruchomili ciężkie wieżyczki z bronią maszynową i zasypali intruzów gradem stali.

Ostrzał nękający posypał się również na nowe pozycje lojalistów w obrębie Bramy Veyveyr. Moździerzowe pociski rozrywały się tuż przy krawędzi kamiennych fortyfikacji zasypując czuwających za parapetami żołnierzy drobinami ziemi. Feygor wysunął ponad obwałowanie swój peryskop i szybko zlokalizował miejsce, nad którym unosiły się obłoczki gazów wylotowych ukrytych moździerzy. Ściągnął Bragga na swoje stanowisko i poczekał, aż wielki Duch załaduje przenośną wyrzutnię raket. Potem wezwał przez radio majora Rawne i poprosił o pozwolenie na otwarcie ognia.

Rawne krążył akurat w obrębie fortyfikacji zabezpieczających zniszczoną Bramę, kiedy usłyszał prośbę Feygora. Poleciał podwładnemu czekać, po czym udał się do volpońskiego sztabu sektora, urządzonego w częściowo zniszczonym składzie kolejowym tkwiącym po osie wagonów w gruzie i obłożonym starannie workami z piaskiem. Rawne otrzymał wcześniej rozkaz koordynacji kanałów łączności z sojusznikami w swej strefie dowodzenia, ale pomimo modyfikacji generała Sturma w kwestii komunikacji – bądź właśnie z ich powodu, zżymał się chwilami Rawne – łączność nadal szwankowała.

Dwaj Błękitnokrwieści z elitarnej 10 Brygady stali na warcie tuż przy wejściu do pociągu. Byli prawdziwymi olbrzymami w swoich szarozłoty karapaksach i funkcjonalnych, po żołniersku oszczędnych mundurach. Każdy trzymał błyszczący metalicznie ciężki laser z podwieszoną pod lufę pompkową strzelbą śrutową.

Zastąpili Duchowi drogę.

- Major Rawne, tanithijski dowódca sektora – oświadczył opryskliwie i cofnęli się ustępując mu miejsca.

Pułkownik Nicolaas Taschen DeHante Corday był bez wątpienia jednym z Błękitnokrwistych: gigantem o potężnych barach, wysuniętej szczęce i głębokich oczodołach. Siedząc na krześle za polowym stolikiem spojrzał na wchodzącego majora wzrokiem tak obojętnym, jakby Tanithijczyk był czymś przyklejonym do podeszwy buta pułkownika. Rawne uklonił się lekko.

- Chciałem potwierdzić rozpoczęcie wymiany ognia z nieprzyjacielem. Wrogie moździerze próbują wymacać moje pozycje.

Corday spojrzał na swoją mapę, po czym skinął twierdząco głową.

- Potrzebujecie naszego wsparcia? – zapytał.
- Nękają nas tylko dla zabicia czasu, wolałbym jednak nie dopuścić do tego, by namierzili właściwe koordynaty przed rozpoczęciem następnego szturm.
- Warto angażować w tę konfrontację ciężką artylerię?
- Jeszcze nie. Spróbuję uciszyć te moździerze i zobaczymy, co będzie działo się potem
- Doskonale.

Rawne odwrócił się, by odejść.

- Majorze... Rawne, nieprawdaż?

Tanithijczyk spojrzał na wstającego ze swego krzesła Corday'a.

- Mniemam, że nasze regimenty zdołają efektywnie współdziałać w tym sektorze.
- Podzielam tę opinię, pułkowniku.
- Stosunki między naszymi jednostkami nie należą do przyjacielskich.

Rawne ukrył swe zaskoczenie bezpośredniością pułkownika.

- Owszem, nie należą. Czy mogę zapytać... czy wie pan, dlaczego?
- Voltemand – westchnął Corday – Nie uczestniczyłem w tej kampanii, ale przestudiowałem raporty. Błąd w kalkulacjach generała Sturma wprowadził was pod ogień sojuszniczej artylerii.

Rawne chrząknął znacząco. Wyjaśnienie Volpończyka było naiwne i zawierało istotne przekłamania, ale major nie chciał zadzierać z oficerem Błękitnokrwistych.

- Nie sądzę, by kadra oficerska Volpone kiedykolwiek przeprosiła za ten incydent tanithijskich gwardzistów. Jeśli to możliwe, chciałbym złożyć przeprosiny właśnie teraz.
- Jakże ma pan ku temu przesłanki? – zapytał zimno Rawne.
- Jeden z moich podwładnych, Culcis, wyraża się bardzo pozytywnie o Duchach, zwłaszcza waszym pułkowniku Corbecu. Miał sposobność walczyć wraz z nim na Nacedonie. Inni chwalą Gaunta za to, co uczynił na Monthaxie – Corday uśmiechnął się nieznacznie. Uśmiech ten sprawiał wrażenie szczerego pomimo arystokratycznej buty oficera. Rawne pomyślał, że wcale nie byłoby niemożliwie zaprzyjaźnienie się z volpońskim pułkownikiem

- Sturm, niech Imperator go strzeże... Gilbear... wielu wyższych oficerów Volpone zawsze już będzie miotać klątwy na wspomnienie Tanithijczyków, ale ja jestem uczciwym człowiekiem, Rawne. Błękitnokrwisci przez długi czas chlubili się swą wyższością nad resztą Gwardii. Być może nadszedł ten moment, byśmy zaczęli uczyć się czegoś od innych i zrozumieli, że Gwardia to także inne doskonałe regimenty, z którymi możemy walczyć ramię w ramię jak równi sobie towarzysze służby.

Rawne był szczerze zdumiony. Jak większość tanithijskich gwardzistów nauczył się nienawidzić głęboko Volpończyków, a dla złowieszczej chorej duszy majora nienawiść stanowiła jedno z najczęstszych uczuć. Nigdy by mu przez myśl nie przyszło, że może usłyszeć komplement z ust wyższego stopniem oficera Volpone.

- Jestem zaszczycony pańskimi słowami, pułkowniku. Zapamiętam je i przekażę swoim ludziom. Mówiąc szczerze, jeśli nie nauczymy się walczyć razem, razem przyjdzie nam tu umrzeć. Czy w duchu tej współpracy mogę zwrócić uwagę na fakt, że nasze kanały kontaktowe wciąż nie działają ?

Corday pokiwał głową i zaznaczył coś świetlnym piórem w swoim elektronicznym notesie.

- Ustawcie częstotliwość pi jako kanał główny i kappa jako rezerwowy. Wyślę wam zaraz jednego z moich oficerów radiowych jako łącznika. Mam nadzieję, że akceptuje pan te propozycje.

Rawne potwierdził skinieniem głowy, zasalutował i wyszedł.

Corday wezwał jednego ze swoich przybocznych.

- Poślij Gravena na pozycje Tanithijczyków, z komunikatorem. Powiedz mu, że będzie działał jako oficer łącznikowy. Chcę, żeby ci zasańcy byli w ciągłym pogotowiu. Nie życzę sobie, by jakieś Duchy wisiały mi u tyłka, kiedy przyjdzie nam walczyć.

* * *

Wracając okopem łącznikowym na swoje stanowisko major Rawne wysłał radiowe potwierdzenie dla czekającego cierpliwie Feygora. Wyrzutnia Bragga stęknęła i ukryte pozycje zoicańskich mózdzierzy znikły w kuli ognia i dymu, gdy eksplodowały trafione skrzynki z amunicją.

Po chwili ciszy od strony najeźdźców posypały się nieregularne strzały z laserów. Duchy czekały na swoich stanowiskach.

* * *

W forcie Hass East panował nienaturalny spokój. Nie doszło tu dotąd do żadnych walk, ale fortyfikacja wciąż pełniła kluczową rolę w linii obronnej Vervunhive, gdyż strzegła podmiejskiej autostrady wiodącej do Vannick i Bramy Ontabi, jedynej z pięciu wielkich bram miejskich, na którą wróg nie przypuścił jeszcze szturm.

Stojąc na szczycie wieżyczki obserwacyjnej sierżant Varl gapił się na brudnoszarą powierzchnię rzeki Hass. Owady i małe ptaki uwijały się nad wodą i porastającymi brzegi zaroślami, przemykając w powietrzu gęstym od dusznych oparów i wyziewów. Masywna bryła mostu drogowego Hiraldi majaczyła w ciemności szybko zapadającego zmierzchu.

Deszcz przestał padać jakiś czas temu, w powietrzu unosił się wyraźny zapach ozonu. Varl i jego dwa plutony Duchów trzymały służbę wartowniczą w Hass East wraz z trzema plutonami roańskich gwardzistów kapitana Willarda i trzema setkami artylerzystów Vervun Primary pod komendą majora Rodyina, młodszego członka jednej z liczących się rodzin miasta.

Varl szybko znalazł wspólny język z Willardem. Roańczyk był szczupłym dwudziestopięcioletnim blondynem o bystrych brązowych oczach i niewybrednym poczuciu humoru. Podobnie jak Varl posiadał cybernetyczny implant – w przypadku kapitana była to prawa dłoń. Wielokrotnie żartowali razem na temat swych doświadczeń z cybernetyką osobistą.

Rodyin był znacznie bardziej skomplikowaną osobowością. Choć wszyscy w równym stopniu kładli na szali swe życie, vervuński major bardzo osobiście traktował konflikt i Varl nawet się temu nie dziwił: w końcu szło tu o dom młodego arystokraty. Rodyin był niski, szczupły i przedwcześnie łysiejący, choć niedawno musiał przekroczyć dwudziestkę. Zdawał się nie rozumieć ustawicznych rubaszných żartów dwóch pozostałych oficerów i spoglądał na kolegów niespokojnie przez założone na nos okulary o szklach w kształcie półksiężyca. Varl dowiedział się, że Dom Rodyin należał do liberalnych rodów metropolii, faworyzujących humanitaryzm i dalekowzroczność polityczną. Fortuna rodziny powstała na produkcji i handlu żywnością, a jej kombajny zbożowe pracowały ustawicznie na rozległych polach na północ od rzeki Hass.

Varl lubił Rodyina, ale nie traktował go jak żołnierza.

Tanithijski sierżant zszedł z wieży i tłukąc dręczące go komary ruszył wzdłuż blanków Muru. Usłyszał głośny śmiech, a chwilę potem ujrzał Willarda i kilku jego gwardzistów wymieniających się żartami przy stanowisko baterii rakietowej. Rodyin stał kawałek dalej obserwując autostradę i rzekę przez ciężki teleskop ustawiony na wbudowanym w parapet trójnogu.

Willard pozdrowił Varla ruchem dłoni.

- Gdyby nie te cholerne muchy, Duchu, przysięgłbym, że dostał nam się najlepszy przydział tej wojny. Ani ślady zadymy w pobliżu Hass East, co ?

Varl miał już okazję powalczyć w obronie Vervunhive i z ogromną wdzięcznością powitał przeniesienie do tej spokojnej strefy frontowej, mimo to jednak czuł jak bezradne wyczekiwanie zżera go od środka.

- Nie miałbym nic przeciwko odstrzeleniu kilku Zoican – wyszczerzył w posępnym grymasie zęby.

- Do diabła, ja też. Kilku żółtych skurwysynów dla poćwiczenia oka i pewnej ręki, co sierżancie ?

Żołnierze znów się roześmiali. Varl kątem oka dostrzegł, że Rodyin odsuwa się nieznacznie od grupy nie chcąc zostać wciągniętym w rozmowę. Major bardzo poważnie podchodził do swoich obowiązków – zbyt poważnie w mniemaniu sierżanta – być może dlatego, że była to jego pierwsza prawdziwa wojna.

- Widać coś ? – zapytał Varl podchodząc do Vervuńczyka.

- Zwykły ruch rzeczny. Barki, łodzie. Większość przewozi z północnego brzegu amunicję. Dom Dowódczy nałożył embargo na wszelkie dostawy z wyjątkiem strategicznie ważnych zapasów.

Sierżant zdjął z pasa swoją lornetę i przyjrzał się uważnie okolicy. Na północ od fortu, opodal mostu, dostrzegł opasłe sylwetki portowych zbiorników paliwa. Wzniesione na metalowych wspornikach rury biegingy przez rzekę i dalej w mrok na północny wschód, poza zasięg wzroku Varla. Rurociąg ten służył niegdyś do przesyłu ropy naftowej wytwarzanej w Vannick Hive, ale teraz jedyne zasoby paliwa płynęły z NorthColu.

- Rzeczywiście spokojnie – powiedział sierżant.

Za plecami obu mężczyzn Willard dokończył wyjątkowo obsceniczny dowcip i śmiech żołnierz poniósł się po blankach fortu.

* * *

Kupiec Worlin powrócił do domu tuż po zapadnięciu zmroku. Jego twarz jaśniała szerokim uśmiechem, wywołanym pospół niezmiernym zadowoleniem i nadmiarem wypitego alkoholu. Nadzwyczajne zebranie członków gildii zwołane w podziemnym bunkrze na terenie Commercii zakończyło się potrojeniem funduszy operacyjnych przyznanych oficjalnie Worlinowi. Bezcenne rezerwy paliwowe zebrane w potajemny sposób znacznie zwiększyły pozycję przetargową rodziny w wojnie handlowej z pięcioma innymi gildiami, zainteresowanie nimi zgłosili również niektórzy reprezentanci Vervun Primary. Płynąca rurociągiem ropa wciąż trafiała do zbiorników kontrolowanych przez ludzi Worlina. Vannick Hive mogło już nie istnieć, ale jego dziedzictwo wciąż docierało do Vervunhive i Worlin chwilami tracił głowę myśląc o bajecznej fortunie leżącej w zasięgu jego ręki. Kiedy ta wojna dobiegnie końca, kupiec znajdzie się w wyższych kręgach organizacji kupieckich metropolii, a Gildia Worlin dołączy do najbardziej liczących się grup biznesowych. Prywatny majątek Worlina urósł czterokrotnie od dnia Pierwszego Szturmu.

Mężczyzna spoczął przy drewnianym biurku w swoim prywatnym gabinecie, rozkoszując się butelką joiliqi podczas studiowania wiadomości zgromadzonych w jego komputerze podczas posiedzenia w bunkrze.

Jedna z wiadomości zwróciła jego uwagę. Był to list od osoby o nazwisku Curth, pracującej w szpitalu miejskim 67/mv. Nadawca listu prosił kupca o udzielenie informacji na temat miejsca swego pobytu pierwszego dnia wojny. Czy znajdował się w pobliżu stacji kolejki C7/d ? Zaszły tam pewne wymagające wyjaśnienia wypadki i władze poszukiwały potencjalnych świadków celem wezwania ich na przesłuchanie. Kamery służb bezpieczeństwa zainstalowane na dworcu zarejestrowały obecność kupca i dwóch jego ochroniarzy. List został podpisany przez A. Curth, a jego kopię wysłano do oficera medycznego obcoświatowców nazwiskiem Dorden, jednego z członków Gwardii.

Worlin dostrzegł, że jego dłonie dygoczą w niekontrolowany sposób rozlewając alkohol po blacie biurka. Odłożył kieliszek i wytarł plamy końcem rękawa.

Kiedy uspokoił się już nieco, sprawdził ukrytą w szufladzie broń. Ta sprawa wymagała jak najszybszego rozwiązania.

* * *

Szept był teraz tak natarczywy i ustawiczny, że wszystko inne przestało się liczyć. Salvadore Sondar wiał się w swym zbiorniku przygryzając nieświadomie wargi. Głos jego czcigodnego kuzyna z Ferrozoicy Clatcha rozmył się i w końcu pozostały tylko dwa nieustannie powtarzane słowa. Imię. Demoniczne imię.

Sondar był wyczerpany i głodny. Dozowniki odżywczych substancji już dawno wyschły, a władca metropolii nie pamiętał o włączeniu automatycznych wymienników. Nawet jego organiczne marionetki stały porzucone i gniły zwisając z podtrzymujących je linek.

Gęsty odór rozkładu wypełniał komnaty pałacu Wielkiego Mistrza.

Sondar nie zwracał uwagi na otoczenie.

Wiedział już, czego chciał szept. Właściciel szeptu wyjaśnił Sondarowi dokładnie, czego pożąda. Człowiek nie potrafił zebrać myśli, nie potrafił się skupić. Po prostu... słuchał. Być może zrobi to, zrobi tylko po to, by ten szept wreszcie ucichł. Mógł przecież zrobić to w każdej chwili.

* * *

Larkin leżał w perfekcyjnym bezruchu od blisko godziny, oka nie odrywał od okularu snajperskiego celownika. Rozciągająca się wokół Hałda była cicha i ciemna, ale Larkin wyczuwał obecność vervuńskiego strzelca Lotina klęczącego przy sąsiednim oknie budynku.

Dziesięć minut temu Larkin pochwycił wzrokiem jakiś ruch w dole Hałdy. Śledząc sterty żużlu wypatrywał je po chwili ponownie: blask księżycy odbił się od gładkiej powierzchni bojowego kombinezonu.

Snajper ścisnął mocniej broń, odetchnął powoli i głęboko.

Zoicanie nadszarpali poprzez Hałdę. Poruszali się w sprawnym szyku, niczym doskonale wyszkolony zespół zwiadowczy. Przed wyruszeniem do akcji musieli pokryć swe żółtawe pancerze pastą kamuflującą albo wysmarować je sadzą.

Uprzedził o intruzach Mkolla, wypowiadając do mikrofonu kilka niezbędnych słów kodowych. Sierżant natychmiast wydał wszystkim swoim zwiadowcom pozwolenie na otwarcie ognia do każdego dostrzeżonego celu. Sekundę później major Ormon wydał taki sam rozkaz Hałdziarzom.

Pochwycił kolejny ruch, tym razem widoczny doskonale w zielonym świetle noktowizjera.

Odetchnął raz jeszcze i strzelił.

Smuga czerwonego światła rozświetliła na ułamek sekundy ciemność i ciemna sylwetka człowieka runęła na plecy w mokry żużel.

Larkin natychmiast przeskoczył do kolejnego okna. Choć pewien był, że tłumik światła zamaskował jego pozycję, nie zamierzał ryzykować. Wysunął broń przez okno kryjąc jej lufę pod kawałkiem urwanej rynny.

Kłęczący dziesięć metrów dalej Lotis strzelił. Jego automat trzasnął głośno, a błysk płomienia wylotowego rozświetlił na moment ciemność. Widząc to Larkin zaklął w myślach.

W komunikatorze słyszał złorzeczące Lotina. Snajper chybił.

Ruszaj się, zmień pozycję i strzelaj ! ponaglał towarzysza bezgłośnie.

Lotin strzelił ponownie. Jego okrzyk radości urwał się w chwili, gdy wiązka laserowej energii przecięła ciemność nad Hałdą. Zoicanie czekali na błyski płomieni wylotowych obrońców.

Lotin potknął się i upadł na plecy, nieruchomiejąc na stercie gruzu zalegającego na podłodze. Jego twarz znikła zastąpiona krwawą maską.

Zatem oni też mają dobrych snajperów, pomyślał Larkin.

Ta wojna zaczynała robić się interesująca.

* * *

Zapadła noc i księżycy – dwie wielkie i mlecznobiałe oraz trzeci mniejszy i krwawoczerwony – wspinały się powoli na nieboskłon. Deszczowe chmury, czarne i gęste, kłębiły się wzdłuż wschodniej linii widnokregu. Odległy grzmot burzy przebiegł ponad połaciami trawiastych równin.

Powietrze było duszne i ciężkie i przemierzający umocnienia Hass East sierżant Varl pocił się obficie w swoim czarnym kombinezonie. Uczucie duszności potęgowała jeszcze powłoka Tarczy, wytwarzająca statyczne wyładowania elektryczne.

Jego karabin i metalowa kończyzna bez przerwy kopały słabym prądem. Zmęczony Varl błagał niebiosy o otwarcie szluz i potężną ulewę, która odświeżyłaby powietrze.

Na północnym schodzie coś rozbłysło oślepiającym blaskiem, a sekundę potem ziemia zakotłosała się zbijając sierżanta z nóg. Potworny huk ucichł i ciemność nocy rozdarły przeraźliwe dzwonki sygnałów alarmowych zmieszane z okrzykami zaskoczonych ludzi.

Nocne niebo rozpalilo się ponownie jaskrawą poświatą. Eksplozje rozdierały cały segment Muru pomiędzy Bramą Ontabi i rzeką.

Varl podniósł się z kamiennej podłogi potrząsając w oszołomieniu głową. Nie słyszał dźwięku spadających pocisków artyleryjskich. To musiały być... ładunki wybuchowe. Ruszył biegiem wzdłuż parapetu krzycząc do mikrofonu pośród grzmotu wybuchów. Detonacje

ładunków oznaczały jedno: wróg praktycznie siedział im na karku, dostatecznie blisko, by bezkarnie założyć pakiety burzące na ściany fortyfikacji.

Żołnierze miotali się wokół, przerażeni i zdeorientowani. Potok bezsensownych rozkazów wylewał się z komunikatora sierżanta pogłębiając jeszcze bardziej panujący wszędzie chaos. Varl chwycił się parapetu, gdy Mur zadygotał ponownie, a jaskrawa kula ognia wystrzeliła wewnątrz blanków.

Wewnątrz Muru ?!

- Przebili się ! Przebili się ! – wrzasnął do mikrofonu, nie pojmując jak mogło do tego dojść, ale chcąc za wszelką cenę uświadomić niebezpieczeństwo innym. Niemal w tej samej chwili ktoś zaczął do niego strzelać. Krechy laserowego światła nadleciały od strony najbliższej klatki schodowej wiodącej z podstawy Muru na blanki.

Varl odpowiedział ogniem zbierając wokół siebie rozproszonych żołnierzy Vervun Primary, ich automaty zaczęły terkotać głośno. Sierżant ujrzał zoicańskich szturmowców wdzierających się po schodach na blanki. Ochrowe pancerze napastników pokryte były oleistą substancją.

Varl zastrzelił jednego czy dwóch, zanim uświadomił sobie, że cała rzesza innych najeźdźców szturmuje umocnienia od tyłu. Na fetha, jak oni zdołali się tam dostać ?

Fala uderzeniowa wybuchu przewróciła sierżanta na kolana. Cała sekcja fortu Hass East zawaliła się z głuchym hukiem rozsiewając wszędzie wokół odłamki gruzu i snopy iskier. Seria mniejszych eksplozji rozerwała wierzch umocnień na całej długości Muru.

Varl patrzył jak wylatują w powietrze stacje artyleryjskie, rozsadzane od spodu eksplozjami magazynów amunicji i automatycznych podajników.

Niczym zemsta bezlitosnego boga, wojna dotarła do fortu Hass East.

XII – Nadejście ciemności

„Co jest największą bronią ludzkości ? Bogom podobne maszyny Adeptus Mechanicus ? Nie ! Legiony Astartes ? Nie ! Czołg ? Laser ? Pięść ? Po trzykroć nie ! Odwaga i tylko odwaga stoi ponad nimi wszystkimi !”

– Macharius, Lord Solar, pamiętniki

Odległy grzmot wyrwał Ibrama Gaunta z pozbawionej snów drzemki. Jego pokój sypialny, niewielkie pomieszczenie przylegające do kompleksu Domu Dowódczego, skąpany był w półmroku rozjaśnianym jedynie słabym światłem diod stojącego na biurku komputera.

Włączył lampę i podniósł się z łóżka, na które padł w pełnym ubraniu kilka godzin wcześniej. Sen zawładnął nim niemal natychmiast.

Podszedł do stolika, na którym piętrzyły się sterty dokumentów i elektronicznych notesów, podniósł karafkę z resztką niedopitego wina.

Grzmot powtórzył się, a w ślad za nim do uszu komisarza dobiegł stłumiony dźwięk sygnałów alarmowych.

Mężczyzna stanął przed wbudowanym w ścianę terminalem łączności, kątem oka kontemplując wielki obraz olejny widzący tuż obok urządzenia. Widniał na nim pompatyczny wojskowy w mundurze Vervun Primary starego kroju, stojący z jedną nogą wspartą o stertę ludzkich czaszek oraz pergaminem w jednej dłoni i mieczem w drugiej.

Kiedy interkom odpowiedział na wezwanie, komisarz zastanawiał się właśnie ospale, kim właściwie jest osoba na portrecie i do kogo należały czaszki pod jej stopą.

- Sir ?

- Co się dzieje ?

- Mamy informacje o rajdzie na Bramę Ontabi. Czekamy na potwierdzenie.

- Dajcie mi znać jak najszybciej. Mam ludzi w forcie Hass East.
- Oczywiście, sir. Jest tutaj... gość do pana.

Gaunt spojrzął na zegarek. Dochodziła druga w nocy.

- Kto to ?
- Ma imperialne pieczęcie i twierdzi, że był przez pana wzywany.
- Wpuścić go – westchnął Gaunt.

Otwierając leniwie drzwi komisarz przeszedł do pokoju gościnnego zapalając po drodze lampy ścienne. Drugim wejściem nadszedł niski zgarbiony starzec w długich purpurowych szatach, zerkający na Gaunta zza wielkich okularów. Jego wymykające się spod czerwonej czapki włosy były szare i zmierzwione, w rękach ścisnął drewnianą skrzynkę. Towarzyszył mu młody bladej twarzy człowiek w szarych szatach kleryka, obciążony opasłymi księgami i zwojami pergaminów.

- Komisarz... Gaunt ? – zapytał starzec świdrując gospodarza wzrokiem.
- Pułkownikkomisarz, mówiąc ściślej. Kim jest pan ?
- Adwokat Cornelius Pater z wydziału sądowiczego Administratum. Pańska prośba o poradę prawną nadeszła do wydziału dziś w nocy i intendent Banefail skierował mnie tutaj w trybie natychmiastowym.
- Chciałbym podziękować intendentowi za jego zaangażowanie oraz panu za przybycie tutaj o tak późnej porze.

Adwokat skłonił się lekko i podszedł do wielkiego skórzanego fotela, pozostawiając w drzwiach swego towarzysza uginającego się pod ciężarem dźwiganych dokumentów.

- Proszę je położyć na stole – zaproponował Gaunt – Kim pan jest ?

Młodzieniec milczał.

- To mój asystent Bwelt – wyjaśnił Pater – Nie będzie się odzywał w naszej obecności. Pretenduje do funkcji młodszego adwokata, dlatego musi teraz nauczyć się odpowiednich protokołów konwersacji. Zresztą i tak nie zna się na niczym.

- Jak zabierzemy się do tej sprawy ?

Pater chrząknął znacząco.

- Wpierw opowie mi pan dokładnie o tym incydencie, potem zapoznam się z wszystkimi związanym ze sprawą dokumentami, w międzyczasie zaś pan poczęstuje mnie kieliszkiem swego wina.

Gaunt rzucił okiem na Bwelta.

- W pokoju sypialnym na biurku jest butelka. Przynieś też kieliszek.

Adwokat nie podejmował dalszej rozmowy do chwili, w której szkło nie znalazło się w jego pomarszczonej dłoni, a łyk napoju w ustach. Skrzynkę trzymał na kolanach.

- Generał Imperialnej Gwardii Grizmund, dowódca narmeriańskiej brygady pancерnej – rozpoczął Gaunt – oraz czterech jego zastępcy zostali aresztowani pod zarzutem niesubordynacji. Wtrącono ich do aresztu VPHC, gdzie oczekują kują na rozprawę sądu wojennego pod przewodnictwem miejscowego komisariatu. Zarzuty są wysane z palca. Chcę, aby ich uwolniono i natychmiast przywrócono do służby. Przypuszczam, że procedura uwolnienia jest tylko formalnością – VPHC nie posiada prawa do sądenia żołnierzy Gwardii. Jeśli nawet popełnili jakieś wykroczenie, zajmie się nim komisariat gwardyjski. Jestem najwyższym rangą przedstawicielem tej formacji na Verghaście.

Pater poprawił okulary i zaczął studiować podsunięte mu przez Gaunta dokumenty.

- Hmm... sprawa jest raczej prosta. Powołał się pan przed chwilą na edykt Imperialnego Komisariatu 4368b. VPHC nie pokocha pana za to. Tarrian wpadnie w szal, jestem tego pewien.

- I tak nie ma między nami przyjaznych więzi.
- Bwelt, o co chodzi ? Chrząkasz jak kretyn albo nieuleczalny astmatyk.

- 4378b, mecenasie. To edykt 4378b – wyszeptał asystent.
- Niech ci będzie – oświadczył wyrozumiale Pater i powrócił do analizy dokumentów – Może dojść do rozprawy. Tarrian ma skłonności do rozwlekania wszelkich postępowań karnych, nawet jeśli miałby je przegrać. Odnoszę wrażenie, że ten człowiek czerpie przyjemność z przeciągania agonii.
- Chcę jak najszybciej uwolnić oskarżonych, nie mogę czekać do rozprawy. Grizmund jest mi potrzebny, w ciągu kilku najbliższych dni los metropolii będzie zależał od jednostek pancernych.
- Pośpiech jest ryzykowny, ale edykt posiada mocną podstawę prawną. Krótkie przesłuchanie, najlepiej jutro rano, i będziemy w stanie wyciągnąć aresztantów spod kurateli VPHC – Pater zerknął na Gaunta – Będę miał z tego osobistą satysfakcję. Komisariat Vervunhive od wielu lat postrzegał się za instytucję stojącą ponad imperialnym prawem. Uczciwe egzekwowanie przepisów bywało tu niemal niemożliwe. Kładąc na szali pański prestiż, zwycięstwo mamy pewne.
- Świetnie, przynajmniej wiemy, że VPHC nic nie zrobi bez mojego udziału. Do jakich by się nie odwołali argumentów, wiedzą dobrze, że w obradach trybunału musi wziąć udział imperialny komisarz.
- Zgadza się. Nawet po powołaniu przez nich wewnętrznego trybunału możemy sabotować jego pracę poprzez pańską absencję na rozprawach. Potem... Bwelt ! Co znowu ? Podnieś twarz, jak mówisz !
- Asystent milczał przez chwilę, potem zaczął mówić powoli, ważąc dokładnie każde słowo.
- Trybunał już rozpoczął obrady, mecenasie. Kazał mi pan zebrać wszelkie informacje na temat tej sprawy przed naszym tu przybyciem i informacja o powołaniu trybunału została zapisana w raporcie złożonym do pana dokumentacji.
- Co takiego ?!
- Rozpoczęli obrady, ponieważ mają w składzie trybunału imperialnego komisarza. Komisarz Kowle zgodził się reprezentować swoją obecnością instytucję Imperium i
- Wściekle przekleństwo Gaunta uciszyło w pół słowa kleryka i poderwało starego adwokata z fotela. Zakładając pośpiesznie kurtkę, czapkę i pas z bronią komisarz miotał obscenicznymi uwagami pod adresem Tarriana, Kowle i całego VPHC.
- Chodźcie ze mną, biegiem ! – krzyknął do prawnika i jego roztrzęsionego ucznia, po czym wypadł z pokoju.

* * *

Na wschodnim krańcu metropolii niebo stało w ogniu. Z mroku kryjącego nadrzeczne chaszcze posypały się artyleryjskie pociski niszcząc jeszcze bardziej zdewastowane eksplozjami min blanki i ściany fortu Hass East.

Varl miotał się w tym piekle próbując zebrać swoich ludzi i sprowadzić ich do bunkrów położonych w niższych częściach Muru. Zoicanie byli wszędzie, obrońcy nie potrafili ich zatrzymać. Varl próbował wywołać przez radio Dom Dowódcy, ale zakłócenia elektromagnetyczne wywołane bombardowaniem odcięły wszelką łączność.

Sierżant zgromadził przy sobie około dwudziestu żołnierzy, w większości Duchów, ale byli tam też Rończycy i Vervuńczycy. Popędził ich po schodach najbliższej wieży do wnętrza Muru. Kamienne ściany ociekały wilgocią, gorące powietrze buchało z wielu korytarzy parząc płuca obrońców. W pewnym momencie ciężki pocisk artyleryjski przebił ścianę korytarza jakieś dwadzieścia metrów za ich plecami i wszedł w przeciwną ścianę niczym gorący nóż wbity w masło. Podmucha fali uderzeniowej rzucił ludźmi o podłogę. Ledwie pozbierali się na nogi, w korytarzu pojawiła się grupa zoicańskich szturmowców. Gwardziści rozstrzelali ich w jednej chwili z minimalnego dystansu.

Dwa piętra niżej zderzyli się z zbieraniną sześćdziesięciu żołnierzy Vervun Primary i Roane zgromadzonych wokół majora Rodyina. Wielu z nich było poparzonych i krwawiło z licznych ran.

- Gdzie jest Willard ? – wrzasnął Varl próbując przekrzyczeć huk wybuchów chów i ryk syren alarmowych.

- Nie widziałem go ! – odkrzyknął Rodyin. Jedno z jego szkieleł było rozbite, z przeciętego szramą policzka majora sączyła się krew.

- Musimy ściągnąć ludzi w dół ! Jeszcze niżej ! – rozkazał Varl i obaj dowódcy zaczęli zaganiać podkomendnych w dół kręconych schodów oglądając się ustawicznie za plecy. Żarłoczne płomienie zbliżały się z każdą chwilą do zatłoczonego korytarza.

- Podminowali Mur ! Od środka ! – wyjaśnił major wpychając kolejnego żołnierza na schody.

- Wiem, do diabła ! Jak tego dokonali ?

Rodyin nie znał odpowiedzi na to pytanie.

* * *

Na fragmencie Muru poniżej płonącego fortu kapral Meryn ściągał pod osłonę fortyfikacji spanikowanych obrońców. Dwie drużyny Duchów – w tym Brostin, Logris, Nehn i Mkteeg – biegły w kierunku kaprała, ale drogę zatarasowała im dwudziestka śmiertelnie przerażonych żołnierzy Vervun Primary. Meryn skakał w miejscu i wymachiwał rękami, ale jego głos tonął w grzmocie eksplozji. Ogień trawiący fort bił setki metrów w górę, z nocnego nieba spadał deszcz płatków sadzy, gęsty dym dusił ludzi. Potworny żar zdawał się topić kamienie. Gdzieś w pobliżu wybuchł wózek amunicyjny i kawałki pocisków świstały dziko w powietrzu krzesząc iskry na ścianach i parapetach budowli.

Jeden z odłamków trafił w głowę vervuńskiego szeregowca stojącego przy Merynie. Czaszka mężczyzny dosłownie rozprysła się wraz z rozwalonym spiczastym hełmem.

W dole coś błysnęło i oślepiający promień światła wystrzelił zza Muru prosto w kierunku kaprała. Widząc rozbłysk kątem oka Meryn rzucił się płasko na brzuch. Towarzyszący mu Vervuńczycy nie zdążyli tego zrobić. Strumień światła przepalił parapet w poprzek na wysokości piersi i dosłownie unicestwił wszystkich obrońców znajdujących się na jego drodze. Trafieni ludzie po prostu znikli pozostawiając po sobie kłęby pary i kilka przypalonych wojskowych butów.

Promień przesunął się tuż nad leżącym nieruchomo kapralem spopielając wierzch jego kurtki mundurowej, nogawki spodni i włosy. Mężczyzna wił się z bólu wywołanego poparzeniami, ale żył. Kiedy podniósł się na nogi, resztki munduru spadły z jego ciała. Nie tracąc chwili czasu popędził nagi w kierunku najbliższych schodów.

* * *

Setki ludzi należących do jednostek Tanithu, Roane i Vervun Primary uciekały z fortyfikacji na Murze wokół Bramy Ontabi, szukając schronienia w dzielnicach mieszkalnych przylegających do portu. Nieprzyjacielska artyleria strzelała teraz z bliskiego dystansu w osłabione pożarem ściany fortu i cywilne budowle graniczące z Bramą. Powłoka Tarczy wciąż pulsowała ponad Hass East, budząc bezsensowną frustrację uciekinierów. Jaką wartość przedstawiało pole siłowe, jeśli wróg przestrzeliwał się przez zrujnowane fortyfikacje ?

Dachy habitatów mieszkalnych stały już w płomieniach, a tysiące mieszkańców metropolii uciekały ulicami miesząc się w panice z rozproszonymi jednostkami wojskowymi i tarasując skutecznie wszystkie szlaki komunikacyjne. Fort Hass East zawalił się w iście wulkanicznej erupcji płomieni, a masywne wrota Bramy Ontabi uległy całkowitemu

stopnieniu w upiornym żarze ognistego piekła. W liniach obronnych Vervunhive dokonano wyłomu znacznie groźniejszego od zniszczeń poczynionych przy terminalu kolejowym Veyveyr.

* * *

Na Bramie Croe, następnej głównej fortyfikacji Muru położonej jakieś dziesięć kilometrów na południe od Ontabi, żołnierze gapili się z niemą grozą na koszmarny bombardowania obracającego w perzynę nadrzeczny odcinek Muru. Ściana ognia rozświetlała niższe warstwy burzowych chmur przywodząc na myśl wschodzące słońce.

Przebywający na Bramie Croe generał Nash natychmiast wysłał do Domu Dowódczego wyczerpujący raport oraz poprosił o znaczące posiłki dla swojego sektora. W obliczu tak poważnego wyłomu piechota wroga nie mogła znajdować się daleko.

Zaraz potem jeden z obserwatorów zameldował o ruchach nieprzyjaciela na autostradzie wiodącej do Vannick Hive, dwadzieścia kilometrów na północnym wschodzie. Korzystając z ciężkiego noktowizjera Nash wypatrzył zielone sylwety czołgów i transporterów opancerzonych, jadących w ilości kilku tysięcy prosto na nieistniejącą już Bramę Ontabi.

- Kontakt ! Powtarzam, kontakt ! Co najmniej tysiąc nieprzyjacielskich pojazdów pancernych przemieszcza się po autostradzie Vannick i przyległych terenach ! Dotrą do Hass East najpóźniej za godzinę ! Musicie natychmiast wzmocnić moje pozycje ! Potrzebuję czołgów ! Mnóstwa czołgów ! Wzywam Dom Dowódczy, odpowiedzcie ! Do cholery, odezwcijcie się !

* * *

W sali odpraw Domu Dowódczego panowała nieprzenikniona cisza, przerywana jedynie potokiem radiowych komunikatów meldujących o krytycznych uszkodzeniach linii obrony w setkach różnych jej miejsc.

Poblądli i wstrząśnięty, marszałek Croe patrzył w milczeniu na holograficzną mapę metropolii. Fortu Hass East już nie było. Gigantyczne zgrupowanie pancerne wroga zbliżało się do wschodnich rubieży miasta. Artyleria intensywnie bombardowała okolice Bramy Croe. Zoicańska piechota prowadziła szturm na Hałdę i okaleczoną Bramę Veyveyr. Inne oddziały piechoty wspierane przez ciężkie czołgi napierały w międzyczasie na Bramę Sondara oraz odcinek Muru łączący ją z Bramą Hass. Fort Hass West znalazł się pod miążdżącym bombardowaniem artyleryjskim.

Atak na wszystkich frontach. Cały garnizon metropolii został rzucony na pozycje obronne, a wyglądało na to, że Zoicanie dopiero zaczynają wprowadzać do akcji swoje rezerwy.

- Co... co teraz zrobimy ? – wymamrotał Anko, z twarzą równie białą jak jego nieskazitelnie czysty paradny uniform – Marszałku ? Marszałku Croe ? Co teraz zrobimy, Croe ? Powiedz coś, sukinsynu !

Croe uderzył swego zastępcę pięścią prosto w usta i powalił na podłogę. Potem spojrzał na Sturm.

- Pańskie propozycje, generale ? – w głosie marszałka brzmiał pospół lód i jad.

- Ja... – zaczął Sturm, ale nie powiedział nic więcej.

- Nawet nie próbuj sugerować ewakuacji, Sturm, bo zabiję cię tam, gdzie stoisz. Ewakuacja nie wchodzi w grę. Przysłano cię tutaj, byś bronił Vervunhive i to właśnie będziesz robił – podał generałowi stylizowany sygnet – Idź do aresztu, zabierz ze sobą żołnierzy. Uwolnij Grizmunda i przekaz mu komendę nad czołgami Narmenianu. Jeśli ten skurwiel Tarrian albo ktoś z jego otoczenia będzie stawiał opór, wykończ go. Natychmiast po uwolnieniu

Grizmunda oczekuję twojej obecności pod Bramą Veyveyr . Zbyt dużo czasu straciliśmy na niepotrzebne dyskusje. Vervunhive obroni się albo zginie dzisiejszej nocy.

Sturm skinął głową i wziął sygnet marszałka.

- Gdzie będzie wtedy pan, marszałku ?
- Na Bramie Sondara. To miasto nie umrze, póki ja żyję.

* * *

Pancerny władca nie otwierał się, chociaż Gaunt tłukł po nim zaciekle rękojeścią pistoletu. Komisarz, Pater i Bwelt stali zdenerwowani w snopach światła rzucanego przez automatyczne szperacze na czterdziestym poziomie kazamat metropolii. Towarzyszył im kapitan Baur, blady i zmęczony, wyrwany z głębokiego snu przez śpieszącego do aresztu Gaunta.

Komisarz odwrócił się do adwokata, dyszącego spazmatycznie po szaleńczym wyścigu w najniższe czeluście Vervunhive.

- Nie masz żadnej karty kodowej, żadnej autoryzacji ?

Pater pomachał bezradnie swym identyfikatorem.

- Karta dostępu Administratum poziomu Magenta... ale VPHC ma swoje własne prawa, własne karty identyfikacyjne. Poza tym, czy widzi pan gdzieś tutaj czytnik kart, komisarzu ?

Gaunt zdjął swoją skórzaną kurtkę i rzucił ją Bweltowi.

- Potrzyj – powiedział krótko i wyjął z pokrowca łańcuchowy miecz. Ostrze broni zajęczało charakterystycznie włączone na maksymalnym poziomie wibracji.

Komisarz wbił klingę w pancerną płytę. Ostrze zapiszczało i odskoczyło w bok syjąc na wszystkie strony iskrami i połamanymi zębami. Zawzięty oficer wcisnął je ponownie w porysowany metal i wyciął w drzwiach szczelinę kilkucentymetrowej długości. Miecz zazgrzytał agonicznie w chwili odwrócenia wektora brzeszczotu. Napinając mięśnie Gaunt pociągnął klingę w dół poszerzając otwór o dalsze kilka centymetrów. Na czole mężczyzny błyszczały krople potu.

- Sir ! – powiedział ostrzegawczo stojący z tyłu Daur.

Gaunt wyszarpnął z dziury miecz i odwrócił się w stronę oficera łącznikowego na czas, by ujrzeć nadjeżdżającą z metalicznym szczękiem klatkę windy. Kratownice zasłaniające wejście do kabiny rozsunęły się hałaśliwie, ze środka wyszedł generał Sturm ubezpieczony przez pułkownika Gilbeara i dziesięciu elitarnych Błękitnokrwistych.

- Sturm, nie pogarszaj sytuacji przez...

- Zamknij się, głupcze i opuść ten miecz – warknął Sturm. Jego przybocznicy natychmiast otoczyli czwórkę mężczyzn stojących pod wejściem do bloku więziennego. Gilbear uśmiechnął się wyzywająco do Gaunta przywołując na twarz grymas aroganckiej wyższości.

- Zabierz go stąd, Sturm, albo zrobię z nim to samo, co z drzwiami.

Gilbear podniósł swój laser, ale Sturm przytrzymał lufę jego broni.

- Wiesz, Gaunt – oświadczył generał – niemal cię podziwiam. Wiele mógłbym zdziałać mając zaledwie kilku ludzi z taką pasją jak ty w swoim regimencie. Pomimo to jednak nadal jesteś bezgranicznym głupcem zupełnie nie przystającym do prawych cywilizowanych ludzi. Zbyt dużo czasu spędziłeś z tymi tanithijskimi dzikusami i... co ty robisz, stary ośle ?!

Ostatnie słowa Sturm skierował do adwokata Patera, starannie i cicho dyktującego coś piszącym w notesie asystentowi.

- Zapisuję pańską wypowiedź, generale, na wypadek, gdyby pułkownik-komisarz zamierzał w przyszłości postawić panu zarzut zniesławienia – głos starego człowieka pozbawiony był jakichkolwiek emocji. Gaunt roześmiał się głośno.

Sturm oderwał wzrok od prawnika i pokazał komisarzowi trzymany w dłoni sygnet.

- Jeśli chcesz dostać się do środka, musisz skorzystać z tego – przytknął sygnet marszałka Croe do środka pancernego włazu. Rozległ się głuchy szczepek metalu, następnie przeciągły jęk serwomechanizmów i drzwi stanęły otworem.

Gdy wojskowi znaleźli się w środku komory kontrolnej, Sturm otworzył drugi właz i cała grupa weszła do oświetlonego sodowymi lampami wnętrza więzienia.

- Marszałek Croe polecił mi uwolnić Grizmunda. Świat wali się nad naszymi głowami, Gaunt. Zoica napiera na wszystkich frontach, czas puścić w niepamięć stare urazy.

Trzech żołnierzy VHPC nadbiegło korytarzem próbując zatrzymać intruzów. Jeden z nich zaczął pytać podniesionym głosem o tożsamość oficerów Gwardii. Gilbear i jego ubezpieczający zabili całą trójkę strzałami z biodra.

Gaunt przeskoczył trupy i kopnął z całej siły w podwójne drewniane drzwi w lewej ścianie korytarza.

Za drzwiami znajdowała się duża okrągła komnata, oświetlona ściennymi lampami o szklanych kloszach. Grizmund i jego zastępcy stali pośrodku pomieszczenia ze skutymi na plecach rękami i kapturem zarzuconymi na głowy. Kowle, Tarrian i dziewięciu wyższych rangą oficerów VPHC siedziało na niskich fotelach, zaś tuzin uzbrojonych w strzelby żołnierzy stał pod ścianami komnaty.

- Co to, u diabła?! – krzyknął Tarrian zrywając się na równe nogi.

Sturm podniósł w górę sygnet.

- Z osobistego rozkazu marszałka przerywam obrady tego trybunału. Więźniowie zostali oczyszczeni z zarzutów.

Kowle wstał ze swojego fotela.

- Rozprawa jest w toku i spełnia wszelkie wymogi prawa, zarówno planetarnego jak i Imperium. My...

- Zamknij mordę, Kowle! – zawarczał Gaunt – Miasto nad nami umiera, a ty tracisz czas poświęcając uczciwych żołnierzy w imię brudnych politycznych gier. Nigdy nie dowiedziałeś się, czym jest prawdziwa wojna, ty sukinsynu. Nie wiedziałeś tego na Balhaucie i nie nauczyłeś się tutaj!

Twarc komisarza poczerwieniała raptownie, ale to Tarrian pierwszy zabrał głos.

- Wtrącanie się do procedur sądowych VHPC jest przestępstwem pierwszego stopnia, Gaunt! Twoja głupia niesubordynacja zaprowadzi cię prosto przed pluton egzekucyjny!

- Nieprawda – oświadczył wyniośle Bwelt – Imperialny edykt 95674, podpunkt 45 stanowi, iż imperialny oficer o uprawnieniach śledczego, w tym również członek imperialnego komisariatu, może zakłócić i zawiesić wszelkie legalne planetarne postępowania sądowe bez ponoszenia konsekwencji.

- Dobrześ powiedział, chłopcze! – rozpromienił się Pater.

Gaunt spojrzał ostrzegawczo na Tarriana.

- Nie prowokuj ich.

- Kogo?

- Gilbeara i pozostałych Błękitnokrwistych. Sturm nad nimi nie panuje, a ja tym bardziej. Ode mnie możesz oczekiwać uczciwego potraktowania, od nich zaś tylko strzału między oczy – cedząc słowa przez zęby Gaunt czuł jak wszyscy obecni w pomieszczeniu przekraczają niewidzialną linię. Linię dzielącą kontrolowaną konfrontację od szaleńczej rzezi.

- Pieprzę cię, cholerny bękarcie! – Tarrian sięgnął do kabury po ukryty tam pistolet. Gilbear strzelił mu w środek klatki piersiowej. Ciało komisarza poleciało do tyłu, za roztrzaskane oparcie fotela.

Żołnierze VPHC skoczyli do przodu pociągając za spusty strzelb. Jakiś Błękitnokrwisty przetoczył się obok Gaunta ze zdławionym okrzykiem, ugodzony śrucinami w ramię. Sturm przeklinał wściekle strzelając ze swojego ceremonialnego pistoletu. Volpońscy gwardziści odpowiedzieli ogniem z ciężkich laserów.

Grizmund i jego oficerowie rzucili się na podłogę nic nie widząc spod założonych im kapturów. Gaunt chwycił i powlókł w kąt adwokata i jego asystenta, zasłaniając ich własnym ciałem przed nieprzyjacielskim ogniem. Laser Daura szczekał raz za razem.

Oddaleni od siebie zaledwie kilka metrów, w ciasnym, pełnym mebli pomieszczeniu, Volpończycy zderzyli się z żołnierzami VPHC wypełniając stęchłe powietrze odorem kordytu, krwi i śmierci.

* * *

Salvadore Sondar zadrżał. Kilka krwawych pęcherzyków powietrza oderwało się od ucha mężczyzny i popłynęło ku sufitowi zbiornika. Władca metropolii tracił siły. Szept pożerał go łapczywie, wnikał w mięśnie, krew, wdzierał się do umysłu.

Udręczony Sondar zrobił w końcu to, czego od niego żądano.

Wyłączył Tarczę.

XIII – Krwawe żniwa

„Nigdy” – marszałek wojny Slaydo w odpowiedzi na pytanie, czy istnieją czynniki zdolne zmusić go do wydania rozkazu odwrotu.

W chwili wyłączenia Tarczy w powietrzu rozległ się głuchy stłumiony huk. Szyby we wszystkich oknach metropolii rozprysły się w drobne kawałki, a temperatura spadła o całe sześć stopni w momencie, gdy chłód verghastyckiej nocy wdarł się pod nieistniejący już parasol pola siłowego. Gwałtowne zawirowanie mas powietrza pociągnęło za sobą kłęby dymu wznoszące się nad Murem i cisnęło nimi prosto w środek miasta. Rozłączone stacje przekaźnikowe Tarczy na wałach sypały deszczem iskier.

Budzący grozę lojalistów dźwięk dotarł zniecka do każdego zakamarka Vervunhive: wrzask tryumfu milionów zoicańskich żołnierzy.

Marszałek Croe, odziany w majestatyczne szaty i pancerz osobisty, wchodził właśnie w towarzystwie swej świty na Bramę Sondara i zamarł w połowie schodów gapiąc się z niedowierzaniem na czarne niebo. Pierwszą myślą marszałka było podejrzenie mechanicznej usterki bądź sabotażu, zaraz jednak odrzucił te wersje. Generatory pola siłowego ukryte były pod czujną strażą głęboko w trzewiach metropolii, a specjalne grupy inżynierskie kontrolowały ich stan co godzinę.

To było niewiarygodne. Ukryty w ciężkiej bojowej zbroi Croe czuł jak jego serce zmienia się w bryłę lodu. Bezcenny miecz energetyczny Heironymo Sondara, najświętsza relikwia Vervunhive, ciążył mu ogromnie w dłoni sprawiając wrażenie bezużytecznego śmiecia. Marszałek otrząsnął się i rozejrzał wokół, przesuwając wzrokiem po łopoczących na wietrze sztandarach swych chorążych.

- Czcigodny marszałku ? – wyszeptał jego adiutant, major Otte.

- My... – zaczął Croe próbując zapanować nad roztrzęsionym, niezdolnym do chłodnej kalkulacji umysłem. Czuł się wewnętrznie rozdarty. Pragnął z całego serca powrócić natychmiast do kompleksu Main Spine i wyrwać z korzeniami chwast gnieźdzący się na najwyższych piętrach, by przywrócić działanie Tarczy. To była robota Sondara, marszałek czuł to we krwi. Przeklęty władca marionetek przekroczył krawędź szaleństwa.

Na wszystkich liniach obronnych szalała wojna. Podwładni marszałka widzieli jego przybycie i jeśliby teraz odszedł na ich oczach, morale żołnierzy upadłoby zupełnie. Na to nie mógł pozwolić.

Nieprzenikniona cisza panująca po zwycięskim wrzasku Zoican trwała zaledwie kilka sekund, przerwana rozdierającym uszy hukiem bombardowania. Nocne niebo nad kilometrami Muru zapłonęło oślepiającym blaskiem gigantycznego szturm. Croe patrzył jak wieża artyleryjska na zachód od Bramy Sondara eksploduje, przewraca się i spada na Aleję Marszałków pociągając za sobą lawinę gruzu i ognia.

Dowódca metropolii popędził susami w górę schodów wiodąc swą zdyszanań switę. W jego ręku płonął włączony miecz, z ust płynęły pośpieszne zdecydowane rozkazy rzucane do zawieszzonego przy ustach mikrofonu.

Jeden z tych rozkazów, krótki i zwięzły, sformułowany w tajnym języku bitewnym Domu Croe, skierowany był do uszu Izaka, szefa osobistej ochrony marszałka. Wielki żołnierz noszący ciemny kompozytowy pancerz zatrzymał się na schodach u szczytu wieży, po czym zawrócił wykrzykując do komunikatora słowa potwierdzenia. Kiedy przedostał się na Aleję Marszałków, wsiadł do opancerzonego samochodu Domu Croe i odjechał natychmiast w stronę kompleksu Main Spine.

* * *

Syreny alarmowe i klaksony zaczęły wyć przeraźliwie. W obozach uchodźców i habitatach mieszkalnych wybuchła panika. Wszyscy mieszkańcy widzieli gasnącą Tarczę. Wielu z nich poświęciło wszystko, by dostać się pod jej zbawczą kopułę, a teraz zostali zdradzeni przez los.

Tratując się szaleńczo dwa i pół miliona uchodźców runęło na północ, w kierunku rzeki, całkowicie tarasując morzem ciał miejskie ulice. Do pędzących w ślepej grozie uciekinierów dołączali mieszkańcy centrum miasta, robotnicy i niżsi rangą kupcy, którzy w ułamku sekundy zostali odarci ze złudnego poczucia bezpieczeństwa. W ciągu kilku minut metropolia zamieniła się w rozszalałe mrowisko pędzące ku rzece, której nie mogło pokonać.

* * *

Lord Heymlik Chass wyrzwał przez przeszkloną ścianę swego gabinetu. Pióro wypadło z drżących rąk polityka zwięźczając efektywnym kleksem otwarty pamiętnik. Mężczyzna wstał z obrotowego fotela, podszedł do okna i przycisnął dłonie do jego chłodnej tafli.

- Och, Salvatore – powiedział przez łyzy rozpacz – coś ty uczynił ?

Jego córka wpadła do gabinetu, ubrana w długą nocną koszulę. Przerażone śmiertelnie panny do towarzystwa próbowały ją nieporadnie ubrać w welwetowy płaszcz. Gdzieś z zewnątrz pomieszczenia dobiegały stłumione okrzyki ludzi ochrony Domu Chass. Polityk spojrział w rozszerzone dziką grozą oczy córki i objął ją mocno.

- Syreny mnie zbudziły, ojczu. Co się

- Spokojnie. Wszystko będzie dobrze, Merity – pogładził jej włosy tuląc przyciśniętą do swej piersi głowę dziewczyny – Panny !

Obie kobiety spojrzały na niego wzrokiem zaszczutych zwierząt.

- Zabierzcie moją córkę do schronu aa/6. Natychmiast.

- Szambelan właśnie przygotowuje schron domowy, panie – wyjąkała panna Wholt.

- Zapomnij o schronie domowym ! Odprowadź ją do bunkra aa/6 w podziemiach miasta !

- Do schronu miejskiego ? – zapytała drżącym głosem panna Francer.

- Czyście obie są głuche i głupie ?! Do podziemi ! Natychmiast !

Panny zerwały się ciągnąc kurczowo Merity. Arystokratka przywarła całym ciałem do ojca szlochając rozpaczliwie.

- Idź, córko Domu Chass. Idź teraz. Za chwilę do ciebie dołączę. Błagam cię, zrób to !

Kobiety wybiegły z gabinetu tonąc we łzach i popędziły do najbliższej windy.

- Rudrec ! – słysząc głos swego pana dowódca ochrony Domu stanął w progu gabinetu. Wciąż dopinał klamry pancerza osobistego, ale pod ramieniem ścisnął odbezpieczoną i gotową do użycia broń. Skłonił się z szacunkiem pracodawcy.

Lord Chass rzucił ochroniarzowi mały jedwabny miszek.

- Pójdiesz razem z moją córką, upewnisz się, że bezpiecznie dotarła do schronu arystokracji. Żaden inny nie wchodzi w grę, żaden inny nie jest dostatecznie głęboko. Weź to dla niej, to garstka pamiątek rodzinnych. Bądź pewien, że ta paczuszka trafi do jej rąk.

Rudrec wsunął woreczek do wewnętrznej kieszeni swego pancerza.

- Panie, moim obowiązkiem jest odstawienie cię do...

- Jesteś dobrym człowiekiem, Rudrec. Służyłeś temu Domowi wiernie przez długi czas, zatem wykonaj i ten rozkaz.

Ochroniarz zawahał się, spojrzał prosto w oczy pryncypała po raz pierwszy i zarazem ostatni w swym życiu.

- Idź !

Pozostawiony samemu sobie, lord Chass ubrał swe ceremonialne szaty, szeroki kapelusz i jedwabne rękawice. Dygotał silnie, ale przyczyną tych dreszczy nie był strach, lecz dzika furia. Wrzucił sygnet rodowy do kieszeni szaty, założył na palec pierścień identyfikacyjny i wsunął za pas jednostrzałowy boltowy pistolet. Garść naboju wsypał do innej kieszeni.

Wyszedł na korytarz przywołując ruchem dłoni trzech członków ochrony. Zasalutowali niepewnie.

- Chodźcie ze mną – rozkazał.

* * *

W ciągu pięciu minut po wyłączeniu Tarczy zoicańska artyleria zaczęła bombardować centralne sektory metropolii. W obliczu tego kolosalnego ostrzału rodziło się podejrzenie, iż wszystkie ich ciężkie baterie, haubice samobieżne, oblężnicze moździerze i wyrzutnie rakiet czekały na ten właśnie moment, doskonale uprzednio wstrzelane i przygotowane.

Roje rakietowych pocisków przelatowały nad Murem rażąc środkową część Vervunhive. Gigantyczne eksplozje rozrywały wielkie budynki zagrządzając ulice stertami gruzu i metalowych szczątków. W dziesiątkach miejsc wybuchły pożary. Tysiące cywilów, zarówno kryjących się w domach jak i uciekających na północ arteriami miasta ginęły od odłamków lub wykrwawiały się na ulicach.

Moździerzowe pociski spadły za Bramę Sondara rozrywając się na Alei Marszałków. Rozbite wybuchami kamienne płyty latały w powietrzu ścinając z nóg biegających wokół żołnierzy, wspaniałe posągi zasłużonych dla miasta dostojników rozpadały się pośród deszczu odłamków.

Ciężki ostrzał spadł na dystrykt przemysłowy przy Bramie Croe. Rzędy warsztatów, fabryk i magazynów stawały w ogniu gigantycznego pożaru, który szybko się rozprzestrzenił, liżąc żarłocznymi płomieniami habitaty mieszkalne na zachodzie. Podobne bombardowanie, wsparte ogniem jednostek naziemnych, nękało dzielnice przemysłowe za Bramą Hass West oraz graniczący z nimi sektor miejskich elit. Siedziby gildii i ekskluzywne domy towarowe rozpadały się w gruzy.

Pociski artyleryjskie i energetyczne promienie wyrąbały w Murze blisko stumetrową wyrwę, znajdującą się w miejscu, gdzie niegdyś stał fort Hass East i Brama Ontabi. Kiedy

energetyczne działa zaczęły razić dachy wieżowców mieszkalnych i dalsze fragmenty Muru, zoicańskie oddziały pancerne wsparte rzeszą piechoty wtargnęły w wyłom nadciągając od strony autostrady Vannick. Siły lądowe najeźdźców weszły w obręb murów miasta trzynaście minut po wyłączeniu Tarczy, chociaż nie były pierwszymi oddziałami wroga depreczającymi ulice Vervunhive – palma pierwszeństwa należała do szturmowców odkrytych przez sierżanta Varla wewnątrz Muru pod fortem Hass East.

Pociski dalekosiężnej artylerii – ważące dwa tysiące kilogramów olbrzymy wystrzeliwane z kolejowych lawet na polowym torowisku daleko na sawannie – spadały z głuchym wizgiem na gęsto zabudowaną Commercię. Wielkie kompleksy handlowe obracały się w ogniste piekło, podmuchy fal uderzeniowych tylko podsycaly płomienie. Tysiące mieszkańców miasta wciąż jeszcze znajdowały się w bombardowanej dzielnicy. Większość z nich zginęła w płomieniach lub wyparowała unicestwiona monstrualnymi eksplozjami: niektóre kratery miały pięćset metrów średnicy.

Ciężkie pociski i rakiety zaczęły punktować ognistymi rozbłyskami masywne cielsko kompleksu pałacowego. W setkach miejsc adamandytowe ściany pękały pod impetem trafień, a na przynajmniej dziewięciu poziomach wybuchły niekontrolowane pożary. Dom Nompherenti na poziomie 68 otrzymał bezpośrednie trafienie ciężką rakietą zapalającą i cała arystokratyczna linia została unicestwiona w przeciągu kilku minut. Jej członkowie konali w męczarniach paleni żywcem w kosztownych apartamentach. Sam lord Nompherenti, od stóp po głowę spowity w płomienie, pędził krzycząc przeraźliwie przez kilkaset kroków, po czym skoczył z balkonu swego gabinetu. Jego płonące ciało spadało niczym kometa tysiąc pięćset metrów, prosto na dachy dystryktu centralnego.

Generał Xance, mający pod swymi rozkazami siedmuset żołnierzy NorthColu, próbował przedrzeć się przez ogniste piekło na zachód od Bramy Croe, gdy na jego konwój spadła artyleryjska nawałnica. Serie pocisków zaczęły rozrywać się przy jadących w ciasnej kolumnie ciężarówkach i transporterach opancerzonych. Pojazd za pojazdem wylatywał w powietrze siejąc we wszystkich kierunkach rozerwanymi blachami, szrapnelami wybuchającej amunicji i płonącym paliwem. Żołnierze NorthColu wyskakiwali z maszyn uciekając w obie strony ulicy, ale eksplozje dosięgały ich bezlitośnie. Samochód ciężarowy generała został przewrócony detonacją pocisku, który rozerwał się na poboczu drogi. Ogłuszony na kilka minut, Xance ocknął się leżąc na szczątkach wozu i krwawych strzępach ludzi ze swej ochrony. W powietrzu dostrzegął ulotną purpurową zawiesinę przypominającą mgłę, będącą w rzeczywistości kroplami ludzkiej krwi. Spróbował się poruszyć, zrezygnował jednak czując potworny ból. Oderwana przekładnia skrzyni biegów przygwoździła go do ziemi.

Odsunął na bok część nogi leżącej na jego piersi, zakaszał dławiąc się krwią. Zepchnął z siebie okrwawiony ludzki tors z naszywkami NorthColu na kikutach ramion, potem oderwaną ręką.

Zamrugał oczami patrząc na nią. To była jego ręka.

Pociski spadały wszędzie wokół rozświetlając ciemność zmierzchu tak jaskrawymi rozbłyskami, że błyskawicznie wypaliły one nerwy wzrokowe generała. Nic nie słyszał, bo bębunki popękały mu w pierwszych chwilach ostrzału. Głuchy i ślepy, wyczuwał kanonadę poprzez wstrząsy ziemi i podmuchy fal uderzeniowych.

Xance był niemal ostatnim z siedmuset żołnierzy NorthColu, którzy zginęli na ulicy opodal Bramy Croe. Wykrwawił się na śmierć wyjąc w dzikiej furii, zanim jeden z pocisków nie trafił w jego ciało obracając je w popiół.

* * *

Miotający się w Domu Dowódczym wicemarszałek Anko ucichł, jego głos zniżył się do chrapliwego szeptu nie wytrzymując już przeraźliwych wrzasków mężczyzny. Oficer stanął

przy holograficznej mapie taktycznej metropolii nie zwracając uwagi na biegających wokół przerażonych sztabowców.

Mapa sprawiała wrażenie bezsensownego zbioru danych. Runy migotały na jej powierzchni w niekontrolowany sposób próbując odwzorować w graficzny sposób nadmiar danych spływających przez przeciążone komputery sztabowe. Zgasły na oczach wicemarszałka, by po chwili zapalić się ponownie, przedstawiały jednak tylko bazowe ustawienia służb garnizonowych sprzed wybuchu wojny.

Anko zaczął cofać się od stołu taktycznego nie mogąc znieść coraz głębszej ciszy zapadającej w Domu Dowódczym. Rozpiął bluzę swego uniformu, poluzował ściskający opasły brzuch pas i wyjął z kabury automatyczny pistolet.

Strzelił w mapę osiem razy karząc ją w ten sposób za nieposłuszeństwo, potem zmienił magazynek i zastrzelił dwóch uciekających przed nim adiutas tantów. Próbował krzyczeć, ale z gardła wydarł mu się tylko zdławiony wizm wściekłości, rozpacz i strachu.

Podbiegł do żelaznych schodów, przechylił się przez poręcz i zaczął strzelać do ludzi na niższym poziomie sali operacyjnej, dosięgając kulami dalszych pięciu sztabowców. Jakiś komputer eksplodował deszczem iskier. Komisarz Langana i dwaj serwitorki wpadli na wicemarszałka, przewrócili go na podłogę próbując obezwładnić. Anko strzelił Langanie w lewe oko, po czym opróżnił resztę magazynku w otwarte usta serwitorki, rozrywając mu pociskami wierzch czaszki.

Odepchnął drugiego serwitorki, wstał i odwrócił się w kierunku wielkiego okna szukając jednocześnie następnego magazynku. Adiutanci pierzchali w popłochu na wszystkie strony.

Wtedy ujrzał raketę. Odniósł wrażenie, że dostrzega wszystkie jej detale, nawet jaskrawy wzór wokół obłogo nosa, chociaż wiedział, że to niemożliwe przy prędkości raketowego pocisku.

Nawet obłoczki wylotowe gazów i pracujące lotki stateczników.

Raketa wpadła do Domu Dowódczego przez wielkie panoramiczne okno, wbiła się w przeciwną ścianę i eksplodowała. Chmura szklanych igieł odarła masywne ciało wicemarszałka Anko do kości na milisekundę przed wybuchem, który zniszczył Dom Dowódczy.

* * *

Salwa pocisków wystrzelonych z samobieżnych haubic trafiła w kopułę dachu bazyliki Eklezjarchii. Licząca dwa tysiące lat budowla, która przetrwała Wojny Osadnicze, Bunt Kolonialny, konflikt pomiędzy domami Gavunda i Piidestro oraz niezliczone miejskie rozruchy i zamieszki – teraz rozpadła się niczym szklana zabawka. Dach rozleciał się w promieniu kilometra rażąc ludzi milionami ostrych dachówek, grube na dwa metry kamienne ściany runęły pośród słupów ognia. Bezcenne relikwie, niemal tak wiekowe jak samo Imperium, spłonęły wraz ze strzegącymi ich kapłanami. Po okolicznych ulicach płynął roztopiony ołów ściekający z dachu i okien bazyliki.

Liczni czciciele imperialnego kultu, zarówno mieszkańcy metropolii jak i sami klerycy, którzy zdołali cudem przeżyć tragiczny upadek świątyni, rzucili się do panicznej ucieczki przed siebie, straciwszy zniemacka całkowicie swą wiarę w boską opatrzność.

* * *

Na Bramie Croe generał Nash próbował przegrupować swoje oddziały i przynajmniej ich część przerzucić w kierunku wyłomu w Bramie Ontabi, chociaż roańska sekcja Muru też odparowała ciężkie natarcie wroga.

Łączność z Domem Dowódczym była zerwana, brakowało posiłków. Dysponując wyłącznie raportami podwładnych Nash ocenił swój kontyngent na 1500 roańskich Deepersów i jakieś 3500 żołnierzy Vervun Primary. Wciąż czekał na wsparcie ze strony generała Xance i NorthColu, ale dręczyły go złe przecucia w tym względzie. Ogłuszający huk artyleryjskiej nawałnicy przyprawiał o ból głowy.

Nash służył w piechocie od chwili wstąpienia do Gwardii i miał okazję w swym życiu poznać najgorsze strony wojennego rzemiosła. W ciągu kilku pierwszych godzin Wielkiego Szturmu przerósł wszystkich innych oficerów w Vervunhive efektywnością dowodzenia. Zostawił część swych jednostek na Bramie Croe, po czym na czele dwóch trzecich formacji udał się na północ, do Bramy Ontabi i wyłomu.

Roańscy Deepersi Nasha, nigdy nie należący do specjalnie poważanych regimentów Imperialnej Gwardii, udowodnili ponad wszelką wątpliwość swą wartość w trakcie nocnych walk na wschodnim krańcu Muru. Powitali wkraczających do metropolii Zoican skoordynowanym ogniem laserów i zawziętą walką wręcz.

Deepersi, krytykowani często za lenistwo i tendencję do szukania najmniejszej linii oporu, zatrzymali inwazję w obrębie Ontabi na dobre dwie i pół godziny. Tysiąc Roańczyków – wspartych przez oddziały Vervun Primary – zlikwidowało cztery i pół tysiąca zoicańskich najeźdźców oraz blisko sto pojazdów pancernych.

Nash poległ w ruinach habitatów tuż przed świtem, postrzelony dziewiętnaście razy w chwili, gdy Zoicanie przełamali jego ostatnią linię obrony i rozlali się po mieście. Wycofujący się w głąb metropolii roańscy i vervuńscy żołnierze nie ustępowali, tocząc bezlitosne walki o każdą ulicę i każdy dom, z wszystkich sił próbując zwolnić marsz nieprzyjacielskich kolumn prących w stronę centrum Vervunhive.

* * *

Na Bramie Sondara zoicańscy najeźdźcy przystawili do Muru drabiny i wieże oblężnicze próbując nieustępliwie wdrzeć się na blanki fortyfikacji. Marszałek Edric Croe stracił już rachubę ochrowych żołnierzy zabitych eberr jego energetycznym ostrzem, gdy z ciemności nocy wychynęła gigantyczna machina wojenna przypominająca kształtem modliszkę. Wielkie metalowe szpony uderzyły w wieże strzegące obu krańców Bramy Sondara i zawałyły je bez trudu.

Kiedy długie kończyny maszyny znieruchomiały, przestrzeń pomiędzy nimi znikła zastąpiona wysuwającą się z korpusu modliszki segmentową podłogą będącą podestem dla zoicańskich szturmowców. Biegająca tą rampą rzesza najeźdźców zalała pozycje obrońców na blankach Muru.

Croe runął w przepaść, gdy masywne ramiona maszyny zniszczyły frontowe parapety blanków na Bramie Sondara.

Wciąż jeszcze żył leżąc bezwładnie w gruzach za zawałoną Bramą, gdy nadciągający z zewnątrz zoicańscy żołnierze wchodziłi na Aleję Marszałków dobijając wszystkich dających znaki życia obrońców.

Marszałek Croe skonał – połamany, pokryty grubą warstwą brudu i nierozpoznawalny w swym strzaskanym pancerzu – z zoicańskim bagnetem wbitym prosto w serce.

XIV – Imperialna sztuka umierania

„Wierny wobec Tronu i lojalny poza śmierci granicę” – motto volpońskich Błękitnokrwistych.

- Wystarczy ! – warknął Gaunt. Kanonada rozbrzmiewająca w ciasnym pomieszczeniu urwała się. Powietrze przesycone było zapachem ozonu, spalonego prochu i krwi. Ciała żołnierzy VPHC leżały na podłodze i przewróconych krzesłach wraz z jednym czy dwoma Błękitnokrwistymi.

Pół tuzina komisarzy VPHC, kilku z nich rannych, zostało zapędzonych do kąta komnaty, gdzie wściekły Gilbear i jego podkomendni najwyraźniej zamierzali dokonać na jeńcach polowej egzekucji.

- Wstrzymać ogień ! – rozkazał Gaunt występując przed Gilbeara, który uparcie nie chciał opuścić swego lasera – Wstrzymać ogień, powiedziałem. Przybyliśmy tutaj, by przerwać obrady nielegalnego trybunału. Nie róbmy kolejnego błędu biorąc egzekwowanie prawa w swe ręce.

- Możesz nas oczyścić z zarzutów, jesteś komisarzem ! – odparł złowrogo Gilbear, a otaczający go Błękitnokrwisci poparli oficera gniewnie.

- Nie mamy czasu. Ty tam, znajdź kajdanki. Zakuć tych sukinsynów i do cel z nimi.

- Zrób, co ci kazano, Gilbear – powiedział Sturm chowając do kabury pistolet. Gwardziści zaczęli wrzucać żołnierzy VPHC do kazamat. Gaunt rozejrzał się po komnacie. Pater siedział na podłodze oparty o jedną ze ścian, Bwelt klęczał obok niego wycierając pobludłą twarz i ściskając jednocześnie kurczowo swój notatnik. Daur uwalniał narmeriańskich więźniów.

Pokój stał się areną krwawej konfrontacji. Elitarni żołnierze Sturmą zlikwidowali dwie trzecie więziennego garnizonu w akcji, która trwała zaledwie dwie minuty i kosztowała życie trzech Błękitnokrwistych. Tarrian nie żył, leżał nieruchomo z wypaloną na wylot klatką piersiową.

Gaunt podszedł do Kowle. Komisarz Vervunhive siedział na jednym z ocalałych krzesel z pochyloną nisko głową, palce zaciskał na poparzonej wiązce lasera bicepsie prawej ręki.

- To twój koniec, Kowle. Wiesz doskonale, jak ordynarne nadużycie prawa miało tutaj miejsce. Osobiście dopilnuję końca twej kariery. Publiczne pohańbienie... dla Bohatera Ludu.

Kowle podniósł powoli głowę i spojrzał w złe oczy Gaunta. Nic nie powiedział, bo też nic nie było do powiedzenia.

Gaunt oderwał wzrok od nieprzeniknionych beżowych oczu komisarza. Pamiętał doskonale pierwsze tygodnie kampanii na Balhaucie. Jako członek sztabu marszałka Slaydo pierwszy usłyszał o brutalnych incydentach z udziałem komisarza Kowle i szybko utwierdził się w przekonaniu, że oficer ten uosabia najgorsze cechy instytucji komisariatu Gwardii. Po jednym wyjątkowo bezwzględny wypadku, gdy Kowle zakatował na śmierć żołnierza za nieprawidłowo założoną czapkę, Gaunt użył dyskretnie swych wpływów w otoczeniu marszałka i załatwił komisarzowi przeniesienie na południowozachodni kontynent, z dala od głównej linii frontu. Transfer ten okazał się początkiem regresu kariery komisarza – regresu, który w końcu przywiódł go do służby garnizonowej w Vervunhive.

Nie mógł pozostawić tej sprawy bez uczciwego zakończenia. Odwrócił się ponownie do siedzącego w milczeniu Kowle'a.

- Dano ci tutaj szansę, Pius, szansę zrobienia czegoś dobrego. Posiadasz wszystkie przymioty potrzebne komisarzowi, ale zabrakło ci samokontroli. Zbyt zajęty byłeś cieszeniem się władzą i prestiżem najwyższego rangą oficera Gwardii na tym świecie.

- Przestań – wysyczał Kowle – Nie pouczaj mnie. Nie używaj mojego imienia jak przyjaciela. Zawsze bałeś się mnie, bo ja posiadam siłę, której tobie brak. Tak właśnie było na Balhaucie gdy kręciłeś się niczym piesek pokojowy wokół Slaydo. Uważałeś, że szybko cię usunę w cień, dlatego zepchnąłeś mnie na boczny tor.

Gaunt otworzył usta ze zdumienia nie wiedząc, co właściwie odrzec.

- Tak właśnie pomyślałeś ? – wykrztusił w końcu – Że odsunąłem cię od służby polowej, by ułatwić sobie karierę ?

- Tego się dowiedziałem – odparł Kowle wstając i ścierając ślady zaschłej krwi z policzka – Mówiąc szczerze, nawet się cieszę z takiego końca. Mogę odejść do piekła ze świadomością, że ty też przegrałeś. Vervunhive jest już dla nas stracone, nie przetrwa z ludźmi takimi jak ty i Sturm u władzy. Ty po prostu nie masz jaj.

- W przeciwieństwie do ciebie ? – Gaunt zaśmiał się posępnie, bez cienia wesołości w głosie.

- Ja poprowadziłbym to miasto do zwycięstwa. To kwestia odwagi, żelaznej woli i umiejętności podejmowania decyzji niepopularnych, lecz służących większemu dobru.

- Cieszę się, że los nie dał ci szansy przekonania się na własnej skórze o konsekwencjach takiego założenia, Kowle. Odłóż broń i dystynkcje.

Kowle stał przez chwilę nieruchomo, po czym cisnął na podłogę swój pistolet i zdarte z czarnego munduru naszywki. Gaunt popatrzył na nie przez moment i odszedł.

- Proszę zapoznać mnie z sytuacją na górze – powiedział do Sturma – Gdy przybył pan do więzienia, padła uwaga o kolejnym szturmie wroga.

- Uderzenie na wszystkich frontach. Nie wygląda to dobrze, Gaunt – Sturm unikał kontaktu wzrokowego z dowódcą Tanithijczyków – Marszałek Croe rzucił do walki wszystkie rezerwy.

- Sir ?

Gaunt i Sturm spojrzeli za siebie. Kapitan Daur stał opodal z bladą twarzą, w ręku trzymał elektroniczny notes.

- Użyłem więziennego terminala, by połączyć się z Domem Dowódczym. Uznałem, że będzie pan sobie życzył bieżących informacji i... – głos młodego oficera załamał się zniechęca.

Gaunt zabrał mu notes i zaczął czytać pośpiesznie przesuwając za pomocą kursorów tekst. Z trudem wierzył własnym oczom. Informacje pochodziły sprzed trzydziestu minut. Tarcza nie działała. Gigantyczny szturm połączony z bombardowaniem artyleryjskim pustoszył miasto. Zoicańskie jednostki weszły już w obręb Muru.

Komisarz spojrział na Grizmunda i jego zastępców, prostujących zdrętwiałe ręce i pijących łączywie wodę. Przybył tu zajęty kwestią prywatnego wymierzania sprawiedliwości i to wystarczyło, by pod jego nieobecność w mieście rozpełtało się piekło.

Nagle zwątpił, czy zastanie jeszcze cokolwiek prócz zgłiszczy po powrocie na powierzchnię metropolii.

* * *

Pod połączonym dowództwem majora Rawne i pułkownika Cordaya oddziały trzymające pozycje za Bramą Veyveyr walczyły przez sześć godzin pomimo nieustannego ostrzału artyleryjskiego wroga. Morze napływających do metropolii zoicańskich żołnierzy zdawało się nie mieć końca, a pusta przestrzeń przed Bramą w obrębie setek metrów kwadratowych pokryta była grubą warstwą trupów najeźdźców. Wzdłuż linii przemysłowych budowli na Hałdzie snajperzy Mkolla i Ormona powstrzymywali napór nieprzyjaciela precyzyjnym ogniem specjalistycznej broni.

Mkoll wywołał drogą radiową Rawne widząc, że zapasy amunicji snajperów kurczą się w zastraszającym tempie. Obaj Tanithijczycy wysyłali rozpaczliwe prośby o wsparcie do Domu Dowódczego, ale sztab nie odpowiadał, a żadnemu z nich nie przypadł do gustu widok łuny gigantycznych pożarów szalejących w głębi metropolii.

Larkin, ukryty w małej montażowni wraz z Domorem i MkVennerem, osobiście zastrzelił trzydziestu dziewięciu Zoican. Był to jego najlepszy wynik we wszystkich przeżytych kampaniach, ale mały snajper nie miał czasu ani ochoty świętować. Im dłużej zabijał, tym bardziej wspomnienia nagiej twarzy zoicańskiego szturmowca wdzierały mu się w pamięć.

Na krańcu pozycji obronnych Veyveyr Braggowi skończyły się rakiety do ręcznej wyrzutni. Cisnął ją między gruzy bez żalu, bo i tak się przegrzała. Automatyczny pistolet

gwardzisty zaciął się po kilku strzałach, więc szeregowiec popędził okopem w kierunku pobliskiego gniazda karabinu maszynowego, którego załoga została zastrzelona przez napastników. Swe potężne ciało Bragg starał się utrzymywać poniżej parapetu umocnień, nad którymi powietrze pruły wiązki laserowego światła.

Dotarł do ustawionego na trójnogu karabinu i chwycił za uchwyt broni kładąc palec na spuście. Kątem oka dostrzegł jak strzelający opodal Feygor wygina się konwulsyjnie i pada na plecy. Ładunek lasera trafił go w kark.

Przydzielony do opieki nad okopem Lesp podbiegł do Feygora pozostawiając postrzelonego w brzuch Volpończyka, nie mającego już żadnych szans na przeżycie.

- Co z nim ? – wrzasnął Bragg.

Lesp walczył z oszalałym z bólu Feygorem zakładając mu na zwęgloną skórę wilgotne kompresy i próbując oczyścić tchawicę.

- Jego gardło jest zatkane ! Na fetha, przytrzymaj go !

Bragg posłał krótką serię przed siebie, po czym porzucił karabin i skoczył w stronę niskiego medyka. Wydawało mu się, iż musi włożyć całą swą imponującą siłę, by utrzymać w miejscu miotającego się rozpaczliwie Feygora. Lesp pracował z posępną desperacją. Promień lasera wypalił ranę, toteż skóry żołnierza nie plamiła najmniejsza kropla krwi, jednakże ciepło wyzwolone energią kinetyczną wiązki stopiło krtań Ducha uniemożliwiając mu oddychanie.

Oczy Feygora były wytrzeszczone i pełne przerażenia, a usta poruszały się bezgłośnie w rytm szeptanych przekleństw.

- Feth ! – warknął Lesp i cisnął za siebie mały skalpel sięgając po noszony w pochwie srebrny tanithijski nóż. Wbił jego czubek w gardło Feygora tuż pod pod tchawicą i wyciął w ciele otwór dostatecznie duży, by wcisnąć w niego plastikową rurkę doprowadzającą powietrze do płuc. Adiutant zaczął oddychać zachłannie, z wylotu tuby dobiegało chrapliwe rżenie.

Lesp krzyknął coś, ale jego słowa zagłuszył huk rozrywającego się opodal pocisku artyleryjskiego.

- Co ?!

- Musimy go stąd zabrać !

Bragg bez słowa protestu zarzucił Feygora na ramię i pobiegł wąskim okopem w głąb tanithijskich pozycji.

* * *

Tanithijskie plutony, które trzymały Bramę Veyveyr dwie noce wcześniej opuściły swój tymczasowy obóz i ruszyły na południe natychmiast po wyłączeniu Tarczy. Dowodził nimi pułkownik Corbec, wśród jego ludzi szedł też pluton sierżanta Baffelsa.

Z braku rozkazów Domu Dowódczego Corbec postanowił przemieszczać się na zachód podczas gdy pułkownik Bulwar kierował swe oddziały na wschód, chcąc wesprzeć pozycje lojalistów pod Bramami Veyveyr i Croe. Pośród gęstej zabudowy przemysłowej opodal niegdyś dumnego terminala kolejowego Veyveyr Corbec wpadł w ogień krzyżowy wroga prowadzony z zachodu. Dowódca Tanithijczyków z grozą uświadomił sobie, iż Brama Veyveyr wciąż opiera się najeźdźcom, ci natomiast szeroką falą wdzierają się do metropolii poprzez Bramę Sondara. Po zajęciu pozycji obronnych w kompleksie przetwórczym Gildii Rolniczej Githran Corbec zaczął szukać łączności radiowej z majorem Rawne lub pułkownikiem Cordayem.

Corday w końcu się odnalazł. Corbec stracił dłuższą chwilę na przekonanie volpońskiego oficera o zagrożeniu ze strony nieprzyjaciela, który znalazł się już w głębi miasta i zaczynał wchodzić na tyły południowej linii obrony.

* * *

Każdy wybrał sobie pośpiesznie okno, krztusząc się nieustannie pyłem wzbijanym ze starych podłóg i ścian przy każdym wstrząsie eksplozji.

Milo widział dziury wypalone w ścianach wiązkami laserów, słyszał syk płonących żarłocznie miotaczy ognia. Wróg był na wyciągnięcie ręki.

Wychylając się z okien strzelali zgodnie z wytycznymi sierżanta Baffelsa. Nikt nie miał całkowitej pewności, że trafił cel. Filain i Tokar pokrzykiwali za każdym razem buńczucznie kwitując zgon potencjalnej ofiary.

Rhys, stojący okno dalej za Milo, przestał strzelać i pochylił się do przodu gestem wyczerpanego człowieka. Brin wyjął baterię z lasera i zawołał coś do towarzysza, ale urwał w pół słowa widząc mały okrągły otwór pośrodku czoła Rhysa.

Pobliski magazyn wyleciał w powietrze i cały budynek zakołysał się w posadach. W komunikatorach rozbrzmiał głos pułkownika Corbeca, twardy i spokojny zarazem.

- To jest ta chwila, chłopcy. Zróbcie to dobrze albo tu zginiemy.

Milo włożył do broni nową baterię i zaczął strzelać zza parapetu okna.

* * *

Ponad trzystu tanithijskich gwardzistów wciąż jeszcze odpoczywało bez przydziału liniowego w magazynach chemicznych Domu Gavunda, gdy Tarcza znikła i rozpoczęła się nocna rzeź obrońców. Sierżant Bray, najwyższy rangą oficer oddziału, polecił wszystkim ubrać się i pobrać broń, po czym zaczął wywoływać Dom Dowódczy.

Sztab Vervunhive nie odpowiadał. Bray pojął, że nie zdoła porozumieć się z Corbecem, Rawne i Gauntem – ani żadnym innym dowódcą armii. Nieliczne wciąż pracujące komunikatory zapchane były potokiem panicznych transmisji pogłębiających jedynie i tak już powszechny chaos.

Bray podjął najtrudniejszą decyzję w swoim życiu. Nakazał podległym sobie gwardzistom opuścić kwatery i poprowadził ich na gruzowisko za ogrodzeniem kompleksu magazynowego – ogromną połać ruin będących pozostałością po pierwszym dniu bombardowania.

Była to trafna decyzja. Gaunt często pouczał swoich podwładnych, Bray zaś słuchał uważnie. Ruch naprzód, w kierunku Bramy Sondara i odległej o trzy kilometry Alei Marszałków, byłby niewskazany bez uprzednich wieści o sytuacji na tamtym obszarze. Pozostanie w kompleksie magazynowym wiązało gwardzistów pośród ciasnej zabudowy trudnej do obrony czy nawet tylko zabezpieczenia.

Obrócona w gruzy dzielnica bardzo przypadła do gustu sierżantowi. Tutaj Duchy mogły okopać się porządnie, ukryć i przygotować solidną linię obrony.

Ostrzał z ciężkich moździerzy obrócił w płonące zgliszcza magazyny Gavundy zaledwie dwadzieścia minut po wyjściu z nich ostatniego Ducha.

Pół godziny później na gruzowisko weszły pierwsze jednostki szturmowe Zoican. Zostały wystrzelane na przedpolu tanithijskich pozycji. W ciągu następnych godzin ludzie sierżanta Bray'a zatrzymali w miejscu ponad dwa tysiące zoicańskich żołnierzy tworząc zator powstrzymujący nieprzyjaciela prącego na centrum miasta od strony Bramy Sondara.

Wkrótce pojawiły się zoicańskie czołgi, nadeżdżające uliczkami łączącymi się z Aleją Marszałków. Były to lekkie, szybkie wozy pancerne zbudowane z myślą o wsparciu piechoty, pomalowane na żółtawy kolor i pokryte siatką maskującą. W obrotowych wieżyczkach miały szybkostrzelne podwójnie sprzężone działka małego kalibru. Przezorny Bray zabrał z koszar wszystkie ręczne wyrzutnie rakiet i granatniki, więc jego gwardziści zaczęli polować na czołgi pośród ruin habitatów pozostawiając swe lasery w przygotowanych uprzednio kryjówkach. W ciągu trzech godzin zaciekłych walk Tanithijczycy zniszczyli dwadzieścia

zoicańskich wozów. Wąskie ulice zostały zatarasowane wrakami palących się pojazdów, wtedy jednak do dzielnicy zaczęły wjeżdżać z metalicznym łoskotem ciężkie czołgi i samobieżne haubice.

Caffran syknął czując kopnięcie wyrzutni. Mógłby przysiąc, że wystrzelona z niej rakietą trafiła prosto w wielką lufę opasłego czołgu oblężniczego, odrywając w ułamku chwili jego wieżyczkę. W powietrzu zaświstały szrapnele i kawałki gruzu. Caffran schylił się i zaczął kluczyć wśród ruin w poszukiwaniu kolejnej kryjówki, szeregowiec Trygg biegł tuż za nim taszcząc zasobnik z raketami.

Obaj słyszeli krzyki sierżanta Braya wydającego opodal pośpieszne rozkazy. Caffran skoczył do nieczynnego kanału i zaczął brnąć w głębokim po tydki błocie. Trygg zawołał coś z tyłu, ale Caffran nie zwracał na niego uwagi. Deszcz padał coraz silniej. Pozbawione ochronnej powłoki Tarczy, dzielnice miasta były zraszane strugami lejącej się z niebios wody. Rejon broniony przez Duchy zmienił się w istne trzęsawisko po zaledwie kwadransie opadów. Szeregowiec dotarł do zrujnowanego habitatu i zaczął szukać wzrokiem odpowiedniej pozycji strzeleckiej. Sto metrów dalej tanithijskie wyrzutnie rakiet z charakterystycznym dźwiękiem miały ładunki w stronę napierających czołgów wroga. Co kilka sekund nad głowami mężczyzn gwizdał przeciągle przelatujący czołgowy pocisk.

Caffran miał przemoczone ubranie. Deszcz ograniczał widoczność do zaledwie trzydziestu metrów. Gwardzista wspinał się po częściowo zniszczonych schodach na drugie piętro budynku, w połowie zarwane i pozbawione jednej ściany, podkradł do jednego z rozbitych panoramicznych okien.

- Przynies kilka rakiet ! – zawołał do ładowniczego.

Trygg krzyknął niczym nadeptany kot i runął na podłogę, przecięty na dwie połowy na wysokości pasa. Noszący żółtawe kombinezony szturmowcy wpadli między ruiny pod Caffranem strzelając w chaotyczny sposób. Jedna z laserowych wiązek trafiła w przewieszony przez pierś Trygga pas z granatami. Wybuch cisnął Caffranem w powietrze i zrzucił go prosto pomiędzy napastników.

Ledwie zdążył podnieść się na nogi, już byli wokół. Pierwszemu wbił po rękojęść w wizjer hełmu swój tanithijski nóż, drugiego znokoutował ciosem trzymanej oburącz wyrzutni. Trzeci strzelił do gwardzisty z biodra, ale chybił.

Caffran poderwał w górę swą broń i pociągnął za mechanizm spustowy. Rakietą trafiła Zoicę w brzuch, uniosła na dobre dwadzieścia metrów w powietrze, po czym rozerwała w drobne kawałki.

Za plecami Ducha rozległa się seria wystrzałów i jakiś martwy szturmowiec potracił Caffrana przewracając się na ziemię. Spojrzał zaskoczony przez ramię.

Trzymając w ręce podarowany jej pistolet Tona Criid wychyliła się z kryjówki za zburzoną klatką schodową i zabiła następnego Zoicę dwoma precyzyjnie wymierzonymi strzałami. Caffran chwycił ją za rękę i powlókł w kierunku sąsiedniego habitatu, w ostatniej chwili uchodząc przed większą grupą szturmowców obchodzących jego pozycje.

Kryjąc się w cieniu zniszczonego budynku dwoje ludzi spojrzało wzajemnie na swoje pokryte warstwą brudu, sadzy i zaschlętego potu twarze.

- Caffran – przedstawił się.

- Criid – odpowiedziała.

Zoicanie już deptali im po piętach, byli za rogiem habitatu.

- Miło poznać – mruknął.

* * *

Winda zdołała dotrzeć do piętra –6, po czym wewnątrz zgasło światło i klatka zatrzymała się z przeraźliwym piskiem dartego metalu. Sadza i pył sypały się z góry spadając upiornym

deszczem w głąb szybu. Mężczyźni wyczołgali się na brzuchach przez otworzone ręcznie drzwi i stanęli w kiepsko oświetlonym korytarzyku prowadzącym do małej przepompowni wody. Gaunt i Bwelt wyciągnęli ostrożnie z windy ledwie dyszącego Patera zdecydowanie odmawiał dalszego marszu.

i usadzili go na podłodze. Stary prawnik dyszał i zdecydowanie odmawiał dalszego marszu.

Ludzie Gilbeara zabezpieczyli korytarz przepatrując wszystkie kąty z gotową do strzału bronią. Daur pilnował Kowle'a, Sturm próbował zapalić trzymane w kąciku ust cygaro. Narmeniańscy czołgiści nie wypuszczali z rąk automatycznych strzelb zabranych zabitym żołnierzom VPHC.

- Gdzie jesteśmy ? – zapytał Bwelta Gaunt.

- Poziom –6. Sekcja podziemna, sir.

- Potrzebujemy dostępu do schodów.

W głębi korytarza jeden z Volpończyków krzyknął, że znalazł schody.

- Zostań z nim i poczekaj, aż odpocznie – rozkazał aplikantowi Gaunt wskazując palcem bladego jak ściana Patera, potem podszedł do Grizmunda.

- Natychmiast po dotarciu na powierzchnię kieruj się do swej jednostki.

Generał potwierdził skinieniem głowy otrzymany rozkaz.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy. Jakiego kanału mam użyć do komunikacji ?

- Dziesięć dziewięćdziesiąt gamma – odparł Gaunt wybierając starą częstotliwość Hyrkańczyków – Idę na szczyt kompleksu włączyć Tarczę. Użyj tego kanału do koordynacji działań. Słowo kodowe to „Wujek Dercius”.

- Wujek Dercius ?

- Spróbuj nie zapomnieć, dobrze ?

Grizmund ponownie kiwnął głową.

- Jasne. I nie zapomnę tego, co dzisiaj dla nas zrobiłeś, pułkownikukomisarzu.

- Idź i udowodnij mi, że się nie myliłem w twym względzie – parsknął Gaunt – Potrzebuję całej narmeniańskiej siły bojowej, jeśli mam utrzymać to miasto.

Pancerniacy pobiegli w górę schodów.

- Widzę, że objąłeś komendę, Gaunt – powiedział ze złośliwym sarkazmem Sturm.

- Z braku obecności innych wysokich oficerów...

Szyderczy uśmiech natychmiast znikł z twarzy Sturma.

- Wciąż jestem najwyższym oficerem Gwardii w tym mieście, Ibramie Gaunt. Może o tym zapomniałeś ?

- Pewnie tak, tyle czasu upłynęło przecież od chwili, gdy ostatni raz wydałeś jakiś rozkaz, Nochesie Sturm.

Zacięte twarze obu mężczyzn dzieliły teraz zaledwie centymetry. Komisarz nie zamierzał ustępować.

- Nie mamy wyjścia, drogi pułkownikukomisarzu. Ogłaszam pełny odwrót taktyczny.

Vervunhive jest skazane na zagładę. Takie rzeczy się zdarzają, musisz się z tym pogodzić.

- Dla ciebie może jest to oczywiste, musisz mieć większe doświadczenie w uciekaniu z pola bitwy ode mnie.

- Ty cholerna świno ! – Gilbear wściekł się słysząc słowa komisarza. Gaunt zdzielił go pięścią w twarz przewracając na podłogę.

- Wstawaj, Gilbear, i stań się wreszcie pożyteczny ! Mamy cholernie ciężkie zadanie przed sobą i potrzebny mi każdy Volpończyk.

Błękitnokrwisci podeszli bliżej obserwując uważnie konfrontację oficerów, dołączył do nich nawet wciąż zdyszany Pater.

- Trzeba ponownie uruchomić Tarczę. To priorytet. Żeby to zrobić, musimy dostać się na szczyt miasta. Nie prowokuj idiotycznej bijatyki, lada chwila będziesz miał okazję się wykazać.

Gaunt wyciągnął w dół swą dłoń. Potężny Volpończyk popatrzył na nią w milczeniu i zaakceptował gest. Komisarz pomógł mu wstać.

- Przekonajmy się zatem, jakim właściwie żołnierzem jesteś, pułkowniku – wycedził przez zęby Gilbear.

* * *

Wspięli się schodami na drugie piętro, gdzie odkryli kilka wciąż funkcjonujących wind szybkiebieżnych. Masywna budowla drżała wyraźnie przyjmując na siebie ognisty deszcz zoikańskiego bombardowania. Stłoczeni w kabinie windy Volpończycy uważnie sprawdzili swoje lasery. Sturm stał w milczeniu na uboczu. Gaunt przysunął się do Daura i jego więźnia.

- Ban ?

- Sir ?

- Potrzebuję planów górnej części metropolii. Wszystkiego, do czego masz dostęp.

Ban Daur zaczął przeszukiwać pamięć swego elektronicznego notesu.

- Salvadore Sondar sprawuje całkowitą kontrolę nad mechanizmem Tarczy – powiedział zniecka Kowle – Rezyduje na piętrze 700. Jego pałac jest strzeżony zgodnie z procedurami stopnia Obsydian.

Gaunt spojrzał badawczo na Bohatera Ludu.

- Przez moment odniosłem wrażenie, że próbujesz nam pomóc, Pius.

Kowle splunął z pogardą na podłogę windy.

- Naprawdę nie zamierzam umrzeć, Ibram. Znam to miasto. Wiem, w jaki sposób funkcjonuje. Byłbym faktycznie takim skurwysynem, za jakiego mnie masz, jeśli nie zaoferowałbym tej wiedzy.

- Więc mów.

- Salvadore był prawdopodobnie szaleńcem już w chwili, gdy pierwszy raz go spotkałem. To samotnik, większość czasu spędzający w specjalnie dla niego skonstruowanym zbiorniku kriogenicznym. Posiada absolutną kontrolę nad zaawansowanymi systemami obrony miasta. Są one neuralnie sprzężone z jego mózgiem. Jeśli chcesz ponownie uruchomić Tarczę, musisz w pierw rozprawić się z Wielkim Mistrzem Vervunhive.

Klatka windy zatrzęsała się wraz z całym kompleksem w odpowiedzi na odległą eksplozję. Gaunt obserwował przez kraty drzwi mijane poziomy budowli. Najpierw ujrzał ciąg pustych korytarzy, wkrótce potem za przeszklonymi barierkami pojawiły się tłumy szarpiących za drzwi cywilów. Kilka poziomów zostało strawionych pożarem, na innych dostrzegł skurczone, wysuszone truchła ludzi uśmierconych niewiarygodnie wysoką temperaturą, tkwiących w bezruchu tuż pod drzwiami windy.

Jedno piętro stało w ogniu i pasażerowie windy skulili się instynktownie na widok płomieni szalejących za drzwiami kabiny.

Daur podał Gauntowi swój notes, na ekranie urządzenia widniał schemat górnych poziomów kompleksu.

Jeszcze tylko czterysta pięter, pomyślał Gaunt obserwując zapalające się na liczniku windy kontrolki, i poznam osobiście Wielkiego Mistrza.

* * *

Lord Chass i jego trzech strażnicy dotarli do piętra 700 i weszli ostrożnie na teren apartamentów Domu Sondar przez rozsunięte częściowo wrota pancerne. Strzały padły kilka sekund później i jeden z ochroniarzy runął na błyszczącą posadzkę z przestrzeloną głową.

Chass podniósł swą broń, pozostali dwaj strażnicy odrzucili z ramion płaszcze odpowiadając ogniem, ich pociski zrywały metalowe zaczepy wiszące na biegnących pod sufitem atrium prowadnicach.

Laserowa wiązka ugodziła dostojnika w lewe kolano. Zraniona kończyna załamała się pod ciężarem ciała i mężczyzna upadł twarzą na podłogę. Ból wydawał się niewiarygodny, ale z ust Chassa nie wydostał się najmniejszy jęk. Obaj żołnierze Domu skoczyli w kierunku swego mocodawcy i zginęli w tej samej chwili od serii laserowych krech.

Krew wyciekała bardzo szybko ze strzaskanej nogi. Lord Chass wiedział już, że nie pozostało mu wiele czasu. Zaczął czołgać się do przodu, po kilka centymetrów, plamiąc krwią drogi puszysty dywan. Nie widział, kto do niego strzela i z jakiego miejsca. Atrium zbudowano z zielonego kamienia i ozdobiono sztandarami Domu Sondar. Okrągłe kryształowe lampy wisiały na ozdobnych łańcuchach wysoko pod sufitem. Na drugim krańcu rozległego pomieszczenia łukowate przejście wiodło do komnaty audiencyjnej, kaplicy Sondarów i prywatnej części kompleksu.

Polityk usiadł za jednym z kamiennych cokołów i włożył do pistoletu nowy nabój. Przez chwilę myślał o próbie sięgnięcia po jeden z porzuconych laserów swej ochrony, ale broń leżała na odkrytej przestrzeni, a tajemniczy obrońcy rezydencji Sondara wciąż siali po całym atrium wiązkami energii.

Chwilę potem strzelanina umilkła. Trójka serwitorów wyłoniła się spod arkady: zakapturzona kobieta, nagi młodzieniec o skórze pokrytej grubą warstwą złotej farby oraz stwór z trudem przypominający ludzką istotę. Poruszali się konwulsyjnie, z oczami pozbawionymi śladu życia, w rękach trzymali wszczepione w ciało lasery. Sunęli w kierunku Chassa przemieszczając się dzięki płataninie prowadnic sufitowych, niczym potworne marionetki sterowane przez okrutnego aktora. Chociaż ich oczy się nie poruszały, lord wiedział, że znają jego miejsce ukrycia – kierowali się odczytami z czujników ciepła i ruchu wmontowanych w ściany atrium. Kiedy drgnął lekko, w kierunku cokołu posypały się kolejne strzały – tym razem został postrzelony w lewą łydkę i stopę. Wypalił w odpowiedzi ze swego pistoletu i ciężki pocisk rozerwał głowę nagiego młodzieńca. Serwitor nawet nie zwolnił.

Salwa z broni automatycznej rozdarła przestrzeń atrium i podziurawione kulami marionetki pospadały z zerwanych linek. Czterech mężczyzn przecisnęło się przez główną bramę. Chass poznał po kolorze ich pancerzy osobistych straż przyboczną Domu Croe. Grupą dowodził Isak. Oficer ochrony klęknął przy rannym arystokracie podczas gdy jego ludzie zabezpieczali atrium, skłonił się z szacunkiem i wyjął z kieszeni środki opatrunkowe.

- Przysłał cię marszałek ?
- Otrzymałem polecenie podjęcia wszelkich środków niezbędnych do ponownego uruchomienia Tarczy, panie. Oznacza to także prawo do likwidacji Wielkiego Mistrza Sondara i jego sług.

Nareszcie Croe zaczął ze mną współdziałać, pomyślał Chass. Pośpieszna praca Isaka nie sprawiała mu żadnego bólu, ciało wydawało się lodowacieć.

- Pomóż mi wstać – polecił ochroniarzowi – Do ponownej aktywacji Tarczy będziesz potrzebował odczytu linii papilarnych głowy Wysokiego Domu.

Isak pokiwał głową i złapał oburącz lorda niosąc go niemal w powietrzu. Zza arkady dobiegły odgłosy kolejnej strzelaniny.

W podłużnej sali o szklanym dachu położonej tuż za atrium, pełnej marmurowych kolumn i biegnących na wysokości półpiętra drewnianych balkonów, ludzie Isaka natknęli się na kolejnych serwitorów Sondara. Niektóre marionetki kryły się za balustradami balkonów, inne

oczekiwały intruzów w przejściach między kolumnami. Ludzie marszałka zostali przyciśnięci do podłogi silnym ogniem zaporowym.

Lord Chass, opierający się całym ciałem na ramieniu Isaka, pochwycił w nozdrza dziwny zapach przywodzący na myśl korzenne przyprawy, słodkawy i subtelny.

- Co tak pachnie ? – powiedział do siebie samego.
- Chaos – odparł Ibram Gaunt.

Chass i Isak cofnęli się od futryny arkady i spojrzeli na nadchodzących środkiem atrium mężczyźn. Daur, Kowle i Sturm zamykali pochód, Gilbear razem z komisarzem szli na czele. Wszyscy nieśli gotową do użycia broń.

- Chyba sprowadza nas tutaj wspólny cel – powiedział szorstko Gaunt. Machnął dłonią w stronę Gilbeara i na zwięzłe polecenie volpońskiego oficera trzech z siedmiu Błękitnokrwistych natychmiast dołączyło do strzelających pod arkadą żołnierzy ochrony Domu Croe.

- Sic semper tyrannis – wyszeptał Chass i uśmiechnął się słabo do Gaunta – Pewien byłem, że przysłużysz się szczerze Vervunhive...

Głos dostojnika był ledwie słyszalny. Komisarz spojrział na rany lorda. Nogawka spodni wręcz ociekała od krwi, chociaż Isak umiejętnie założył opaskę uciskową wysoko na udzie mężczyzny. Gaunt pochwycił chmurny grymas na twarz przybocznego marszałka. Obaj doskonale wiedzieli, że Chass umiera. On sam również zdawał sobie z tego sprawę.

- Chciałbym ujrzeć nasze zwycięstwo przed swą śmiercią, pułkownikukomisarzu.

Gaunt skłonił głowę i odwrócił się do Volpończyków.

- Koniec z marnotrawieniem czasu ! Zajmijcie tamtą komnatę, już !

Gilbear odpowiedział drapieżnym uśmiechem i poklepał znacząco grubą łufę podwieszonego pod swój laser granatnika.

- Można ? – zapytał.

- Zezwalam ! – zgodził się komisarz – Każ swoim ludziom cofnąć się za osłonę ! – rozkazał Isakowi i rosy officer ochrony rzucił w swój komunikator kilka pośpiesznych poleceń.

Gilbear i jeden z jego podwładnych wykrzyczeli tryumfalnie bitewne zawołanie Volpone i zaczęli słać jeden granat za drugim w głąb bronionej sali. Granatniki stękały rytmicznie w kilkusekundowych odstępach. Długa seria nakładających się na siebie wybuchów spustoszyła komnatę rozbijając w drzazgi balustrady i szklany dach pomieszczenia. Przez łukowate przejście do wnętrza atrium wałyły kłęby dymu, kurzu i pyłu.

Zanim dym zdążył zrzednąć, Volpończycy wdarli się do sali, wrzeszcząc i strzelając z biodra. Pomimo osobistej animozji Gaunt nie mógł odmówić Błękitnokrwistym profesjonalizmu. Byli dobrze wyszkolonymi i bardzo efektywnymi szturmowcami, miał już okazję przekonać się o tym na Monthaxie. Teraz ludzie Gilbeara ponownie udowodnili swą wartość.

Trzymając w rękach boltowy pistolet i łańcuchowy miecz Gaunt wpadł do sali, tuż za nim biegle ochroniarze Domu Croe. Daur i Sturm pozostali przy rannym lordzie Chass, Kowle natomiast wędrował sobie nieśpiesznie i pozornie bez celu w ślad za resztą grupy.

Pomieszczenie leżało w gruzach, pośród szczątków drewnianych galeryjek i boazerii wałyły się szczątki serwitów. Jedna z marionetek kołysała się w powietrzu nad głowami mężczyźn, zawieszona na poplątanych linkach nośnych. Błękitnokrwisci rozproszyli się po sali wymieniając strzały z chowającymi się w bocznych aulach serwitorami.

- Którędy dalej ? – zwrócił się do Chassa Gaunt, ale ranny dygnitarz był półprzytomny z upływu krwi.

- Sala audiencyjna jest w głębi po lewej – wyjaśnił Isak.
- Co miałeś na myśli mówiąc o zapachu Chaosu ? – zapytał nagle trzeźwym głosem Chass.

- Zaraza odpowiedzialna za skorumpowanie Ferrozoicy jest tutaj. Dostała się do Domu Sondara. To dlatego ten skurwiol wyłączył Tarczę. Kowle mówił, że Sondar jest podłączony do systemów komunikacyjnych miasta. Idę o zakład, że tą właśnie drogą został zainfekowany.

- Uważasz, że systemy też uległy uszkodzeniu ?

- Nie. Sondar wierzył w kłamstwa sęczone mu wprost do umysłu. Jego prawdopodobna choroba psychiczna tylko to ułatwiła.

Komisarz spostrzegł podwójne bogato ornamentowane drzwi.

- Za mną – wydał rozkaz podnosząc w górę włączony miecz łańcuchowy. Volpończycy stłoczyli się tuż za oficerem.

Gaunt otworzył z trzaskiem drzwi i wpadł pomiędzy serwitörów stojących w poczekalni. Tnąc i rąbiąc wibrującym ostrzem zniszczył większość marionetek, resztę dobili ludzie Gilbeara.

Rozległa komnata audiencyjna pogrążona była w półmroku rozjaśnianym słabym światłem ściennych lamp. W ciepłym powietrzu unosił się silny korzenny zapach, muślinowe draperie na ścianach poruszały się w podmuchach pracujących wentylatorów. W jednym z rogów sali znajdował się duży metalowy zbiornik pokryty bogatymi płaskorzeźbami z brązu. W jego korpusie widniało pojedyncze okrągłe okienko.

- Widzę cię. Kim jesteś ? – elektronicznie zniekształcony głos zdawał się dobiegać z wszystkich stron.

Gaunt ruszył w kierunku zbiornika.

- Jestem przedstawicielem władzy Imperium na tym świecie.

- To ja sprawuję tutaj władzę – odparł głos – Jestem Wielkim Mistrzem Vervunhive, ty zaś niczym. Widzę cię i wiem, że jesteś niczym. Odejdź.

- Salvadore Sondar – jeśli wciąż jest ci nieobce to miano – twoje rządy dobiegły końca. W imieniu Boga Imperatora i dla ratowania tej planety rozkazuję ci poddać się i uznać zwierzchność Imperialnej Gwardii.

- Poddać się ?

- Zrób to. Inna alternatywa nie istnieje.

- Nie możesz mi zagrozić. Wyzwoliciel Asphodel obiecał mi absolutną władzę nad tym światem. Szept mi to objawił.

- Asphodel to pomiot Osnowy, a jego obietnice nie posiadają żadnej wartości. Daję ci ostatnią szansę.

- Ja zaś daję ci TO !

Serwitor wszedł do sali przez tajemne drzwi ukryte pod muślinową zasłoną. Makabryczna fascynacja Sondara żywymi marionetkami była znana i szeroko komentowana przez pozostałe arystokratyczne rody. W ciągu poprzednich lat wielokrotnie krytykowano kontrowersyjne pomysły Sondara i technologie chowu serwitörów.

Ten stwór był czymś znacznie gorszym od koszmarnego wymysłu szalonego eksperymentatora. Kryło się w nim widmo Osnowy: tysiąc osiemset kilogramów żywej wagi tworzyło bestię większą od hyrkańskiego antlerdona, upiorną składankę ludzkich części ciała wszczepionych chaotycznie w cielsko stepowego bawołu. Liczne kończyny wiły się niczym macki, niektóre z nich zakończone dłońmi, inne zwierzęcymi pazurami, jeszcze inne wilgotnymi ssawkami. Masywny, pozbawiony oczu łeb zdawał się składać w głównej mierze z pyska pełnego ostrych jak igły kłów, płaską czaszkę wieńczyły rozłożyste rogi bawołu. Cielsko stwora oplatała pajęczna sieć kabli, przewodów i linek, ale w przeciwieństwie do innych marionetek Sondara ta bestia poruszała się na własnych kończynach, mnąc i rozdzierając pod swym ciężarem delikatny dywan.

Odór Chaosu był nie do zniesienia.

Gilbear i jego Volpończycy cofnęli się kilka kroków zszokowani. Sturm wrzasnął w skrajnej grozie, jeden z żołnierzy ochrony Domu Croe cisnął broń i uciekł w panice.

Potwór runął do przodu z szybkością całkowicie przeczącą swym rozmiarom. Zbliżając się wydał z siebie przeraźliwy skowyt wściekłości. Gaunt uskoczył w bok i upadł pchnięty mackowatą kończyną. W miejscu dotknięcia skórzany płaszcz poczerniał i zaczął się dymić.

Gilbear pociągnął dwa razy za spust wypalając okrągłe dziury w brzuchu bestii, na dywan trysnęła ohydna brejowata wydzielina. Trafiony końcem rogu pułkownik Błękitnokrwistych wyleciał w powietrze jak szmaciana lalka. Reszta gwardzistów strzelała z szaleńczą desperacją cofając się krok za krokiem. Na cielsku serwitora wykwiwały otwory, po skórze ciekły płyny organiczne i wodnista krew. Odstrzelone ludzkie ramię upadło na podłogę wijąc się i skręcając niczym żywa istota.

Krzyczący przeraźliwie Volpończyk został przebity na wylot jednym z rogów i uniesiony w powietrze, gdzie skonał po chwili w męczarniach. Inny nie zdążył uskoczyć i zginął zmiażdżony cielskiem bestii, jedynym śladem po nim stał się pas krwi, kości i kawałków połamanego pancerza znaczący podłogę za mutantem. Ręce i macki serwitora chwyciły trzeciego gwardzistę, przytrzymały kurczowo i zaczęły rozdzierać na ćwierci. Upiorny krzyk agonii Błękitnokrwistego utonął w zwierzęcym ryku potwora.

Gaunt zerwał się z podłogi, wymierzył i przestrzelił rozrywanemu gwardziście głowę. Pakował pocisk za pociskiem w opasły brzuch serwitora, wrywając w jego tkance wielkie krwawiące rany. Pistolet szczęknął w końcu wieszając koniec amunicji.

Serwitor zawrócił w miejscu z dzikim zawrotem, ruszył na komisarza pochylając nisko uzbrojony w rogi łeb, na którym wciąż wisiało martwe ciało przebitego Volpończyka. Rogi przeorały ścianę komnaty zrywając wielki kawał kompozytowej okładziny. Gaunt uskoczył, zamachnął się łańcuchowym mieczem. Zębate ostrze przeleciało nad łbem bestii i odcięło jeden z rogów. Komisarz ponownie przetoczył się przez ramię, uchodząc w śmierdzącej ślinie.

ostatniej chwili przed szeroko otwartą paszczą. Obryzgały go krople śmierdzącej śliny.

Koncentrując uwagę na Gauncie, bestia zignorowała resztę Volpończyków, którzy natychmiast to wykorzystali strzelając w jej nogi i zad. Zadawane przez nich rany najwidoczniej nie sprawiały jej większego bólu niż ukąszenia owadów.

Komisarz wiedział, że w masywnym cielsku serwitora kryje się demoniczna jaźń, nienaturalna siła życiowa wykraczająca dalece poza granice zwykłego biologicznego organizmu. Jeśli mutant posiadał mózg lub jakieś inne istotne organy, strzelanie w nie i tak nie miało sensu. Ten stwór nie żył w normalnym tego słowa znaczeniu, nie można go było zabić w taki sam sposób jak zwykłego śmiertelnika.

Daur włączył się do strzelaniny wraz z ochroniarzami Croe, Kowle sięgnął po porzucony laser jednego z zabitych Volpończyków. Chass leżał nieruchomo w odległym kącie, przypuszczalnie nieprzytomny. Nigdzie nie było widać śladu Sturma.

Gaunt dźgnął serwitora ponownie, wbijając łańcuchowe ostrze głęboko między żebra. Z metalowej powierzchni broni buchnęły kłęby żrących oparów. Komisarz zaklął z rozpaczą. Delane Oktar, jego mentor i opiekun, wręczył mu ten miecz na Darendarze, kiedy Gaunt był jeszcze nieopierzonym kadetem. Strzegł tej broni przez cały czas, podczas służby z Hyrkańczykami, u boku Slaydo na Balhaucie, na Tanith oraz całej ścieżce wojennej Duchów. Jej zniszczenie okrutnie go zabolowało, czuł się jakby tracił część siebie samego.

Przekręcił ostrze wewnątrz ciała bestii. Trawiony silnymi kwasami miecz dosłownie rozpuścił się, a ukryta w rękojeści bateria eksplodowała z hukiem. Impet wybuchu odrzucił Gaunta wstecz.

Stwór sięgnął po niego łbem, chwytając zębami za czubki butów. Isak i dwaj Volpończycy osłonili komisarza ogniem ściągając na siebie uwagę serwitora. Kiedy mutant odwracał się w ich stronę, Gaunt poczuł, że ktoś go ciągnie po podłodze. Gilbear. Jego napierśnik zbryzgany

był krwią, a w oczach paliła się zimna wściekłość. Dociągnął komisarza w pobliże zbiornika Sondara.

Następny Volpończyk wpadł prosto w paszczę potwora i został pożarty w ułamku chwili. Ściany i muślinowe draperie sali audiencyjnej wręcz ociekały krwią. Kreatura dopadła Isaka odgryzając jednym kłapinięciem szczęk głowę i ramiona oficera ochrony, jego martwe okaleczone ciało znikło pod nogami potwora.

- Broń ! – krzyknął Gaunt do Gilbeara.

- Zgubiłem ! – odkrzyknął Błękitnokrwisty szukając wzrokiem swojego lasera. Nie widząc go wyszarpnął z kabury na udzie ciężki automatyczny pistolet o masywnej lufie i zaczął umieszczać pocisk za pociskiem w karku serwitora.

Gaunt odszukał swój boltowy pistolet i wymienił magazynek na pełny. Postanowił, że zabije tego stwora przed śmiercią. Na Tanith, zrobi to !

Marionetka uśmierciła kolejnego ochroniarza Domu Croe i rzuciła się na stojących ramię w ramię Daura i Kowle. Z paszczy serwitora wypadały kawałki przeżutego ludzkiego mięsa. Obaj mężczyźni nie okazali śladu lęku, lokując w cielsku potwora kolejne wiązki laserów, równie dobrze mogli go jednak okładać drewnianymi kijkami. W ostatniej chwili uskoczyli w przeciwne strony. Daur przeskoczył bezwładne ciało Chassa i klęknął próbując przeładować broń. Kowle poślizgnął się na trupie volpońskiego gwardzisty, upadł na podłogę. Bestia skręciła w jego stronę.

- Cofaj się ! – wrzasnął ostrzegawczo Gaunt widząc, że Bohater Ludu szuka czegoś przy pasie zabitego. Razem z Gilbearem strzelali w daremnej próbie zatrzymania bestii.

Kowle wstał w ostatnim momencie, wyprostował się i wyciągnął w stronę serwitora swoje ręce. W obu dłoniach trzymał wiązki granatów. Marionetka odgryzła mu kończyny powyżej łokci i odrzuciła uderzeniem łba, ale z ust mężczyzny nie wydarł się najmniejszy jęk.

Potwór zakrztusił się, przełknął i eksplodował od środka niczym nadmuchana bańka. Kawał zebra gwizdnął w powietrzu i wbił się w ścianę obok Gaunta niczym groteskowy oszczep. Płomienie buchały z szeroko rozwartego pyska. Bestia runęła na podłogę zrywając część sufitowych przewodnic, rosnąca pod nią kałuża płynów organicznych trawiła w kłębach oparów dywan.

Gaunt i Gilbear podeszli ostrożnie do trupa.

- Potrzebujemy miotacza ognia. Trzeba to spalić, jak najszybciej.

- Tak jest, pułkownikukomisarzu – odparł Gilbear i ruszył w stronę swych ocalałych gwardzistów. Kowle, leżący na plecach w kałuży krwi, wciąż jeszcze żył. Gaunt klęknął przy nim.

- Mówiłem ci... że nie miałeś... nigdy jaj... – wyszeptał ledwie słyszalnym głosem Bohater Ludu.

Gaunt nie wiedział, co odrzec.

- Zazdrościłem ci...

- Czego ? – komisarz pochylił się bliżej twarzy umierającego.

- Balhautu... byłeś tam wraz z marszałkiem... w chwili zwycięstwa... zazdrościłem ci tego... dałbym wszystko... żeby też tam wtedy być...

- Pius...

- Zamknij się, Gaunt... nie interesuje mnie, to... co chcesz powiedzieć... zabrałeś mi honor, zniszczyłeś mnie... mam nadzieję, że Imperator... wybaczy ci to, żeś pozbawił Terrę tak... wielkiego przywódcy jak ja...

Gaunt pokręcił głową, sięgnął do jednej z kieszeni bluzy, wyjął z niej naramienniki i ryngraf komisarza. Z ostrożnym pietyzmem umieścił je na mundurze Kowle. Bohater Ludu najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, co robi jego rywal, chociaż jego spojrzenie już gasło, a z kikutów rąk sączyły się tylko nikłe strumyczki krwi.

- Żegnaj, komisarzu. Dałeś z siebie wszystko.
Gaunt zasalutował krótkim gestem, którego nie czynił od bardzo dawna.
Kowle uśmiechnął się słabo, kącikami ust, i umarł.

* * *

Komisarz zbliżył się do zbiornika.

- Ocuć lorda Chassa. Uruchom ponownie Tarczę – wydał rozkaz Daurowi. Vervuński kapitan pobiegł bez słowa wypełnić polecenie.

Gilbear dołączył do stojącego przed okrągłym okienkiem zbiornika Gaunta. Obaj spojrzeli do środka.

- Powiedz mi, w jaki sposób mogę spłacić mój dług wobec ciebie, im szybciej, tym lepiej – odezwał się Gaunt nie patrząc na volpońskiego pułkownika.

- Jaki dług ?

- Odciągnąłeś mnie od bestii. Nie zamierzam posiadać żadnych zobowiązań wobec tak pyszałkowatego palanta jak ty, jeśli mogę je spłacić.

- Chyba cię nie doceniłem, Gaunt – wyszczerzył zęby Gilbear – Pojęcia nie miałem, że aż taka z ciebie arogancka świnią.

Gaunt spojrział na Błękitnokrwistego z ukosa. Nie wierzył, by kiedykolwiek powstała więź przyjaźni czy nawet tylko zaufania między nim i wyniosłym Volpończykiem, ale nie mógł odmówić swemu antagoniście szacunku i wyważonego podziwu. Gilbear był oddanym sługą Imperatora. Obaj mężczyźni nie musieli się wcale lubić, by efektywnie wykonywać swą robotę, wystarczała odrobina zrozumienia i wzajemny respekt.

Komisarz spojrział ponownie w okienko, Gilbear zrobił to samo.

W gęstej zawieszynie wód płodowych dostrzegli wątle, skurczone nagie ciało, dryfujące nieznacznie w środka zbiornika. Czaszka człowieka podłączona była do pęku kabli biegnących w kierunku sufitu.

- Będziemy rozliczeni, jeśli pozwolisz mi to zakończyć – oświadczył Gilbear.

- Jest twój.

- Doprawdy ? – sarknął Błękitnokrwisty przeładowując swój znaleziony po drodze laser – Nie masz obiekcji ? A co z braniem prawa w swoje ręce ?

- Oczyszczę cię z wszelkich zarzutów. Jestem komisarzem. Czyż nie to niedawno powiedziałeś ?

Gilbear cofnął się i strzelił dwa razy w okienko. Fala cuchnącej zielonej cieczy trysnęła ze zbiornika, buchały z niej kłęby pary. Volpoński oficer odczekał, aż woda rozleje się po pomieszczeniu, po czym zajrzał ponownie do komory obserwując dygoczące konwulsyjnie ludzkie ciało miotające się po dnie pustego zbiornika. Zaspokoiwszy swą ciekawość wstrzelił do środka granat i odszedł zadowolony. Stłumiony wybuch był ostatnim dźwiękiem słyszonym przez Wielkiego Mistrza Vervunhive.

Daur doprowadził lorda Chassa do konsoly w rogu komnaty i pomógł mu uruchomić sekwencję inicjującą Tarczę. Konający polityk w ostatniej chwili podał oficerowi łącznikowemu kody zabezpieczające. Zmarł nim Gaunt zdążył do niego dotrzeć.

Runiczne ikony zamigotały na konsolocie domagając się weryfikacji linii papilarnych upoważnionej osoby. Komisarz chwycił za dłoń Chassa i przytknął do płytki czytnika jeden z jego palców.

- Sic semper tyrannis, lordzie Chass – wyszeptał Gaunt.

- Widział nasze zwycięstwo ? – zapytał Daur.

- Widział wiele. To my musimy zdecydować, czy to będzie nasz tryumf.

Automatyczne systemy sterowania uruchomiły się z cichym pomrukiem. Głęboko w podziemiach Vervunhive powróciły do pracy gigantyczne transformatory. Pylon pokrył się

siatką wyładowań elektrycznych, a działające jeszcze stacje przekaźnikowe Tarczy wysunęły swe składane maszty.

Z głośnym trzaskiem i wszechobecnym zapachem ozonu Tarcza znów zapłonęła ponad metropolią.

Ibram Gaunt opuścił salę audiencyjną Domu Sondara i wszedł na taras widokowy wieńczący szczyt pałacu Wielkiego Mistrza. Tysiące pożarów trawiły metropolię, na ulicach trwały zaciekle walki. Kopuła pola siłowego pulsowała z trzaskiem.

Tak rozpoczęła się Bitwa o Ostatnią Rubież.

XV – Dzień trzydziesty piąty

„Cel i pal ! Po naszej śmierci nas poznają !” – generał Coron Grizmund na początku narzeniańskiego kontrataku.

W nocy pomiędzy trzydziestym czwartym i trzydziestym piątym dniem wojny Vervunhive znalazło się na krawędzi całkowitej zagłady. Pokonawszy najgorszy kryzys lojaliści rozpoczęli skoordynowany, powolny odwrót w głąb miasta, wykrwawiający napierającego nieprzyjaciela. Pomimo miazdzącej przewagi militarnej po włączeniu Tarczy Zoicanie mogli atakować wyłącznie jednostkami naziemnymi, a gęsta zabudowa miasta i wąskie ulice faworyzowały obrońców.

Corday i Rawne wycofali swoich ludzi spod Veyveyr na dobre pół godziny przed zamknięciem tej strefy przez atakujące z flanki zoicańskie oddziały wchodzące do miasta przez Bramę Sondara. Bataliony piechoty NorthColu i Vervun Primary przegrupowały się na zachód z zamiarem wsparcia rozbitych Roańczyków, wciąż zaciekle opierających się Zoicanom idącym od strony Bram Croe i Ontabi. W tym sektorze władzę nominalną sprawował pułkownik Bulwar.

Pięć tysięcy veruńskich żołnierzy pod rozkazami kapitana Cargina wciąż trzymało fort Hass West, chociaż kolumny zoicańskiej piechoty zaczynały już zachodzić ich z flanki przez dystrykty chemiczne.

W dzielnicach mieszkalnych na południe od Main Spine obrońcy próbowali stworzyć stabilną linię oporu. Sierżant Bray przemieścił swych Tanithijczyków na północne granice dystryktu chemicznego, jednostki Volpone, NorthColu i Vervun Primary okopały się na wschodzie sektora, natomiast Corbec i jego podkomendni wraz z grupą Roańczyków majora Relfa zajęli pozycje w dzielnicy fabrycznej.

Wszędzie toczyły się zażarte i bezlitosne walki. Budynki Gildii Rolniczej Githran były bronione od wczesnych godzin rannych, ale plutony Corbeca goniły już resztkami sił i amunicji, nie było też żywności. Duchy walczyły nieprzerwanie od sześciu godzin. Zoicańskie gaśnicowe miotacze ognia krążące po autostradzie miejskiej północpołudnie cały czas uniemożliwiały lojalistom uzupełnienie amunicji zaoferowanej przez lepiej zaopatrzonych Roańczyków, broniących się pół kilometra dalej na wschód.

Tanithijczycy zmuszeni zostali do polowania na porzuconą amunicję nieprzyjaciela, skradając się po pobojowisku dwójkami lub trójkami. Po włączeniu Tarczy ostrzał artyleryjski najeźdźców nie był już tak dokuczliwy, ale wrogie czołgi i moździerze wciąż stwarzały spore zagrożenie.

Baffels wyszeptał komendę. Milo, Neskon i Cocoer wyskoczyli z dołka za zdemolowanym parkanem i pognali zakosami w stronę spalonego sklepu odzieżowego. Dremmond ubezpieczał ich obserwując okolicę z palcem na spuście miotacza ognia. Tanithijczycy zatknęli na swe karabiny bagnety. Tylko Cocoer miał jeszcze sprawną baterię, ale miała mu wystarczyć na zaledwie kilka strzałów.

Sześciu martwych Zoican leżało pod tylną ścianą sklepu. Duchy opadły ich niczym stado sępów i zaczęły obdzierać z ekwipunku. Każdy trup miał przy pasie po sześć, siedem baterii oraz granaty o długich trzonkach.

Milo rozejrzał się wokół. W powietrzu świstały laserowe wiązki, a grunt pod nogami był śliski i zdradliwy mimo kopuły Tarczy ponownie chroniącej miasto przed potokami ulewy. Chłopiec pchnął Neskona na ziemię. Seria zoicańskiego strzelca przestębnowała ceglaną ścianę sklepu wzbijając obłoczki kurzu.

Grupa szturmowców przedzierała się przez ruiny na zachód od sklepu. Cocoer włożył do lasera nowy akumulator i posłał w kierunku Zoican dwie wiązki. Chybił, ale zmusił ich do poszukania osłony.

- Jesteśmy tu przygwożdżeni – syknął do mikrofonu Milo.
- Czekajcie – w słuchawce zatrzeszczał głos sierżanta Baffelsa.

Potwierdzili odbiór rozkazu. Nskon wysunął na chwilę głowę zza osłony i w jego kierunku natychmiast posypały się kolejne strzały.

- Pośpiesz się, Baffels – zaczął się niecierpliwić Milo. Słyszał już chrzęst gruzu pod ciężkimi butami podchodzących szturmowców.
- Jeszcze chwila – odpowiedział spokojnie sierżant.

Gdzieś w pobliżu rozległy się następujące szybko po sobie strzały z lasera dużej mocy.

- Droga wolna ! Wiejcie stamtąd ! – oświadczył Baffels.

Milo ruszył pierwszy, Nskon i Cocoer tuż za nim. Biegnąc spojrzął przez ramię na nieruchome ciała szturmowców, leżące w gruzie z hełmami precyzyjnie przestrzelonymi na wylot.

Brin uśmiechnął się bezwiednie. Trójka Duchów wpadła do niewielkiej fabryczki chowając się za grubą kompozytową ścianą. Reszta plutonu stłoczyła się wokół odbierając zdobyczne baterie i granaty.

Milo przesunął wzrokiem po dziurawym dachu fabryczki i dostrzegł siedzącego w jednym z lufcików Larkina. Tanithijscy snajperzy zdołali wycofać się z Hałdy bez strat własnych. Chłopiec wiedział, że zastrzeleni pod sklepem Zoicanie zginęli z ręki prawdziwego mistrza. Posłał Larkinowi pełen wdzięczności uśmiech, zmęczony mały snajper odpowiedział tym samym.

Milo podał baterię Baffelsowi.

- Następnym razem twoja kolej – zażartował.
- Jasne – skinął głową sierżant, który poczucie humoru stracił wiele godzin temu.

* * *

- Colm ?

Corbec wyrzwał z wykopanego w ziemi dołka, jego gładko ogolona czaszka pokryta była grubą warstwą brudu i sadzy. Wyszczrzył zęby w uśmiechu na widok równie umorusanej twarzy sierżanta Mkolla.

- Jesteś w samą porę.
- Szliśmy tak szybko jak to tylko było możliwe. Psie syny zajęły Hałdę, musieliśmy im ją oddać.

Corbec klepnął dowódcę zwiadowców w ramię.

- Wyciągnąłeś wszystkich ?
- Tak, Domora, Larkina, MkVennara, wszystkich chłopaków. Rozstawiłem ich wzdłuż naszych linii.
- Dobra robota. Potrzebujemy tu wsparcia snajperów. Feth, ależ to parszywa robota !

Podnieśli głowy słysząc gniewne głosy w głębi na wpół zawalonego magazynu tuż obok dołka Corbeca. Nadchodzili vervuńscy żołnierze noszący karabiny o długich lufach.

- Tak zwani Hałdziarze – wyjaśnił Mkoll – Powołani do obrony tej sterty żużlu. Zajęło mi trochę czasu przekonanie ich do odwrotu. Gotowi byli trzymać pozycje do samego końca, to dla nich kwestia honorowa.

- Cóż, rozumiemy pojęcie żołnierskiej dumy, prawda? – skrzywił się Colm.

Mkoll kiwnął głową i wskazał dowódcę Hałdziarzy, rosłego mężczyznę o przekrwionych oczach, który najgłośniejszymi pokrzykiwał i przeklinał.

- To Pieprzony Ormon. Szef tej bandy.

Corbec wyprostował się przed wielkim Verghastytą.

- Corbec, Pierwszy Tanithu.

- Major Ormon. Żądam szczegółowych wyjaśnień, pułkowniku. Pański sierżant nakazał nam bezwarunkowy odwrót z Hałdy i...

- Walczymy tu o nasze cholerne życia, a ty domagasz się wyjaśnień – uciął wypowiedź Vervuńczyka Corbec – Zamknij się i zacznij myśleć! Mkoll dokonał właściwego wyboru. Jeszcze pół godziny i bylibyście martwi po okrążeniu waszych pozycji od tyłu. Szukasz jakiejś Hałdy do obrony? No, to popatrz wokół! Zacznij myśleć jak żołnierz, a nie kwękać. Na szali leży coś znacznie większego od honoru twojej jednostki.

Ormon otworzył i zamknął kilkakrotnie usta niczym wyrzucona na brzeg ryba.

- Świetnie. Widzę, że się rozumiemy – oświadczył Corbec.

* * *

Na północnwschodnich krańcach metropolii sierżant Varl i major Rodyin dowodzili grupą stu siedemdziesięciu ludzi trzymających pozycje w płonących dokach rzecznych. Połowa z nich należała do Tanithijczyków, reszta była niedobitkami oddziałów Vervun Primary i Roane. Zoicańscy szturmowcy zajęli okolice mostu drogowego Hiraldi spychając obrońców w głąb dystryktu naftowego. Kilka wielkich zbiorników z paliwem stało już w ogniu, a płonące promethium rozlewało się po ziemi.

Strzelając krótkimi seriami Varl pokonał przejście między dystrybutorami paliwa i rzucił się na ziemię tuż obok majora Rodyina. Vervuński oficer próbował naprędce naprawić częściowo rozbite i pocięte okulary.

- Ani śladu wsparcia. Próbowałem wzywać sztab przez radio, nic z tego. Jesteśmy zdani na własne siły – oświadczył major.

- Damy radę. Nawet taka garstka może ich zatrzymać na dłuższy czas w dzielnicy przemysłowej.

- Dopóki nie podciągną bliżej czołgów.

Varl westchnął. Vervuński oficer był personifikacją pesymizmu.

- Zauważyłeś olej na pancierzach szturmowców?

- Tak – odparł sierżant strzelając kilka razy przed siebie – Co z tego?

- Wiem jak tutaj wleźli, jak złamali Mur. Przeszli rurociągiem z Vannick Hive – Rodyin wskazał palcem szereg masywnych rur przerzuconych nad rzeką na wysokich metalowych podporach – Rury przechodzą pod Murem.

- Dlaczego nikt ich nie zabezpieczył? – warknął ze złością sierżant.

Rodyin wzruszył ramionami.

- Miały być, tak nam przynajmniej powiedziano. Polecenie wydano tygodnie temu, zaraz po zniszczeniu Vannick. Gildie kontrolujące dostawy paliw miały miały wysadzić podmiejską część rurociągu i zabetonować szczelnie.

- Ktoś spieprzył robotę – powiedział Varl i sam wzruszył ramionami. Przestały go interesować kwestie rurociągu i niedbałości kupców. Teraz było już za późno na roztrząsanie tego tematu.

Uwagę sierżanta zaprzętała bez reszty bieżąca sytuacja taktyczna. Jacyś Zoicanie nękali stanowiska lojalistów nieustannym ostrzałem z granatników usytuowanych w magazynie na krańcu składu paliw. Varl wezwał grupę roańskich Deepersów i polecił im ubezpieczać ogniem skradającego się do magazynu Brostina, niosącego miotacz płomieni. Resztę podkomendnych popędził wzdłuż przecinającej skład drogi, chowając się za metalowymi balustradami i pogiętymi słupami. Położony sześćdziesiąt metrów dalej zbiornik wyleciał w powietrze z donośnym hukiem przemieniając noc w oślepiające piekło.

Logris, Meryn i Nehn biegnący z grupką vervuńskich piechurów niemal zderzyli się z zoicańskimi szturmowcami pod pomostem łącznikowym między dwoma zbiornikami. Tanithijczycy skoczyli do przodu bez wahania podnosząc bagnety, Vervuńczycy zawahali się i kilku z nich zginęło ściętych salwą wroga. Słyszając odgłosy dzikiej walki Varl dołączył do starcia na czele swoich ludzi. Pierwszego napotkanego Zoicę przebił nasadzonym na lufę broni bagnetem. Inny zamachnął się w kierunku sierżanta wojskową saperką i Varl jednym uderzeniem metalowej ręki roztrzaskał mu głowę.

Major Rodyin zjawił się tuż za sierżantem, strzelając szaleńczo z lekkiego automatu. Był błądliwy jak ściana i dyszał z wysiłkiem. Varl wiedział, że Rodyin nigdy wcześniej nie widział takiej akcji. Po prawdzie Vervuńczyk nigdy wcześniej nie widział żadnej wojskowej akcji.

Trzy minuty zawziętej krwawej konfrontacji wystarczyły do oczyszczenia okolicy z Zoican. Logris i Nehn ubezpieczyli z obu stron pomost wypatrując następnych ofiar. Rodyin zdjął okulary i ponownie majstrował przy ich urwanym uchwycie. Wyglądał jakby się miał zaraz rozpląkać.

- Wszystko w porządku, majorze ? – zapytał Varl. Wiedział dobrze, jak napięte są nerwy młodego arystokraty, ale przekonany był, że źródła emocji nie stanowił strach, tylko zimna furia i rozpacz na widok obracanego w gruzy rodzinnego miasta. Varl poczuł nagły przypływ sympatii do vervuńskiego majora.

- Im więcej ich zabijam, tym lepiej się czuję – oświadczył Rodyin wsadzając okulary z powrotem na nos.

- Major mówi jak sam Gaunt ! – zaśmiał się kapral Meryn. Komplement najwyraźniej ucieszył Rodyina.

- Gdzie teraz ? W prawo czy w lewo ? – zapytał Meryn. Kapral założył w miejsce spalonego munduru Duchów roboczy kombinezon, jego wysmarowana sadzą głowa pełna była plam zakrzepłej krwi i kępek spalonych włosów.

- Diabli wiedzą – odparł Varl.

- W prawo. Spróbujemy przebić się w kierunku rzeczno mostu – oświadczył zdecydowanie Rodyin.

Varl nic nie odpowiedział. Osobiście wolałby pozostać w dotychczasowym miejscu albo nawet wycofać się nieco i skonsolidować siły. Kontratak był ostatnią rzeczą, jakiej by sobie życzył, ale vervuński major okazał się wyjątkowo zdeterminowany. Varl z ciężkim sercem wykonał jego polecenie, nie mógł jednak odmówić. Willard nie żył - sierżant widział jego spalone zwłoki spadające z Muru – i Rodyin był najwyższym szarżą oficerem w sektorze.

Ruszyli na wschód przez płonące doki, odbierając nieprzyjacielowi metr po metrze zdobyte terytorium.

* * *

Generał Grizmund biegł po szerokich schodach głównego wejścia do Main Spine poprawiając swą oficerską czapkę i ściągając pas, przy którym wisiał energetyczny miecz.

Niesione wiatrem kłęby dymu i popiołów unosiły się nad kamiennym tarasem Commercii zajętym przez narmeniańskie brygady: sto dwadzieścia siedem czołgów klasy Lemman Russ, dwadzieścia siedem obłęzniczych Demolisherów oraz czterdzieści dwa lekkie wozy pancerne służące do wsparcia piechoty. Silniki wszystkich maszyn pracowały na jałowym biegu, z rur wydechowych buchały obłoczki niebieskich spalin.

Brygadier Nachin podniósł dłoń do salutu.

- Dobrze pana znów widzieć, sir.

Grizmund skinął głową. On i jego zastępcy uwięzieni przez VPHC wręcz dyszeli żądają wejścia do gry. Generał zebrał pośpiesznie swych oficerów i włączył przenośny zestaw holograficzny. W powietrzu nad urządzeniem pojawiła się trójwymiarowa mapa Commercii i przylegających do niej dystryktów. Grizmund zaczął tłumaczyć przyjęty plan wydając poszczególnym zespołom precyzyjne rozkazy. Jego słowa były przekazywane przez osobisty moduł łączności do hełmofonów wszystkich czołgi- odpowiedział mu okrzyk aprobaty pona

stów. Krótka odprawa taktyczna przerodziła się w spontaniczną, ale pozbawioną pompatyczności przemowę. Kiedy generał skończył, odpowiedział mu okrzyk aprobaty ponad tysiąca narmeniańskich żołnierzy.

Grizmund ruszył szybkim krokiem wzdłuż szpaleru czołgów zmierzając do swego wozu flagowego, Łaski Tronu. Był to Lemman Russ z działem głównym o przedłużonej lufie, podobnie jak pozostałe narmeniańskie maszyny pomalowany na musztardowy kolor i ozdobiony emblematami lojalistów: Imperialnym Orłem oraz kolczastą rękawicą pancerną Narmanianu. Oficer odniósł wrażenie powrotu do dawno nie odwiedzanego domu. Wspiął się na wieżyczkę, otworzył właz i wsiadł do środka czołgu. Włożył wtyczkę hełmofonu do gniazda komunikatora i sprawdził poprawność działania systemów łączności. Kiedy zatrzasnął właz nad swoją głową, spojrzął na twarze obserwujących go członków załogi. Trzej czołgisi wyszczerzyli zęby w powitalnym uśmiechu.

- Popędźmy ich do piekła – powiedział Grizmund do mikrofonu, a jego słowa dotarły do wszystkich maszyn.

Pancerne jednostki Gwardii potoczyły się z chrzęstem gąsienic przez Commercię pędząc w kierunku linii frontu.

* * *

Dom Dowódczy był jedną wielką ruiną, na którą składało się mnóstwo gruzu, trochę stopionej elektroniki i kilka zwęglonych ludzkich ciał. Wybuch rakiety wyrwał podłogę kompleksu i rozwalił trzy położone niżej piętra. Gaunt stał w drzwiach Domu patrząc na szczątki przez jedną czy dwie minuty.

Szukając odpowiedniego miejsca do założenia tymczasowego punktu dowodzenia komisarz wybrał kaplicę Eklezjarchii na trzydziestym szóstym piętrze poziomu środkowego Main Spine. Pracujące pod nadzorem Daura zespoły porządkowe usunęły pośpiesznie relikwie i meble wnosząc w ich miejsce ciężkie komunikatory, komputery taktyczne oraz przenośne ekrany. Gaunt osobiście przerobił bogato ornamentowany ołtarz na swoje biurko. Po chwili piętrzyły się już na nim sterty dokumentów.

Kardynał Immaculus i jego bracia obserwowali w milczeniu krzątających się po kaplicy żołnierzy. Był to jeden z zaledwie kilku działających jeszcze obiektów sakralnych w mieście i wizyta wojskowych przerwała kapłanom odprawianą ceremonię żałobną. Immaculus przystanął obok pracującego przy ołtarzu Gaunta.

- Jak miemam, popełniłem niewybaczalne świętokradztwo – westchnął komisarz.

Stary człowiek w długich purpurowych szatach zaprzeczył pełnym zmęczenia gestem.

- Walczysz dla sprawy Imperium, mój synu. Na swój sposób robisz więcej dobrego niż setka moich modlitw. Jeśli ta kaplica spełnia twoje potrzeby, jesteś tu mile widziany.

Gaunt podziękował skinięciem głowy.

- Konsekruj tę wojnę krwią, pułkownikukomisarzu – dodał Immaculus. Starzec nie ukrywał swej sympatii do oficera Gwardii i Gaunt postanowił odwzajemnić przyjazny gest.

- Byłbym wdzięczny, gdybyście zechcieli pozostać w tej kaplicy i zatroszczyli się o wstawiennictwo u Niego dla naszych poczynań.

Immaculus zebrał swoich braci i zaprowadził ich do zakrystii, gdzie niemal natychmiast rozległy się pieśni błagalne i psalmy.

Gaunt przeglądał otrzymane raporty notując coś ołówkiem kartkach papieru, przed jego oczami wyląniał się obraz bieżącej sytuacji. Daur przyniósł najnowsze meldunki. Xance nie żył, podobnie Nash. Sturm zniknął bez śladu. Kiedy komisarz czytał listę poległych, do kaplicy dotarł major Otte, adiutant marszałka Croe. Był ranny i niemal całkowicie ogłuchł od artyleryjskiej kanonady. Zasalutował na widok Gaunta.

- Marszałek Croe zginął – oświadczył.

Gaunt westchnął ciężko.

- Jako najwyższy rangą oficer Vervun Primary przekazuję panu komendę nad całym garnizonem, sir.

Komisarz wstał i odpowiedział salutem. Jego podejrzenia zrodzone w chwili ataku na pałac Sondara właśnie się potwierdziły: był teraz najwyższym rangą żyjącym oficerem Imperium w Vervunhive i zarazem naczelnym wodzem wszystkich sił lojalistów. Wszyscy pozostali dowódcy, zarówno miejscowi jak i obcoświatowcy, już nie żyli lub zaginęli bez wieści. Tylko Grizmund miał wyższy stopień od Gaunta, ale wojska pancerne zawsze podlegały hierarchią piechocie.

Otte podał Gauntowi energetyczny miecz Heironymo Sondara.

- Nie mogę...

- Musi pan. Ktokolwiek przewodzi Vervunhive w boju, musi nieść miecz Heironymo. To uświęcona tradycja, której nie chcemy łamać.

Komisarz pozwolił majorowi założyć formalnie pas z mieczem. Intendent Banefail oraz towarzysząca mu świta serwitorów i urzędników weszła do zakrystii

weszła do zakrystii w trakcie tej ceremonii. Dygnitarz Administratum skinął posępnie głową i bez słowa zaakceptował zwierzchnictwo Gaunta.

- Moi ludzie są do pańskiej dyspozycji. Zmobilizowałem część zespołów administracyjnych do gaszenia pożarów i usuwania istotnych zniszczeń. Sytuacja... wydaje się nas przerastać.

Większość ludności cywilnej próbuje przedostać się za rzekę, wszystkie jednostki wojskowe żądają natychmiastowych dostaw amunicji, główne...

- Wierzę, że Administratum czyni wszystko, co tylko w mocy jego pracowników – uniósł dłoń Gaunt – Wierzę, że astropaci wciąż utrzymują łączność z marszałkiem wojny ?

- Oczywiście.

- Nie będę prosił Macarotha o pomoc, ale chcę, by zdawał sobie sprawę z naszej sytuacji. Jeśli uzna to za słuszne, udzieli nam wsparcia.

Gdzieś w pobliżu ryknęły rogi i trąby, po czym do kaplicy wpadł Legislador Anophy wiodący długą kawalkadę młodocianych niewolników, serwitorów i strażników. Wielu z nich niosło miejskie proporce i instrumenty. Na twarzach niewolników malował się wyraz skrajnej grozy i rozpacz. Przedstawiciele gildii oraz mniejszych domów szlacheckich tłoczyli się za świtą Legislatora wykrzykując coś ustawicznie i kłócąc się między sobą.

- Jeśli chcesz mi pomóc, zrób to właśnie teraz. Zabierz ich sprzed mojego nosa. Wysłuchaj wszelkich petycji i odnotuj je. Później przejrzy ich wnioski – jeśli jeszcze będzie ku temu okazja.

- Niech się tak stanie – odrzekł Banefail – Niech cię BógImperator strzeże w tych godzinach mroku.

Kiedy pracownicy Administratum rzucili się do biurokratycznej bitwy z tłumem rozgniewanych polityków i kupców, Gaunt powrócił do swego biurka. Pierwsze komunikatory już działały i Daur podał pośpiesznie dowódcy jeden z mikrofonów. Komisarz wybrał częstotliwość.

- Sztab Vervunhive do Grizmunda. Sygnał „Wujek Dercius”.

- „Wujek Dercius” odebrany i potwierdzony – zatrzeszczał komunikator.

- Kierujcie się na Bramy Croe i Ontabi. To stamtąd napiera główne zgrupowanie zmechanizowane wroga.

- Potwierdzam, ale część nieprzyjacielskich czołgów nadjeżdża też od strony Bramy Sondara.

- Odebrałem. Potem ich załatwimy. Niech cię BógImperator wiedzie, generale.

- I czuwa nad tobą, pułkownikukomisarzu.

Zmieniając kanał Gaunt wywołał dowódcę wojsk pancernych NorthColu walczących w chaotyczny i nieskoordynowany sposób na południe od Commercii. Ta formacja otrzymała rozkaz natarcia na Bramę Sondara. Potem komisarz kolejno nawiązywał łączność z wszystkimi dostępnymi drogą radiową jednostkami lokalnego garnizonu i Gwardii.

Znalazł również Corbeca, stacjonującego nadal w Gildii Githran.

- Feth, komisarzu ! Pewien byłem, że nie żyjesz !

- Bałem się tak samo o ciebie, Colm ! Jaka sytuacja ?

- Tak ciężko nie było jeszcze nigdy. Trzymamy się resztkami sił, ale oni ciągle nadchodzą. Mógłbym tu nieźle narozrabiać, gdybym miał chociaż lekkie wsparcie pancerniaków.

- Już jest w drodze. Colm, musimy zrobić coś więcej niż tylko trzymać pozycje, musimy ich wyprzeć w tył. Tarcza przyda nam się tylko wtedy, gdy ich spod niej wyrzucimy.

- Nie prosisz o zbyt wiele, prawda ?

- Wiem o tym.

- Będziesz mi winien planetę na własność za coś takiego, jesteś tego świadom, pułkownikukomisarzu ?

- Już jestem ci jedną winien, Corbec. Pomyśl o czymś bardziej okazałym.

Serwitor przyniósł kolejną stertę wydruków. Gaunt przesunął po nich wzrokiem i zatrzymał się przez chwilę na raporcie sierżanta Varla.

- Daur ?

- Sir !

- Chcę wykaz wszystkich gildii kontrolujących dostawę paliw oraz pisemne potwierdzenie od każdej z nich o dopełnieniu obowiązku zabezpieczenia rurociągów.

- Tak jest !

Następne dziesięć minut Gaunt poświęcił na wydanie drogą radiową rozkazów kilkunastu jednostkom lojalistów walczącym indywidualnie w ruinach metropolii. Nie zdołał złapać Varla ani żadnego innego oddziału broniącego się na północ od Main Spine. W trakcie jego pracy serwitorzy i oficerowie sztabowi nanosili na holograficzne mapy taktyczne otrzymywane stale dane.

Przez krótką chwilę komisarz bawił się pokrętłami komunikatora próbując namierzyć częstotliwości używane przez Zoican. Miał cichą nadzieję, że zdoła rozszyfrować kodowane transmisje radiowe najeźdźców, ale nadzieja ta okazała się złudna. Zoicanie nadawali na wielu kanałach, jednakże na ich przekazy radiowe składał się całkowicie niezrozumiały potok szaleńczego kodu maszynowego, przy którym poddawały się komputery lingwistyczne.

Jedynym czytelnym elementem tych transmisji było powtarzające się regularnie imię Wyzwolicielea, emitowane na pasmach propagandowych. Gaunt walczył z Chaosem dostatecznie długo, by zdawać sobie sprawę z bezradności ludzkich lingwistów i astropatów wobec takiego szyfru. Nie zamierzał dopuścić do tego, aby skorumpowany szum radiowy zniszczył umysł chociażby jednego człowieka będącego pod jego rozkazami.

Jakieś zamieszanie przy drzwiach kaplicy oderwało Gaunta od pracy. Grupa żołnierzy Vervun Primary wprowadziła do sztabu generała Sturm.

- Znaleźliśmy go, kiedy próbował dołączyć do uchodźców płynących na północną stronę rzeki – oświadczył dowódca Vervuńczyków.

Komisarz zmierzył generała wzrokiem

- Dezercja ? – zapytał niebezpiecznie spokojnym głosem.

Sturm poprawił gniewnie swą oficerską czapkę.

- Jestem najstarszym oficerem tutaj, Gaunt ! Nie ty ! Vervunhive przepadło, wydałem rozkaz odwrotu i ewakuacji. Mógłbym was wszystkich kazać rozstrzelać za nieposłuszeństwo !

- Wydałeś... rozkaz ewakuacji ? Dlaczego zatem wszystkie imperialne jednostki wciąż walczą, nawet twoi Volpończycy ? Musiałeś ten rozkaz wydać bardzo cichutko.

- Nie mów do mnie w ten sposób, ty plebejska świnió ! – wrzasnął Sturm. W kaplicy zapadła grobowa cisza, oficerowie sztabowi wlepili wzrok w twarze obu antagonistów.

- Jestem najstarszym szarżą dowódcą królewskich wojsk Volpone ! Pierwszym w Vervunhive ! Będziesz mnie słuchał ! Będziesz mnie poważał !

- Poważał ? – Gaunt obszedł wkoło generała obserwując uważnie twarze milczących sztabowców, nikt jednak nie zdradził śladu sympatii wobec Volpoczyka – Uciekłeś z Domu Sondara podczas szturm na kryjówkę Wielkiego Mistrza. Opuściłeś Main Spine, by dostać się za rzekę. Porzuciłeś Vervunhive.

- To ja tu dowodzę !

Brutalnym szarpnięciem Gaunt zerwał epolety z munduru generała.

- Już nie ! Okryłeś się hańbą. Jesteś tchórzem... i mordercą. Obaj doskonale wiemy, że to twoje rozkazy zabiły pięciuset Tanithijczyków na Voltemandzie. Zabiłeś ich, bo dokonali tego, czego twoi Błękitnokrwieści zrobić nie byli w stanie.

Komisarz spojrzał gniewnie w puste oczy Sturm.

- Nie mam pojęcia, jakim cudem ktoś zrobił z ciebie generała.

Volpończyk był blady jak ściana.

- Broń... – wykrztusił słabym głosem.

- Co ?

W oczach generała pojawił się wściekły błysk.

- Daj mi cholerną broń, pułkownikukomisarzu ! Nie pozwolę, by pouczała mnie taka szumowina jak ty ! Ani karała ! Daj mi broń i pozwól, żebym sam ze sobą skończył.

Gaunt wzruszył ramionami, wyjął z kabury swój pistolet i podał go generałowi wysuwając w kierunku dezercera rękę się broni.

- Ostatnia prośba zaakceptowana. Oficerowie dyżurni, proszę nanieść do dziennika zmiany adnotację, że generał Sturm poprosił o prawo do własnoręcznego wykonania wyroku – spojrzał raz jeszcze w oczy Volpończyka – Nigdy nawet trochę cię nie polubiłem, Noches. Daj mi jakiś powód, abym mógł się dobrze o tobie wypowiedzieć. Zrób to szybko.

Sturm wziął do ręki oferowany mu pistolet.

- Oficerowie dyżurni, odnotujcie też informację, że Ibram Gaunt odmówił wykonania rozkazu ewakuacji. Skazał was wszystkich na śmierć. Cieszę się, że mi ten los został oszczędzony.

Odbezpieczył broń i włożył jej lufę do ust.

Gaunt odwrócił się, by odejść.

Zapadła długa chwila ciszy.

- Gaunt ! – krzyknął kapitan Daur. Komisarz odwrócił się w miejscu, energetyczny miecz Heironymo Sondara płonął już zimną poświatą w jego dłoni. Ostrze przecięło rękę generała Sturma – rękę dzierżącą wycelowany w głowę Gaunta pistolet. Volpończyk nie zdążył nacisnąć spustu.

Sturm upadł na podłogę kaplicy krzycząc przeraźliwie, krew bryzgała z kikuta okaleczonej kończyny. Odcięta dłoń zacisnęła się spazmatycznie i pistolet wypalił z hukiem wybijając dziurę w jednym z witraży.

Gaunta patrzył przez chwilę na wijącą się u jego stóp postać generała, po czym schylił się i wyjął z uścisku obciętej ręki swój pistolet.

- Zabierzcie to stąd – rozkazał czekającym na dalsze polecenia vervuńskim żołnierzom – Niech umiera gdzie indziej. Nie chcę patrzeć na to zdradzieckie ścierwo ani chwili dłużej.

* * *

Wczesnym popołudniem trzydziestego piątego dnia wojny lojaliści zdołali ustabilizować linie obrony. Sztab Gaunta przechwycił drogą radiową dwie trzecie sił imperialnych walczących w Vervunhive, działając z pełną determinacją stanowczością, która budziła zdumienie członków Administratum i oficerów vervuńskiej kadry planowania strategicznego. Co więcej, przeważającą część tej żmudnej pracy wykonał sam komisarz. Po znamionym incydencie z udziałem generała Sturma tanithijski dowódca pracował z nadludzkim wręcz fanatyzmem, budzącym wśród sztabowców pospołu podziw i przerażenie. Kiedy poszczególne elementy planu Gaunta zaczęły ze sobą współdziałać, stopniowo przekazywał część swych obowiązków innym koordynatorom, ale nikt nie miał wątpliwości, że to komisarz wykonał większość prac sztabowych.

Ban Daur wyszedł z kaplicy tuż po południu chcąc odpocząć na chwilę od zgiełku radiowych komunikatów i przepłukać gardło. Stał przez kilka minut w rozbitym oknie na końcu korytarza śledząc wzrokiem rozbłyśki płomieni wylotowych broni jarzące się na zrujnowanych ulicach metropolii. Kapitan Petro, jeden z vervuńskich sztabowców i bliski przyjaciel Daura z akademii oficerskiej, dołączył do milczącego towarzysza.

- On jest niesamowity – powiedział Petro.

- Gaunt ?

Oficer sztabowy skinął głową.

- Jego umysł, instynkt... przypomina komputer. Wszystko przyporządkowuje jednemu celowi.

Daur dopił resztkę wody w kubku.

- Jak Slaydo – odpowiedział. Petro uniósł pytająco brew.

- Pamiętasz wykłady na temat biografii marszałka ? Zawsze wspominały o prostocie, z jaką Slaydo tworzył plany taktyczne. Patrzył na mapę, a w jego głowie natychmiast krystalizował się kompletny schemat działania. To był prawdziwy geniusz militarny. Myślę, że teraz mamy okazję zobaczyć coś takiego ponownie.

- On służył pod Slaydo, prawda ?

- Tak. Wspomina o tym jego biografia.

- Ale jako oficer piechoty – zmarszczył czoło Petro – Gaunt nigdy nie dowodził zgrupowaniem takiej wielkości.

- Nie sądzę, by kiedykolwiek dano mu ku temu szansę. Komisarz, dowódca liniowy, zawsze wykonujący rozkazy przełożonych. Nigdy wcześniej nie miał okazji do wykazania się w tej dziedzinie. Zresztą... wydaje mi się, że on robi to wszystko ze świadomością, iż nie ma nic do stracenia i wszystko do zyskania.

- Co dokładnie masz na myśli, Ban ?

- Wszyscy wysocy oficerowie nie żyją... lub, jak Sturm, zostali usunięci. Przeznaczenie i jego własne czyny postawiły Gaunta na czele Vervunhive i myślę, że on zrobi wszystko, by udowodnić, iż podoła tym obowiązkom.

* * *

Na skrzyżowaniu miejskim fg/567, w centrum wschodniej dzielnicy mieszkalnej, oddziały piechoty Bulwara zaczynały iść w rozsypkę. Żołnierze NorthColu nie mieli już broni przeciwpancernej, a czołgi Zoican parły niczym ognista lanca od strony Bramy Croe niszcząc wszystko na swej drodze.

Ludzie Bulwara cofnęli się na południe od skrzyżowania wiążąc najeźdźców walką pośród gęstej zabudowy mieszkalnej. Czołgowe pociski zawały dom po domu rozrzucając wszędzie wokół kawałki gruzu i metalowych szczątków.

We wnętrzu zrujnowanej stacji kolejki napowietrznej, pomiędzy marmurowym hallem i wejściem na perony, rozgorzała zaciepła walka wręcz z wysuniętymi do przodu zoicańskimi szturmowcami. Kolejne oddziały napastników wdzierały się do budynku bocznym wejściem i poprzez wagoniki składu kolejowego, który stanął przy wjeździe do stacji. Trupy cywilów leżały wokół pociągu.

Bulwar osobiście dowodził akcją, prując energetycznym szponem pancerze szturmowców, strzelając im w głowy z trzymanego w drugiej dłoni automatu. Wokół pułkownika padali martwi ludzie, lojaliści i rebelianci. Jakaś zabłąkana kula trafiła go w ramię i przewróciła na podłogę hallu.

Kiedy lekko ranny oficer podniósł się na nogi, stwierdził zaskoczony, że sytuacja uległa zmianie. Jakiś oddział lojalistów wdarł się do stacji przez wyjścia dla pasażerów i wbił klin w bok formacji Zoican. Nie byli to żołnierze Sił Obrony Planetarnej ani gwardziści, tylko robotnicy i laboranci miejscy, uzbrojeni w zdobyczne lasery, oskardy, siekiery i pałki. Bulwar domyślił się, że z odsieczą przyszła mu jedna z kompanii ochotniczych, paramilitarnych jednostek złożonych z ludności cywilnej. Pułkownik słyszał o licznych oddziałach ochotników wspierających regularne wojska, ale nie o jednostce tak dużej i dobrze zorganizowanej. Bitewna furia tych ludzi budziła zdumienie i respekt.

Konfrontacja trwała niecałe osiem minut. W czasie tym pluton Bulwara i kompania ochotnicza pozbawiły życia wszystkich znajdujących się na terenie stacji najeźdźców. Pośród okrzyków radości i owacyjnych gwizdów żołnierze NorthColu zaczęli witać się z Vervuńczykami niczym bracia.

Niski, krępy robotnik o jednym oku, niemiłosiernie umorusany brudem i krwią, podszedł do Bulwara podnosząc rękę w salucie.

- Kim pan jest ? – zapytał pułkownik.
- Soric, dowódca Hutniczych Nieregularnych, sir !

Bulwar nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Przywódca robotników nosił na kombinezonie generalskie gwiazdki wykonane z butelkowych kapsli.

- Imperatorowi dzięki za twoją pomoc, generale Soric.

Mężczyzna zmieszał się i spojrzał na swoje insygnia.

- Przepraszam, sir. To taki żart, który miał podnieść morale ludzi. Jestem zwykłym dyrektorem...

- Który walczył niczym marszałek. Ilu was jest ?
- Około siedmiuset, sir. Robotnicy, kupcy, technicy – każdy. Próbujemy zrobić coś dla miasta od początku tej wojny, a po wyłączeniu Tarczy zaczęła się prawdziwa robota.
- Zawstydzacie nas swoim oddaniem.

Soric zmarszczył gniewnie czoło.

- Jeśli nie my w pierwszej linii powinniśmy walczyć o to miasto, sir, nie wiem, kto inny miałby to robić ?

Niedawno otrzymane polecenia nakazywały dowódcom regularnych wojsk zgłaszanie do sztabu informacji o każdej zlokalizowanej kompanii ochotniczej, umieszczanych następnie na holograficznych mapach taktycznych. Bulwar wezwał swojego oficera radiowego i podyktował mu krótki raport na temat Nieregularnych Sorica. Potem spojrzął na czekającego cierpliwie dyrektora.

- Musimy skoordynować działania, generale. Wdzięczny jestem Imperatorowi za to, co robicie, ale tę wojnę wygramy tylko wtedy, gdy wojskowi i cywile będą działać jako jedna siła. Zbierz szybko ludzi, dostaniecie nowe rozkazy. Kompania od tej chwili podlega sztabowi Vervunhive.

Soric machnął ręką zwołując swoich „oficerów”.

- Niestety, nie możesz być dłużej generałem – powiedział Bulwar. Soric zdejmował już w tym czasie swoje oficerskie gwiazdki – Zostajesz awansowany, dyrektorze. Promocja połowa w trybie natychmiastowym. Od tej chwili jesteś sierżantem i podlegasz bezpośrednio mi. Wyznacz jednego człowieka w każdej dwudziestce, otrzyma stopień kaprała. W ten sposób stworzysz sieć hierarchii służbowej. Znasz swoich ludzi, wybierz tych, którzy na to zasługują.

Soric pokiwał tylko głową, nie mogąc wykrztusić z zaskoczenia i dumy żadnych słów.

Stacja zatrzęsa się od pobliskich wybuchów, niektórzy ludzie upadli na podłogę. Jeden z ochotników Sorica wpadł zdyszany do hallu.

- Wrogie czołgi ! Wrogie czołgi !

Bulwar i Soric wydostali się ze stacji przez wschodnie wyjście. Masywne sylwety zoicańskich ciężkich czołgów toczyły się na pobliskich ulicach polując na obrońców. Kolumny lekkich wozów opancerzonych i gaśnicowych miotaczy ognia przejeżdżały trasami tranzytowymi w stronę Commercii i Pylonu Tarczy.

- Mamy ładunki wybuchowe, sir – powiedział Soric – I górnicze detonatory.

- Statyczne ładunki bez wyrzutni... przeciwko czołgom ?

- Do tej pory robiliśmy to tak: człowiek brał ładunek, biegł do czołgu, zakładał go na pancerz...

- To samobójstwo !

- Obowiązek, sir – skrzywił się gniewnie Soric – Jaki inny sposób nam pozostał ?

- Ile czołgów zniszczyliście tą metodą ?

- Chyba dwadzieścia cztery.

- Ilu ludzi cię to kosztowało ?

- Dwudziestu czterech, rzecz jasna – wzruszył ramionami sierżant.

Bulwar wytarł usta wierzchem rękawicy. Niewiarygodne. Ta determinacja, oddanie. Poświęcenie. Mieszkańcy Vervunhive, wznoszący niegdyś to miasto we łzach i pocie, teraz opłacali je ponownie swą krwią. Ta była prawdziwa lekcja pokory nawet dla najbardziej zasłużonych regimentów Imperialnej Gwardii.

Czołgi były już bardzo blisko, przewróciły kilka podpór torowiska kolejki napowietrznej, zahaczyły o ściany stacji. W hallu wybuchł pożar.

- Na Tron Terry ! – wydyszał osłupiały Soric pokazując coś palcem.

Czołgi w musztardowych barwach wpadły na gruzowisko tocząc się z niezwykłą szybkością, niektóre z nich wręcz przebijały się przez ściany budynków. Wszystkie maszyny strzelały w trakcie jazdy, a celność tego ognia i szybkostrzelność budziły nabożny podziw. Skręcające w stronę niespodziewanego przeciwnika zoicańskie załogi nie mogły o takiej skuteczności nawet marzyć.

Ani Bulwar ani Soric nie mieli nigdy wcześniej okazji widzieć na własne oczy zmasowanej akcji wojsk pancernych, zwłaszcza w wykonaniu tak elitarniej formacji jak brygada narmeniańska. Obaj mężczyźni patrzyli przed siebie z szeroko otwartymi ustami.

Grizmund nazwał pancerną szarżę mianem „Operacji Dercius”. Wysłał zwiadowcze Sentinele i piesze grupy szperaczy w kierunku Bramy Croe, sam natomiast uderzył wraz z resztą brygady na Commercję. Zwiadowcy nie mogli w żaden sposób zatrzymać napływu wroga, ale na bieżąco przesyłali generałowi informacje o jego sile i kierunku natarcia. Po przejrzeniu raportów Grizmund skręcił prosto na południe, a potem raptownie zawrócił na wschód wbijając się prosto w bok zoicańskich wojsk. Generał doskonale zdawał sobie sprawę z potencjału militarnego wojsk pancernych, nie tylko potęgi fizycznej ale i znaczenia psychologicznego. Jeśli sam czołg był budzącą przerażenie machiną, to czołg szybko jadący, celnie strzelający i utrzymujący wysoką częstotliwość ognia jawił się przeciwnikom prawdziwym koszmarem. Taktyka pancernej szarży była oczkiem w głowie Grizmunda i narmeniański generał przyjmował do swojej brygady wyłącznie najlepszych żołnierzy, perfekcjonistów w posługiwaniu się ważącą ponad trzydzieści pięć ton bronią.

Siedzący w wieży Łaski Tronu Grizmund śledził wzrokiem gasnące na ekranie komputera bojowego runy sygnalizujące wozy przeciwnika. Wnętrze pojazdu było skąpane w czerwonej poświacie, wypełniał je radiowy zgiełk i zdyszane okrzyki załogi. Wyjmowane z automatycznego podajnika pociski wędrowały do rąk ładowniczego. Po wsadzeniu ładunku do działa strzelec nie odrywając oczu od okularu systemu celowniczego pociągał za dźwignię i cały czołg podskakiwał szarpany odrzutem broni. Co kilka sekund kolejna mosiężna łuska z łoskotem spadała na podłogę wozu, a kłęby dymu znikwały w pracujących szaleńczo turbinkach układu wentylacyjnego.

Kierowca czołgu, Wolsh, był jednym z najlepszych w swym fachu. Słyszał z wprawy w ocenianiu terenu na oko i wydawał się podświadomie wiedzieć, jaką przeszkodę może staranować, jaką zaś należy ominąć. Inni czołgiści często żartowali, że Wolsh potrafi wyczuć minę na dystans tysiąca metrów.

Czterdzieści narmeniańskich czołgów przemknęło przez skrzyżowanie fg/567 wbijając się niczym stalowy klin w kolumnę zoicańskich wozów. Pancerniacy Grizmunda zniszczyli siedemdziesiąt dwa czołgi Zoican, po czym zaczęli zawracać w miejscu, aby powtórzyć szarżę od drugiej strony. Płonąca kolumna nieprzyjacielskich pojazdów pograżyła się w całkowitym chaosie.

Nadeszła pora na tę część operacji, która wymagała naprawdę wysokiego poziomu wyszkolenia żołnierzy, manewr zwany przez Grizmunda „nożycami”. Kiedy jego czołgi rozpędzały się do drugiej szarży, grupa pięćdziesięciu Leman Russów pod rozkazami brygadiera Nachina nadjechała z pełną prędkością od strony, z której generał wyprowadził pierwsze uderzenie. Operacja niezwykle ryzykowna w wykonaniu mniej zdolnych oficerów miała w przypadku Narmenian znaczące szanse powodzenia, gdyż ich czołgi zostały wyposażone w specjalne emiterzy sygnałów radiowych. Wszystkie obiekty znajdujące się pomiędzy obiema grupami i nie wysyłające ustalonego wcześniej kodu były klasyfikowane przez systemy celownicze czołgów jako wozy nieprzyjaciela. Grizmund stosował tę taktykę już dziewięć razy i jeszcze nigdy nie stracił ani jednego czołgu od własnych pocisków.

Przynoszący chlubę poziom wyszkolenia został utrzymany w Vervunhive. Niczym szczęki gigantycznej bestii narmeniańskie grupy pancerne zmiażdżyły znajdujące się pomiędzy sobą ofiary. Wozy Grizmunda i Nachina przemknęły tuż obok siebie, nieledwie ocierając się burtami.

Był to dopiero początek. Popołudniem trzydziestego piątego dnia wojny narmeniańskie czołgi wykonały trzy dalsze manewry „nożyc” nekając ustawicznie wjeżdżające do centrum metropolii kolumny pancerne wroga.

Do godziny szesnastej Zoicanie stracili blisko dwieście czołgów i transporterów opancerzonych, Narmenianie zaledwie dwa. Do wieczora lojaliści odepchnęli nieprzyjaciela z powrotem w dzielnice zewnętrzne, prawie pod Bramę Ontabi. Zgrupowanie pancerne Zoican

jadące od strony Bramy Croe zostało zatrzymane w miejscu. Dzięki oczyszczeniu ulic z nieprzyjacielskich pojazdów służby logistyczne mogły przystąpić do zaopatrywania walczących jednostek. Pracownicy Administratum, ochotnicy z miejskich gildii transportowych i żołnierze Vervun Primary organizowali konwoje samochodowe rozwożące amunicję do wszystkich punktów oporu. Oddziały Bulwara otrzymały w ten sposób zapasy rakiet przeciwpancernych i granatów, co pozwoliło im dołączyć do czołgów Grizmunda w kontruderzeniu na Bramę Ontabi. Każdy przeoczony przez gwardzistów wóz pancerny Zoican był natychmiast niszczone przez wracających w stronę Muru żołnierzy NorthColu.

* * *

Siedzący w fotelu za polowym biurkiem Gaunt wziął z rąk kapitana Daura elektroniczny notes i uśmiechnął się z wyraźnym zmęczeniem czytając raport generała Grizmunda. Czuł się... usatysfakcjonowany.

Splącała się wiara pokładana w narmeriańskim dowódcy, walka stoczona o jego życie w wojskowym areszcie i cicha nadzieja w powodzenie pośpiesznie ułożonego planu taktycznego.

W pobliżu Bram Sondara i Veyveyr sytuacja wyglądała znacznie gorzej. Czołgiści NorthColu nie posiadali doświadczenia ani dyscypliny wojsk pancernych Gwardii i dowodzący nimi major Clodel wdał się w krwawe walki pozycyjne z infiltrującymi miasto napastnikami. Zdołał zatrzymać zoicańskie czołgi na granicy południowego dystryktu fabrycznego, czym zyskał sobie uznanie Gaunta, jednakże statyczna wymiana ognia między pancernymi formacjami nie pozwalała nawet marzyć o wyprowadzeniu kontruderzenia na południe w celu wyparcia wroga za Mur. Wojska NorthColu traciły tyle samo czołgów, ile niszczyły. Gaunt oddałby wiele za możliwość wysłania na południe kogoś z oficerów Grizmunda, ale nie mógł sobie pozwolić na osłabienie walczących pod Ontabi Narmerian. Pozostawało mu cieszyć się tym, co miał.

A miał pod sobą zniszczone płonące miasto uratowane cudem od ostatecznej zagłady o dwudziestej trzeciej ubiegłego dnia. Nie uzyskał przewagi, ale też nie przegrywał. Na wschodzie odepchnął nieprzyjaciela, na południu i zachodzie zatrzymał jego natarcie. Wciąż jeszcze istniała szansa powstrzymania Asphodela i jego heretyckich zelotów.

Kaplica tętniła życiem i szukający chwili spokoju Gaunt przeniósł się z ulgą do bocznego pomieszczenia świątyni. Daur komenderował sztabowcami. Dobry oficer, pomyślał komisarz, dzielnie wpisujący się do historii swego świata.

Czy to samo powiedzą kiedyś o mnie ?

Mały pokoik przy zakrystii, łagodnie oświetlony i cichy, jawił się istną oazą spokoju pośród bitewnego huraganu. Gaunt był skrajnie wyczerpany. Cały czas trwał przy swoim biurku, z jedną ręką na mapach, w drugiej mikrofon – toczył najcięższą bitwę w swej dotychczasowej karierze. To była prawdziwa władza, władza absolutna i niekwestionowana. Wyjął z pokrowca swój energetyczny miecz i położył na małym stoliku. W półmroku błyszczała złota statua Imperatora, z bliska dobiegały religijne psalmy śpiewane wciąż przez kleryków zgromadzonych w zakrystii.

Nie poświęcił nawet chwili na modlitwę, zbyt był zmęczony. Siadł na balustradzie otaczającej statwę, zdjął czapkę i ukrył twarz w dłoniach. Myślał o Oktarze, Slaydo, Derciusie i swoim ojcu – mężczyznach, którzy ukształtowali jego życie i nauczyli na swój sposób wszystkiego, co uważali za niezbędne. Ogromnie tęsknił za nimi wszystkimi, za ich siłą i mądrością. Oktar długo nauczał młodego kadeta i Gaunt miał okazję trwać u jego boku, kiedy generałkomisarz odchodził zabijany orczą trucizną na Gylatus Decimus dwadzieścia lat temu. Slaydo, genialny marszałek wojny – Gaunt stał również u jego łoża śmierci po finalnym

zwycięstwie na Balhaucie. Ojciec Ibrama umarł, gdy ten był jeszcze dzieckiem. A Dercius – stary zły wujek Dercius – zginął z ręki samego komisarza.

Każdy z nich coś dla niego uczynił. Oktar nauczył dyscypliny i posłuchu, Dercius bezwzględności i wiary we własne możliwości, Slaydo doktryn militarnych i bezgranicznego oddania dobru Imperium. A ojciec? Wartości otrzymane od ojca nie dawały się jednoznacznie zidentyfikować.

- Panie ?

Gaunt spojrzął w stronę drzwi. Merity Chass, ubrana w prostą czarną suknię, stała w progu pomieszczenia trzymając coś w rękach.

Komisarz wstał ze swego miejsca.

- Pani Chass ?

- Musimy porozmawiać – oświadczyła – O moim ojcu.

XVI – Dziedzictwo

„Myśl, że nasza ukochana metropolia mogłaby zostać podbita lub wpaść w ręce złych władców, ogromnie mnie troska i smuci. Z tego też powodu powierzam twej pieczy tę sankcję ostateczną. Użyj jej roztropnie” – Heironymo Sondar do lorda Chassa.

- Znajduje się w posiadaniu mojej rodziny od czasu Wojny Kupieckiej – skończyła wyjaśniać zmęczonym, łamiącym się głosem Merity.

Gaunt wziął z jej dłoni amulet i poczuł jak przedmiot wibruje delikatnie między jego palcami.

- Sondar to zrobił ?

- To było jego zabezpieczenie na przyszłość. Oraz na swój sposób akt zdrady.

- Wytlumacz mi to jeszcze raz. Nie potrafię dopatrzeć się tutaj zdrady.

Merity Chass spojrzała w zmrużone oczy Gaunta.

- Vervunhive jest ustrojem demokratycznym. Wielkiego Mistrza wybierają arystokratyczne rody. Nasza konstytucja nie pozwala skupić władzy absolutnej w rękach jednej osoby, a w razie takiego przypadku pozwala podjąć prawne środki w celu odebrania tyranowi jego funkcji.

- Ale miasto znajdowało się w niepodzielnej władzy Salvadore ?

- Takiego właśnie zła obawiał się Heironymo. Po Wojnie Kupieckiej wielki Heironymo podjął decyzję o zapewnieniu bezpieczeństwa wewnętrznego metropolii, obawiał się bowiem ogromnie utraty kontroli nad miastem lub dojścia do sytuacji, gdy najeźdźca bądź nieudolny i skorumpowany władca zyska wpływy tak ogromne, że Legislatura nie zdoła go powstrzymać metodami politycznymi. Jaki tyran i uzurpator zwracałby uwagę na prawa konstytucyjne ?

Gaunt zaczynał pojmować polityczne znaczenie niepozornego przedmiotu ukrytego w jego dłoni.

- Zatem to było jego ostatnie zabezpieczenie, sankcja absolutna. Tak bardzo niedemokratyczna, a zarazem jedyna w obliczu upadku demokratycznego systemu władzy.

- Zapewne rozumiesz teraz, dlaczego zachowaliśmy istnienie tego przedmiotu w tak głębokiej tajemnicy. Heironymo wiedział doskonale, że wchodząc w posiadanie tej rzeczy sam na siebie ściąga nieuchronne posądzenia o tyranie i polityczny szantaż.

Wskazała palcem amulet.

- Skonstruował ten przedmiot i przekazał go głowie Domu Chass, postrzeganego za najbardziej neutralny i humanitarny ród Vervunhive. To było zabezpieczenie przed rządami totalitarnymi.

- A gdyby Dom Chass objął funkcję Domu Wielkiego Mistrza ?
- Oczekiwano od nas przekazania tego amuletu w ręce innego godnego zaufania rodu.
- I teraz ty przynosisz to mi ?
- Jesteś jedyną nadzieją dla tego miasta. Jak sądzisz, dlaczego mój ojciec tak bardzo zabiegał o twoją znajomość ? Musiał cię poznać, by zyskać pewność, że spełnisz pokładane w tobie nadzieje. Ujrzał to samo, co ja. Nie masz serca tyrana, jesteś prawdziwym żołnierzem, wiernym sprawie ocalenia Vervunhive.
- Twój ojciec odszedł śmiercią bohatera, Merity Chass.
- Cieszę mnie te słowa. Uczcij zatem jego pamięć i wiarę Wysokiego Domu Chass w twe kompetencje. Nie zawiedz nas.

Gaunt przyjrzał się uważniej amuletowi. Był to elektroniczny niszczyciel systemów, wedle słów dziewczyny jeden z najpotężniejszych narzędzi tego rodzaju. Za czasów Heironymo Dom Sondara specjalizował się w produkcji takich urządzeń, utrzymując rozliczne kontakty z Adeptus Mechanicus. Amulet był prawdziwym cudem w swej branży: w przypadku wpadnięcia Vervunhive w niepowołane ręce jednorazowa aktywacja klucza spowodowałaby całkowitą destrukcję wszystkich miejskich systemów komputerowych, wykasowanie baz danych i oprogramowania oraz lobotomię podłączonych do sieci serwitorów. Pozbawiony przewagi technologicznej uzurpator byłby zdany na łaskę właścicieli amuletu.

Na swój sposób łamacz systemów był bronią znacznie potężniejszą od głowic atomowych czy zakonów Adeptus Astartes. Stanowił broń ostateczną, wykorzystywaną na polach bitew dalece wykraczających poza proste wojny toczone przez Gaunta, całe lata świetlne odległych od laserowych wiązek i zakrwawionego błota.

Komisarz rozumiał podstawowe zasady funkcjonowania tego urządzenia, ale czuł do niego niechęć. Ta starożytna technologia budziła w człowieku głęboki lęk, zbyt przywodziła na myśl czarnoksiężskie moce.

Położył amulet na balustradzie obok swej nogi. Przedmiot wibrował lekko i mruczał, na jego powierzchni zapalały się i gasły malutkie plamki kolorowych diod.

- Nie będziemy go potrzebować.

Merity Chass spojrzała ze smutkiem na jeden z witraży zdobiących malutki pokoik.

- Bałam się, że tak właśnie powiesz – kiedy spojrzała powtórnie na żołnierza, gorzejące w bladej twarzy oczy błyszczały gniewem i złością – Mój ojciec cierpiał męki zwątpienia sprawując pieczę nad tym amuletem. Kiedy dotarłam do schronu i znalazłam go pośród moich rzeczy, podzieliłam te męki. Już w drodze do ciebie wiedziałam, że jest zbyt późno na jego użycie. Obaliłeś sam Salvadore, pozbawiłeś go władzy. Nasza ciężka sytuacja nie jest już uzależniona od kontroli nad miastem.

- Posiadamy pełną kontrolę – potwierdził Gaunt – Problem sprowadza się teraz do prostej kwestii sztuki militarnej. Chociaż Vervunhive stoi na krawędzi zagłady, nie jest to rodzaj niebezpieczeństwa tak trapiący niegdyś Heironymo.

Dziewczyna usiadła tuż obok komisarza, poczerwieniała nagle od tłumionej z trudem furii.

- Gdybym tylko przyniosła go wcześniej... albo zdołała nakłonić do tego ojca.

Zdetrzonizowalibyśmy Sondara...

- Tronowi dzięki, żeście tego nie zrobili !

Spojrzała z ukosa na mężczyznę.

- Sami byśmy się okaleczyli – wzruszył ramionami Gaunt – Padłyby wszystkie systemy komunikacji, dowodzenia, logistyki. Całkowity brak kontroli. Łamacz systemów to broń absolutna, moja pani.

- Zatem nasze rozterki, duchowe męki mojego ojca... okazały się bezwartościowe ? – zaśmiała się z szyderczą rozpaczą – Co za ironia losu ! Dom Chass, tak cholernie

wyrafinowany i błyskotliwy, trudził się nad dokonaniem nieistniejącego wyboru w czasie, gdy całe miasto krwawiło.

Gaunt zdjął skórzane rękawiczki i położył je na balustradę.

- Dziedzictwo Heironymo to ciężkie brzemie. Fakt, iż nie możemy z niego skorzystać w niczym nie pomniejsza oddania i wierności Domu Chass wobec swej powinności.

Merity wyciągnęła dłoń i dotknęła delikatnie złożonych razem palców komisarza.

- Co nas teraz czeka ?

Spojrzał na nią spokojnie.

- Toczmy prostą wojnę, ludzie i maszyny, lasery i artyleryjskie pociski. Będziemy próbować ich odeprzeć. Jeśli zwyciężymy, przeżyjemy. Jeśli przegramy, umrzemy.

- To brzmi tak... zwyczajnie.

- Taka jest zazwyczaj wojna. Posiada proste zasady, człowiek nie musi się nad nimi specjalnie długo głowić.

- Jak jeszcze długo ?

- Co ?

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Jak długo jeszcze musimy czekać, nim poznamy wyrok ?

Ibram Gaunt odetchnął głęboko, pokręcił głową.

- To kwestia godzin. Dzień, może dwa. Potem nastąpi koniec, taki lub inny.

Przyciągnęła go do siebie splatając swe dłonie na plecach mężczyzny. Poczł zapach włosów i skóry, delikatną woń perfum. Dawno już zapomniał o ciepłe innego ludzkiego ciała. Objął delikatnie dziewczynę, nie słysząc już przytłumionych śpiewów dobiegających z zakrystii. Dotknęła jego ust swymi.

Odsunął się raptownie.

- Nie sądzę...

- Zwycięży żołnierz i szlachcianka wysokiego rodu ? To cię trapi ? – uśmiechnęła się – To już nie ma znaczenia. Ta wojna wszystkich nas uczyniła sobie równymi.

Pocałowali się ponownie, tym razem bez oporu. Przez tę długą chwilę liczyła się dla nich wyłącznie namiętność. Dwie ludzkie dusze, zagubione i samotne, ukryły się przed piekłem zewnętrznego świata.

* * *

Północ dawno już minęła. Gwardziści Bray'a po dniu i nocy walk z zoicańskimi czołgami opuścili gruzowisko za dystryktem chemicznym i zaczęli wycofywać się dzielnicami mieszkalnymi w kierunku Pylonu Tarczy. Wszystkie działania Zoican na południowym odcinku frontu zdawały się dążyć do osiągnięcia Pylonu, a sierżant Bray świadom był ogromnego znaczenia tej instalacji. Sierżant miał pod swoimi rozkazami dwustu osiemdziesięciu Duchów, cztery setki żołnierzy Vervun Primary, Volpone, Roane i NorthColu oraz około sześciuset cywilów. Większość z nich nie nadawała się do niczego oczekując od żołnierzy opieki i wsparcia, toteż Bray i jego zastępcy odnosili wrażenie, że biorą udział w szaleńczym eksodusie, a nie zorganizowanym odwrocie taktycznym.

eksodusie, a nie zorganizowanym odwrocie taktycznym.

Część cywilów okazała się jednak pomocna formując oddziały ochotników w liczbie sto siedemdziesięciu osób. Blisko połowa służących w nich mieszkańców metropolii okazała się kobietami. Bray był tym faktem zdumiony, nigdy wcześniej nie widział bowiem kobiety parającej się wojskowym rzemiosłem. Na Tanith służba w armii była profesją zastrzeżoną wyłącznie dla mężczyzn. Sierżant nie mógł jednak nie doceniać determinacji tych Verghastytek. I po części odnosił wrażenie, że je rozumie. Był to przecież ich świat.

Chociaż spora grupa oficerów Vervun Primary i NortColu przewyższała sierżanta rangą, wszyscy wydawali się chętnie służyć pod jego rozkazami. Bray uznał, że przyczyną tego posłuchu był fakt, iż to dowódca Duchów pełnił teraz władzę absolutną nad jednostkami lojalistów. Każdy trzymał się blisko Tanithijczyków w godzinach ostatecznej rozprawy.

Czołgowe pociski przeleciały nad głową sierżanta. Schował się pośpiesznie w płytkim okopie wyrytym w ziemi pomiędzy spaloną wytwórnią mięsa i zniszczoną siedzibą jakiejś gildii. Sierżant Zweek z NorthColu i major Bunce z Vervun Primary kręcili się po okopie wydając pośpieszne rozkazy znajdującym się w pobliżu żołnierzom. Część obrońców zaczęła okrążać budynek gildii montując kontruderzenie na flankę najbliższej kolumny pancernej wroga.

W powietrzu zaroilo się od laserowych wiązek. Większość imperialnych żołnierzy leżała w płytkich dołkach i za prowizorycznymi barykadami strzelając do nadbiegających z założonymi na karabiny bagnetami Zoican. Moździerzowe pociski odbijały się od ceramicznych płyt tworzących nawierzchnię ulic i wybuchały w powietrzu siejąc na wszystkie strony odłamkami. W tyle za linią nieprzyjacielskiej piechoty pojawiły się czołgi, niektóre z nich wiozły na pancierzach całe gromady wiszących na siatkach maskujących szturmowców.

Bray zaczął strzelać z lasera wysuniętego nad parapet okopu. Ostre jak brzytwa odłamki ścięły głowę sierżanta Zweeka, gorąca krew mężczyzny obryzgała czarny mundur Ducha. Tanithijczyk sięgnął po kolejną baterię.

* * *

- Jak się nazywają ? – Caffran próbował przekrzyczeć huk czołgowych silników. Yoncy spoczywał w zgięciu jednej jego ręki, Dalin trzymał się kurczowo drugiej. Tona następowała gwardziście na pięty.

Kompanie ochotnicze na zachodzie wciąż trzymały w miejscu natarcie Zoican i długie kolumny uchodźców korzystały z chwili względnego bezpieczeństwa, by przedostać się w okolice północnych dzielnic.

Tona nie odpowiedziała, zbyt była zajęta ostrzeliwaniem goniących ich szturmowców. Nikt jej nie ubezpieczał.

- Trzymaj mocno braciszka i połącz się na ziemi – krzyknął Caffran do Dalina podając mu niemowlę – Ja wracam po waszą matkę.

- To nie moja mama, tylko ciocia Tona – zaprzeczył chłopiec.

Gwardzista strzelił kilkakrotnie ze swego lasera i rzucił się do dołka, w którym szukała osłony Tona.

- Nową baterię ! – zawołała.

Podał jej jeden z zapasowych akumulatorów. Kiedy przeładowała broń, podnieśli się z brzuchów i zaczęli strzelać wzdłuż ulicy. Ludzkie ciała w ochrowych kombinezonach padały na nawierzchnię drogi i chodniki.

- Masz dobre oko.

- Robię co mogę. Nowa bateria !

Wyciągnął z kieszeni następny akumulator.

- Więc to nie są twoje dzieci ? Wiedziałem, że wyglądasz zbyt młodo...

Spojrzała na niego z zaciętą gniewną miną.

- Są wszystkim, co mi pozostało. Odpieprz się ! Nie zabierzesz mi ich, ani ty ani ktokolwiek inny !

Podniosła pistolet i znów zaczęła strzelać. Umarł następny Zoica, drugi, trzeci...

* * *

Zaciekle walki wręcz na wszystkich liniach obrony ciągnęły się do wczesnych godzin rannych trzydziestego szóstego dnia wojny. W czasie tym dwie trzecie cywilnej ludności Vervunhive zdołało dostać się do dzielnic nadrzecznych, próbując za wszelką cenę znaleźć drogę ucieczki na północny brzeg. Rzeczne barki w żaden sposób nie mogły nadażyć z przewożeniem uchodźców. Pracując nieprzerwanie przez całą noc i zatrzymując się jedynie na czas załadunku oraz tankowania łodzie takie jak Magnificat ustawicznie przemierzały Hass tam i z powrotem. Przewieziono w ten sposób na północ prawie dwa miliony osób, szukających teraz schronienia w dzielnicach po drugiej stronie rzeki bądź uciekających dalej, w kierunku Northern Collective. Noc była chłodna i pochmurna, wielu cywilów – rannych, wyczerpanych, zszokowanych - cierpiało na gorączkę i zakażenia.

W metropolii było znacznie gorzej. Miliony ludzi całkowicie zatłoczyły okolice nabrzeża. W miejscach załadunku toczyły się dzikie bezlitosne walki o prawo do wejścia na pokład barek. W porcie śmierć poniosło blisko tysiąc osób, dwieście z nich utonęło, gdy przeciążona łódź przewróciła się na środku rzeki. Setki innych zostały stratowane na brzegu lub zepchnięte w lodowaty nurt Hassu pod naporem tłumu. Ci, którzy nie poszli na dno od razu, unosili się bezradnie w wodzie nie mając szans na ponowne wdrapanie się na zatłoczone betonowe nabrzeża. Długi fragment nadwerężonej sekcji załadunkowej zarwał się pod ludzkim ciężarem pociągając za sobą kilkaset zaskoczonych ofiar. Nikt nie panował już nad powszechną paniką i rosnącą z każdą chwilą brutalnością uchodźców. Niczym ranione zwierzę, Vervunhive zaczynało kasać samo siebie.

Każda łódka czy tratwa zdolna utrzymać się na wodzie była bez skrupułów kradziona przez mężczyzn i kobiety nie mających prawie żadnego doświadczenia w pływaniu. Setki innych desperatów próbowały pokonać rzekę wplaw, trzymając się kawałków drewna i dętek. Hass miał w tym miejscu szerokość trzech kilometrów, a woda była lodowata i pełna zdradzieckich prądów. Żaden ze śmiazków nie zdołał dotrzeć dalej niż do połowy nurtu przed utonięciem, z wyjątkiem nielicznych szczęśliwców wyłowionych przez załogi przepływających w pobliżu barek.

Długie kolumny cywilów parły na północny brzeg po kolejowym wiadukcie. Panował tam tak ogromny ścisk, że ustawicznie ktoś spadał z przeraźliwym krzykiem w otmęty Hassu spychany przez współtowarzyszy niedoli. Krótko po północy na wiadukt posypały się rakietowe pociski Zoican zajmujących pozycję przy moście drogowym Hiraldi. Część rakiet spadła na doki lub do rzeki, cztery jednak dosięgły celu zawałając trzy przęsła wiaduktu. Na miejscu zginęło kilkaset osób. Droga ucieczki została odcięta, ale ci nieszczęśnicy, którzy przeżyli ostrzał znaleźli się w pułapce. Napierający od południa tłum nieświadomych tragedii uchodźców spychał ludzi jednego po drugim z zarwanej krawędzi ostatniego przęsła.

Kilkanaście minut po zniszczeniu mostu kolejowego płynący w stronę Vervunhive Folik dostrzegł światła pojazdów na wschodniej części północnego brzegu. Zoicańskie brygady zmotoryzowane przedostały się na drugą stronę Hassu dzięki rurociągom i nietkniętemu mostowi Hiraldi. Najeźdźcy nie zamierzali okazać nikomu litości. O świcie ludzie zebrani na północnym brzegu padli ofiarą zmasowanego ataku. W systematycznie prowadzonej masakrze ludności cywilnej zginęło pół miliona Vervuńczyków, setki tysięcy uciekły w popłochu na niezamieszkałe pustkowia powyżej metropolii.

Praca przewoźników dobiegła końca. Barki powróciły na południową stronę rzeki i przycumowały do nabrzeża. Metropolia znalazła się w pułapce. Przerażająca świadomość braku drogi ucieczki długo nie docierała do uchodźców wciąż miotających się w dokach. Zoicanie zaczęli strzelać poprzez rzekę w gęste tłumy, ale dopiero po kilku godzinach cywile pierzchli z powrotem w głąb miasta – tak wolno przyjmowano do wiadomości koszmarną wieści.

Folik siedział z Mincerem w sterówce Magnificata opróżniając butelkę joiliqi. Obaj zrezygnowali z próby ucieczki. Sporadyczny ostrzał z północnego brzegu wzbijał słupy wody wokół barki, po jej pokładzie bębniły odłamki i kawałki gruzu. Część doków płonęła. Folik zakładał, że lada chwila jakiś moździerzowy pocisk unicestwi ostatecznie Magnificata. Wstał, by wyjąć z szafki kolejną butelkę i wtedy laserowa wiązka przebiła ścianę sterówki w miejscu, gdzie przed momentem siedział. Mężczyzna zaniósł się pijackim śmiechem i otworzył butelkę. Ciekaw był, czy zdążą z Mincerem opróżnić ją przed śmiercią.

* * *

Fort Hass West był otoczony z wszystkich stron. O świcie nieprzyjaciel nieomal złamał pozycje obrońców. Ciężki ostrzał artyleryjski niszczył zewnątrz fortyfikacje budowli, natomiast piechota i lekkie pojazdy pancerne wroga podchodziły do fortu od strony centrum metropolii. Ciężko ranny kapitan Cargin z trudem panował nad swoimi sześciuset żołnierzami, żalosną resztką liczącego pięć tysięcy ludzi garnizonu, z którym rozpoczynał tę krwawą noc. Nie miał już żadnych artylerzystów, chociaż to akurat kapitana nie trapiło – amunicja do dział na Murze wyczerpała się dawno temu, a większość stanowisk broni ciężkiej już nie istniała. Pozostali mu wyłącznie żołnierze Vervun Primary i ich lasery. Niższe poziomy fortu stały w ogniu pożarów.

Cargin poprawił swój spiczasty hełm i ruszył wzdłuż parapetu wydając rozkazy głosem ochrypłym od wielu godzin krzyczenia. Blanki fortu usłane były trupami vervuńskich żołnierzy. Kapral Anglon zawołał coś do dowódcy, wskazał dłonią poza parapet umocnień. Jakiś obiekt poruszał się na przedmieściach, ledwie widoczny pośród kłębow dymu.

Kapitan podniósł do oczu lornetę. Przez okular instrumentu dostrzegł monstrualny kształt toczący się po ruinach podmiejskich dzielnic jakieś vervuński oficer.

piętnaście kilometrów na południe od Muru. Kolejna machina śmierci, uznał vervuński oficer.

Ten pojazd zwracał na siebie szczególną uwagę – był większy i wolniejszy od dotychczas zaobserwowanych machin. Wielka struktura w kształcie piramidy, mierząca od podstawy do wierzchołka dobre pięćset metrów, pokryta była warstwą żółtawej farby i udekorowana obscenicznymi ikonami. Poruszała się na tuzinie potężnych sekcji gąsienicowych miażdżących wszystko pod swym ciężarem. Za pojazdem ciągnął się szeroki na pół kilometra pas gładkiej ubitej ziemi, niczym ślad po przejściu gigantycznego walca. Boczne ściany piramidy najeżone były wieżyczkami artyleryjskimi i platformami bojowymi, wszędzie powiewały proporce Chaosu, a z metalowych głośników wylewał się potok bluźnierczych bełkotów.

- Co to takiego ? – wycedził przez zęby Anglon.

Cargin wzruszył ramionami. Był osłabiony wpływem krwi i bólem – każde słowo, ruch i myśl musiał okupić ogromną koncentracją. Zdjął z ramienia plecakowy komunikator, który nosił ze sobą od chwili śmierci oficera radiowego.

- Cargin, Hass West, do Dowództwa. Kod dostępu 454/gau.

- Potwierdzam odbiór i weryfikację, Hass West.

- Mamy tu zbliżający się do Muru obiekt. Masywna zmechanizowana struktura, mobilna i ciężko uzbrojona. Mogę tylko zgadywać, ale dopóki nie ujrzę innych pojazdów tego typu, będę szedł w zakład, że jest to centrum dowodzenia nieprzyjaciela. Nigdy wcześniej nie rzucali na nas czegoś tak wielkiego.

- Zrozumiałem, Hass West. Czy możecie nam przesłać zapis wizualny ?

- Komunikacja wizualna nie działa. Musicie mi wierzyć na słowo.

- Jaka jest wasza sytuacja, Hass West ? Próbujemy pchnąć w waszym kierunku posiłki.

Cargin westchnął ciężko. Zamierzał powiedzieć sztabowcom, że został mu niecały tysiąc żołnierzy, w większości rannych, prawie całkowicie pozbawionych amunicji, bez wsparcia artylerii i otoczonych morzem wrogich oddziałów. Przewidywał, że w tej sytuacji fort zdoła się utrzymać jeszcze godzinę.

Szacunki te okazały się przesadzone o pięćdziesiąt dziewięć i pół minuty. Anglon z okrzykiem zaskoczenia chwycił kapitana za ramię. W wielkiej szczelinie na przedniej ścianie maszyny zapłonęło oślepiające światło. Zoicański pojazd zadygotał i plunął wielkimi promieniami plazmowej energii. Przypominały one wiązki energetyczne użyte do niszczenia umocnień na Bramie Ontabi, ale były znacznie skuteczniejsze, swym potencjałem przywodząc na myśl broń pokładową kosmicznych okrętów. Ogłuszający huk wstrząsnął powietrzem w promieniu kilkunastu kilometrów.

Fort Hass West i strzeżona przez niego Brama przestały istnieć. Cargin, Anglon i wszyscy pozostali obrońcy wyparowali bez śladu w ułamku sekundy. Kiedy mordercze promienie zgasły, mniejsza artyleria pokładowa maszyny otworzyła ogień do żaloznych szczątków fortu. Powietrze przesycone było zapachem ozonu i swądem spalonego mięsa. Na pół kilometra w każdą stronę od bramy Mur po prostu znikł. Ruchoma piramida podjęła powolną jazdę w kierunku metropolii, z jej głośników dobiegały pochwalne pieśni sławiące imię Wyzwolicielea.

* * *

Gaunt odzyskał pełną świadomość natychmiast po przebudzeniu. Jego umysł pracował znów żwawo, ale każdy mięsień ciała emanował bólem. Przez chwilę zastanawiał się, gdzie właściwie jest. Jak długo spał ?

Zerwał się na nogi. Pokoik pogrążony był w cichym półmroku, religijne psalmy kleryków dawno już umilkły. Merity Chass stała opodal kontemplując freski przedstawiające wydarzenia z historii Imperium. Miała na sobie jedynie długi płaszcz komisarza. Spojrzała przez ramię na mężczyznę, uśmiechnęła się.

- Lepiej się ubierz – poradziła – Niebawem będą cię szukać.

Gaunt znalazł swoje buty i koszulkę, włożył je pośpiesznie. Wciąż czuł smak ust dziewczyny. Przystanął na moment, by ogarnąć ją wzrokiem. Była taka... olśniewająca. Jeśli do tej pory nie miał osobistego powodu, by walczyć o przetrwanie Vervunhive, teraz go zyskał. Nie mógł pozwolić na to, by ta kobieta zginęła.

Usiadł na krawędzi balustrady i zaśmiał się ironicznie.

- Co się stało ? – zapytała.

Gaunt pokręcił głową. Co za pomysł ! Właśnie złamał podstawową zasadę obowiązującą każdego dobrego oficera. Pozwolił, by kierowały nim emocje. Nawet teraz słyszał wyraźnie przestrogi Oktara, zakazujące mu przywiązywania się do kogokolwiek lub czegokolwiek. W ciągu tych spędzonych wspólnie lat Gaunt często widywał jak Oktar pozostawia za sobą roniące łzy kobiety ruszając bez wahania na kolejną linię frontu.

- Nie angażuj się emocjonalnie, Ibramie, nigdy nie rób tego błędu. Jeśli nie musisz się o nikogo troszczyć, twoje żołnierskie życie staje się prostsze. Robisz

Robisz to, co musisz, bierzesz to, co potrzebujesz i idziesz dalej. Nigdy nie patrzysz za siebie, nigdy nie żałujesz i nigdy nie wspominasz.

Gaunt zapiął bluzę. Po raz pierwszy w życiu uświadomił sobie jak dawno temu złamał radę Oktara. Kiedy napotkał Tanithijczyków i zabrał ich z piekła mordowanego świata, zaczął się o kogoś troszczyć. Nie postrzegał w tym śladu słabości. Tutaj stary Oktar się mylił. To ustawiczna troska o Duchy uczyniła go takim człowiekiem jakim był teraz. Bez tego zaangażowania, tej emocjonalnej więzi – pewnie już dawno odszedłby z czynnej służby albo strzelił sobie w usta.

Krzążąc się po pomieszczeniu znalazł czapkę, rękawiczki, pas. Próbował przypomnieć sobie dziwne pomysły, które kotłowały się w jego umyśle tuż przed przebudzeniem.

Daur wpadł niczym burza do pokoju.

- Komisarzu ! Nie... – ujrawszy półnągą kobietę owiniętą wojskowym płaszczem Daur urwał w połowie słowa i odwrócił zawstydzoną twarz.

- Chwileczkę, kapitanie.

Gaunt podszedł do Merity.

- Muszę iść. Kiedy to się skończy...

- Będziemy martwi albo będziemy powtórnie damą wysokiego rodu i zwykłym żołnierzem.

- Dziękuję zatem Imperatorowi za tę niezwykłą chwilę. Będę cię pamiętał do chwili swej śmierci.

- Taką mam nadzieję. I wierzę, że chwila ta jest jeszcze niezmiernie odległa.

Pocałował ją w usta, przesunął palcami po policzku. Wyszedł w ślad za Daurem z pokoju zapinając kurtkę i poprawiając rozluźniony pas. Przechodząc przez próg zdjął oficerską czapkę i sprawdził ostrożnie przyczepioną do niej metalową różę otrzymaną od lorda Chassa. Nie chciał, by dar zmarłego człowieka odpadł od nakrycia głowy przy zbyt gwałtownym ruchu.

- Przepraszam, sir – powiedział na korytarzu Daur.

- Zapomnij o przeprosinach, Ban. Powinieneś być zbudzić mnie wcześniej.

- Chciałem sprezentować panu tyle czasu na odpoczynek, ile mogłem wygospodarować.

- Jak wygląda bieżąca sytuacja ?

- Intensywne walki na wszystkich frontach. Nieprzyjaciel zajął północny brzeg. Kilka minut temu padł fort Hass West.

- Cholera ! – syknął Gaunt przekraczając próg sali odpraw. W ciągu nocy doniesiono do pomieszczenia wiele nowych komputerów i komunikatorów. Ponad trzystu mężczyzn i kobiet w uniformach Vervun Primary, Administratum i miejskich gildii pracowało wraz z tuzinami wspierających ich wysiłki serwitörów. Major Otte znajdował się przy głównej mapie, stali przy nim intendent Banefail i członkowie jego grupy logistycznej.

Wielu sztabowców zaszutowało widząc wchodzącego komisarza. Oddawał im pośpiesznie saluty zmiierzając w stronę holograficznej mapy.

- Tuż przed zniszczeniem fort Hass West zgłosił pojawienie się masywnej mobilnej struktury zmiierzającej w ich stronę. Jesteśmy przekonani, że to pojazd dowodzenia nieprzyjaciela.

Gaunt spojrział na migoczący na mapie wielki znacznik, zmiierzający w kierunku wschodniego odcinka Muru.

- Nazwa kodowa „Szpica” ?

Banefail stanął u boku Ducha. Starszy wiekiem urzędnik niemal przewracał się z wyczerpania.

- To moja propozycja, komisarzu. Przyrównałem ten obiekt do wielkiej zakrwawionej szpicy i nazwa się przyjęła.

- W porządku. Co o nim wiemy ?

- Wyjątkowo silnie uzbrojony, ale powolny – oświadczył major Otte – Jak sądzę, możemy przyjąć za pewnik, że jest też silnie opancerzony.

- Co pozwala nam przyjąć tezę, jakoby był to pojazd dowodzenia wroga ?

- Jest tylko jeden taki egzemplarz – powiedział Daur – a jego rozmiary mówią same za siebie.

- Jest coś jeszcze – dodał Banefail wskazując dłonią radiokomunikator, przy którym stała kobieta w uniformie Administratum, dwaj serwitörzy i drżący lekko astropata – Pojazd jest źródłem radiowych transmisji wroga.

Gaunt spojrział pytająco na radiooperatorkę. Kobieta przekreśliła potencjometr i w rozstawionych wokół mapy głośnikach rozbrzmiał elektroniczny szum kodowanych przekazów.

- Cała komunikacja radiowa jest kontrolowana przez ten obiekt – stwierdził chrapliwym tonem błady astropata. Gaunt starał się nie patrzeć na jego postać, zwłaszcza sterczące z gołej czaszki okablowanie i gniazda neuralnego interfejsu. Astropata wskazał cybernetyczną kończyną diody błyskające na obudowie komunikatora – Wiedzieliśmy, że szum radiowy dociera spoza miasta i przez dłuższy czas byliśmy pewni, że jego źródłem jest Ferrozoica. Teraz jednak źródło jest mobilne, a radionamierniki jednoznacznie wskazują na Szpicę.

- Asphodel – skinął głową Gaunt.

- Jest tutaj ? – Banefail wzdrygnął się słysząc imię Wyzwoliciele – Tak blisko ?

- Jest tutaj ? – Banefail wzdrygnął się słysząc imię Wyzwoliciele – Tak blisko ?

- To zgadza się z jego profilem psychologicznym. Wyzwoliciel lubi osobiście smakować swe zwycięstwa i ściśle kontrolować sytuację. On dowodzi poprzez charyzmę, intendencie. Gdzie maszerują jego legiony, tam on sam krąży w pobliżu.

- Złoty Tronie... – wymruczał major Otte patrząc na mapę rozszerzonymi lekkiem oczami.

Gaunt z trudem zmusił się do spojrzenia na astropatę, przepelniony wstrętem do aury Osnowy emanującej od mężczyzny.

- Twoja opinia ? Ten szum: czy to może być sygnał kontrolujący zoicańskie oddziały ? Coś w rodzaju psychicznego uzależnienia pozwalającego Wyzwolicielowi utrzymać w ryzach rzesze zelotów ?

- Szum ma bez wątpienia właściwości hipnotyczne. Sam wyczuwam pewne zaburzenia psychiki podczas jego analizy. Sygnał jest przesycony pulsem Osnowy. Chociaż nie możemy nawet spróbować interpretować jego znaczenia, istnieje zauważalne powiązanie między rytmem szumu i działaniami wrogiej armii.

Gaunt pogрузił się w głębokim zamyśleniu. Pomysł, który obudził go w pokoiku przy zakrystii znów pojawił się w umyśle oficera.

- Nowe rozkazy – powiedział do Daura, Otte i Banefaila – Wyślecie wiadomość do majora Rawne i sierżanta Mkolla – wydał pośpiesznie resztę poleceń i zażądał, by Daur przyniósł mu zapasowe magazynki do boltowego pistoletu.

- Gdzie się pan wybiera ? Potrzebujemy pana tutaj ! – zaprotestował major Otte.

- Pokładam bezgraniczne zaufanie w pana kompetencje, majorze – odparł Gaunt i wskazał palcem holograficzną mapę – Plan taktyczny został wprowadzony w życie. Wasz sztab doskonale poradzi sobie z dalszą pracą. Jestem oficerem liniowym. Żołnierzem, nie analitykiem. Przyszedł czas wykonać robotę, na której znam się najlepiej. I z Imperatora pomocą to mi się uda.

Komisarz wyjął Amulet Heironymo z pokrowca i zacisnął go w dłoni czując jak przedmiot wibruje ledwie zauważalnie. Miniaturowe lampki na powierzchni artefaktu migotały nieregularnie.

- Pod moją nieobecność dowodzenie przejmują Daur i Otte. Jeśli nie wrócę, intendencie, otworzyli połączenie radiowe z marszałkiem Macarothem i zaczniecie go błagać o pomoc. Mam jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Amulet wciąż drżał i błyskał diodami.

To może się udać, pomyślał Gaunt, Imperatorze spraw, by to się udało.

„Idę w zakład, że ci podkomendni Gaunta to jakieś żalosne szczury” – generał Noches Sturm do majora Gilbeara na Voltemandzie

Mającą posłużyć za przewodników kompania ochotnicza czekała na skrzyżowaniu 281/kl. Liczyła czterdzieści osób i zdążyła już zasłynąć z akcji partyzanckich w podmiejskich habitatach. Jej dowódca, potężnie zbudowany górnik Gol Kolea, przywitał komisarza wojskowym salutem, z daleka rozpoznając dowódcę gwardzistów pomimo uczernionych sadzą otoków oficerskiej czapki. Gaunt miał przy pasie energetyczny miecz, w kaburze przewieszanej przez pierś chował boltowy pistolet. Całe ciało okrył szczelnie płaszczem maskującym zgodnie z wskazówkami, jakich udzielił mu na początku wspólnej znajomości Colm Corbec.

W powietrzu niósł się odległy dźwięk zaciekłych walk miejskich, ale ten sektor okazał się pusty i spokojny. Zimne poranne światło słoneczne sączyło się przez migotliwą kopułę Tarczy. Komisarz nakazał gestem ręki dołączenie Duchom do kompanii ochotniczej. Zabrał ze sobą trzydziestu Tanithijczyków: bladokórych ciemnowłosych żołnierzy w czarnych mundurach i płaszczach kamuflujących, noszących na swej skórze rozliczne niebieskie tatuaże. Należeli do śmietanki majora Rawne i chluby sierżanta Mkolla – Bragg, Larkin, Domor, MkVenner, Dremmond, Genx, Neskon, Cocoer, lekarz Gherran – najlepsi z najlepszych.

Gaunt rozpoczął właśnie odprawę dla operacji „Heironymo”, kiedy Rawne usłyszał jakiś hałas w tyle ulicy. Gwardziści i ochotnicy rozproszyli się przygotowując do użycia broni.

Grupę dziesięciu Volpończyków prowadził pułkownik Gilbear. Wszyscy należeli do elitarnej Dziesiątki, nosili masywne kompozytowe karapaksy i ciężkie lasery. Gaunt wyszedł z kryjówki, aby powitać przybyłych. Obaj oficerowie wymienili saluty.

- Nie wybiera się pan chyba nigdzie bez Błękitnokrwistych, komisarzu? – zapytał z lekkim sarkazmem Gilbear.

- Nawet o tym nie marzyłem – odciął się Gaunt – Cieszę się, że trafił do was mój komunikat, a jeszcze bardziej cieszy mnie fakt, że tak szybko dotarliście tutaj. Jesteśmy gotowi do drogi.

Gaunt zrównał krok z Rawne i Koleą obserwując dołączających do oddziału Volpończyków.

- Nie mogę uwierzyć, żeśmy ich zaprosili do wspólnej akcji – mamrotał pod nosem Rawne.

- Zachowaj te obiekcje dla siebie, majorze – powiedział Gaunt – Błękitnokrwisci mogą być irytującymi palantami, ale sądzę, że nawiązałem z nimi nic porozumienia. Poza tym przydadzą nam się ich mięśnie.

Rawne napluł ze złością na ziemię.

- Jak rozumiem, pan tu teraz dowodzi – odezwał się Kolea – Z całym szacunkiem, czy mogę zapytać, co pan tu do cholery robi? Gnide i Croe nigdy nie brudzili sobie rąk polową robotą.

- Ich etyka dowódcza różniła się znacząco od mojej, Kolea. Mam nadzieję, że mój pogląd spotka się z pańską akceptacją.

- Potrafi pan sygnalizować rozkazy?

- Nie rozumiem.

- Większość mojej kompanii jest głucha. Czy potrafi pan sygnalizować językiem migowym swoje rozkazy?

- Ja potrafię, sir – wtrącił Mkoll.

Gaunt wskazał dłonią sierżanta.

- Mkoll będzie przekazywał moje instrukcje pańskim żołnierzom. W porządku?

- Być może – Kolea podrapał w zamyśleniu policzek.

Komisarz domyślał się w głębi duszy, przez jakie piekło musiał przejść ten człowiek w ostatnich tygodniach. Posępna odwaga i determinacja emanowały z postaci mężczyzny niczym pot. Był to żołnierz, którego Gaunt nie chciałby mieć za przeciwnika.

* * *

Przemierzali brudne, zniszczone ulice południowych dzielnic podmiejskich. Płonący w wielu miejscach, zrujnowany Mur wznosił się za plecami lojalistów. Grupę prowadzili zwiadowcy Mkolla wspierani przez przewodników Kolei. Potężni niezdarni Volpończycy trzymali się w tyle próbując nadążyć za szybko i bezgłośnie poruszającą się jednostką. Pozbawieni osłony zapewnianej przez Tarczę, po kilku minutach wszyscy byli już przemoczeni strugami deszczu.

- Znasz dobrze te okolice, Kolea – stwierdził Gaunt – Jak sądzę, mieszkałeś tu kiedyś.

- Owszem. Pół kilometra stąd znajduje się krater w miejscu, gdzie stał mój habitat.

- Straciłeś rodzinę ?

- Żonę, dwójkę dzieci. Nie wiem, czy zginęli... cholera, jakie mogli mieć szanse ?

Gaunt wzruszył bezradnie ramionami.

- Kogo pan stracił przylatując tutaj ? – zapytał górnik.

- Żołnierzy ?

- Rodzinę.

- Ja nie miałem nikogo, kogo mógłbym utracić. Nie wiem, który z nas jest szczęśliwszy.

Kolea zaśmiał się, ale w śmiechu tym nie było śladu radości.

- Żaden, komisarzu. To właśnie nasza tragedia.

* * *

- Nie znam się na dziewczynach – wymamrotał Larkin drepcząc poprzez spalone, mokre ruiny. Idący obok Bragg, objuczony przewieszoną przez plecy ręczną wyrzutnią rakiet i ciężkim karabinem maszynowym, podniósł tylko brwi w niemym zapytaniu. W kompanii ochotniczej Kolei służyło osiem kobiet, a żadna z nich nie ukończyła jeszcze dwudziestu pięciu lat. Każda dźwiagała zdobyczny zoicański laser albo vervuński karabinek automatyczny i ciężki plecak z dodatkowym ekwipunkiem. Większość dziewczyn miała na nogach sznurowane wojskowe buty owinięte w celu wytłumienia dźwięków szmatami. Biegały po zgliszczach równie cicho i pewnie jak ich męscy towarzysze broni. Miesiąc zacieklej wojny partyzanckiej wiele te kobiety nauczyły. Mniej pojętne rekrutki już nie żyły.

- Och, kobiety potrafią walczyć – burknął Rilke, niosący pod pachą swój skierowany lufą w dół snajperski karabin – Moja siostra Loril często miała do czynienia z pijaczkami w tawernie naszego ojca. Gdybyś widział, jak potrafiła zdzielić takiego pięścią.

- Nie o to mi chodziło – sarknął Larkin wycierając mokry od deszczu nos – To jakieś takie nie w porządku oglądać te kobiety w roboczych ubraniach i z laserami w rękach. Rozumiesz, to przecież dziewczęta. Wojna nie jest dla nich.

- Lepiej bądź cicho – syknął Dremmond kołysząc się pod ciężarem zatankowanego do pełna miotacza ognia – Jeszcze cię usłyszą.

- Słyszałeś przecież, co mówił ten wielki górnik. Wszystkie są głuche. Mogę mówić, co myślę i żadna nie poczuje się obrażona. Nie słyszą mnie.

- Ale czytamy z ruchów ust, Tanithijczyku – powiedziała ironicznym tonem Banda. Kilku idących obok ochotników roześmiało się cicho.

- Ja... ja nie miałem nic złego na myśli – zaczął wyjaśniać Larkin poruszając wyraźnie ustami, by dziewczyna dobrze go rozumiała. Na brudnej twarzy Bandy pojawił się pogardliwy grymas.
- Nie jestem głucha. Muril też. Ani Zoicanie. Dlaczego nie wyświadczysz nam przysługi i się nie zamkniesz ?
- Licząca osiemdziesiąt osób grupa specjalna skręciła w jedną z bocznych ulic dzielnicy.
- A nie mówiłem – wyszeptał Dremmond.
- Zamknij się ! – odparł Larkin.

* * *

MkVenner szedł w forpoczcie wysuniętej do przodu przez sierżanta Mkolla, wyprzedzał go zwiadowca Bonin oraz przewodnicy z kompanii ochotniczej: dziewczyna o imieniu Nessa i vervuński sierżant Haller, zastępca Kolei. Haller należał do grupy dziewięciu żołnierzy Vervun Primary wcielonych do oddziału ochotników, chociaż z powodu podartego, brudnego munduru i wełnianej czapki noszonej zamiast spiczastego hełmu niemal wcale nie przypominał z wyglądu regularnego wojskowego. Sierżant wydawał się czerpać satysfakcję ze służby pod rozkazami Kolei. MkVenner wiedział, że członkowie jednostek ochotniczych stoczyli najcięższe walki tej wojny i wspólne przeżycia wytworzyły wśród nich niezwykle silne więzi emocjonalne.

Nessa prowadziła grupę przez kompleks częściowo spalonych fabryk, lustrując czujnie wzrokiem otoczenie, poruszając się krótkimi skokami i wydając zwięzłe zrozumiałe polecenia w języku migowym. Przeskoczyli pośpiesznie podmiejską drogę szybkiego ruchu o zdartej wybuchami pocisków artyleryjskich nawierzchni, minęli wraki dwóch zoicańskich czołgów i przewrócony do góry gąsienicami transporter piechoty.

Za trasą szybkiego ruchu znajdowały się zakłady tekstylne. Deszczowa woda wciekała do rozległych hal przez dziury w dachach, kapała na metalowe korpusy milczących maszyn. W podmuchach zimnego powietrza furkotały tysiące wiszących na ramach tkackich nici. MkVenner przystanął w miejscu na chwilę patrząc z dziecięcą fascynacją jak krople wody ściekają po niciach niczym nawleczone na nie diamenty i uderzają z cichym dźwiękiem w podłogę.

Zwiadowca uświadomił sobie nagle, że Nessa gdzieś znikła. Haller wyrósł zniecała za plecami Ducha.

- Miałeś nie spuszczać jej z oczu – wyszeptał przekładając jednocześnie słowa na język migowy. Vervuński sierżant wiedział, że MkVenner nie ma żadnych kłopotów ze słuchem, ale w obliczu rychłej konfrontacji z wrogiem kontrolę nad mężczyzną przejął instynkt.

Dobiegł do nich Bonin, razem przedostali się na drugi koniec kompleksu. Nessa czekała w hali załadunkowej o szeroko otwartych wrotach, schowana za przewróconym wózkiem widłowym. Na zewnątrz z łoskotem gąsienic przetoczyły się cztery zoicańskie samobieżne miotacze płomieni, wszyscy poczuli wyraźnie ostry zapas bulgoczącego w ich zbiornikach paliwa.

Kiedy nieprzyjacielskie pojazdy oddaliły się na bezpieczny dystans, Nessa wykonała gest pchnięcia palcami dłoni i cała czwórka przebiegła przez plac załadunkowy przed halą zmierzając w stronę obwarowanego zasiekami z drutu kolczastego budynku gildii przewozowej. Rozbite okiennice trzaskały głośno na wietrze, głębokie kałuże znaczyły betonową powierzchnię placu. Minęli rzędy drewnianych skrzyń i kołowe palety do ich przewozu. Obok siedziby przewoźników znajdowała się niewielka kaplica zbezczeszczona przez Zoican. Jej ona zostały wybite, ściany zabrudzone ekskrementami. Kilkunastu robotników wisiało przed wejściem do kaplicy na wykonanych z kolejowych szyn krzyżach.

Ciała były już tylko przypominającymi worki szmat zwłokami, tygodnie ciągłych opadów i padlinożerne ptaki dokonały swego dzieła.

Haller zahaczył butem o pustą butelkę i ostry dźwięk uderzającego w gruz szkła przstraszył ptaki. Zerwały się w krzyży w skrzeczących stadach odsłaniając szczątki ofiar. Część z nich należała do tłustych czarnopiórych ścierwojadów, inne były morskimi ptakami gnieźdzącymi się przed wojną w rzeczonym porcie. Czarnobiała chmara zatoczyła kilka kręgów nad placem, po czym usiadła na dachu siedziby przewoźników. Ziemia była upstrzona ich odchodami.

W ogrodzeniu za kaplicą znajdowała się dziura. MkVenner zatrzymał się przy niej i upewnił przez komunikator, że główna część grupy nadaża za czujką. Gaunt i jego podkomendni wchodzili właśnie na plac załadunkowy przed zakładami tekstylnymi.

Pusty obszar na południe od budynków firm usługowych był mieszaniną gruzu i pleniących się szaleńczo chwastów. Ziemię przecinały głębokie koleiny, a wszędzie wokół wałało się mnóstwo ciężkich metalowych łusek. W pierwszych dniach wojny Zoicanie ustawili w tym miejscu swe polowe działa ostrzeliwujące Mur. MkVenner zrobił krok do przodu, ale Nessa złapała go za rękaw.

Duch wykonał gest zapytania. Dziewczyna westchnęła i wyszeptała mu do ucha:

- Zoicanie często porzucają miny pułapki na swoich byłych pozycjach.

MkVenner skinął głową i wyszeptał zwięzły raport do komunikatora. Gaunt natychmiast podesłał czujce Domora. Haller pomógł szperaczowi założyć jego zestaw mierników i Duch poczołgał się po ziemi obracając na przemian głowę w prawo i lewo. Domor lubił wykonywać swą pracę przy użyciu słuchu i MkVenner uśmiechnął się na widok przymkniętych optycznych wszczepów gwardzisty. Czasy, gdy Domor po prostu zamykał oczy, odeszły w przeszłość po akcji na Menazoidzie Epsilon.

Domor wytyczył przejście w ciągu pięciu minut, znacząc krawędzie szlaku wtykanymi w ziemię markerami. Kiedy kończył pracę, grupa uderzeniowa dotarła już do dziury w ogrodzeniu i czekała cierpliwie wraz z czujką.

- Nic nie znalazł? – zapytał Haller wskazując leżącego po drugiej stronie odkrytego terenu Domora.

- Znalazł ich mnóstwo, ale nie będziemy tracić czasu na rozminowanie całego terenu. Idźcie dokładnie po ścieżce między markerami – polecił MkVenner.

Poruszając się gęsiego osiemdziesięciu żołnierzy przekroczyło pole minowe i znikło w otworze kanału ściekowego biegnącego pod ciągiem miejscowych budynków. Wąski tunel był pełen deszczówki, w wielu miejscach drogę tarasowały sterty gruzu i rozkładające się zwłoki.

U wylotu kanału znajdowała się metalowa klatka schodowa pozwalająca przejść na pobocze następnej trasy szybkiego ruchu. Żołnierze przeskakiwali przez drogę w niewielkich grupkach. Ludzkie szczątki poniewierały się na poboczu. Większość wojskowych starała się nie skupiać na nich wzroku. Larkinowi brakowało obojętności. Patrzył z przerażeniem na trupy. Ciała należały do mieszkańców dzielnic podmiejskich zabitych w pierwszych dniach bombardowania. Ludzie ci zginęli tygodnie temu i nikt nie ruszał ich zwłok od tego czasu, z wyjątkiem ciężkich zoicańskich pojazdów, które w wielu miejscach wgniotły gąsienicami trupy w ziemię.

Gaunt zarządził krótką przerwę w zniszczonych habitatach po drugiej stronie drogi. Żołnierze i ochotnicy rozsiedli się w cieniu przepatrując okolicę. Komisarz wspiał się schodami na trzecie piętro budynku, towarzyszyli mu Kolea i Gilbear.

- Czuję dym – oświadczył nagle wołpoński pułkownik. Przebiegł kilka kopniakiem skorodowane drzwi jednego z mieszkań.

metrów brudnym ciemnym korytarzem, oparł o biodro karabin i wyłamał kopniakiem skorodowane drzwi jednego z mieszkań.

Gaunt i Kolea biegli tuż za nim z wyjętą bronią. Wszyscy zamarli w miejscu nie przekraczając progu.

Pokój był pełny gruzu, złomu i piszczących w ciemnych kątach gryzoni. Dym sączył się z niewielkiego ogniska, nad którym wisiał osmolony kociołek. Pięciu mieszkańców pokoju – matka z trójką dzieci i stara kobieta – schroniło się w rogu pomieszczenia. Wszyscy byli obszarpani i cuchnęli okropnie, ich wychudłe ciała przypominały worki kości. Staruszka zawodziła cicho niczym złapane w potrzask zwierzę, dwoje dzieci zaczęło płakać. Matka wysunęła w kierunku intruzów dzierzony w rękach zaostrowany pręt, w jej twarzy płonęły dziką gorączką błyszczące oczy.

- Cofnąć się ! Natychmiast ! – syknął Gaunt, chociaż Kolea nie potrzebował żadnych wyjaśnień.

- Wszystko w porządku... przepraszam – powiedział komisarz do młodszej kobiety pokazując jej swoje puste ręce. Mierzący w jego twarz pręt nawet nie drgnął.

- Zostawcie ich – zażądał Kolea. Wyjął z plecaka paczkę żywnościową i podał kobiecie, a potem rzucił na podłogę widząc, że ta nie chce wyciągnąć do niego ręki.

Cofnęli się na korytarz, a Kolea ostrożnie zamknął uszkodzone drzwi.

- Na Tron Terry... – wyszeptał Gaunt kręcąc głową.

- Faktycznie – przyznał mu rację Gilbear – Bezsensowne marnotrawstwo jedzenia.

Komisarz spojrział na Volpończyka i otworzył usta, by coś odpowiedzieć, ale po chwili zrezygnował. Wyjaśnienie Błękitnokrwistemu targających duszą Gaunta emocji zajęłoby całą wieczność. Zresztą komisarz nie miał nawet w tej chwili specjalnej ochoty na konwersację z pyszałkowskim pułkownikiem.

Kolea też usłyszał uwagę Gilbeara i na twarzy dowódcy partyzantów pojawił się wyraz skrajnej odrazy. Górnik wątpił, by volpoński arystokrata zdołał pojąć ogrom cierpienia ludzi walczących w ruinach swych domów o każdy dzień życia. Kolea widział takich ludzi dostatecznie często, by złe wspomnienia nie pozwalały mu spać spokojnie do końca życia. W podmiejskich dzielnicach wciąż ukrywały się tysiące ludzi konających powoli z głodu, wyczerpania i zimna.

Trójka oficerów wyszła na drabinkę ewakuacyjną po wschodniej stronie habitatu, Gaunt i Gilbear wyjęli z futerałów swoje lornety.

Pięć kilometrów dalej na południe, pośród ruin, kłębow czarnego dymu i potoków deszczu, w niebo wzbijała się wielka sylweta Szpicy. Pojazd podążał ospale w kierunku metropolii. Gaunt obejrzał się przez ramię, przystawił do oczu instrument. W okularze pojawiła się migocząca kopuła Tarczy i widoczna pod nią bryła Main Spine, przysłonięta w wielu miejscach mniejszymi budowlami.

Gaunt podał lornetę Kolei, ale górnik podziękował nie okazując śladu zainteresowania. Gilbear machnął nagle dłońmi zwracając uwagę towarzyszy. Wskazał palcami na biegnącą opodal trasę szybkiego ruchu, jedną z kilku, które tego dnia przekroczyli w trakcie pośpiesznego marszu. Maszerowała nią duża grupa zoicańskich żołnierzy, eskortowana przez lekkie czołgi i transportery opancerzone. Przemoczone deszczem sztandary z emblematami Czterech Potęg zwisały smętnie z anten, ociekające wilgocią kompozytowe pancerze osobiste błyszcząły metalicznie.

Gilbear odbezpieczył swój laser i cofnął się w stronę drzwi, ale Gaunt powstrzymał go w pół kroku.

- Nie przyszliśmy tu po to, by z nimi walczyć. Czeka nas inne zadanie.

Komisarz przyłożył dłoń do zawieszzonego przy ustach mikrofonu.

- Duże zgrupowanie piechoty nieprzyjaciela przemieszcza się na zewnątrz naszej kryjówki. Pozostańcie w ukryciu i nie podejmujcie walki.

Rawne potwierdził odbiór rozkazu.

Zoicańska kolumna maszerowała obok budowli dobre pół godziny. Gaunt ocenił pobieżnie, że grupa liczy dwa tysiące żołnierzy i sześćdziesiąt pojazdów pancernych. Były to bez wątpienia rezerwy rzucone z tylnej linii na jeden z bieżących frontów. Komisarz życzyłby sobie posiadać takie rezerwy. Feth, co tam rezerwy, chciałby mieć takie zgrupowanie w swoich aktywnych jednostkach !

Kiedy heretycy odeszli na bezpieczny dystans, uczestnicy operacji „Heironymo” opuścili habitaty i ruszyli na południe, ku sylwecie odległej Szpicy.

* * *

Im bliżej podchodzili do maszyny, tym bardziej monstrualnych wymiarów nabierała, zasłaniając swym opasłym cieleśmiem niebo. Larkin czuł się coraz gorzej – ten potwór był duży, tak cholernie duży ! Na fetha, jak osiemdziesiąt biednych dusz mogło zatrzymać taką bestię ?

Kryli się ostrożnie wśród ruin. Larkin podniósł głowę, rozejrzył się i dostrzegł wlepiony w siebie wzrok Bandy.

Zaprzeczył bezwolnie i odwrócił pośpiesznie głowę.

- Jesteś przestraszony, mój mały ? – syknęła dziewczyna.

Zaprzeczył bezwolnie i odwrócił pośpiesznie głowę.

Mkoll, MkVenner i Gaunt wysunęli się przed pozycje lojalistów, towarzyszyli im Rawne, Kolea i Haller. Wszyscy słyszeli już wyraźnie odległy szcęk gigantycznych gąsienic i pomruk sekcji napędowych. Komisarz dostrzegł drobiny kurzu i popiołu podskakujące i osypujące się w zagłębienia ziemi w rytm regularnych drgań. Zrozumiał, że wielka maszyna, wciąż jeszcze odległa o dobry kilometr, wprawiała ziemię w coraz silniejsze drzenie pod swym niewiarygodnym ciężarem.

Deszcz jeszcze się nasilił, wielkie krople spadały w gęstym od wilgoci powietrzu. Gdzieś opodal rozlegało się regularne dźwięczne stukanie. Jego źródłem była rozbita butelka uwięziona pośród kawałków cegieł, bombardowana ciężkimi kroplami deszczu.

Gaunt wytarł z wody okular lornety i obejrzał uważnie Szpicę.

- Jak to zrobimy ? – zapytał Mkolla.

Sierżant zmarszczył lekko czoło.

- Wejdziemy od góry. Trzeba się rozejrzeć po okolicy i znaleźć odpowiednio wysoki habitat. Mam nadzieję, że nie zmienią potem kursu.

Gaunt wyprowadził swoją grupę na pas ubitej ziemi o szerokości pięciuset kilometrów, ciągnący się za Szpicą. Pojazd zdawał się nie omijać żadnych stojących mu na drodze budynków – najeżdżał na nie i wprasowywał w ziemię.

Imperialna grupa uderzeniowa okrążyła Szpicę z prawej strony i wyprzedziła ją ponownie zmierzając w stronę dwóch wskazanych przez Mkolla robotniczych habitatów, umożliwiających dzięki swym rozmiarom dostęp do górnej części maszyny. Gaunt podzielił swoich żołnierzy na dwie sekcje. Jedną dowodził pułkownik Gilbear, drugą sam komisarz.

Gwardziści wspinali się w górę zrujnowanej klatki schodowej wyznaczonego bloku, gdy odległa o pięćset metrów Szpica wystrzeliła ponownie z głównych baterii. Zamontowane na przedzie pojazdu gigantyczne miotacze plazmy rzygnęły pośród oszałamiającego ryku strumieniami niszczycielskiej energii. Upiornego dźwięku ludzkie uszy nie były w stanie wytrzymać. Blok mieszkalny zakółsał się w posadach, a mroczną klatkę schodową na ułamek sekundy rozświetliła oślepiająco biała poświata. Po dalszej sekundzie żołnierze poczuli falą niewiarygodnego ciepła i ostry swąd plazmy.

Gaunt wymienił spojrzenie z najbliższym gwardzistą. Przez chwilę odnosił wrażenie, że znalazł się zbyt blisko serca gwiazdy. Z podrażnionych oparami plazmy oczu ludzi ciekły łzy, wielu krwawiło z uszu. Gaunt otarł wierzchem dłoni płynącą z nozdrzy strużkę krwi.

Nie było czasu do stracenia. Gaunt i Mkoll wprowadzili żołnierzy na piąte piętro budynku, do samego końca odległego korytarza. Szpica była już niemal przy nich. Kilku obszarpanych cywilów przemknęło obok lojalistów w niemej grozie, uciekając pośpiesznie w poszukiwaniu bezpieczniejszej kryjówki.

Gaunt odebrał komunikat gotowości od Gilbeara. Druga grupa zajęła już swoje pozycje. Komisarz wyjrzał przez rozbite okno i westchnął widząc rzeczywiste rozmiary metalowego kolosa.

Dolne krawędzie ruchomej piramidy zahaczyły o podstawę bloku i zaczęły rozdzierać go na strzępy, kawały gruzu znikwały z chrzęstem pod gąsienicami. Gaunt błyskawicznie cofnął ludzi w tył pokoju. Przejeżdżająca obok machina oddała zewnętrzną ścianę pomieszczenia i wtedy ruszyli.

Skakali z krawędzi zdemolowanego pokoju dwójkami i trójkami, spadając na położone siedem metrów niżej pochyłe burty Szpicy. Wielu ślizgało się rozpaczliwie na mokrym metalu desperacko szukając rękami uchwytu. Gaunt uderzył z impetem w burzę, osunął się nieco w dół i chwycił kurczowo za łebki wystających z burty grubych nitów. Słyszając gdzieś powyżej głośny krzyk poderwał głowę na czas, by ujrzeć spadającego Larkina, tłukącego bezradnie rozpostartymi rękoma po gładkim pancerzu. Komisarz chwycił go za kaptur płaszcza i osadził w miejscu, niemal dusząc przy tym małego snajpera. Larkin wymacał pośpiesznie pewne uchwyty i podciągnął się na wysokość swego wybawcy.

- Znów uratowałeś mój tyłek, Ibramie ? – wydyszał z ulgą. Gaunt wyszczerzył w odpowiedzi zęby. W chwilach takich jak ta czerpał prawdziwą przyjemność z bezpośredniego zachowania Szalonego Larkina.

- Miło cię widzieć. Zapraszam do wspinaczki.

Dziesięć metrów niżej chwyt stracił również sierżant Haller. Zaczął ześlizgiwać się w dół z bezradnym przekleństwem, po czym uderzył w ledwie utrzymującego się na swoim miejscu Dremmonda. Obaj mężczyźni odpadli od burty i polecieeli w dół metalowej ściany, desperacko drapiąc paznokciami po jej powierzchni.

Bragg wyszarpnął z pochwy sztylet i wbił go pod jeden z niedbale założonych nitów, by zapewnić sobie punkt oparcia, po czym chwycił spadających tuż obok żołnierzy. Olbrzym zacisnął swą wielką dłoń na uprząży miotacza płomieni Dremmonda, ten zaś złapał oburącz Hallera. Sierżant zakołysał się w powietrzu i uderzył w przyczepioną do burty Muril, jedną z ochotniczek. Nim dziewczyna straciła równowagę, Haller przycisnął sztylet Bragg trzymał w powietrzu trójkę ludzi.

ją do siebie. Mając za ubezpieczenie jedynie wbity w otwór sztylet Bragg trzymał w powietrzu trójkę ludzi.

- Feth ! – jęknął głucho czując jak ramię dygocze mu coraz mocniej – Złapcie się czegoś ! Złapcie się ! Nie dam rady dłużej !

Muril wymacała krawędź metalowej płyty i przywarła do niej kurczowo. Widząc, że dziewczyna jest bezpieczna, sierżant Haller puścił ją i sam wyszukał odpowiedni chwyt. Bragg podciągnął kapiącego rozpaczliwie powietrze Dremmonda do siebie.

- Kurewsko dobry chwyt – wycharczał dyszący spazmatycznie operator miotacza.

- Nie zawsze pudłuję – odparł olbrzym nie potrafiąc ukryć swej ulgi. Przez chwilę naprawdę obawiał się, że puści trzymanych towarzyszy – albo runie w otchłań razem z nimi.

Czterdziestu członków grupy Gaunta zaczęło wspinaczkę po stromej burcie gigantycznej zoicańskiej maszyny. Piramidalny kształt Szpicy przypominał komisarzowi antyczne

świątynie widziane niegdyś na Fychis Dolorous. Żołnierze dotarli do pierwszej metalowej półki zyskując pewne oparcie.

Niestrudzenie tocząca się do przodu Szpica uderzyła bokiem w habitat wyznaczony dla grupy Gilbeara. Gaunt patrzył z niemym przerażeniem jak metalowa burta rozwala w pył ścianę budowli.

Wtedy dostrzegł volpońskiego pułkownika i jego podwładnych skaczących z daleko wyższego piętra niż pierwotnie założono. Gilbear trafnie oszacował kurs maszyny i szybko przemieścił swych ludzi na bezpieczniejszą pozycję.

Prowadzeni przez pułkownika żołnierze wyładowali w większości ponad pozycjami pierwszej grupy i ześlizgnęli się na półkę, która dała schronienie ekipie Gaunta. Niektórzy zawisli na burcie w dogodnych miejscach. Dwaj – Volpończyk i tanithijski zwiadowca Bonin – odbili się od pancerza niczym spadające po górskim stoku kamienie i przelecieli obok komisarza znikając sto metrów niżej. Gaunt odwrócił głowę. Nawet jeśli jakimś cudem przeżyli upadek z takiej wysokości, wgniotły ich w ziemię potężne gąsienice.

Gaunt włączył komunikator i wydał rozkazy żołnierzom ściągając wszystkich na półkę. Mur był teraz odległy o zaledwie kilka minut drogi i będący w dyspozycji grupy czas szybko się kończył. Z gotową do użycia bronią lojaliści ponownie zaczęli wspinać się w górę Szpicy.

* * *

Najtrudniejszy element wyprawy wciąż pozostawał tajemnicą: sposób dostania się do środka.

Pancerz pojazdu był niezwykle solidny. Domor użył swego zestawu szperacza, by zbadać sporą powierzchnię kadłuba.

- Gruba ściana, brak nisz – oświadczył z rozczarowaniem.

Gaunt westchnął. Mogli wysadzić ładunkami wybuchowymi odpowiedni otwór albo wyciąć go palnikami, gdyby tylko gdzieś pod skorupą pojazdu znajdowała się wolna przestrzeń. Domor rozwiął te nadzieje. Należało liczyć się z faktem, że taka maszyna będzie miała wyjątkowo silnie opancerzony grzbiet.

Dwaj volpońscy gwardziści powrócili z rekonesansu na nos maszyny i rozmawiali przyciszonymi głosami z Gilbearem. Pułkownik Błękitnokrwistych podszedł do Gaunta.

- Włazy zamykające wyloty głównych baterii są podniesione. Ci na dole przygotowują się do kolejnej salwy. To nasza droga, innej nie znajdziemy.

- A jeśli wypalą w chwili wejścia ?

- Będziemy trupami. A może wolisz tu siedzieć do końca wojny ?

Gaunt roześmiał się na widok buńczucznej miny Gilbeara.

- Nie. Zresztą sądzę, że nawet nie poczujemy tego wystrzału.

- Och, to na pewno byłaby szybka śmierć – zgodził się łaskawie Volpończyk.

Gaunt porozumiał się z dowódcami drużyn i idąca gęsiego kolumna podążyła półką w kierunku przodu Szpicy. Kiedy przystanęli na moment, by zastanowić się nad sposobem zejścia w dół w stronę włazów, baterie pojazdu wystrzeliły ponownie. Jaskrawy rozbłysk światła był jeszcze silniejszy niż poprzednim razem w klatce schodowej habitatu, a ogłuszający dźwięk zdawał się rozsadać głowy. Cała Szpica zadrżała silnie.

- Ile czasu od ostatniej salwy ? – Gaunt zwrócił się z pytaniem do Larkina, gdy tylko przestało mu dzwonić w uszach.

- Osiem minut, może trochę więcej, szefie.

- Tyle czasu potrzebują na schłodzenie baterii. Mamy osiem minut na wejście do środka.

- To wydaje się takie łatwe, gdy pan o tym opowiada – syknął złośliwie major Rawne.

- Nie powinniśmy przypadkiem schodzić ? – wtrącił z przyganą Kolea.

Gaunt skinął potakująco głową.

- Tak. Teraz. Naprzód !

Zawsze, zawsze prowadź w pierwszej linii. Nigdy nie oczekuj od swojego podwładnego zrobienia rzeczy, której ty sam nie byłbyś gotów zrobić. Tak brzmiała jedna z najpopularniejszych maksym Delane Oktara, często słyszana przez Gaunta w czasach służby z Hyrkańczykami. I tym razem nie zamierzał odwrócić się od rady starego mentora.

Zsunął się po mniej stromej pancernej klapie i stanął na wierzchu podniesionych włazów chroniących otwory wylotowe plazmowych baterii. Wizjery strzeleckie o rozmiarach wrót w Bramie Sondara ziały głęboką czernią. W powietrzu unosił się wszechobecny zapach plazmy i spalenizny.

Gaunt pochylił się nad krawędzią klapy i sięgnął dłonią do gładkiej rury podnośnika hydraulicznego sterującego ruchami włazu. Skórzana rękawiczka ślizgała się po pokrytym warstwą oleju metalu. Zdjął ją pośpiesznie i chwycił za rurę gołą ręką, w drugiej trzymając kurczowo boltowy pistolet.

Zeskoczył w dół i pojechał wirując wokół rury niczym małpa. Wykorzystując prędkość opadania odbił się w odpowiednim momencie od serworamienia i wpadł prosto w otwarty wąż. Upadł na siatkową podłogę pomiędzy lufami plazmowych dział, przetoczył przez ramię. Kiedy zrywał się na nogi, dostrzegł dwóch ubranych w czarne kombinezony zoicańskich artylerzystów wstających znad swoich konsol. Zastrzelił ich obu.

Trzej żołnierze w pełnym kompozytowych pancerzach wpadli na rampę między działami strzelając w biegu z laserów. Gaunt upadł na podłogę, wiązki energii przemknęły nad jego głową. Zjeżdżający w ślad za komisarzem volpoński żołnierz został trafiony w tors i odpadł do włazu wylatując na zewnątrz pojazdu. Gaunt podparł się łokciami i oddał trzy precyzyjne strzały z pistoletu, roztrzaskując ciężkie hełmy przeciwników rozpryskowymi pociskami.

Na rampie wylądowali Gilbear, Mkoll i trzej inni Tanithijczycy. Mkoll otworzył ogień z lasera, Gilbear stanął obok otworu strzeleckiego chwytając za ubrania kolejnych żołnierzy i wciągając ich do środka.

Gaunt i Mkoll ruszyli do przodu, ubezpieczani przez Crothe i Rilke, częściowo w celu zabezpieczenia pomieszczenia, częściowo zaś ze względu na rosnący na rampie tłok. Komisarz i trójka Duchów zasypywała ogniem stanowiska kontrolne zoicańskich artylerzystów zabijając dziesiątki operatorów terminali.

Po chwili zoicańscy żołnierze odpowiedzieli ogniem. Crothe zginął na miejscu, Mkoll został postrzelony w biodro. Poleciał do tyłu na ścianę i upadł, ale w jakiś sposób wciąż strzelał.

Do akcji włączył się Gilbear z trójką Błękitnokrwistych prując z ciężkich laserów. Opiekę nad wchodzącymi przez wąż żołnierzami przejęli Kolea i Haller. Drużyna Gilbeara przebiegła przez stanowiska załogi Szpicy za plazmowymi bateriami rozstrzelując bezlitośnie wszystkich pochwyconych na celowniki Zoican. Powietrze w rozległej komorze wydawało się składać wyłącznie z dymu. Podłoga zasłana była trupami heretyków.

Gdzieś w głębi Szpicy zaczęły wyc syreny alarmowe.

W ciągu czterech minut cała grupa uderzeniowa zjechała na poziom włazu, wszystkie siedemdziesiąt osiem osób. Trzy zginęły podczas walk o plazmowe baterie. Gaunt obejrzał ranę Mkolla. Obrażenia sierżanta były powierzchowne i nie przeszkadzały mu w ruchu.

Lojaliści rozproszyli się po sali zabezpieczając wszystkie wyjścia. Komisarz dobiegł do masywnych wrót pancernych blokujących wstęp do głównej części pojazdu. Zamek trzymał mocno.

- Mogę to wysadzić – zaproponował Kolea.

Gaunt wyjął z pokrowca miecz Heironymo Sondara, włączył energetyczne ostrze i wbił je w pancerne drzwi. Cztery cięcia i silny kopniak posłał zamek na drugą stronę wrót. Kawał wyciętego mechanizmu uderzył z hukiem w podłogę.

- Naprzód ! – krzyknął komisarz – Naprzód !

* * *

Główny pokład artyleryjski Szpicy był połączony z sektorem dowodzenia za pomocą długich korytarzy o szerokości pozwalającej na swobodną jazdę Lemana Russem. Ściany pomalowane były na matowo czerwony kolor, barwę świeżego mięsa. Co dwadzieścia metrów wznosiły się solidne metalowe filary. Podłoga wykonana była z zawieszonych na podporach perforowanych płyt, przez okrągłe otwory w jej powierzchni widać było kable, rury i przewody biegnące dołem. Zaraz za pancernymi drzwiami pokładu artyleryjskiego stały klatki wind towarowych służących do przewozu amunicji z położonych w głębi pojazdu magazynów. Ściany korytarza pokrywały liczne inskrypcje i runiczne znaki Chaosu. Gaunt zauważył, że wykonano je z kości wtopionych w metal, a następnie wypolerowanych tak, by błyszczały niczym perły.

Ludzkie kości, odgadł komisarz. Wyzwoliciel z pewnością zażył sobie takich ozdób.

Grupa ciężko uzbrojonych zoicańskich żołnierzy w ochrowych kombinezonach powitała lojalistów ogniem w chwili, gdy wdarli się do korytarza, ostrzeliwując się ostrzeliwując się zaciekle z odległego końca pomieszczenia. Jeden z ochotników – mężczyzna, którego Gaunt nie zdążył jeszcze poznać – został rozcięty gradem laserowych wiązek. Krew człowieka zbryzgała kościane ikony na ścianach korytarza i błuznicze emblematy zaczęły poruszać się zmieniając kształty.

Widząc to Larkin cofnął się przerażony. Te symbole żyły, podekscytowane gorącą krwią ! Snajper omal nie zwymiotował ze strachu.

- Przerwa na drzemkę ? – syknęła Banda przeskakując obok niego. Dziewczyna strzelała szybkimi seriami w stronę Zoican. Imperialni żołnierze tłoczyli się wzdłuż ścian korytarza wykorzystując w charakterze osłony metalowe filary.

- Drzemkę ? – bąknął rozwścieczony raptownie Larkin. Żadna zasmarkana ochotniczka z robotniczych habitatów nie będzie bezkarnie okazywać mu swej rzekomej wyższości.

Zapominając o strachu przyklęknął za osłoną, pokręcił głową, podniósł do policzka kolbę snajperskiego karabinu i przestrzelił na wysokości czoła hełm odległego o dwadzieścia kroków zoicańskiego żołnierza.

- Bardzo ładnie – pochwaliła go Banda posyłając snajperowi buziaka gestem prawej dłoni.

Larkin warknął sam do siebie i zastrzelił następnego Zoicę. Albo będzie zmuszony polubić tę kobietę albo osobiście ją uśmierci.

Kolejny ochotnik runął martwy na podłogę. Lojaliści zostali złapani na ograniczonej przestrzeni między wrotami pokładu artyleryjskiego i pierwszym filarem korytarza. Ludzie próbowali chować się w klatkach wind amunicyjnych, ale już panował tam ogromny tłok.

Rawne cisnął w głąb korytarz pakiet wybuchowy, Zoicanie zdążyli jednak schronić się przed wybuchem.

- Dremmond ! – wrzasnął Gaunt.

Operator miotacza płomieni wciąż próbował precyzyjnie się przez otwór wycięty we wrotach mieczem komisarza. Wiązki laserów topiły powierzchnię włazu wokół szarpiącego się desperacko człowieka. Prący obok niego Duch, Lonner, przewrócił się z odstrzeloną częścią karku.

Dremmond wyswobodził się w końcu z pułapki. Gaunt i Kolea niemal dowlekli go do pierwszego filara. Duch sprawdził swój miotacz upewniając się, że zbiornik jest szczelny, a rury doprowadzające paliwo do broni prawidłowo podpięte.

Kiedy nacisnął spust miotacza, strumienie jaskrawobiałych płomieni wystrzeliły w głąb korytarza pochłaniając zoicańskich żołnierzy. Pod wpływem żaru pokrywająca ściany farba zaczęła czernieć, a żywe ikony z ludzkich kości wydały przeraźliwy skowyt. Dremmond

przeciągnął po korytarzu drugą strugą ognia dla pewności, po czym Rawne, Haller i Bragg skoczyli do przodu chcąc zabezpieczyć wypalony odcinek. Bragg pierwszy dobiegł do miejsca zajmowanego przez Zoican, przeskoczył kilka zwęglonych trupów. Dostrzegł po lewej ciemny boczny korytarzyk krzyżujący się z głównym pod kątem prostym, wstawił w jego wylot lufę karabinu maszynowego i zaczął strzelać długą serią.

Haller skręcił w prawo i zderzył się z częściowo spalonym zoicańskim żołnierzem. Oszałały z bólu człowiek w nadtopionym ceramitowym pancerzu wżartym w jego ciało runął na oficera ochotników z dziką furią. Haller krzyknął przestraszony odsuwając się machinalnie. Rawne złapał Zoicę i odrzucił od sierżanta. Przeciwnik wpadł na ścianę korytarza i nim zdołał stanąć pewnie na nogach, major trafił go czterokrotnie z karabinu.

- Jestem twoim dłużnikiem, Duchu – oświadczył oszołomiony Haller.

- Nie, nie jesteś, robotniku. Nie cierpię ludzi, którzy są mi coś winni. Zapomnij o tym.

Haller znieruchomiał niczym człowiek uderzony otwartą dłonią w policzek. Od samego początku nie przepadał za tanithijskim oficerem. Słyszał jak Banda komentowała „toksyczny wzrok” majora. Najwyraźniej dziewczyna miała rację. Nawet pyszałkowaci Volpończycy sprawiali miłsze wrażenie od posępnego Ducha.

- Jak sobie życzysz – odpowiedział sierżant.

- Zawsze sobie tak życzy – wydał usta Bragg. Wielki Duch wiedział, że nie czas teraz na wyjaśnianie Hallerowi jak bardzo major Rawne nie znosi czyjejs wdzięczności i poczucia zaciągniętego długu ze względu na fakt, iż on sam posiadał niespłacony dług wdzięczności wobec znieawidzonego przez siebie komisarza Gaunta.

- Zamknij się i bierz do roboty ! – warknął Rawne na Bragg. W bocznych tunelach słychać już było podniesione głosy i zbliżający się tupot butów. Nadciągały zoicańskie posiłki.

Główna część grupy uderzeniowej była już przy forpoczcie. Gilbear wezwał kilku Błękitnokrwistych i wspólnie spopielił nadbiegających lewym korytarzem obrońców za pomocą podwieszonych pod lasery granatników. MkVenner wskoczył w prawy na czele czterech Duchów i kilku ochotników chcąc zabezpieczyć flankę grupy uderzeniowej. Laserowa wiązka trafiła go w ramię i przewróciła na podłogę. Domor klęknął przy rannym zwiadowcy i zasypał mroczny korytarz krechami laserowego Domora wspierając go ogniem.

światła, wzywając jednocześnie medyka. Vinya, jedna z młodych ochotniczek, odbiła się od ściany trafiona z lasera prosto w brzuch. Kilku lojalistów przepchnęło się obok Domora wspierając go ogniem.

Zgięty w pół Gherran dobiegł do klęczącego szperacza, w jednej dłoni ścisnął laserowy pistolet, drugą przytrzymał objijający się o biodro zestaw pierwszej pomocy.

- To MkVenner – zaczął Domor. Lekarz upadł na kolana przy zwiadowcy. Wiązka trafiła Ducha w rękę powyżej lewego łokcia i spaliła częściowo jego biceps. Tanithijczyk związał się z bólu, ale zaprotestował widząc Gherrana.

- Ją najpierw, ją ! – wrzasnął wskazując Vinyę.

- Pokaż mi ranę, MkVenner !

- Nie ! Znasz dobrze priorytet obrażeń ! Dostała w brzuch ! Idź do niej !

- Daj mu to ! – Gherran rzucił Domorowi paczkę silnych tabletek przeciwbólowych i przetoczył się po podłodze w stronę ochotniczki. Leżała bezwładnie niczym połamana lalka, z brodą opartą o pierś i potylicą na zimnej ścianie. Pod ciałem dziewczyny rozlewała się coraz szerzej kałuża krwi.

- Och, feth ! – krzyknął Gherran – Niech mi ktoś pomoże !

Kolea znalazł się natychmiast przy lekarzu.

- Co mam robić ?!

- Naciśnij, tu i tu. Mocno. Nie tak, powiedziałem mocno !

Obaj mężczyźni mieli ręce unurzane w gorącej krwi. Dziewczyna jęczała cicho.

- Vinya... wszystko będzie dobrze... trzymaj się – wyszeptał Kolea zaciskając dłonie na ciele ochotniczki we wskazanych przez Gherrana miejscach.

Górnik spojrzał na pracującego desperacko lekarza.

- Nie wyjdzie z tego, prawda ?

- Stan terminalny – wydyszał Gherran – Mogę ją ustabilizować... cholera, to i tak kwestia kilku minut.

Kolea kiwnął ze zrozumieniem głową i przysunął swe usta do ucha dziewczyny.

- Walczyłaś dzielnie, Vinyo Terrigo z habitatu 45/jad. Vervunhive nigdy nie zapomni twego poświęcenia. Zawsze będziemy cię kochali – sięgnął w dół wielkimi rękami i zdecydowanym ruchem skrzył kobiecie kark.

- BożeImperatorze ! – wrzasnął zszokowany Gherran.

- Tam jest człowiek, któremu możesz pomóc – oświadczył Kolea pokazując zakrwawioną dłońią MkVennera – Kocham moich ludzi i zrobiłbym dla nich wszystko, ale w jej przypadku było to tylko bezsensowne marnotrawstwo twojego czasu, lekarzu. Jej cierpienie dobiegło końca, odnalazła spokój duszy.

- Ja... – zaczął Gherran.

- Jeśli chcesz mi powiedzieć, że nie rozumiesz tego, czego myśmy tu doświadczyli przez ten miesiąc, oszczędź sobie słów. Niepotrzebna mi twoja litość.

- Wręcz przeciwnie, przyjacielu – wycedził przez zęby medyk – Chciałem powiedzieć, że rozumiem. Że podziwiam waszą odwagę, do pewnego stopnia. Wszyscy walczymy tu na jednej linii frontu. A ja już nie mam swojego domu. Więc pieprz się z tą twoją urażoną dumą !

Gherran zabrał swój pakiet medyczny i pobiegł do MkVennera. Kolea podniósł laser, sprawdził go i włączył się ponownie do wymiany ognia.

* * *

Cocoer, Neskon i Flinn dotarli do zamkniętego wjazdu w ścianie prawego korytarzyka i odpędzili ogniem zoicańskich obrońców. Gaunt doczołgał się do nich, ubezpieczali go Genx i Maroy.

- Przejdzie ? – zapytał Gaunt.

- Najmniejszej cholernej szansy, sir ! – odkrzyknął Cocoer. W powietrzu śmigły laserowe wiązki.

- Kurwa ! – zawył Neskon widząc, że jego karabin przestał strzelać. Duch zaczął szarpać się z bronią potrząsając nią zawzięcie. Komisarz złapał go za kołnierz i wciągnął pod osłonę filara na chwilę przed tym jak strzały wroga trafiły w ścianę na wysokości głowy Neskona.

- Nigdy nie zapominaj procedury, żołnierzu ! Zacięcie broni to odskok w osłonę. Nie baw się z nią na widoku wroga !

- Tak jest, pułkownikukomisarzu !

- Życzyłbym sobie, żebyś dalej żył.

- Ja... ja też, sir.

Rilke, postrzegany za najlepszego snajpera w regimencie po Larkinie, oraz ochotniczka Nessa doczołgali się do nich z wsparciem. Rilke zmarnował dwa strzały próbując dosięgnąć chowającego się w głębi tunelu Zoicę. Nessa, uzbrojona w standardową wersję lasera, zastrzeliła niedoszłą ofiarę Ducha oraz drugiego obrońcę czającego się kawałek dalej.

- Gdzie się tego nauczyłaś ?! – zaprotestował Rilke, ale dziewczyna go nie usłyszała. Niczego nie słyszała.

Gaunt odczekał cierpliwie do chwili, w której odwróciła twarz w jego stronę.

- Dobrze – powiedział.

Wyszczrzyła w uśmiechu zęby.

* * *

Fragment sufitu dziesięć metrów z tyłu opadł z głośnym hukiem i zoicańscy szturmowcy zaczęli zbiegać po tej zakamuflowanej wcześniej rampie niczym ziarnka piasku przesypujące się przez szyjkę klepsydry. Strzelali w biegu w obie strony korytarza. Czterech Duchów, dwóch ochotników i Błękitnokrwisty zginęło od gradu pocisków. Bragg zawrócił i odpowiedział ogniem ciągłym ze swojego cekaemu, wsparli go Haller, Rawne, Genx i tuzin innych lojalistów.

Trupy Zoican spiętrzyły się aż pod sufit zatykając rampę. Bragg podniósł broń w górę i przeciągnął serią po suficie, wrywając w nim pociskami rzędy otworów. Przez część dziur zaczęła natychmiast kapać krew.

- Jesteśmy w potrzasku ! – zawołał do Gaunta Mkoll.

Komisarz zdawał sobie z tego sprawę. Gilbear spacyfikował lewy korytarz i pilnował go teraz czujnie, ale prawym wciąż nadbiegali Zoicanie. A teraz przedostawali się do głównego korytarza poprzez przejścia w suficie ! W tej sytuacji grupa uderzeniowa skazana została na przyjęcie pozycji defensywnej grożącej rychłym wykrwawieniem oddziału. Nadszedł czas podjęcia decyzji.

- Mkoll ?

Sierżant wiedział doskonale, o co pyta dowódca. Gaunt zawsze bardzo sobie cenił naturalny talent zwiadowcy w wyszukiwaniu właściwej drogi. W dawnych czasach, mieszkając w wędrownych lasach Tanithu, Mkoll stał się mistrzem w pojmowaniu strukturalnej logiki otoczenia.

- Przez zamknięty włącz, sir ! – oświadczył sierżant.

To wystarczyło Gauntowi. Komisarz odczołgał się nieco w tył, w stronę zamkniętych drzwi w ścianie prawego korytarzyka.

- Rawne ! Dawaj tu ładunki !

- Co robisz ?! – zawołał nadbiegający Gilbear – Tą drogą wejdziemy na prawoburtowe pokłady Szpicy !

Gaunt spojrzał na wolpońskiego pułkownika ignorującego całkowicie ogień nieprzyjaciela.

- Po wszystkim, co razem przeszliśmy, zaufasz mi, Gilbear ?

- Być może, ale...

- Gdybyś to ty konstruował Szpicę, umieściłbyś mostek w centralnej części pojazdu, tam, gdzie się go każdy spodziewa ?

Gilbear milczał przez moment, potem pokręcił głową.

- Zrób mi zatem przyjemność. Nauczyłem się ufać instynktowi Mkolla. Jeśli jestem w błędzie, postawię ci skrzynkę wina. Sam sobie wybierzesz markę i rocznik.

- Jeśli jesteś w błędzie, już nie żyjemy !

- A jak myślisz, skąd ta hojna propozycja zakładu ?

Volpończyk zaśmiał się głośno.

- Kryć się ! – krzyknął major Rawne odskakując od przytwierdzonych do włączu ładunków.

Eksplozja rozerwała pancerne drzwi jakby zrobiono je z kartonu. Cokolwiek złego można było powiedzieć o majorze, człowiek ten wyśmienicie znał się na materiałach wybuchowych. Na korytarzu niemal nie odczuło się podmuchu ukierunkowanej w głąb włączu detonacji.

- Za Tanith ! – wrzasnął Gaunt skacząc w stronę dymiącego otworu.

- Za Volpone ! – Gilbear deptał mu po piętach.

- Za Vervunhive – wyszeptwała do siebie Nessa nie odstępując obu oficerów.

* * *

Gildia Rolnicza Githran upadła. Corbec zebrał Tanithijczyków i poprowadził ich pośpiesznie w stronę Main Spine. Milo i Baffels wycofywali niedobitki swojej kompanii ścigane przez zoicańskie czołgi. Mieszane oddziały sierżanta Bray'a opuściły swe pozycje pod naporem tysięcy zoicańskich szturmowców wlewających się szeroką rzeką do wewnętrznych dzielnic mieszkalnych metropolii.

Pylon Tarczy dygotał pod wpływem uderzających w niego raz po raz artyleryjskich pocisków.

Pod Bramą Croe waleczna szarża czołgistów generała Grizmunda stanęła w końcu w miejscu. Kraby i pająki podjęły walkę z Narmienianami przygniatając ich siłą ognia, której sprostać nie mogły nawet elitarne pancerne brygady Imperium.

W płonących dokach Varl i Rodyin wycofywali się sukcesywnie przed zgrupowaniem nieprzyjacielskiej piechoty w sile dziesięciu tysięcy.

Na granicy Commercii, w miejscu, gdzie stoczone zostały najbardziej krwawe walki wojny, Bulwar wydał rozkaz ewakuacji oddziałom NorthColu i kompaniom ochotniczym. Nad głową pułkownika wciąż migotało z trzaskiem elektrycznych wyładowań pole siłowe Tarczy. Już niedługo... W rozkaz odwrotu.

samym środku brutalnej konfrontacji Soric zarząbał oskardem następnego Zoicę. Był ostatnim oficerem ochotników potwierdzającym rozkaz odwrotu.

Volpończycy pułkownika Corday'a zostali pochwyceni w ogień krzyżowy na zrujnowanym gruzowisku będącym jeszcze miesiąc temu dzielnicą mieszkalną. Zginęli wszyscy w bezlitosnej masakrze, Corday umarł wraz ze swymi Błękitnokrwistymi.

W małej kryjówce na obrzeżach strefy frontowej Caffran tulił mocno Tonę Criid i dwójkę dzieci. Niebo nad nimi stało w ogniu, a pociski artyleryjskie darły je nieustannie z przeciągłym gwizdem. Śmierć była tylko kwestią czasu, Caffran doskonale o tym wiedział. Zamierzał troszczyć się o tę trójkę do samego końca.

Pracujący w kaplicy Ban Daur zdjął z głowy słuchawki i oparł się w fotelu. Sztabowcy i serwitorki wciąż zbierali raporty i monitorowali radiowe transmisje, próbując utrzymać kontrolę nad przebiegiem zdarzeń.

To był już koniec. Daur podszedł do pochylonego nad mapą majora Otte. Wiatr wył w pobliskim korytarzu, a cały kompleks Main Spine trząsał się trafiany ciężkimi pociskami.

- Daliśmy z siebie wszystko – powiedział Daur.
- Dla Vervunhive – odrzekł Otte nieświadomy płynących po jego policzkach łez zmęczenia.

Do oficerów dołączył intendent Banefail.

- Wielki Legislador Anophy właśnie od nas odszedł. Atak serca.
- Zatem został oszczędzony – skomentował Daur.

Otte spojrział na towarzysza z niemą reprimendą, ale Banefail zdawał się podzielać pogląd kapitana.

- To już koniec, moi dzielni przyjaciele. Imperator kocha was za to, coście tutaj uczynili, ale więcej już nic nie zrobimy. Vervunhive jest stracone. Skorzystajcie z chwili, by zrobić rachunek sumienia.

Daur spojrział na stojącego opodal Immaculusa.

- Proszę rozpocząć mszę, panie – poprosił – Śpiewajcie requiem. Chcę umrzeć słysząc imperialny psalm żałobny dzieci naszego Pana.

Immaculus skinął głową i zaprowadził grupę kleryków do zakrystii. Po chwili smutna pieśń popłynęła przez kaplicę przenikając na wyższe poziomy kompleksu

* * *

W pustym gabinecie wysoko w górze kompleksu Merity Chass pochwyciła uchem odległe żalobne treny. Miała na sobie ciemną formalną suknię, złoty łańcuch ze znakami rodowymi ora sygnet ojca dostarczony jej przez kapitana Daura.

Długie godziny spędziła na sporządzaniu kopii bezpieczeństwa wszystkich elektronicznych dokumentów rodziny. Słyszając dźwięk mszy zeszywniała.

- Jeszcze nie... jeszcze nie... – wyszeptała – On nas nie zawiedzie...

XVIII – Kryjówka Wyzwolicieła

„Przyjaciół śmierci, brat szczęścia i syn portowej dziwki”

– major Rawne o swoim dowódcy

W ciasnych metalowych wnętrzach mostku Szpicy rozgorzała zaciekle walka wręcz. Ludzie zmagali się i umierali na ciemnych podłogach. Grupa uderzeniowa starła się teraz zarówno z zoicańskimi żołnierzami jak i członkami załogi pojazdu. Heretycy ci nosili luźne tuniki lub ubrania robocze, a ich głów nie chroniły hełmy. W ten sposób podwładni Gaunta ujrzeli widok, który tak przeraził Larkina pod Bramą Veyveyr. Grozy lojalistów nie budziły bynajmniej wszczępy zakrywające oczy, uszy oraz wierzchnią część gładko ogolonych czaszek Zoican podłączające ich właścicieli do transponderów radiowego szumu. Źródłem przerażenia był wiek najeźdźców: dojrzałych kobiet i mężczyzn, starców, młodzieży i dzieci. Ferrozoica zmobilizowała na czas wojny całą swą populację, zgodnie z poddawanymi w wątpliwość założeniami Gaunta. Teraz imperialni żołnierze mieli przed sobą namacalny, tragiczny dowód. Poruszając się w pozbawiony emocji sposób, w pewnym stopniu bardziej wyobcowani od serwitów Sondara, mieszkańcy Ferrozoicy rzucili się na intruzów.

Komisarz rozplątał mieczem dwóch tarasujących mu drogę żołnierzy i rzucił się w kierunku podwyższenia stanowiącego serce mostku. Poprzez walczących w ścisłości ludzi, dym i rozbłyski płomieni wylotowych widział niewyraźnie otwartą platformę wykonaną z polerowanego chromu, otoczoną czarnymi kolumnami terminali diagnostycznych. Na samym środku platformy płonąła różową poświatą kula ognia o średnicy dziesięciu metrów, unosząca się ponad wbudowanym w podłogę emiterem energii. Gaunt parł w tym kierunku wyzwalając najgłębsze pokłady drzemiącej w jego umyśle agresji i determinacji.

Nagle znalazł się na platformie, samotny i oświetlony różową poświatą. Jego szaleńczy wysiłek przerósł oczekiwania. Wydostał się z ciżby walczącej na niższym poziomie mostku oddzielając się w niebezpieczny sposób od reszty swojej grupy.

Oddychał z trudem i drżał ze zmęczenia. Zgubił gdzieś swoją czapkę, kurtka wisiała w strzępach, a reszta ubrania ociekała cudzą krwią. Przeptywająca przez ciało adrenalina niemal parzyła komórki nerwowe. Nigdy wcześniej nie miał okazji działać z tak zwierzęcą wręcz furią, umysł wciąż jeszcze płonął trawiony szaleńczą gorączką. Wszystko widział przez mgłę, niewyraźne i rozmyte. Przez moment nie pamiętał nawet, co takiego miał zrobić.

Coś poruszyło się za komisarzem, ale ten zdążył się odwrócić i zasłonić ostrzem. Wysoka czarna postać odskoczyła błyskawicznie. Była szczupła, ale masywnie zbudowana i dużo wyższa od człowieka, ubrana w czarny elastyczny pancerz i skrywający głowę kaptur. Spod krawędzi kaptura wystawała nieludzka, odrażająca twarz, przywodząca na myśl odartą ze skóry czaszkę wielkiego wilka. Stwór trzymał w metalowej rękawicy miecz energetyczny o zakrzywionym ostrzu.

Gaunt widział już taką istotę wcześniej, na Balhaucie. Obserwował je z daleka w finałowej części wojny, a po zwycięstwie uczestniczył w oględzinach kilku zwłok. Stwór na platformie był Mrocznym Strażnikiem, jednym z elitarnych czcicieli Chaosu podarowanych

Wyzwolicielowi w charakterze osobistej gwardii. Istota zamigotała ponownie demonstrując swą nieludzką zdolność przemieszczania się w wymiarze niematerialnym. Gaunt krzyknął i zablokował ostrzem cios Strażnika materializującego się za jego plecami. Miecz Heironymo sypnął błękitnymi iskrami, ostrze Strażnika rozjarzyło się czerwonym blaskiem.

Stwór zniknął, by pojawić się kilka kroków po lewej, ciął z półobrotu. Gaunt odskoczył, potknął się i upadł. Przetoczył się przez ramię i podniósł na czas, by sparować uderzenie skażonego Chaosem miecza.

To nie była broń Strażnika. Ten miecz miał dłuższe ostrze, proste, pulsujące ciemnozielonymi płomieniami. Drugi Mroczny Strażnik dołączył do swego pobratymca.

Nie tracąc czasu na patrzenie przez ramię Gaunt rzucił się w bok, wiedząc doskonale, że jego pierwszy przeciwnik musi być tuż za plecami. Czerwone ostrze wycięło w chromowanej podłodze szeroką rysę.

Patrzył uważnie jak Strażnicy zbliżają się ponownie, pojawiając się i znikając na przemian. Jeden znalazł się zniemacka po lewej, ale komisarz zdołał zatrzymać jego cięcie swym ostrzem. Drugi sięgnął prawego ramienia człowieka.

Nie było żadnego bólu, tylko uczucie zimnej drętwy całej zranionej kończyny.

Zgięty w pół Gaunt rzucił się do przodu unikając dalszych dwóch cięć. Nigdy wcześniej nie czuł się taki bezradny i skazany na łaskę przeciwników, nawet w czasie walki z Marines Chaosu na Fortis Binary czy w ników, nawet w czasie walki z Marines Chaosu na Fortis Binary czy w otoczeniu Żelaznych Ludzi w kryptach Menazoidu Epsilon. I tak miał wyjątkowo dużo szczęścia, że jeszcze nie leżał martwy na platformie.

Coś trzymało go jednak przy życiu. Częściowo musiał to być rozpalony bitewną gorączką organizm, częściowo zawzięta determinacja, przede wszystkim jednak miecz Heironymo Sondara. Broń wydawała się lokalizować ukrytych w Osnowie napastników i ostrzegała komisarza delikatnymi drgnięciami przed ich ruchami. Wiedział w ten sposób, gdzie pojawiają się wychodząc do materialnego wymiaru i każdy cios napastnika napotykał zastawę niepokornej ofiary.

Przykucnął raptownie pod łukiem zielonego ognia i uderzył mieczem w górę pozbawiając jednego Strażnika głowy wśród snopów błękitnych iskier. Z bezgłowego korpusu wystrzelił obłok widmowego dymu, który po chwili rozpląnął się w powietrzu rozdartym nieziemskim skowytom agonii.

Drugi Strażnik skoczył do przodu materializując się dosłownie centymetry od twarzy komisarza i chociaż miecz Sondara zasłonił człowieka, nie zdołał uchronić go przed głębokim cięciem w lewe udo.

Gaunt upadł.

Huk karabinu maszynowego rozdarł powietrze nad komisarzem. Bragg zdołał wspiąć się na kraniec platformy i strzelał ogniem ciągłym do Strażnika. Stwór dygotał konwulsyjnie pod gradem pocisków, migocząc podczas niekontrolowanych przeskoków do Osnowy i z powrotem. Odwrócił się w stronę nowych przeciwników. Kolea i Mkoll wpadli na platformę strzelając w biegu. Po kilku sekundach dołączyli do nich Neskon, Haller, Flinn, Banda i Volpończyk Tonsk. Strumienie ognia zmusiły potwora do cofnięcia się i przeskoczyły na dwóch innych Strażników, który właśnie zmaterializowali się w powietrzu. Cekaem Bragga zdołał zdezintegrować uzbrojonego w czerwony miecz stwora, idącego w stronę olbrzyma krok po kroku pomimo dziurawiących nieludzkie ciało gigantycznych ilości pocisków. Bestia eksplodowała z przeraźliwym krzykiem kilka kroków od Ducha.

Jeden z innych sług Wyzwoliciele, dzierżący wielki topór płonący pomarańczowym ogniem, rozrąbał na połowy Tonska i tym samym ciosem odciął nogę Neskona na wysokości lewego kolana. Haller chwycił porzucony laser Błękitnokrwistego i oderwał głowę stwora strzałem z granatnika.

Pozostali lojaliści, wsparci przez wspinających się na platformę towarzyszy, złapali ostatniego Strażnika w ogień krzyżowy. Stwór miotał się niczym ryba pośród laserowych wiązek skrzecząc i zawodząc chrapliwie.

Reszta grupy uderzeniowej toczyła zaciekle boje przy wejściach na mostek, próbując zatrzymać napierających z wszystkich stron zoicańskich żołnierzy.

Gaunt chwycił dłonią jeden z komputerowych terminali i opierając się o niego wstał chwiejnie na nogi. Na licznych ekranach komputerów wyświetlane były obrazy przekazywane z zamontowanych na zewnątrz Szpicu kamer. Gigantyczny pojazd przebił się przez Mur na wschód od Bramy Sondara, a ponownie doprowadzone do użytku po rajdzie komisarza plazmowe działa strzelały prosto w Pylon Tarczy.

Fragmenty wielkiej budowli odpadały od niej sypiąc się na Commercję. Pylon przypominał teraz chwiejące się drzewo o ogarniętym płomieniami pniu. Zamiast kontrolowanego wyłączenia, które miało miejsce poprzednio, teraz Tarcza po prostu eksplodowała. Energetyczne ładunki mające chronić Vervunhive zerwały dziesięć najwyższych pięter Main Spine, a wszystkie stacje przekaźnikowe na obrzeżach metropolii wyleciały z hukiem w powietrze.

Ściskając w opuszczonej ręce miecz Gaunt szukał pośpiesznie urządzenia, które byłoby dla niego znajome. Szpicę zbudowano w Ferrozoicy, dlatego większość urządzeń przypominała standardowe terminale imperialne, ale oznakowania na nich i wyświetlane komunikaty były całkowicie obce.

Gaunt przeszedł do następnej wieży kontrolnej. Znalazł na niej coś przypominającego radiokomunikator i edytor przekazów graficznych. Reszta urządzeń nic mu swym wyglądem nie mówiła.

Na platformie ostatni Mroczny Strażnik dokonał żywota zabierając ze sobą szeregowca Flinna.

Trzecia wieża. U jej podstawy widniał otwór, który mógł być tylko czytnikiem nośników danych w standardowym imperialnym formacie.

Gaunt poczuł jak osłabiona noga załamuje się pod ciężarem ciała. Krew ciekąca z ramienia przemoczyła już rękaw, skapywała na dłoń.

- Gaunt ! – krzyknął Kolea i rzucił się z pomocą. Doskoczył do niego Mkoll, Domor, Gherran.

- Proszę mi pokazać ranę ! – zażądał lekarz.

- Nie ma czasu !

- Pozwól mu pomóc – burknął Kolea próbując przytrzymać padającego z nóg oficera – Pozwól mi...

- Nie ! – Gaunt odepchnął wielkiego górnika. Jeśli to miał być ostatni akt tej wojny, chciał wziąć za niego pełną odpowiedzialność.

Wyjął Amulet z pokrowca i wsunął go do czytnika danych. Przedmiot wsunął się do środka z chrzęstem i przekręcił dwukrotnie niczym kodociański żuk piaskowy.

Lampy pod sufitem mostka i ekrany monitorów zgasły na moment, zapaliły się ponownie, znów zgasły. Gdzieś w trzewiach maszyny rozległ się powolny jęk zatrzymywanych turbin. Radiowy szum ucichł całkowicie. Wtedy też wszystkie światła zgasły na dobre.

* * *

Całkowita i nieprzenikniona ciemność. Dźwięcząca w uszach cisza. Po ułamku sekundy ponownie rozbrzmiały jęki rannych i umierających, trzaski iskier sypiących się z przerwanych kabli, szczęk strzałów z laserów.

Oczy Gaunta przywykły do ciemności spowijającej mostek. Serce Szpicy było martwe. Gęste kłęby dymu unosiły się w powietrzu. Ludzie klęli nie widząc otoczenia.

Kula energii w centrum platformy znikła.

Wielki kształt, znacznie ciemniejszy od mroku pomieszczenia, kucnął przez chwilę w miejscu, gdzie przed momentem płonęła kula różowego ognia. Podniósł się, urósł. Gaunt dostrzegł obszerny płaszcz odrzucany z ramion wstającej istoty. Dostrzegł ogromną dłoń w metalowej rękawicy wyciągniętą w swoją stronę. Widział nienaturalną poświatę pulsującą z wizjerów wielkiego hełmu zwieńczonego masywnymi rogami

Wyzwoliciel Asphodel, wódz Chaosu, demon służący Czterem Potęgom, wyprostował się na całe sześć metrów swej potężnej sylwety mierząc wzrokiem żalonych śmiertelników chcących rzucić mu wyzwanie. Nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Ciemność opatulająca go niczym płaszcz zdawała się wsysać powietrze.

Kolea uderzył demona w bok swoim oskardem. Sekundę później wyleciał poza rampę z połamanymi żebrami.

Mkoll zdążył wystrzelić dwa razy z lasera, zanim upadł trzymając się za strzaskane ramię.

Karabin Domora eksplodował w rękach gwardzisty odrzucając go poza krawędź platformy.

Gherran został spowity czarnym płaszczem i dosłownie przemienił się w chmurę rozproszonej ludzkiej tkanki, jego krew obryzgała resztę żołnierzy.

Genx próbował przeładować pośpiesznie broń. Asphodel uderzył go niedbale pięścią i zmiażdżył niczym arbuza trafiony kowalskim młotem.

Gaunt spotkał się z Asphodelem twarzą w twarz. Poderwał do góry płonący niebieskim światłem miecz i wbił go w pierś olbrzymiego monstrum.

W tym samym momencie dzierzony w lewej ręce Wyzwoliciele potężny boltowy pistolet wystrzelił z hukiem prosto w serce komisarza.

XIX – Żalobna chwala

„Tym wielkim czynem odparliśmy Ciemność i uczyniliśmy swymi trofeami jej sługi. Mroczny władca nie żyje. Krucjata dzięki błogosławieństwu Imperatora znów opromieniła się chwałą”

– marszałek wojny Macaroth, na Verghaście

Przybyły niczym duchy. Niewiarygodnie wielkie, podświetlone promieniami słońca kształty przecinały kurtynę gęstego dymu ponad Verghastem. Smukłe okręty wojenne i opasłe statki transportowe, potęga Krucjaty, chluba floty Segmentum Pacificus.

Był pięćdziesiąty dzień wojny. Wiedząc z przekazów astropatycznych o prawdziwym charakterze rzekomej wojny domowej i obecności na Verghaście poszukiwanego przywódcy armii Chaosu, Macaroth skierował na planetę wszystkie dostępne siły docierając do systemu po dwudziestu siedmiu dniach ciągłego tranzytu poprzez Osnowę.

Zadymione niebo było wręcz ciężkie od metalu demonstrującego Verghastytom militarną potęgę Imperium: dziesięć tysięcy statków kosmicznych, niektóre z nich wielkości miast, inne przypominające oceaniczne żółwie, jeszcze inne w kształcie podniebnych katedr.

Macaroth zrzucił na powierzchnię planety ogromny potencjał wojskowy: sześć milionów żołnierzy Gwardii, pięćset tysięcy pojazdów pancernych, grupy wydzielone trzech zakonów Adeptus Astartes i dwa Legiony Tytanów. Statki desantowe, transportowce i promy spadały niczym roje insektów na całej długości doliny Hass.

Masowa rzeź postępowała dalej, chociaż tym razem miała brutalnie jednostronny charakter. Amulet Heironymo spełnił swe zadanie i całkowicie wyłączył nadajniki hipnotycznego szeptu. W chwili lądowania armii marszałka wojny Zoicanie znajdowali się już w pełnym odwrocie. Pozbawieni przywództwa i celu, przzerwali finałowy szturm na metropolię. Wielu wybrało samobójstwo albo wchodziło bezmyślnie w pole ostrzału obrońców pozwalając się zmasakrować. Miliony innych ocknęły się z mesmerycznego snu i zawróciły na sawannę.

Dowodzone przez generała Grizmunda resztki kontyngentu Gwardii utrzymującego ponad miesiąc kontrolę nad obleżonym miastem ruszyły w ślad za zagubionymi najeźdźcami. Czołgi Narmenianu i NorthColu polowały na zmotoryzowane kolumny Zoican ciągnące w kierunku ich macierzystej metropolii. Piechota lojalistów działająca pod skoordynowanymi rozkazami Corbeca, Bulwara i Otte doprowadzała do stanu użyteczności każdy przechwycony pojazd wroga przemierzając trawiaste bezdroża w poszukiwaniu ofiar. Nikt nie podnosił kwestii jeńców wojennych, każdy schwytyany Zoica był rozstrzelany na miejscu. Skaza Ferrozoicy musiała zostać wymazana.

Kiedy okręty Macarotha wchodziły na orbitę Verghastu, Zoicanie znajdowali się już sześćset kilometrów od południowych granic Vervunhive, porzucając w trakcie odwrotu pojazdy i wyposażenie. W dogasającym mieście kompanie ochotnicze dorzynały ostatnie punkty obrony najeźdźców.

Marszałek wojny włączył się z wigorem do kontrofensywy. Zażądał bezzwłocznie desantu Marines z zakonu Żelaznych Węży w celu odcięcia dróg ucieczki heretyków. Pancerne brygady unicestwiały każdą żywą istotę na sawannach. Gigantyczne Tytany krążyły po pustkowiach niczym stalowe upiory niosąc ognistą śmierć wrogom Imperium.

Pięćdziesiątego piątego dnia wojny okręty Macarotha weszły na niską orbitę planety i zbombardowały Ferrozoicę. Ściana ognia długo rozświetlała południowy horyzont.

Wtedy jednak Zoicanie nie stanowili już zorganizowanej siły militarnej. Złamani trzydziestego siódmego dnia wojny i pozbawieni jednoczącego ich hipnotycznego szeptu przestali się liczyć jako żołnierze. Marines z zakonu Imperialnych Pięści ceremonialnie zniszczyli Szpicę i poddali kremacji zwłoki Asphodela.

* * *

Ostatnia stoczona bitwa miała wymiar humanitarny. Intendent Banefail wspierany przez arystokratyczne rody i organizacje charytatywne zajął się milionami rannych i bezdomnych mieszkańców Vervunhive. Sześćdziesiątego dnia imperialni dygnitarze znali już rzeczywiste koszty wielkiej tragedii. Vervunhive było nekropolią, miastem umarłych. Po spotkaniu z żyjącymi jeszcze głowami szlacheckich rodów Macaroth podpisał dekret odbierający morzu ruin status metropolii i formalnie potwierdzający jej zniszczenie. Ocalała populacja została przewieziona do Northern Collectives lub popłynęła do Ghasthive i Isthmus. Położono podwaliny pod dwie nowe metropolie: jedną rządzoną przez klikę rodów podporządkowanych rodzinie sposób z powyższą historią.

Anko, drugą pod wspólnym nadzorem Domów Chass i Rodyin. Imiona władców miano opublikować w dalece późniejszym terminie. Miały minąć dziesiątki lat przed osiągnięciem statusu metropolii przez te nowe miasta i zapewnieniem godziwych warunków życia ich mieszkańcom.

Lord Anko, budujący swe państwo nad brzegami rzeki Hass powyżej Vervunhive, planował już eksploatację złóż promethium użytkowanych dotąd przez Vannick Hive. Lady Chass, pierwsza kobieta piastująca tak wysokie stanowisko w strukturach verghastyckiej władzy, wybrała na swe włości odległe sawanny, gdzie zamierzała skupić się nad

wydobywaniem surowców kopalnych i inżynierią. Późniejsza rywalizacja między tymi miastami oraz ich konfrontacja są długie, zawile i nie wiążą się w istotny sposób z powyższą historią.

Wielu mieszkańców Vervunhive utraciło w czasach wojny swą niewinność, bez troskę i złudzenia. Czuli, że oddali w obronie swego miasta wszystko po to tylko, by ujrzeć je porzucone na pastwę czasu. Kiedy marszałek wojny dowiedział się o tych nastrojach rozczarowanej społeczności, wystąpił publicznie ogłaszając Akt Konsolidacji.

* * *

Sztab marszałka zmagał się z tysiącami odmiennych zadań próbując zapewnić trwały porządek i spokój zrujnowanej wojną krainie. Jednym z priorytetowych zadań zespołów operacyjnych było śledztwo w sprawie wszystkich obywateli łamiących prawo wojenne i niełojalnych wobec Imperatora.

Zeznania tanithijskiego sierżanta Varla, potwierdzone później przez jego dowódcę, pułkownikakomisarza Gaunta, zostały przeanalizowane w centrali Administratum pod koniec fazy wielkich czystek. Pięćdziesiątego dziewiątego dnia żołnierze Vervun Primary wdarli się do siedziby rodu Worlin niosąc nakaz aresztowania Achmanduste Worlina. Podejrzany zniknął jednak bez śladu.

* * *

- Mówią, że chce się z panem zobaczyć – oświadczył Corbec opierając się plecami o szybę okna w habitacie medycznym 67/mv.

- Może poczekać.

- Pewnie tak – wyszczerzył zęby Corbec – W końcu jest tylko marszałkiem wojny.

- Feth. Naprawdę ewakuowali na stałe miasto ? Po tym wszystkim, co zrobiliśmy ?

- Pewnie dlatego, że zrobiliśmy wszystko. Tam naprawdę niewiele pozostało.

Ibram Gaunt usiadł na szpitalnym łóżku. Rany na ramieniu i udzie zagoiły się szybko, ale wciąż odczuwał palący ból w klatce piersiowej. Splunął krwią, po raz trzeci w trakcie wizyty Corbeca.

- Nie powinien pan przypadkiem leżeć ? – zapytał Duch.

- Być może – odparł Gaunt. Był sześćdziesiąty drugi dzień. Większość drugiego miesiąca pobytu na Verghaście przespał nie odzyskując przytomności, nieświadomy specjalistycznych zabiegów chirurgicznych opiekującego się nim personelu szpitala. Gaunt nigdy nie miał się dowiedzieć, czy uratował go ślepy traf czy też ręka przeznaczenia. Wystrzelony z pistoletu Wyzwolicielea pocisk trafił w środek schowanej pod kurtką stalowej róży podarowanej komisarzowi przez lorda Chassa. Chociaż kawałki rozerwanego wybuchem mikroładunku kwiatu wbiły się głęboko w pierś oficera, lekarze byli pewni, że tylko ta krucha osłona uratowała mu życie.

- Słyszał pan o Akcie Konsolidacji ?

- Tak. Co z tego ?

- Nigdy pan nie uwierzy, ile nam przybyło Duchów.

* * *

Zgodnie z dyspozycjami Aktu Konsolidacji wszyscy wyrażający taką chęć mieszkańcy Vervunhive otrzymali propozycję wstąpienia w szeregi Gwardii. Listy werbunkowe podpisało blisko czterdzieści tysięcy osób. Niektóre z nich za wybitne zasługi w czasie wojny otrzymały prawo do wybrania sobie przydziału.

Samochodowe konwoje przewiozły rekrutów wraz z regularnymi wojskami do Northern Collectives, gdzie w kosmoporcie Kannak czekały już wojskowe statki. Sierżant Soric osobiście nadzorował załadunek swoich byłych Nieregularnych. Wszyscy nosili teraz czarne tanithijskie mundury i płaszcze kamuflujące. Soric wyszedł z ładowni transportowca i przywitał się z sierżantem Koleą, prowadzącym swoją byłą kompanię ochotniczą. Wielki mężczyzna wciąż opasany był gipsowym pancerzem chroniącym jego zrastające się żebra.

- Nigdy już nie zobaczymy tego ponownie – powiedział Soric.

- Czego ?

- Verghastu. Spójrz ostatni raz.

- Nie mam tu już nic, co mógłbym oglądać – odparł Kolea i pożegnał się w myślach z zaginioną rodziną.

Pół kilometra dalej Bragg pilnował załadunku Duchów na inny frachtowiec. Wielu z nich, w tym Domor i Mkoll, było rannych. Oprócz gwardzistów na pokład statku wchodziłi członkowie personelu pomocniczego: klerycy, kucharze, mechanicy, obsada zbrojowni.

Bragg zauważył Caffrana prowadzącego po rampie dziewczynę z dwójką dzieci, jedno z nich było jeszcze niemowlęciem. Dostrzegł, że kobieta oprócz kolczyków nosi emblemat Gwardii. Kolejna żołnierka, pomyślał, jakby nie było dość wojowniczych kobiet z drużyny Kolei. Larkina czekały ciężkie chwile.

Zeskakując z paki ciężarówki Ban Daur przesunął raz jeszcze wzrokiem po otaczającej go krainie. Czuł się niczym zbłąkana dusza, której dano szansę nawiedzenia miejsca narodzin.

To było trafne porównanie. Nie był już kapitanem Vervun Primary. Był Duchem.

* * *

- Trzymałam je przez długi czas – powiedziała Ana Curth i wyjęła z kieszeni fartucha schowane tam nieśmiertelniki żołnierzy poległych pod Bramą Veyveyr – Wiem, że nie istnieje dobra chwila na to, co chcę ci pokazać, ale może...

Dorden wyjął z jej ręki identyfikatory, przeczytał je. Westchnął.

- Mikal Dorden. Szeregowiec piechoty. Tak... mówiono mi...

- Przykro mi, naprawdę bardzo mi przykro.

Lekarz podniósł wzrok pokazując mokre od łez oczy.

- Wiedziałaś, że byłem jedynym Duchem posiadającym w regimencie członka rodziny ? Mojego syna. Kruchy, wrażliwy łącznik ze światem, którego już nie ma. Teraz... on również odszedł.

Przytuliła go, kiedy się rozplakał.

Drzwi otworzyły się głośno i do pomieszczenia wszedł kupiec. Miał na sobie bogato zdobione szaty, a na twarzy wyraz władczego skupienia.

- Czegokolwiek byś nie szukał, trafiłeś pod zły adres – warknęła Curth.

- Chirurg Curth ?

- Tak. Słucham.

Kupiec wszedł do środka i uśmiechnął się.

- Szukam chirurga Curth i oficera medycznego Dordena – pokazał im pogniecione pismo – Otrzymałem wezwanie na rozmowę... w sprawie przerażającego wypadku, jaki miał miejsce wiele tygodni temu na stacji kolejki. Boski Imperatorze, to było straszne !

Curth puściła Dordena i odwróciła się w stronę kupca.

- Ja jestem Curth – powiedziała - Dziękuję za pańskie przybycie. Interesuje mnie to, co pan tam widział ?

- Zanim udzielię wyjaśnień, żądam obecności oficera medycznego Dordena.

- To ja – przedstawił się lekarz wstając z krzesła i wycierając zaczerwienione oczy.

- Oboje razem ? Curth i Dorden ? – upewnił się Worlin.

- Tak. Co chcesz nam przekazać ? Co takiego widziałeś na tej stacji ?
- To – Worlin wyjął spod płaszcza swój igłowy pistolet i wyszczerzył radośnie zęby.
Dorden skoczył w stronę Curth w tej samej chwili, gdy kupiec pociągnął za spust. Pierwszy pocisk trafił lekarza w prawą dłoń, drugi w lewe udo. Trzeci utkwiał w ramieniu Any. Przewróciła się na podłogę.
Kupiec zbliżył się do lekarza mierząc w jego twarz z morderczej smukłej broni.
- Pozostawmy tę sprawę między nami, medyku.
Boltowy pocisk rozerwał jego czaszkę na drobne kawałki. Gaunt wszedł do pokoju z dymiącą bronią w ręku, ubezpieczony przez Corbeca.
- Słyszałem jakieś strzały – oświadczył pułkownikkomisarz.

XX – Nekropolia

„Dosyć już tego. Zbyt wiele narodziło się Duchów”
– pułkownikkomisarz Ibram Gaunt, na Verghaście

W wodę plusnęły odrzucone cumy. Magnificat odbił od portowego nabrzeża i ruszył poprzez nurt rzeki Hass. Za rufą stateczku wciąż dymiły dopalające się ruiny opuszczonej metropolii. Przy kole sterowym stał Folik.

Vervuńczyk wyszedł ze sterówki i zeskoczył na niższy pokład idąc w stronę mężczyzny w długim płaszczu i oficerskiej czapce, przechylonego przez burtę barki. Przez cały tydzień Folik przewoził na drugi brzeg gwardzistów rozpoczynających kolejną podróż do miejsca, o którym marynarz nie miał najmniejszego pojęcia.

To był już ostatni kurs w opuszczonym mieście.

* * *

- W kabinie barki Dorden poprawiał opatrunek na ramieniu Curth.
- Jesteś pewna swej decyzji, chirurgu ?
 - Całkowicie. Oddałam Verghastowi wszystko, co mogłam.
Dorden skinął ze zrozumieniem głową.
 - Podobnie zrobiłeś ty, Toliku.. dużo, dużo więcej ode mnie. Muszę spłacić Gwardii dług. Tylko mi nie mów, że nie potrzebujesz jeszcze jednego lekarza ?
 - W żadnym przypadku, Curth.
Uśmiechnęła się lekko.
 - Najwyższy czas, żebyś zaczął się zwracać do mnie po imieniu.

* * *

- To dla mnie zaszczyt móc pana gościć na pokładzie, sir – powiedział do Gaunta Folik – Jest pan Bohaterem Ludu.
- Pewien jesteś, przyjacielu, że nie mylisz mnie z kimś innym ?
- Nie sadzę. To pan jest komisarzem Gauntem, prawda ?
Gaunt skłonił się lekko i spojrzął ponad nurtem Hassu w stronę zgliszczy Vervunhive. Ruiny wciąż płonęły w słabym blasku poranka.
- Wyciągnął z kieszeni kurtki fragmenty stalowej róży wyjęte przez Dordena podczas zabiegów chirurgicznych i cisnął je w szarobure wody rzeki.

KONIEC